

Kir Bułyczow

Jak zostać pisarzem fantastą

Tytuł oryginału: Kak stat' fantatom

Przełożyła Ewa Skórska

WSTĘP

Ciekawe doświadczenie, czuć się świadkiem historii.

W swoim czasie chciałem napisać książkę o fantastyce radzieckiej — „Pasierbica epoki”. Była już niemal skończona, ale nie znalazła wydawcy. A ja wymyśliłem ją jako Księgę.

Z obrazkami.

Ze streszczeniami fabuły najciekawszych powieści.

Z osobnym rozdziałem poświęconym utopii, antyutopii i utopii komunistycznej.

Zanim ją napisałem, dokonałem odkrycia, które — być może — nie jest żadnym odkryciem dla dzisiejszych literaturoznawców.

Rzecz w tym, że piętnaście lat temu literaturoznawcy prawie nie istnieli; byli biografowie, byli krytycy, a literaturoznawców, którzy osądzają i tworzą koncepcje, było ze trzech. Kto — już oni sami najlepiej wiedzą.

Dlatego nie bałem się mojego odkrycia — nie miał kto zdemaskować jego wtórności.

Dzisiaj jest wielu specjalistów od fantastyki, którzy już polemizują i tworzą koncepcje.

Tracę przy nich śmiałość. Poklepują mnie po ramieniu, sądząc, że to nie ramię, lecz róg wielce szanownej szafy.

Spotkałem ostatnio człowieka, mniej więcej trzydziestoletniego, który zapytał naiwnie (acz szczerze): „To pan jeszcze żyje?”.

Dlatego boję się kończyć książkę o radzieckiej fantastyce.

Ale niektóre jej tezy pozwolę sobie zaprezentować — w pracach zawodowych literaturoznawców jeszcze nie spotkałem się z moim punktem widzenia.

Otóż: istnieje literatura fantastyczna — morze, do którego wpadają wszelkie literackie nurty, gatunki i wydarzenia.

Jest również literatura realistyczna, którą obecnie, nie wiedząc czemu, sami aktywiści fantastycznego cechu nazywają angielskim słowem *mainstream*, jakby fantastyka była jakąś porośniętą wikliną, brzydko pachnącą odnogą.

Do mainstreamu zalicza się prozę historyczną.

Albo dramat historyczny.

Albo — historyczną beletrystykę.

Prozą historyczną jest, na przykład, powieść Aleksego Tołstoja „Piotr I”, utwory nieżyjącego już Pikula oraz obszerne dzieła Henryka Manna, Zweiga i innych Sienkiewiczów.

Moja pierwsza teza brzmi: proza historyczna to rodzaj literatury najbliższy literaturze fantastycznej. Są niemal siostrami — lecz z przeciwnym znakiem.

Literatura fantastyczna operuje wymyślonymi bohaterami na wymyślonym tle.

Literatura historyczna zwraca się ku realnym bohaterom w wymyślonym entourage’u.

Im bardziej przekonujący jest wymyślony przez autora świat bohatera historycznego, realia, w których dany bohater istnieje, tym większym powodzeniem cieszy się powieść historyczna. Każda próba uczciwego odtworzenia świata, w którym żył i działał Aleksander Macedoński czy Napoleon, pogrzebie powieść. Czytelnika odstrasza już sama próba zmuszenia bohaterów do posługiwania się językiem epoki.

Wymyślony świat fantastyczny, w którym tkwi bohater powieści historycznej, powinien być jak najbliższy światu czytelnika, a język, którym rozmawiają wojownicy Aleksandra Macedońskiego, musi być językiem współczesnym i lekkostrawnym.

Najlepsi pisarze historyczni, Dumas i Aleksy Tołstoj, wiedzieli o tym i drwili z wierności

historycznej w żywe oczy.

W naszym państwie traktowanie historii jako beletrystyki sięgnęło zenitu.

Historię Rosji, a tym bardziej niezbyt długą historię Rosji Radzieckiej, wycofano i zastąpiono „skróconym kursem”. W szkole zaczęliśmy się uczyć fantastycznej historii ludzkości. Okazywało się na przykład, że przewodniczący rewolucyjnej Rady Wojskowej Republiki i pogromca białogwardzistów, Lew Trocki, jest zdrajcą ojczyzny i za zabicie go można otrzymać tytuł Bohatera Związku Radzieckiego. Historii radzieckiej obca jest logika i zdrowy rozsądek. U schyłku imperium komunistycznego wydano „Encyklopedię Wojny Ojczyźnianej i Interwencji”. Nie ma w niej hasła „Tracki” — czyny tego człowieka były tak obmierzłe, że postanowiono nie dopuszczać go zbyt blisko rewolucji. Niemniej swoje hasła mają: Szkuro, Krasnow, Kornilow i tak dalej. Jest za to ogromne hasło „trockizm”. Najwidoczniej ten ohydny nurt w polityce wziął swoje źródło od jakiegoś innego Trackiego, który przez całą wojnę ukrywał się w Zurychu.

Rosło pokolenie za pokoleniem, dla których historia była czymś w rodzaju mitologii. Miasto Berdiańsk mogło być miastem Zinowjewem, by następnie ponownie stać się Berdiańskiem, potem zostać przemianowane na Osipienko i znowu na Berdiańsk. To nie wyjątek, wystarczy przypomnieć sobie nieszczęsną historię Rybińska–Szczerbakowa–Andropowa–Rybińska. Najważniejsza reguła tej gry to: wykreślone — zapomniane!

Zapewne każdy z nas miał w rękach przedwojenne książki, w których to i owo nazwisko zostało zamazane atramentem, przy czym bardzo starannie i niejednokrotnie. Zawsze chciałem się dowiedzieć, kogo w ten sposób zabił poprzedni nadgorliwy czytelnik. Oglądałem strony pod światło, ale zazwyczaj nie udało się nic zobaczyć — zamazywano bardzo mocno. I nie myślcie sobie, młodzi czytelnicy, że podobne działania to prerogatywa epoki stalinowskiej. Najlepszy przykład: pod koniec 1953 roku wszyscy prenumeratorzy „Wielkiej Encyklopedii Radzieckiej” otrzymali koperty z instrukcją, co należy zrobić z hasłem „Beria”, które omyłkowo znalazło się w encyklopedii. Na jego miejsce trzeba było wkleić hasło „Beringa Morze”. Jak się okazało, Morze Beringa zostało przez nieuwagę pominięte.

Strony z encyklopedii polecały do kubłów na śmieci, a w określonych pracach historycznych i podręcznikach wierni leninowcy zamazywali kolejne nazwisko.

Orwell w swojej najważniejszej książce wymyślił Ministerstwo Prawdy, poprawiające rzeczywistość post factum.

To była fantastyka. To było na niby.

Partia i władze w naszym kraju poprawiały rzeczywistość na znacznie większą skalę i bardziej zdecydowanie, niż to wymyślił Orwell. I w znacznie bardziej fantastyczny sposób.

Poświęcam tym wywodom cenny czas wyłącznie po to, byśmy zrozumieli, dlaczego w naszym kraju tak popularne są utwory Fomienki, akademika w dziedzinie matematyki, i Kasparowa, akademika w dziedzinie szachów, oraz szeregu nieakademików uczestniczących w znęcaniu się nad historią.

Ponieważ żyłem w poprzednich epokach — epoce socjalistycznego niewolnictwa, socjalistycznego feudalizmu i w socjalizmie „z ludzką twarzą”, wiele z tego, co powinienem zapamiętać, zapamiętałem.

Główną zasadę wróżb i przepowiedni można by sformułować w następujący sposób: każdy człowiek zapamiętuje tylko to, co się spełniło. Tysiąc razy wróżka palnie głupotę i naiwny obywatel o tym zapomni. Ale za tysiąc pierwszym — przez przypadek albo na skutek błędu wymowy — trafi w sedno. I właśnie ta wróżba wyrobi jej reputację wielkiego jasnowidza.

Może słyszeliście, że wielki Nostradamus robił wszystko, by nie wskazywać w swoich przepowiedniach konkretnych dat? Ale przepowiedni są setki i mimo wszystko kilka razy daty wymienił. Nikt, prócz wybitnego historyka Eduarda Berzina, nie tracił czasu na sprawdzanie tych

przepowiedni. A Berzin odkrył, że żadna z przepowiedni z datą się nie sprawdziła.

Za to pozostałe traktowane są jako wzór jasnowidztwa. I zwolennicy wielkiego jasnowidza przekazują je przez stulecia.

Dokładnie tym samym torem biegną myśli fanatyka z sekty specjalizującej się w nadejściu końca świata. Wyznaczamy zagładę ludzkości na następną środę i wszyscy wychodzimy na ulice, albowiem tylko my zostaniemy uratowani.

W środę nic się nie dzieje.

— Tak właśnie miało być — oznajmia spokojnie przywódca sekty. — Spodziewaliśmy się tego. Po uzgodnieniu z nami, koniec świata został przeniesiony na przyszły rok. Proszę o dobrowolną ofiarę na naszą sektę.

A więc, jeśli nasza partia i rząd zajmuje się wróżbami dotyczącymi nadejścia komunizmu i powszechnej szczęśliwości drogą obniżenia cen na akordeony o sześć procent, to wokół nieoficjalnie powstawała przepowiednia przeszłości. Świadomość radzieckiego obywatela została tak rozchybotana nieobowiązkowością i wielowariantowością historii, że gotów był on zwątpić nie tylko w rolę Martowa, Trockiego i Tuchaczewskiego, ale również w istnienie Aleksandra Macedońskiego czy kaganatu chazarskiego.

To nie bajka.

Akademik Rybaków, uczestniczący w wykopaliskach w Tmutarakaniu, znalazł tam synagogę i ogłosił, że to świątynia prawosławna. Akademik Michaił Postnikow, „też z matematyków”, przynosił nam do Komisji do spraw Kontaktów istniejącej przy czasopiśmie „Znanje–siła” (Wiedza–siła) wielkie płachty brystolu i udowadniał, że zaćmienia Słońca były nie wtedy, kiedy były, tylko kiedy indziej, i dlatego wydarzenia historii antycznej są wątpliwe. Możliwe, że wcale ich nie było.

Zawsze czuję zażenowanie, gdy widzę, że jakiś człowiek z ogromną pasją zajmuje się nie swoją dziedziną. I jeśli w swojej specjalności opiera się na wiedzy, to w pasji — na wierze.

Zasady wiary, triumfalnie wniesione nie tylko do nauki, ale i do życia, przeistoczyły obóz socjalistyczny w obóz rzeczywistości wirtualnej i dlatego mieszkańiec tegoż obozu z zapalem współzawodniczył z władzą, traktując historię jak bajkę ze zmiennymi regułami.

Zasada przepowiadania przeszłości to zasada państwa radzieckiego.

Drugą jej zasadą jest raj na ziemi.

Tu wchodzimy w sferę terminów nieprecyzyjnych.

Przyjęło się uważać, że utopia to coś pięknego, do czego należy dążyć. Antyutopia zaś to ten ustrój państwowy, którego nam zakazano.

Głosząc takie twierdzenia, tkwimy w radzieckim pojmowaniu historii.

Człowiek, któremu źle się żyło na tym świecie, wymyślił religię, czyli system sprawiedliwych nagród i kar. Ty mnie, draniu, przez całe życie dręczyłeś i ciemniłeś, więc cię tam, po śmierci, usmażę w kotle (chrześcijaństwo) albo narodzisz się ponownie jako śmierdzący robak (buddyzm i inne religie Wschodu). W ten sposób człowiekowi łatwiej znieść ciężki los.

Im potężniejsze, solidniejsze i silniejsze stawały się systemy religijne, tym lepiej wypracowywano w nich koncepcję nagrody i kary. Służyła ona możliwym tego świata. Przecież kara (albo nagroda) nastąpi po śmierci.

Czyli system religijny oznacza sprawiedliwy i szczęśliwy świat, w którym można się znaleźć dopiero po śmierci.

Proszę zwrócić uwagę, że nigdy nie nazywamy raju utopią. Utopią zazwyczaj nazywamy „Miasto Słońca” Campanelli, „Atlantyde” Platona czy „Trzeci sen Wiery Pawłowny”^{*}.

^{*} Jeden z rozdziałów utworu N.G. Czernyszewskiego „Co robić” [wszystkie przypisy tłumacza].

I jeśli się dobrze zastanowić, to okaże się, że zazwyczaj utopię tworzyli opozycjoniści i nierzadko Kościół oraz władze świeckie okrutnie karały wizjonerów. Czernyszewski pisał swoją utopię w twierdzy, Thomasowi More'owi ścięto głowę...

Oni szykowali zamach na tamten świat!

Próbowali powiedzieć, że gdzieś, kiedyś — mało tego, na ziemi i za życia! — można będzie odnaleźć sprawiedliwość i szczęście.

Grzeszyli.

Bo gdyby mieli rację, to cały religijny system kary i nagrody rozpada się — staje się niepotrzebny.

Klasyczna utopia była w rzeczywistości antyutopią.

Ta z kolei podarowała nam utopię współczesnego typu, której korzenie sięgały literatury światowej. Ale przez długi czas nikt jej z utopią nie wiązał i antyutopią nie nazywał.

Królestwo Kościeja — antyutopią. Miasto Głupów — antyutopią. Nawet państwa Swifta to antyutopią.

I jeśli twórca utopii dążył do tego, by jak najdalej odejść od otaczającego go świata, to antyutopista nie krył powiązania swojego straszaka z rzeczywistością. Po prostu robił fantastyczny krok poza granice realności. I zamiast twarzy pojawiała się gęba.

Ale rozpoznawalna.

Tak więc twórcy antyutopii również nie znaleźli poparcia. Ale jeśli utopistów niszczył Kościół, to antyutopistów prześladowały całkiem świeckie władze.

Antyutopia jako zjawisko wszechświatowe zostało sformułowane na początku XX wieku, gdy świat się jednoczył, gdy świadomość katastrof i zagrożeń stawała się ogólnoswiatowa.

Podstawą utopii było stwierdzenie: Jakby to było dobrze żyć gdzieś właśnie tak!

Antyutopia groziła: Jeśli tak dalej pójdzie, spadniemy w otchłań!

W Europie Zachodniej, gdzie literatura jest osobistą sprawą pisarza, antyutopiści pozostawali na wolności.

U nas i w podobnych państwach w najlepszym razie nie byli drukowani. Pierwsza wielka antyutopia XX wieku — powieść „My” Zamiatina* w naszym kraju została wydana siedemdziesiąt lat po jej napisaniu! A sam Zamiatin jedynie cudem zmarł śmiercią naturalną. Nawet w moich czasach niemal liberalni cerberzy ideologii socjalistycznej rzucali się, by kłami szarpać książki Strugackich.

Utopia, antyutopia — to terminy powszechnie znane i tutaj pragnę sprecyzować jedynie szczegóły.

Ale jest pewien interesujący kierunek w tej dziedzinie. To utopia socjalistyczna.

Reasumując:

Religijna utopia uznaje idealny świat jedynie na „tamnym świecie”.

Klasyczna utopia buduje utopijny system „gdzieś i kiedyś”.

Antyutopia opowiada nam, co się stanie, jeśli to, co się dzieje, będzie się działo nadal.

Socjalistyczna utopia uczy: „Obecne pokolenie ludzi radzieckich żyć będzie w komunizmie!”.

To kłamstwo — ani owo pokolenie, ani sami autorzy hasła nie wierzyli w nie.

Ale w podtekście było: „Wprawdzie nie skończyliśmy jeszcze budować komunizmu, ale już

* Zamiatin Jewgienij I. (1884–1937), rosyjski prozaik, dramaturg i tłumacz. W młodości działacz bolszewickiego podziemia; po rewolucji październikowej 1917 organizator życia kult.; od ok. 1929 pozbawiony możliwości publikowania; 1931 emigrował do Paryża. Protestował przeciw zniewoleniu jednostki przez totalitaryzm, którego proroczy opis zawarł w antyutopijnej powieści „My”, prekursorskiej wobec utworów A. Huxleya i G. Orwella (powstała 1920, przekłady ang., franc. i in. 1924, wyd. w całości w USA 1952, w Polsce poza cenzurą 1985).

dzisiaj żyjemy w szczęśliwym, sprawiedliwym i najweselszym społeczeństwie w historii ludzkości”. Jeśli w to wątpiliście — byliście likwidowani.

Komunizm to raj na Ziemi.

Chociaż nikt i nigdy, w żadnej marksistowskiej książce nie powiedział, czym właściwie będzie komunistyczny raj. Zresztą nie było takiej potrzeby, skoro jego cechy i elementy już występowały wokół nas.

Minęło wiele lat, nim komunistyczna ideologia straciła monopol na władanie myślami i uczuciami narodu. Wtedy okazało się, że wszystko, co nazywano komunistyczną bądź socjalistyczną utopią (rajem), w rzeczywistości było antyutopią, największym kłamstwem o najbardziej katastrofalnych skutkach w historii ludzkości.

Gdy ja się urodziłem, budowa socjalistycznej antyutopii była w rozkwicie. W tym systemie wartości przeżyłem całe swoje życie.

Jestem tworem i ofiarą tego systemu.

Chcę napisać książkę o tym człowieku — pod wieloma względami typowym dla swojego pokolenia i pokoleń sąsiednich.

Wydaje mi się, że moja przemiana w pisarza fantasty to naturalny bieg wydarzeń. Dziwne, że fantastami nie została większość obywateli naszego mocarstwa.

Niemniej coś mnie różni od moich współczesnych. Wszyscy się pod jakimiś względami różnimy, w przeciwnym razie można by napisać jeden pamiętnik na wszystkich.

Wielu wybitnych pisarzy oraz działaczy kultury pozostawiło po sobie pamiętniki. Czytamy je i cieszymy się, że mamy możliwość poplotkować z autorem za jego przyzwoleniem. Jest to tym bardziej interesujące, że autor już w dzieciństwie domyślił się, jakie będzie jego przeznaczenie, i zadbał o prowadzenie pamiętnika.

Z tychże wspomnień wynika, że od najwcześniejszych lat spotykał się on ze swoimi przyszłymi kolegami po fachu, którzy poili go, małego chłopca herbatą i dawali światłe rady.

Co mówi pechowy sportowiec, gdy strącił poprzeczkę? Zapewnia nas, że wcale nie miał zamiaru pokonać wysokości dwóch i pół metra, tylko przechodził obok stadionu i przypadkiem zadarł nogę.

A co mówi mężczyzna swojej kochance? „Żona mnie nie rozumie i nigdy mnie nie pociągała”.

I właśnie przez pryzmat tych dwóch banałów proszę patrzeć na moje pisarstwo.

Po pierwsze, nigdy nie miałem zamiaru zostać pisarzem i bynajmniej nie pragnę być nim teraz. Po prostu przechodziłem obok stadionu i zadarłem nogę. Najpierw chciałem zostać malarzem, a potem paleontologiem.

Nawet moje wykształcenie jest niezgodne z upodobaniami. Planowałem dostać się na geologię, a trafiłem na lingwistykę. A na maturze miałem tylko dwie trójki — z trygonometrii i angielskiego.

Właściwie nigdy nie znałem moich starszych kolegów po fachu, ani jeden pisarz nie poił herbatą małego Igorka i nie przekazywał mi liry. Nawet dzisiaj znam niewielu pisarzy.

Pierwsza recenzja, w której pojawiło się moje nazwisko, opublikowana po wyjściu na świat mojego drugiego lub trzeciego utworu, głosiła, że nieźle się zapowiadałem, ale już się wypaliłem, a wszystko, co stworzyłem, ukradłem bardziej godnym literatom. Nawet Alicję zerznąłem od szanownego Lewisa Carolla.

Nie mogłem pisać memuarów już choćby dlatego, że w moim życiu nic się nie działo. Zwyczajnie, życie przemknęło obok mnie, dymiąc niczym parowóz.

Tak więc mój opus można uznać najwyżej za pseudomemuary. Samego jubilata w nim nie będzie. Ale postaram się opowiedzieć, jak warunki zrodziły i wyhodowały człowieka, który nie wiadomo dlaczego zaczął pisać utwory fantastyczne.

Gdzie szukać przyczyny? W genetyce? W roli środowiska? Jak powstawał społeczny fenomen

Kira Bułyczowa?

Przecież niezależnie od jego obiektywnej wartości jako pisarza, jest tworem różnorodnych sił, które stały się na arenie historii radzieckiej. Na ile fantastyczne są owe siły? Na ile fantastyczny jest ich ogół?

I chyba tylko takie postawienie problemu może usprawiedliwić pojawienie się niniejszych niby–memuarów.

Przypominam o drugim przywołanym przeze mnie banale: o żonie, która jakoby mnie nie rozumie i nie pociąga jako kobieta.

Moje książki nie występują w rankingach „Kniżnego Obozienia”, nie ma ich i nie powinno być w nominacjach do nagrody Interpresskonu czy innych konwentów. Fani nie piszą do mnie listów, nie powstają kluby mojego imienia czy pamięci. W takiej sytuacji bardzo kuszące i wygodne jest założenie, że czytelnicy mnie nie rozumieją i są źle wychowani, krytycy zaś to ludzie złośliwi i niesympatyczni.

Niestety, nie sposób utrzymać się długo na tym dumnym stanowisku.

Jestem przedstawicielem określonej kategorii literatury masowej, w dodatku pisarzem lat nie sześćdziesiątych, lecz siedemdziesiątych (zjawisko, w odróżnieniu od tego pierwszego, mało znane i niezbadane). Właśnie na lata siedemdziesiąte i osiemdziesiąte przypada moja aktywna działalność filmowa. A przecież mało kto dziś pamięta, że jestem autorem scenariuszy ponad tuzina pełnometrażowych i niezliczonych krótkometrażowych filmów. Poza tym udało mi się zająć pustą do tej pory niszę ekologiczną fantastyki dla dzieci, nieco starszych od tych, które zdążył obłaskawić Eduard Uspienski.

Lata dziewięćdziesiąte to lata mojego stopniowego odchodzenia w cień. Nie znikłem wprawdzie, ale zbladłem na tyle, że trzeba brać teleskop, by mnie wypatrzeć.

Postanowiłem napisać książkę „Jak zostać fantastą”, ponieważ interesuje mnie subiektywne ogarnięcie epoki jako ogółu wpływów, które zrodziły mysz konkretnej maści.

I bardzo was proszę, nie traktujcie wszystkich moich słów bez wyjątku jako szczerej prawdy, czy też próby powiedzenia szczerej prawdy. Na stronach pamiętników nie występuje coś takiego jak szczerza prawda. Na stronach pseudopamiętników jednego z fantastów Kraju Rad szczerza prawda musi być przemieszana z różnego rodzaju apokryfami oraz informacjami, których sprawdzić się nie da.

Będziemy mieli do czynienia z prozą historyczną, czyli najbardziej żywotnym gatunkiem literackim. Nie pretenduję do stworzenia dzieła literackiego. Nie będę nic wymyślał. Wszystkie fakty, które można sprawdzić, są faktami. Nazwiska są prawdziwe. Wydarzenia miały miejsce.

Cała reszta to kłamstwo.

ROZDZIAŁ 1

FALSZYWE BIOGRAFIE

Autor, znany także jako Igor Wsiewołodowicz Możejko, urodził się w Moskwie, w Zaułku Bankowskim, niedaleko Czystych Prudów, osiemnastego października 1934 roku, w rodzinie proletariackiej — ślusarza Wsiewołoda Nikołajewicza Możejko i pracownicy fabryki Hammera, Marii Michajłowny Bułyczowej.

W ten sposób zrobiłem pierwszy krok ku fantastyce, albowiem trudno wymyślić bardziej kłamliwą informację, zwłaszcza że trzeba ją składać z maleńkich kawałeczków.

Należę do tej kategorii rosyjskich poddanych, których rodziny tworzyła rewolucja, a genealogie były niszczone.

W normalnych warunkach moim rodzicom nie udałoby się spotkać, za to znałbym biografie babę i dziadków, ciocę i wujków.

Na szczęście żyje w Kałudze moja ulubiona kuzynka Swietłana (która jeszcze nieraz pojawi się na tych stronach) — o pewnych fantastycznych wydarzeniach z życia naszej rodziny dowiedziałem się od niej. Swietłana jest z zawodu prawnikiem, z powołania historykiem, a z wyboru „zbieraczem i kustoszem ziem ruskich”. To ona zbiera i przechowuje żalosne okruchy informacji o rodzice Możejków. Nawet podróżowała w poszukiwaniu krewnych i ich odnajdywała.

Pamiętam, jak kiedyś, wiele lat temu, zadzwoniła do mnie kobieta z Leningradu, która przeczytała moją książkę o cudach świata i chciała się dowiedzieć, czy nie jestem przypadkiem krewnym Wsiewołoda Możejki. Przyznałem się, że to mój ojciec, a wtedy ona powiedziała, że jest moją ciotką, a dokładniej — kuzynką ojca.

Przekazałem cioci telefon ojca i zapomniałem o całej sprawie. A Swietłana, już po śmierci mojego ojca, wyruszyła do Leningradu i odszukała ciotkę, Ninę Lwownę.

Opowiedziała mi również o innych członkach rodziny Możejków oraz rodziny swojego ojca, Nowikowa.

W dwóch słowach streszczę historię losów tych ludzi.

Mój dziad Mikołaj miał dwóch braci, Lwa i Michała. I dwie siostry, Maszę i Nataszę.

Duża, szczęśliwa, zamożna rodzina.

Wszyscy bracia ukończyli uniwersytet w Petersburgu. Lew ożenił się z Polką, Walerią Bonifatiewną, był matematykiem i liberałem, co doprowadziło go do szkoły niedzielnej, gdzie wygłaszał wykłady razem z Nadieńką Krupską*, z którą się zaprzyjaźnił. Potem poznał również jej męża, Uljanowa, niemniej nie został socjaldemokratą. Jako profesor matematyki otrzymał szlachectwo, a w czasie wojny utworzył towarzystwo zaopatrywania armii w spirytus. Po rewolucji wykładał matematykę w szkole w Leningradzie, z Nadieźdą Konstantynowną utrzymywał dobre kontakty i możliwe, że to uratowało go przed aresztowaniem. Ale nie przed gorką śmiercią — zimą 1942 roku zmarł z głodu. Walerię Bonifatiewnę z córeczką Agnieją ewakuowano do Wołogdy, ale za późno — tam umarły na dystrofię. Z całej rodziny została jedynie starsza córka Nina. Jej pierwszy mąż, Archangielski, kompozytor cerkiewny, został rozstrzelany w 1937 roku jako element niebezpieczny społecznie. Została po nim córka Ludmiła, która na początku wojny miała szesnaście lat. Drugi mąż Niny Lwowny zginął na froncie. Obie z Ludmiłą przez całą blokadę Leningradu pracowały jako sanitariuszki, po wojnie Ludmiła wstąpiła na uniwersytet i została przyjęta do partii. Ale w 1949 roku Ninę aresztowano jako żonę kompozytora

* Krupskaja Nadieźda K. (1869–1939), działaczka komunistyczna, pedagog; żona i współpracownica Lenina.

cerkiewnego, rozstrzelanego dwanaście lat wcześniej, i zesłano do Pot'my. Gdy Ludmiłę wykluczono z partii, a ukochany człowiek publicznie się jej wyparł, przyszła do domu i otruła się gazem. Następnego dnia do domu wróciła jej matka — przez przypadek ją wypuszczono. I właśnie ta ciocia odnalazła mnie, a potem ojca. Żyła całkiem sama i zmarła dwadzieścia lat temu. Kochała malarstwo i muzykę, i według słów Swietłany, była dumna ze swojej przynależności do rodu Możejków.

Michaił Możejko, starszy z braci, urodzony w 1865 roku, był urzędnikiem akcyzowym, najpierw w Mitawie, potem w Petersburgu. Pod koniec wojny domowej przeprowadził się do brata Mikołaja do Taganrogu, potem do Smoleńska, gdzie pracował jako księgowy w przedszkolu. Mieszkali wówczas całą rodziną w jednym pokoju w mieszkaniu komunalnym. Sąsiad chciał dostać ich pokój, więc napisał na Michaiła Możejkę donos. W lutym 1938 roku dziadka aresztowano. Jego córka wspominała, jak stał pomiędzy dwoma czekistami, bez binokli, przytrzymywał spodnie rękami i szeptał dzieciom: „Do widzenia, moje dzieci”. Zmarł w więzieniu kilka dni później. Serce nie wytrzymało bicia na przesłuchaniach — Michaił miał ponad siedemdziesiąt lat. W świadectwie zgonu napisano: „Rozstrzelanie w więzieniu”. Rzadka diagnoza. Nie lubili pisać w ten sposób.

Jego syn, Eugeniusz, był geologiem; gdy ojca aresztowano, był w ekspedycji. Został aresztowany w czasie wojny, wyszedł z więzienia w czterdziestym siódmym.

Siostra Eugeniusza, Nina Michajłowna, pracowała jako maszynistka, ale została zwolniona w 1938 jako córka wroga narodu. Przetrwiała okupację Smoleńska, później pracowała jako bibliotekarka, ale została zwolniona, jako że „przeżyła okupację”. Na starość często mawiała Swietłanie: „Nienawidzę ich obu — Hitlera i Stalina, ale Stalina bardziej”.

Moja babcia, Lidia Nikołajewna, urodziła się w 1879 roku w Libawie, w rodzinie oficera. Jej ojca przeniesiono do Smoleńska, spadł tam z konia i zmarł. Synów oddano na koszt państwa do korpusu kadetów. Oni również zostali oficerami. Wiktor został ranny na froncie i gdy żołnierze nieśli go na noszach do szpitala, trafił ich pocisk. Leonid po rewolucji służył w Armii Czerwonej, był dowódcą kursów cakaemowych, służył razem z Woroszyłowem. Wkrótce po zakończeniu wojny domowej zdemobilizował się, osiadł w Taganrogu, ożenił się z Greczynką i został aresztowany w 1937 roku. Przed zsyłką otrzymał widzenie z żoną. Wczepił się dłońmi w siatkę i szeptał żonie: „Patrz na moje ręce!”. Na palcach nie było paznokci. Babcia pisała, gdzie tylko mogła, błagając, by Leonida zwolnili. Wreszcie w 1939 roku otrzymała telegram od Woroszyłowa: „Pani brat jest wolny”. Następnego dnia przyszedł kolejny telegram: „Pani brat zmarł”. Babcia zawsze pocieszała się, że on umarł z radości na wieść, że pomógł mu Woroszyłow. Ale w informacji o rehabilitacji napisano, że zmarł na rok przed tymi wydarzeniami, w łagrze.

Jeszcze w gimnazjum Lidoczka Dergaczowa poznała Kolę Możejko, który przyjeżdżał do Smoleńska w interesach. Rodzice zabronili jej wychodzić za mieszczanina. Lida rzuciła gimnazjum, ogłosiła głodówkę. Rodzice się poddali. Lida wysłała Mikołajowi telegram i wyszła go witać na wzgórze, pod zegar z trzema cyferblatami. Kola wszedł na wzgórze, rozpoznał ją z daleka, padł na kolana i czołgał się w jej stronę, powtarzając, że będzie ją kochał do końca życia.

Młodzi przenieśli się do Petersburga. W 1902 urodził im się syn, którego nazwali Wsiewołod. W wieku dwóch lat dziecku zrobiono operację wyrostka, ale dano za dużą dawkę chloroformu i chłopczyk się nie obudził. Babcia wpadła w taką depresję, że bano się o jej życie. Dziadek zawiózł ją do świętego Jana Kronsztadzkiego*.

* Jan Kronsztadzki, święty, właśc. Iwan Siergiejew (1829–1908), duszpasterz i asceta; 1990 kanonizowany; od 1855 kapłan i proboszcz parafii w Kronsztadzie, zasłynął jako znakomity duszpasterz i cudotwórca; organizował też działalność charytatywną i społeczną.

Kapłan długo gładził ją po głowie, w końcu zaczął namawiać:

— Płacz, proszę cię, płacz!

Wtedy babcia po raz pierwszy od śmierci synka zapłakała.

Jak przepowiedział Jan, wkrótce urodził się mój ojciec. Uparta babcia nazwała go imieniem pierworodnego. Rozpieszczali go wszyscy, do dobrego tonu należało zachwycanie się jego urodą, talentami i wróżenie mu wielkiej przyszłości.

Jestem kolekcjonerem i trafiła kiedyś w moje ręce górka dyplomów. Wśród nich był również dyplom o nadaniu orderu Świętej Anny pierwszego stopnia protojerejowi Siergiejewowi — to świeckie nazwisko świętego Jana Rronsztadzkiego. Od tamtej pory leży u mnie dyplom, który święty nieraz trzymał w ręku. Widocznie nawet on nie był pozbawiony ludzkich słabości. Pamiętam portret, na którym na piersi Jana widniało sporo odznaczeń.

W 1920 roku Mikołaj Możejko postanowił wywieźć głodującą rodzinę na południe.

Wziął swoje dzieci, dzieci Michaiła oraz swoją kochankę. To, że miał kochankę, nie przeszkadzało mu do końca swoich dni szczerze kochać żony.

Po przyjeździe do Taganrogu kupił wszystkim Możejkom dom, mniejszy domek dla ukochanej. Zaopatrzeni byli całkiem przyzwoicie, bo dziad Mikołaj zdołał wywieźć wiele kosztowności.

Żyli wystawnie, nie zwracając uwagi na to, jaki jest rok i jaki kraj za oknem. Żona dziadka Miszy, z domu baronówna Taube, była zawodową pianistką i w dniu jej urodzin w 1921 roku Mikołaj zjawił się na uroczystości w towarzystwie brygady tragarzy — przyniesiono jej w prezencie fortepian.

Wreszcie władza radziecka dziadka aresztowała — przez pomyłkę wzięła go za imperatora Mikołaja, który jakoby uniknął sprawiedliwej kary. Jakiś czas dziadek siedział w więzieniu, a gdy stało się jasne, że prawdziwego Mikołaja jednak rozstrzelano, dziadkowi zmieniono artykuł i oskarżono o służbę dla białych. Co było prawdą, ponieważ dziadek pracował jako księgowy we wszystkich reżymach.

Mój partyjny ojciec bał się spotkań z dziadkiem. Staruszkowie żyli w Taganrogu i podczas nieczęstych wizyt dziadka w Moskwie witała go mama. Dziadek zmarł w połowie lat trzydziestych, a babcia przeniosła się do Moskwy. Słabo ją pamiętam. Dożyła do wojny.

Zatrzymajmy się na minutkę i wyobraźmy sobie normalną, dużą rodzinę. Wszyscy Możejkanie byli niebieskookimi blondynami, skłonny do nadwagi i miłostek, co nie przeszkadzało im kochać żon. Przed rewolucją dziadek i jego bracia może nawet nie byli bardzo bogaci, ale w każdym razie zamożni, pozwalało im to żyć wystawnie i nawet wesoło.

Po rewolucji bolszewicy niszczyli Możejków, jak tylko mogli. O losach wielu z nich nie wiem nic, ale z tych, o których coś wiem, jedni zmarli w obozie, inni na dystrofię, a jeszcze innych doprowadzono do samobójstwa.

Ród — ani znamienity, ani szlachecki — został unicestwiony.

Spróbujcie zrozumieć, dlaczego nigdy nie mogłem wstąpić do ich partii ani do ich Związku Pisarzy.

Powiecie: Wśród pana krewnych byli tacy, którzy doskonale się przystosowali; nie tylko ofiary, ale i ci, którzy przystali do możnych radzieckiego świata.

Owszem. To było ich życie, ich droga. Nikogo nie osądzam — piszę jedynie o epoce i jej regułach.

Wspomniana wcześniej kuzynka Świetlana to córka siostry mego ojca. Ta siostra nazywała się Ksenia. Wszyscy mówili, że ciocia Ksenia jest bardzo ładna. Moim zdaniem wcale nie była ładna, była gruba i stale coś żuła.

Oboje z ojcem byli do siebie podobni — grubi, wysocy, o wąskich twarzach i blond włosach.

Tata był częścią szalonego świata i niczym się w tym świecie nie wyróżniał. Za to od cioci Kseni dosłownie była fantastyka — socjalna oczywiście. Nic bardziej interesującego od jej życia nie mógłbym wymyślić.

Gruba, ładna ciocia Ksenia wyszła za mąż za dowódcę brygady, Woronowa. Dowódca Woronow miał dwóch braci Woronowych, też dowódców brygad. Ksenia urodziła Woronowowi córkę Świetlanę. Wtedy Świetlana było imieniem znaczącym, dzięki niemu dziewczynka jakby przynależała do rodziny Stalina.

W trzydziestym siódmym ciocia Ksenia, nadal ładna i coraz grubsza, przyjechała do domu wczasowego Armii Czerwonej nad Morzem Czarnym, gdzie zobaczył ją i zakochał się do szaleństwa Piotr Sikorski, pilot porucznik. Ponoć był krewnym konstruktora samolotu „Ilija Muromiec” i wynalazcy helikoptera, który uciekł do USA, ale porucznik nie bał się tego pokrewieństwa i nie ukrywał go.

Ciocia Ksenia pokochała odważnego pilota.

Spacerowali pod wielkimi gwiazdami Krymu i rozmawiali o rzeczach wzniosłych. Ale rozstać się z dowódcą brygady ciocia Ksenia nie chciała.

Po powrocie do jednostki młody pilot zaczął się zastanawiać, jak zdobyć ukochaną. Zresztą, być może, jego nazwisko brzmiało nie Sikorski, tylko — powiedzmy — Wasilienko, i nie był pilotem, tylko siedział w zaopatrzeniu.

Pietia pseudo-Sikorski znalazł sposób, by zdobyć serce Julii.

Napisał do odpowiednich organów list powiadamiający, że trzech braci Woronowych przygotowuje spisek za niemieckie pieniądze. I dalej w tym guście. Wszystko zgodnie z regułami tamtych czasów. Braci aresztowano i rozstrzelano, Świetlana została sierotą, a ciocia Ksenia pogrążoną w żalu wdową bez środków do życia. I wtedy przyjechał Pietia Sikorski i pocieszył nieszczęsną kobietę. Nie powiedział, do czego pchnęła go szalona miłość. Powie jej po wojnie.

Miodowy miesiąc małżeństwo Wasilienko spędziło w jednostce, a w roku czterdziestym zawojowało kraje nadbałtyckie.

Wtedy zobaczyłem ich po raz pierwszy.

Gdy Wasilienkowie byli „na koniu i przy zdobyczy”, zatrzymywali się u taty, który podówczas porzucił już mnie i mamę, a gdy znaleźli się „pod wozem”, mieszkali u nas. Ale to będzie w przyszłości.

Pierwsze moje wrażenie, jeśli chodzi o wujka Pietię: jasne, krótko obcięte włosy i lśniące, skrzypiące buty. Podbój krajów nadbałtyckich bardzo mnie cieszył — Wasilienkowie przywieźli stamtąd mnóstwo cukierków w kolorowych papierkach i ja też dostałem kilka sztuk.

Kończę dygresję o cioci Kseni i wujku Pieti, choć powrócę do nich jeszcze nieraz, w przyszłości, by potwierdzić teorię Maksyma Gorkiego (jeśli dobrze pamiętam): „Wszystko, co we mnie złe, zawdzięczam ludziom”.

Teraz przyszła pora na wspomnienia o moich rodzicach.

Ojciec białogwardyjski księgowy i matka szlachcianka wisieli niczym kula u nogi młodego Wsiewołoda Nikołajewicza Możejki. Z takim pochodzeniem nie zajdziesz wysoko. Nic więc dziwnego, że mój tata postanowił zostać proletariuszem. W tym celu w wieku piętnastu lat opuścił dom, zatrudnił się jako uczeń w fabryce i przeniósł się z uczelni do zawodówki.

W 1923 roku, mając lat siedemnaście, przybył do Petersburga (to nie błąd w druku — był taki okres za czasów władzy radzieckiej, gdy Piotrogradowi czasowo przywrócono przedwojenną nazwę). Tata miał już wtedy porządną proletariacką biografię. Wstąpił na uniwersytet na wydział prawa i jednocześnie został działaczem w związku zawodowym.

Broniąc praw robotników, bywał w fabryce amerykańskiego kapitalisty Hammera, gdzie

produkowano ołówki i guziki. Tam właśnie poznał młodziutką Maszę Bułyczową, również sierotę z rodziny robotniczej...

Przynajmniej tak myślałem do końca lat pięćdziesiątych.

To znaczy wiedziałem, że mój dziadek po kądzieli mieszkał i pracował w miasteczku Opoczko, zmarł przed rewolucją, a babcia biedowała i zmarła wkrótce po zakończeniu wojny domowej. Mama została sierotą, pracowała w fabryce, grała w tenisa i poszła się uczyć na kierowcę.

I jeśli wiedziałem, że biografia ojca jest fałszywa, albowiem z prawdziwą miałby zamkniętą drogę w naszym wspaniałym, demokratycznym państwie, to mamy o taki spryt nie podejrzewałem.

Okazało się, że los mamy był znacznie bardziej fantastyczny, niż mógłbym przypuszczać.

Gdy ukończyłem studia i rozpocząłem życie człowieka pracy, mama wyjęła ze szkatułki, stojącej zawsze w bieliźniarce, plik starych dokumentów. Było tam około tuzina listów z początku wieku i kilka pożółkłych fotografii.

Jak ona nie bała się trzymać ich w domu przez całe życie, nie mam pojęcia.

Teraz ja je przechowuję. Moja córka Alicja odnosi się do tajemnicy pochodzenia mojej mamy bez wewnętrznego drżenia. Czasy się zmieniły.

Okazało się, że moja babcia nazywała się Maria Iwanowna Becker i była córką kapitana pierwszego stopnia, Iwana Beckera, jak sędzę, zniszczonego Niemca w rosyjskiej służbie.

Maria Iwanowna wyszła za mąż za kupca pierwszej gildii, mieszkającego w Nowogrodzie. Miała z nim dwóch synów.

W jakiś niepojęty dla mnie sposób w pamięci mamy pozostał taki strzęp: w czasie wojny synowie ci uczyli się w nowoczerkaskiej szkole wojskowej.

Ale jak się nazywali, nie wiedziała.

Zapewne Europejczycy podobne stwierdzenie wyda się dziwne. U nas to niemal norma. Nie mam zdjęć mojego dziadka, mojej babci, nie znam imion swoich kuzynów i kuzynek, nie mam pojęcia, jak żył, gdzie uczył się i co robił mój ojczym, zanim poznał mamę. A życie mojego ojca postrzegam jako oddzielne kadry wycięte z długiego filmu. Miałem wielu krewnych w trzech ostatnich pokoleniach. I nic o nich nie wiem.

Sto lat, odkąd jestem sam — sto lat szczególnej, rosyjskiej samotności.

Znam niewielu Rosjan, którzy mogą zajrzeć w przeszłość swojego rodu głębiej niż do trzeciego pokolenia. Babcie pamiętamy, prowadziła nas do przedszkola, dziadek zginął na froncie albo w łagrze, a dalej — pustka...

Z jakiegoś powodu w domu kupca Tichonowa zapanował chaos. Skończyło się na tym, że w porywie patriotyzmu bądź determinacji babcia wyruszyła do Port Arthur jako siostra miłosierdzia. Była tam wystarczająco długo, by poznać i pokochać pewnego młodego człowieka. Znajomość z nim skończyła się ciężą — miała przyjść na świat moja mama. Wtedy babcia wróciła do Nowogrodu.

Kupiec nie wpuścił Marii Iwanowny do domu — możliwe, że byli już po rozwodzie. Babcia klepała biedę i gdy urodziła moją mamę, jak w nędznym powieścidle porzuciła maleństwo w porodówce i uciekła do Petersburga. To znaczy, nie do końca porzuciła. Czasy jeszcze nie były radzieckie, a babcia, kobieta nieszczęsna i marnotrawna, pochodziła przecież z dobrej rodziny — zostawiła dziecko na wychowanie sanitariuszce w szpitalu. Sanitariuszka za umiarkowaną opłatą opiekowała się takimi dziećmi, póki los nie zdecydował, co zrobić z maluchem.

Z podjęciem decyzji odnośnie małej Marusi los się nie spieszył. Mijał drugi rok życia w rodzinie sanitariuszki, a rodzice adopcyjni nie chcieli się znaleźć. Interesujący się losem małej Marusi nowogrodzcy inteligenci, a w szczególności stare małżeństwo nauczycieli muzyki, szukali godnego zastępstwa dla Marii Iwanowny, która mieszkała w Petersburgu i korespondowała z sanitariuszką. Maria była nieuprzejma, wyliczała wydatki na utrzymanie maleństwa, groziła

sanitariuszce i skarżyła się na brak pieniędzy. Mój dziadek, to znaczy ojciec mamy z Port Arthur, z rzadka pisywał do niej listy, w których opowiadał o swoich kłopotach finansowych, obiecywał przysłać jej i dziecku pieniądze na drogę, żeby rodzina mogła się wreszcie połączyć. W ostatnim z zachowanych listów o pieniądzach nie było już mowy.

W końcu do mojej mamy uśmiechnął się los. W Petersburgu znaleziono bezdzietną rodzinę wykładowcy fechtunku w Pierwszym Korpusie Kadetów, pułkownika Bułyczowa. Nauczycielka muzyki pisała im wzruszające listy i słała zdjęcia dziewczynki. W końcu Jelizawieta Gawryłowna Bułyczowa wsiadła do pociągu i przyjechała do Nowogrodu, gdzie na dworcu powitała ją nauczycielka z moją dwuletnią mamą, żeby madame Bułyczowa mogła przekonać się na własne oczy, że dziecko jest ładne, dobrze wychowane i ciche.

Madame Bułyczowa nic nie powiedziała i wróciła do Petersburga.

Ale dwa tygodnie później muzycy otrzymali od niej list, w którym oznajmiła, że dziecko się jej spodobało.

W ten sposób moja mama dostała nazwisko Bułyczowa. Żyła szczęśliwie sześć lat. Swoją mamę widziała tylko — raz, gdy Maria Iwanowna przysłała podpisać jakieś dokumenty związane z adopcją. Mama nie pamięta, o czym była mowa, ale jest pewna, że moja babcia była piękną damą. Dalsze jej ślady giną i nie ma żadnych szans na odnalezienie ich — nie wiem nawet, pod jakim nazwiskiem występowała.

Przekazując mi dokumenty, mama kazała mi dać słowo, że nigdy i nikomu nie powiem o jej prawdziwym pochodzeniu.

Prawdę zna tylko Kira, Alicja oraz moja kuzynka Świetlana.

Kilka lat temu Alicja była w mieście, z którego pochodził dziadek. Poszła do domu wskazanego w liście. Ale mieszkali tam już zupełnie inni ludzie. Wtedy wyruszyła do cerkwi, w nadziei że znajdzie księgi parafialne. I rzeczywiście znalazła zapisek o urodzinach dziadka i notatkę o tym, że jego rodzina opuściła miasto w 1911 roku, nie zostawiając nowego adresu.

Ja też tam byłem, dwa lata temu. Nie wiem po co. Jakaś sentymentalna ciekawość. Dom stoi, ma tylko inny numer. Pospacerowałem po tej peryferyjnej dzielnicy, cerkiew była zamknięta, w sąsiednim domu zagadnąłem staruszka — a nuż coś pamięta? Ale staruszek był pijany i podejrzewał mnie o chuligańskie wybryki.

W 1910 roku, gdy mama miała pięć lat, Bułyczow został dowódcą i wyjechał do Opoczki. Trzy lata później przeniesiono go na identyczne stanowisko do Mohylewa.

I na trzy dni przed wyjazdem zmarł na atak ślepej kiszki.

Może to zresztą dobrze, że nie zdążył przyjąć nowego stanowiska. Rozstrzelano by go — i przy okazji mamę — w siedemnastym razem z Duchowinem. Mohylew był złym miejscem, carską kwaterą.

Wdowa Bułyczowa wraz z moją mamą wróciła do Petersburga. Dwa lata później udało się jej umieścić Marusię na koszt państwa w Instytucie Ksenińskim dla panien z dobrego domu, jako córkę sztab-oficera. Wynika z tego, że Bułyczowowie żyli niebogato.

Mama spędziła w instytucie dwa lata. Zaczęły się rewolucje. Po drugiej rewolucji, w ramach zwalczania szlacheckich przywilejów, instytut połączono z korpusem kadetów. Całą jesień i zimę przełomu 1917/18 kadeci i panienki z instytutu spędzili razem. Mama wspominała (oczywiście, dopiero po 1957 roku), że młodsze dziewczynki nosiły drwa i wodę, gotowały kaszę, a nawet prały, ponieważ niemal cała obsługa zajmowała się sprawami rewolucji i nie mogła się od nich odrywać w imię niedobitych resztek przeszłości.

Maluchy nosiły wodę i strasznie zazdrościły starszym rocznikom — w zimnych dortuarach płonęły namiętności, powstawały i umierały romanse, kwitły zdrady i tragedie. Wyobraźcie sobie szesnastoletnie dzieciaki, wychowane w klasztornych zasadach zakładów zamkniętych, gdzie

istoty płci przeciwnej nie były wpuszczane. I te dzieciaki nagle na kilka miesięcy znalazły się w sąsiednich pokojach i klasach, w pustych korytarzach — bez żadnej kontroli i niemal bez dorosłych wokół. To było królestwo wolnej miłości dziesiątków Romeo i Julii, głodnych i marznących po nocach.

Wiosną osiemnastego roku idyllę przerwano — przestronny budynek instytutu stał się nagle potrzebny jakiemuś rewolucyjnemu urzędowi.

Nie od razu wymyślono, co zrobić z dziewczętami i kadetami. Rozstrzeliwania dzieci jeszcze się wtedy nie nauczone, ale dalsze karmienie pomiotów caratu byłoby niezręczne. Rodzicom zaproponowano zabranie dzieci do domów. Tych była mniejszość — w korpusie i instytucie uczyło się sporo sierot, a rodziców niektórych dzieci niedawno aresztowano lub rozstrzelano.

Kilkaset dzieci postanowiono wysłać do Rostowa. W tym celu wydzielono specjalny skład i suchy prowiant na kilka dni. W towarzystwie plutonu żołnierzy i kilku wiernych swoim obowiązkom wykładowców „dziecięcy pociąg” wyruszył na południe.

I znikł po drodze.

Moja mama, którą macocha zabrała do domu, przychodziła potem do instytutu i dowiedziała się, że żadnych wieści o dzieciach nie ma. Jedni mówili, że zabili je bandyci, inni, że bolszewicy wyrzucili je z pociągu.

Nikt nic nie wiedział na pewno.

Wyobraźcie sobie pociąg. Zakochani chłopcy i dziewczęta, głodne maluchy, wiosenne pola za oknami... nagle ktoś wchodzi do pociągu...

Tak straszną historię trudno nawet wymyślić.

Marusia i macocha we dwie biedowały. W dwudziestym pierwszym macocha umarła, a moja mama poszła do szkoły wieczorowej. Zaczęła pracować w fabryce. Zarabiała na staż i „klasową tożsamość”. A w wolnym czasie wraz z przyjaciółmi, w przyszłości naszymi słynnymi tenisistami, grała na kortach jako partnerka sparringowa. Jak twierdziła, wystarczało jej nie tylko na chleb, ale nawet na ciastka. Nastął NEP*.

W 1922 roku spotkali się ślusarz z Taganrogu i robotnica obsługująca tokarkę w fabryce Hammera. A w 1925 roku Wsiewołod i Marusia wzięli ślub.

Mama porzuciła fabrykę, wstąpiła do Instytutu Drogowego i pracowała jednocześnie jako kierowca. Tata kończył uniwersytet i zaczął pracować jako adwokat.

Mama skończyła swój instytut, a tata, jako młody partyjniak z przeszłością sierocą bez zarzutu, został przewodniczącym Leningradzkiego Kolegium Adwokatów. Miał wtedy dwadzieścia dwa lata.

Liczni adwokaci nepowskiego Leningradu należeli do carskiej przeszłości — byli to ludzie niemłodzi, ale z ambicjami. I wątpliwy proletariusz w osobie mojego ojca im się nie podobał.

Prawdziwa powieść.

Nie fantastyczna, ale społeczna, może nawet historyczna. Innymi słowy — urodziłem się w rodzinie kłamców.

Zdemaskowanie było tuż-tuż.

Ale na razie moja mama po otrzymaniu dyplomu inżyniera mechanika postanowiła zrobić karierę i odpowiedziała na wezwanie partii — by zasilić młodymi, wykształconymi proletariuszami i proletariuszkami wyższe kadry Armii Czerwonej. Wstąpiła do Wojskowej Akademii Obrony Chemicznej imienia towarzysza Woroszyłowa i ukończyła ją wiosną 1933 roku, otrzymując tytuł inżyniera wojskowego trzeciego stopnia.

* Nowa polityka ekonomiczna, polityka gospodarcza prowadzona w 1921–29; była próbą powrotu do gospodarki rynkowej z zachowaniem monopolu własności państwowej w podstawowych dziedzinach przemysłu.

W akademii mamy nie zdemaskowano i mianowano ją komendantem twierdzy w Szlisselburgu. Przyznacie sami — mama komendant Twierdzy Szlisselburskiej jest ważnym atutem przyszłego fantasty.

Niemniej muszę z zalem wyznać, że ani Wiery Figner*, ani Morozowa, ani ofiar bolszewickiego terroru w Szlisselburgu wówczas nie było — twierdza była składem pocisków, a moja mama chemikiem wojskowym.

Wszystkie dokumenty i większość fotografii z tamtego okresu mama zniszczyła. Żaden z jej wykładowców, dowódców czy po prostu starszych towarzyszy nie przeżył. Przechowywanie w domu ich podpisów czy zdjęć było niebezpieczne.

A gdzie był ojciec?

Ojciec w tym czasie opuścił już Leningrad. Dlaczego? Pod koniec lat dwudziestych adwokackie wilki, będące w stałym konflikcie z partyjnym przewodniczącym, zaczęły kopać pod nim dołki i szukać kompromitujących materiałów. Jako że mieli odpowiednie powiązania i umiejętności, udało im się wreszcie wykopać dziadka — tak zwanego Mikołaja n.

A po wykopaniu ukuli wspaniałą partyjną sprawę. Mojego tatę zwolniono z pracy z surową naganą „za ukrywanie białą — gwardyjskiej przeszłości ojca”.

Nieźle wymyślone, prawda? Przecież nie zniszczysz nielubianego przewodniczącego, oznajmiając, że jego tata jest imperatorem Wszechrosji. A tak — wszystko w porządku. Albowiem każdy rosyjski imperator był białogwardzistą.

Tata uznał za stosowne zbiec na prowincję.

W Saratowie, w prokuraturze, pracował kolega ojca z uniwersytetu. Przyhołubił upadłego anioła partyjnego, zrobił z niego kancelistę.

I co się dzieje?

Ojciec znowu zaczyna robić karierę.

Wokół leciały głowy. Nastąpiła kolektywizacja, industrializacja i czystki. A tata to absolwent uniwersytetu i swój chłop.

Ktoś w końcu musiał pracować, prawda?

W 1932 roku tata został prokuratorem miasta Saratowa, a w 1933 głównym prokuratorem Kraju Środkowo-Wołżańskiego. Miał wtedy zaledwie dwadzieścia siedem lat. Ale był partyjniakiem i proletariuszem.

W tym samym roku zaczęła się kolejna likwidacja partyjniaków i proletariuszy na głodującym Powołżu.

Jakiś ptaszek szepnął tacie, że rano go wezmą. Tata nie wrócił do domu, wsiadł do pociągu i znalazł się w Moskwie. Nie wiem, gdzie mieszkał, ale wiem, że przyjeżdżała do niego pani komendant Twierdzy Szlisselburskiej, Maria Bułyczowa. Zostałem poczęty zimą, a jesienią w 1934 roku przyszedłem na świat. Do tego czasu mama przeszła do rezerwy, ponieważ drzwi w Szlisselburgu były za wąskie na jej duży brzuch. Tata został konsultantem prawniczym w jakiejś spółdzielni pracy i zaczął kolejną partyjną karierę. Nie miał nawet trzydziestu lat.

Przypadki i reguły, które chciały zniszczyć moich rodziców, spiętrzały się z takim uporem, że szczelina prawdopodobieństwa, przez którą zdołałem precyzyjnie się na ten świat w październiku 1934 roku, praktycznie nie istniała. Zresztą mama i tata niezbyt się tym kłopotali.

Mieliśmy pokój na Czystych Prudach, w Zaułku Bankowskim. Tu właśnie przywieziono mnie ze szpitala imienia Grauertmana.

* Figner Wiera N. (1852–1942), rewolucjonistka, współorganizatorka zamachów na Aleksandra II (1879,1880,1881); aresztowana 1883; po 20-letnim pobycie w Twierdzy Szlisselburskiej i zesłaniu wyjechała do Szwajcarii.

W tym czasie wszyscy szanowani mieszkańcy Moskwy rodzili się w szpitalu imienia Grauertmana na placu Arbackim.

Jeszcze niedawno przez wąskie okna drugiego piętra świeżo upieczone mamy krzyczały do swoich mężów stojących na szerokim chodniku. Teraz w tym szpitalu siedzi jakaś struktura finansowa i nikt się tam nie rodzi.

Potem kupiono mi czerwoną kołderkę. Bardzo się przydała.

Na początku grudnia 1934 miał miejsce mój debiut w życiu światowym. Zawinięto mnie w ową kołderkę i zaniesiono na Miasnicką.

Przez Miasnicką szła procesja pogrzebowa. Żegnano niewinnie zabitego wodza Siergieja Mironowicza Kirowa. Mama podniosła mnie wyżej, żebym mógł dojrzeć wąsatego wujaszka Stalina, który, pogrążony w smutku, szedł za trumną.

W 1939 roku tata został głównym sędzią Ludowego Komisariatu Przemysłu Ciężkiego, potem zastępcą Głównego Sędziego Związku Radzieckiego, a kilka miesięcy później wystosował groźny list do Malenkowa* (zachowałem go na pamiątkę ojcowskiej pomysłowości). Ojciec oznajmiał w nim, że ZSRR już od pół roku pozostaje bez Głównego Sędziego, i prosił, by jak najszybciej wyznaczyć kogoś na to miejsce, albowiem nie sposób dłużej pracować bez kierownictwa. Nalegał przy tym stanowczo, by jego kandydatury absolutnie nie brać pod uwagę, jako że jest absolutnie niegodzien tak wysokiego stanowiska.

Miesiąc później Malenkow podpisał ustawę o mianowaniu taty Głównym Sędzią ZSRR. Tata na długo zapanował w domu naprzeciwko GUM-u, co ma spore znaczenie dla dalszej opowieści.

Tymczasem w naszej rodzinie też zaszły zmiany. Tata został moskiewskim lwem salonowym, pokochał wyścigi, aktorki i tenis, a mama pracowała w cywilu, jako chemik w Instytucie Medycyny Eksperymentalnej. Tata zainteresował się początkującą aktorką Galiną Turzańską, która porzuciła kino, i się z nią ożenił. Mama została ze mną sama, ale nie rozpacziała. Rok później poznała cudownego człowieka — Jakowa Isaakowicza Bokinika z Odessy (dokładna kopia Ilji Ilfa*), doktora nauk, utalentowanego uczonego. Jaków ożenił się z mamą i zaprzyjaźnił ze mną, urodziła się moja siostra Natasza. Potem zaczęła się wojna i wujek Jasza pierwszego dnia poszedł na ochotnika jako szeregowiec. Przeżył całą wojnę i zginął ósmego maja 1945 roku, gdy czekaliśmy już na niego w domu. Do tego czasu został dowódcą chemicznej służby armii. Ponieważ na swoje nieszczęście znał wszystkie europejskie języki i jeździł przesłuchiwać jeńców z rzadkimi językami, ósmego maja w kurlandzkim kotle pojechał przesłuchiwać hiszpańskiego generała...

Leżałem wtedy na kanapie i czytałem „Czapajewa”.

Nie skończyłem tej książki i nie skończę nigdy. Pamiętam, jak do drzwi zadzwonił listonosz. Zdziwiłem się, godzina była nietypowa, przestałem czytać, leżałem i przysłuchiwałem się rozmowie na korytarzu. W pewnym momencie mama zaczęła krzyczeć.

Krzyczała tak, że od razu wszystko zrozumiałem, rzuciłem książkę i wybiegłem na korytarz. Wyrwałem mamie zawiadomienie o śmierci i zacząłem drzeć na kawałeczki, jakby mogło to coś zmienić.

* Malenkow Gieorgij M. (1902–88), działacz komunistyczny i państwowy: od 1926 w sekretariacie Stalina; 1946–53 i 1955–57 wicepremier; 1953–55 premier; potem min. elektrowni wodnych; 1957 usunięty z władz partii i z rządu pod zarzutem działalności frakcyjnej.

* Ilf Ilja, właśc. I. A. Fajnzilberg (1897–1937), pisarz rosyjski; autor wielu powieści satyrycznych pisanych wspólnie z J.P. Pietrowem.

ROZDZIAŁ 2

LATA DZIECIĘCE

Gdy zaczęła się wojna, miałem siedem lat i co nieco zapamiętałem. Ale fragmentarycznie i nie to, co najważniejsze.

Pamięć zawsze płatała mi figle. Wchłania, co chce i tyle, ile chce. W związku z tym to, co miało miejsce przed siódmym rokiem mojego życia, zostało utracone. Chylę czoło przed ludźmi, którzy pamiętają, jak ich chrzczono, jak wkładano do wody albo jak mama karmiła ich piersią. Znam takich ludzi osobiście i wiem, że nie kłamią.

Bardzo chciałbym opowiedzieć o swoich pierwszych kroczkach albo przyjaźniach z przedszkola.

Zresztą do przedszkola mnie nie wysyłano — to była epoka naszej rodzinnej szczęśliwości i dziećmi opiekowała się niania; najpierw Katia, która mawiała: „Nie jestem Mordwinką, jestem Maryjką!”, a potem Marusia. Do Moskwy przeniosły się z miejsc, w których ludzie głodowali, i dlatego nie umiały gotować nic poza kartoflami. I kaszą. Mama również była fatalną kucharką. Najwyższym przejawem sztuki kulinarnej były dla nas konserwy. Przez wiele lat zupełnie poważnie mówiłem: „To jest dobre jak konserwa”.

Moje pierwsze wspomnienie — siedzę pod stołem i się boję: przestraszył mnie duży i zagniewany chłopak. I z tego samego czasu i miejsca — idę po łące, trawa jest świeża, dużo w niej owadów, ale jeśli się ich nie zaczepia i nie staje na nie, to nie gryzą.

Lato w Tarusie, mam cztery lata.

Z lata czterdziestego pierwszego roku zapamiętałem dziwne szczegóły.

Sklep dietetyczny na Arbacie. Poszliśmy z mamą na zakupy, a na półkach stały niekończące się rzędy puszek kompotu brzoskwińskiego. Nic więcej.

Dźwięk alarmu i sama syrena, która stała w drugiej bramie. Jak nie wyła, można było jej dotknąć.

Starsze dzieciaki włączyły na dach, żeby gasić bomby zapalające, lecz nas, maluchów, ze sobą nie brały. Ja i Pietia Iszutin weszliśmy kiedyś po schodach na strych i nawet wysuwaliśmy się na dach. Ale był środek dnia i nie mieliśmy szczęścia — ani jednego faszysty, ani jednej bomby. Tylko wrony.

Kusi mnie, żeby powiedzieć: „Jak byłem mały, gasiłem bomby, cóż począć, my, dzieci wojny, wcześniej dorastaliśmy!”.

W połowie października tata umieścił nas w wagonie towarowym z piecykiem, ciepłuszcze, i pojechaliśmy na wschód.

Tata pozostał w Moskwie.

Dalsze wydarzenia opisywał mi tak:

Przyszedł do Kosygina, który zawiadywał ewakuacją przedsiębiorstw, i zakomunikował mu, że Gosarbitrażowi wydzielono tylko trzy wagony i nie wszyscy pracownicy się zmieszczą. Dlatego prosi, by mężczyznom pozwolono zostać w stolicy i walczyć z bronią w rękę.

Reakcja Kosygina:

— Chcesz przejść do Niemców, co?

Ojca wzięli. Do wieczora siedział w areszcie i czekał, aż go rozstrzelają za próbę przejścia na stronę faszystów.

W nocy tatę puścili. Wyjechał do Saratowa czy innego Kujbyszewa. Trzy miesiące później wrócił do stolicy.

Nieufność komunistów wobec komunistów w połowie października była zjawiskiem powszechnym.

Mama znalazła się w śmiertelnym niebezpieczeństwie znacznie później.

Tymczasem przybyliśmy do Czerwonego Boru.

W tamtych dniach eszelony i parowce z ewakuowanymi ciągnęły na wschód jak strumyczki.

Dołek napełniał się wodą i strumyczek sączył się dalej.

Składy szły tak wolno, że ewakuowani omal nie marli z głodu.

Jak strasznie nie znosiliśmy słowa „uciekinieryzy”! Mnie, małe dziecko, gnali na wschód, przezywając cywilizowanym słowem „ewakuowany”. Setki tysięcy Czeceńców wygania się z domów i przezywa „tymczasowo przeniesionymi”.

Pora wymyślić nazwę, całkowicie zdejmującą z „rodzonych” władz odpowiedzialność za los ludzi, którzy stracili dach nad głową z łaski przestępców czy niedołęgów mieniących się przywódcami kraju.

Jak wam się podoba tytuł krótkiego opowiadania fantastycznego: „Szczęśliwa rodzina, tymczasowo odpoczywająca od obowiązków domowych”? Skąd was ewakuowano? Nas z Nazaretu. A was? Z Kairu. A was? Nas z Mińska.

Staram się nigdy nie umieszczać w swoich książkach własnych wspomnień czy przeżyć. To niezręczne.

Ale jedno wspomnienie powraca jak koszmar od wielu lat. Odtworzyłem je w powieści „Obca pamięć”.

Pociąg włókł się ku Wołdze przez wiele dni i przyzwyczailiśmy się już do wielogodzinnych postojów w stepie.

Owego dnia mama wzięła mnie i Nataszkę, by, podobnie jak inne nieszczęsne mamy z pociągu, pospacerować z nami po stepie. Tam jeszcze zachowała się zielona trawa, nawet jakieś kwiaty. Mama z dwuletnią Nataszką zbierała kwiatki, ja gonilem pasikonika. W pewnym momencie obejrzałem się i zobaczyłem, że nasz pociąg szarpnął wagony i powoli ruszył. Dopiero potem wydał ostrzegawczy gwizd.

Nie wiem, nie pamiętam, co skłoniło maszynistę do takiego postępku. Ludzie, którzy spacerowali wzdłuż torów, złapali dzieci i rzucili się do pociągu.

Mama schwyciła Nataszę — przecież ona by nie dobiegła! — a mnie krzyknęła, żebym nie zostawał w tyle.

Biegłem i trząsałem się ze strachu, że pociąg odjedzie i zostaniemy w stepie.

I nienawidziłem Nataszki za to, że ją mama zdąży donieść do pociągu, a o mnie zapomni.

Dogoniłem mamę i zacząłem szarpać za spódnicę. Nie wiem po co. Ale pamiętam dotyk materiału.

Zdążyliśmy. Być może, pociąg się zatrzymał, nie pamiętam.

I pojechaliśmy dalej.

Składy zatrzymywały się w Uljanowsku, Kujbyszewie, Sara — towie, niektóre szły do Kazania. Tam ludzie przesiadali się na parowce i barki. I płynęli w górę Karny.

Minęliśmy Czystopol, Ełabugę i jako ostatni wysiedliśmy we wsi Czerwony Bór.

Tam był elewator zbożowy i mama, która przypomniała sobie szoferską przeszłość, została mechanikiem. Przyjęto ją z radością — było już po mobilizacji i brakowało ludzi z wykształceniem technicznym.

Mieszkaliśmy w Czerwonym Borze do zimy.

Oto co stamtąd zapamiętałem: gigantyczny elewator pełen ziarna i dobroduszny brązowy koń — ja go tak nazywałem, bo nie miałem wtedy pojęcia o końskich maściach. Konia zapamiętałem z powodu imienia, nazywał się Igor. Czyli był to jakby mój rodzony koń.

Zastępca mamy, kulawy mężczyzna, którego też zwali Igor, wsadzał mnie, małego Igora, na konia Igora. Koń miał szeroki grzbiet i wcale się nie bałem.

W Czystopolu z potoku ewakuacji wypadł Związek Pisarzy, a w każdym razie jakaś jego część. Zamieszkały tam przyjaciółki mamy, żony pisarzy. I zaczęły namawiać mamę, żeby przeniosła się do Czystopola. W końcu to prawdziwe miasto, wokół sami swoi, a ty tam, Musia, z dwójgiem dzieci... Nawet wykarmić ich nie ma jak.

Rzeka już się podniosła, gdy przyjechaliśmy do wielkiego miasta Czystopola.

Kiedy człowiek ma siedem lat, szybko przyzwyczajają się do nowej skali. Czystopol wydawał mi się ogromny. Chodziłem popatrzeć na duży, czteropiętrowy dom, w którym kiedyś było gimnazjum.

W Czystopolu nam, w odróżnieniu do wielu pisarzy, początkowo żyło się dobrze — mama została naczelnikiem szkoły powietrznodesantowej. Znowu włożyła mundur, a w naszej sieni stał cekaem. Co to była za rozkosz, leżeć obok niego, celować do wron na podwórzu, w myślach kosząc przekłębionych faszystów tysiącami!

Wtedy dowiedzieliśmy się, że śmierć minęła mamę o włos.

Miesiąc po naszym wyjeździe z Czerwonego Boru gigantyczny elewator spłonął. Nie wiadomo dlaczego. Ale zgodnie z prawami tamtych czasów, wszystkich pracowników elewatora, nawet kulawego Igora — wszystkich rozstrzelano.

Mamę też by rozstrzelali, gdyby Liza Kron nie ściągnęła jej do Czystopola.

Wtedy zachorowałem.

Bardzo ciężko.

Lekarze wymieniali nazwy mojej choroby, zapamiętywałem je. Dzieci też chcą żyć i boją się strasznych słów. A dla mnie strasznymi słowami były: reumatyczna choroba serca, zapalenie wsierdza, zapalenie mięśnia sercowego.

Pół roku przeleżałem w łóżku. Nie wolno mi było wstawać.

Mama szła rano do pracy, a przy łóżku zostawała Nataszka, która wtedy nie miała jeszcze trzech lat. I to poważne czarnowłose stworzenie biło mnie piąstką, jak próbowałem wstać.

Cekaem stał bez właściciela.

Wiosną mamę wyrzucili z armii.

Absolwenci jej szkoły zaraz po ukończeniu kursów — może któryś z pisarzy to pamięta, wśród kursantów były dzieci pisarzy — poszli do komisariatu wojskowego załatwiać dokumenty. Było tam wielkie podwórze, w rogu leżała bomba. Po co ją tam przywieziono — nie wiem, może została z czasów wojny domowej, wtedy pod Czystopolem toczyły się walki.

Młodzi desantowcy zaczęli rozbrajać bombę. Przeżył tylko jeden chłopak — który akurat poszedł do toalety.

Na szczęście mamę uniewinniono. Mniej więcej w tym samym czasie tata napisał, żebyśmy wracali do Moskwy.

Mnie trzeba było leczyć, a życie w Czystopolu stało się biedne i trudne.

Mój Boże, czasem sobie myślę, że mama miała wtedy zaledwie trzydzieści pięć lat. Dwoje dzieci, które samotnie wychowywała, jedno ciężko chore, drugie całkiem malutkie. I praca od rana do wieczora.

Latem 1942 roku wróciliśmy do Moskwy. Chyba jako pierwsi z ewakuowanych. W tym czasie trudno było wrócić.

Do jesieni wyzdrowiałem na tyle, że mogłem pójść do szkoły.

Wtedy nauczyłem się czytać. Dość późno. Wszystko robię z opóźnieniem.

Pierwsze książki, jakie przeczytałem, miały w sobie element fantastyczny. To znaczy, dzisiaj tak sobie o tym myślę. Wtedy nawet tego nie podejrzewałem. „Doktor Ojboli” — thriller

fantastyczny. „Domino” Setona Thompsona — fantasy z życia zwierząt. A potem mama przyniosła mi „Przygody Karika i Wali”.

Na pewno w tak zwanym międzyczasie wciskano mi pożyteczne książki, ale nic mi o nich nie wiadomo.

Wróciliśmy do naszego mieszkania na Siwcewom Wrażkie. Tata dostał je w trzydziestym dziewiątym — mieszkanie było trzypokojowe, na wysokim parterze. Gdy tata rozwiódł się z mamą, zostawił nam mieszkanie, pod warunkiem że w jednym z pokoi zamieszka jego pracownik, wujek Sasza Sokołow. W ten sposób nasze mieszkanie stało się „półkomunałką” — „pół”, bo wujek Sasza był naszym przyjacielem.

We wrześniu 1942 roku, w wieku ośmiu lat, poszedłem do pierwszej klasy szkoły numer 59 w Zaułku Starokoniuszennym. Wszyscy w klasie byliśmy przerośnięci — zimę czterdziestego pierwszego przepuściliśmy. W tej wspaniałej szkole, dawnym gimnazjum Miedwiednikowskim, nadal uczyli prawdziwi starzy nauczyciele. Była tam sala gimnastyczna, zajmująca całe ostatnie piętro, aula z sufitem w niebiosach i równie ogromna biblioteka, w której zachowała się encyklopedia Brockhousa i Efrona*. W pracowni historycznej stała makieta pałacu Aleksego Michajłowicza w Kołomienskoje — dwa na dwa; pracownia fizyczna wyglądała jak amfiteatr...

Niedawno byłem w szkole na 95. rocznicy jej istnienia.

Nikt nie potrafił mi powiedzieć, komu przeszkadzała makieta pałacu i dlaczego ją wyrzucono, z jakiego powodu pochłapano ściany jakimiś pseudofreskami komunistycznej przyszłości i komu zawadzał przyszkolny ogródek, który wykarczowano, zalano asfaltem, żeby nie wychynęła najmniejsza trawka, i przerobiono na parking. A my uczyliśmy się w tym ogrodzie zoologii i botaniki...

Słabo pamiętam zimy, w pamięci utkwiły mi przede wszystkim wakacje. Właśnie wtedy coś się działo, wydarzały się przygody. Może dlatego że uczeń był ze mnie przeciętny i leniwy, i moje życie zaczynało się po powrocie ze szkoły.

Wojna przejawiała się dla mnie skąpymi racjami żywieniowymi, co w sumie niezbyt mnie martwiło. Na przykład, w szkole dostawaliśmy niesamowicie pyszne rogaliki z powidłami. Gorące. Rogaliki były przedmiotem handlu i mnie, jako kolekcjonerowi, było bardzo trudno zdecydować, co wolę. I na rogalika miałem ochotę, i na wymianę go na znaczek również.

W tym czasie w Moskwie nie było światła ani ogrzewania i wszyscy mieli w domach kaganki i burżujki. W obu tych słowach jest pewna poufałość. Zresztą nie myśmy je wymyślili — znikły po wojnie domowej i powróciły w bycie narodu radzieckiego.

Burżujki grzały tylko wtedy, gdy stało się blisko nich, a kaganek dawał zaledwie złudzenie światła. Lampę naftową mama zapalała rzadko. Tylko gdy musiała dokończyć wziętą do domu pracę i albo umyć Nataszce włosy.

Nienawidziłem tego zabiegu.

Moja młodsza siostrzyczka miała cudowne włosy. Gęstej ciężkie, falujące. Ambicją mamy było hodowanie ich do niewyobrażalnej długości. W najlepszych czasach sięgały Nataszce do kolan.

A co oznaczało to w naszym życiu codziennym? Nic szczególnego — wszy!

Cały nasz świat był zawszony, ale mnie od czasu do czasu golono włosy do gołej skóry — taki był wymóg szkoły, chodziliśmy tam jak mali aresztanci. Za to z Nataszką sprawa była trudniejsza.

Na dzień przed zabiegiem mycia włosy starannie smarowano naftą.

Następnie mama gotowała wodę.

Gdy woda zawrzała, Nataszkę sadzano na krześle. Najpierw mama iskała wszy i zgniatała je — pstryk, pstryk, pstryk... Potem włosy Nataszki długo i starannie myto gorącą wodą z szarym

* 82-tomowy „Encyklopediczeskij słowar” LA. Efrona i F.A. Brockhousa, który ukazał się w Rosji w 1890–1907.

mydłem.

Nataszka miała najdłuższe i najgrubsze włosy nie tylko w swojej klasie, ale i w całej szkole numer 70 na Małym Własiewskim. Nikt nie wiedział, jak ciężką pracą okupione było to piękno.

Lampę naftową zapalało się również wtedy, gdy przychodził wujek Wala.

Wujek Wala to akademik Kargin, przyjaciel wujka Jaszy. Wujek Jasza był romantycznym Żydem i sądził, że nie ma prawa siedzieć na tyłach, gdy trzeba ratować świat przed Hitlerem. I poszedł na ochotnika, ze swoimi czterema procentami wzroku. Wujek Wala Kargin nadal zajmował się nauką, został akademikiem i laureatem. Przeżył długie życie wielkiego uczonego. Nie chcę go osądzać. Z punktu widzenia zdrowego rozsądku, a nawet pożytku dla ludzkości, postąpił słusznie. Zasada zatykania otworów strzelniczych własnym ciałem nie jest bynajmniej szlachetniejsza od wynalezienia kamizelki kuloodpornej. Ale gdy wujek Jasza zginął, obraziłem się na wujka Walę. Tak jakbym miał się lepiej poczuć, gdyby on też zginął.

Zimą czterdziestego drugiego roku, najtrudniejszą, najgłodniejszą, ciemną zimą, przychodził do nas wieczorami w gości. Jego córka i żona jeszcze nie wróciły z ewakuacji, było mu smutno i z Instytutu Karpowskiego na ulicy Obycha jechał prosto do nas, na Słwcew Wrażek, przynosił jakieś jedzenie i mama nam wszystkim gotowała.

Ale nie to było najważniejsze.

Najważniejsze było to, że wujek Wala miał okruszki dla myszki. On wytresował mysz i mysz poznawała wujka Walę — po krokach albo po zapachu.

Do dziś mam przed oczami ten fantastyczny obraz — wyraźny i szczegółowy.

W pokoju półmrok, lampa naftowa oświetla tylko część stołu i rzuca krąg na podłogę. Wujek Wala siedzi na krześle i czeka. Ja siedzę na drugim krześle i też czekam.

W krąg światła wbiega mysz. Zamiera, patrząc na gościa.

Wujek Wala upuszcza na podłogę okruszki. Mysz zbiera je łapkami.

Boję się ją wystraszyć.

Przychodziła tylko do wujka Wali.

A gdy znowu była elektryczność, w ogóle przestała się pojawiać.

Kolejny krok ku fantastyce zrobiłem wkrótce po skończeniu wojny. Mieszkaliśmy wtedy na dacy w Sokołowce, przy drodze Jarosławskiej. Dacza była wielka, stara, szara i skrzypiąca.

Półowa domu należała do trzeciego męża mamy, Lwa Michajłowicza Antonowa, byłego dowódcy sił pancernych Syberii, następnie przedstawiciela handlowego we Włoszech, potem rezydenta, a w końcu naczelnika wydziału w fabryce opon. Gdy Lew Michajłowicz pojawił się w naszym domu, w wianie wniósł daczę w Sokołowce. Działka była ogromna i pusta. Naprzeciwko daczy zaczynał się las, droga do magazynu produktów rolnych, gdzie był staw, ciemny, leśny i niegłęboki, ale kapać się chodziliśmy dalej — do Sirkowa, na wyrobiska. Zawsze tam płonęły i dymiły czarne macki spalonej trawy. Za wyrobiskami droga prowadziła przez niekończące się pola na Woroniec i Szczelkowo, gdzie była księgarnia, która budziła we mnie fizjologiczny dreszcz. Na szczęście książki były tanie i mama dawała mi na nie pieniądze. Kupiłem powieść Jorge Amado i rozkoszowałem się nią jak przedmiotem

— okładką i stronami... To był chłopięcy sensualizm...

Na dacy przeżyłem wiele wesołych przygód.

Mama znalazła nam nianię, Pawłę Afanasiewnę, wdowę po jakimś represjonowanym magnacie kina. To była niewiarygodnie leniwa i brudna kobieta. Jak udało się mnie i Nataszce nie umrzeć z — głodu — jeden diabeł wie. Mama dziwiła się, dlaczego chudniemy, na co Pawła Afanasjewna, kobieta szczupła i drobna, zapewniała, że to wpływ świeżego powietrza.

W rzeczywistości wszystko, co się dało, pożerała jej córka Tamarka i wnuczek. Córka podobno

właśnie wróciła z łagru i wypoczywała na naszej daczce.

Oni nie tylko wszystko zjadali, ale i niszczyli plody maminych pionierskich plantacji.

Pierwszego lata mama posadziła truskawki, a rok później te sześć długich grządek, na których musieliśmy pracować, dały wspaniały urodzaj.

Od wczesnego ranka Tamarka z Pawła Afanasjewną wchodziły na grządki i nasze truskawki wędrowały do łubianek, a potem na rynek. Pawła Afanasjewną twierdziła, że donoszenie rodzicom na biednych przyjaciół jest hańbą. Wierzyliśmy jej.

Tamarka była wysoka, chuda i strasznie cuchnęła, a jej sześciolatnie dziecko przez cały czas marudziło i płakało, więc każdy, kto obok niego przechodził, zatykał mu buzię jedzeniem. Żuło bez chwili przerwy. Albo płakało. Albo piszczało.

Mama nie mogła zrozumieć, dlaczego truskawki nie obrodziły, a myśmy jej współczuli. Pawła Afanasjewną skarżyła się, jakie to z nas głodomory.

Właśnie tego lata zobaczyłem prawdziwego pisarza i mogłem docenić proces pracy twórczej.

Pisarz żył w sąsiedniej daczce, a ja przyjaźniłem się z jego synem. Pisarz nazywał się Mikołaj Panów. Napisał książkę „Bosman z Mgławicy” o Flocie Północnej, gdzie był w czasie wojny. Syn pisarza w strasznej tajemnicy przynosił owoce tatowej wątpliwej młodości. Okazało się, że pisarz Panów w latach dwudziestych był lewicowym poetą Direm Tumannym i nawet należał do jakichś organizacji. Ale dla mnie najważniejsze były cienkie zeszyty — powieść przygodowa w odcinkach. Potem zobaczyłem takie same zeszyty „Mess-mendu” Szaginiana.

To było cudowne!

Odcinki nazywały się „Dzieci złotego smoka” i była w nich mowa o niewiarygodnych przygodach bohaterów na tle walk chińskich triad. Nie pamiętam treści utworów Dira Tumannego, ale gdy sam Panów szedł z nami na spacer do lasu, był zwykłym, spokojnym, a nawet nudnym człowiekiem, który zapominał o dzieciach złotego smoka. Czasem zatrzymywał się, siadał na pniaku, wyjmował notes i zapisywał swoje myśli. Syn Panowa szedł spokojnie dalej, kompletnie nie pojmując, że Bóg dał mu za ojca prawdziwego pisarza, którego on traktuje jak zwykłego człowieka.

Do tej pory nie przestałem marzyć o tym, że kiedyś sprawię sobie taki notes.

Mistyka sytuacji polegała na tym, że Dir Tumanny w 1925 roku opublikował najprawdziwszą powieść fantastyczną — „Jeźdźcy wiatru”, rzecz o podróżach międzygwiazdnych.

A to znaczy, że spacerowałem po lesie i czerpałem doświadczenie nie tylko od pisarza, ale i od najprawdziwszego fantasty!

Mało tego, on miał pseudonim — imię z trzech liter! Dir! Czyż mogłem przewidzieć, że dwadzieścia lat później wybiorę sobie imię Kir?

Niedawno, przeglądając w Jekaterynburgu bibliotekę wybitnego bibliografa Witali ja Bugrowa, natknąłem się na książeczkę — dodatek do „Ogonioka” z 1937 roku. „Wiersze i nowele”, Mikołaj Panów.

Twarz na okładce też była znajoma, w okularach. Tylko młoda.

Sami na pewno rozumiecie — czegoż można oczekiwać od przeciętnego poety w 1937 roku? Ale pośród opusów poświęconych przyszłej wojnie i towarzysowi Stalinowi jest jeden ciekawy wiersz, który autorzy wyboru nazwali nowelą: „W Moskwie przyszłości”.

To optymistyczna, socjalistyczna, utopijna fantastyka. Fantastyka bliskiego celownika... który się nie spełnił. I spełnił.

*Niczym Elbrus
Z marmuru, światła i stali,
Jak rozpalone białe ognisko,*

*Moskiewska дума,
Palac Rad
Nad gmachami rękę wodza wyciąga.*

Aż mam ochotę przywieść jeszcze jeden proroczy cytat:

*Wczoraj w fabryce dali mi premię —
Odbiornik telewizyjny.
Długo o nim marzyłem...*

Gdzieś w szóstej klasie miałem niesamowite szczęście. Moje wejście w świat fantastyki poszło szybko. Mama odszukała na placu Arbackim bibliotekę Czerwonego Krzyża, której z nieznanych przyczyn nie spustoszyły cenzurowe czystki tamtych lat.

W bibliotece mama brała postrzępione, zupełnie nieosiągalne wówczas książki Louisa Boussenarda, Jaccolliota i nawet Benua. Mając dwanaście lat, przeczytałem „Atlantyde” Benua i to ona wyrzuciła z mojej świadomości pierwszego dostępnego idola — Aleksandra Bielajewa*. Wkrótce do moich rąk trafiły książki innego Bielajewa — Siergieja, „Dziesiąta planeta” i najważniejsza: „Przygody Samuela Pingla”. Wtedy zrozumiałem, o ile wyższą klasę prezentował Siergiej w porównaniu z naszym ulubionym autorytetem Aleksandrem.

Następnie Siergieja Bielajewa stracił z piedestału Aleksy Tołstoj i Iwan Jefremow*. Pokochałem nowele Jefremowa powstałe pod koniec wojny i w pierwszych latach powojennych. Zwłaszcza „Pięć rumbów”. Do tej pory przechowuję te książki w miękkich okładkach.

Potem byłem z wizytą u taty, który pozwolił mi poszperać w swej biblioteczce. Trzymał tam książki otrzymane z rozdzielnika.

Tam wpadła mi w ręce książka w niebieskiej okładce, z żaglem. Nazywała się „Mknąca po falach”.

Z jakiegoś powodu jedną powieść Grina* wydano od razu po wojnie. Do tej pory jestem pod wrażeniem tej książki.

Już wtedy domyśliłem się, że Grin napisał nie tylko „Mknąca po falach”. Ale co — nie wiedziałem dopóty, dopóki nie zaczęto ciskać w niego gromy w gazetach, nazywając go przywódcą kosmopolitów. Na szczęście dla niego, od dawna nie żył.

Dowiedziałem się wiele złego o Grinie z artykułów Zasławskiego i innych. Ale potem wstawił się za nim Paustowski i Grina zaczęto dopuszczać do naszych czytelników.

Oczywiście istnienia takich pisarzy jak Bułhakow, Zamiatin, Orwell, Huxley, Kafka, Płatonow nawet nie podejrzewałem. Ale na Čapka trafiłem. I zostałem jego wielbicielem. Kończę ten rozdział i otworzę sobie znowu „Krakatit”. Nie czytaliście? Moim zdaniem to genialna powieść fantastyczna.

Znacznie później, ale bardzo chcę o tym napisać właśnie teraz, odkryłem cudowny „Dach świata” Mścislawskiego. Dała mi ją do poczytania Świetlana Janina, żona naszego wielkiego archeologa, odkrywcy latopisów nowogrodzkich. To było jeszcze wtedy, gdy Mścislawskiego uważano za autora powieści rewolucyjnej „Gawron, ptak wiosenny”. A przecież on był jednym z

* Bielajew Aleksandr R. (1884–1942), autor powieści fantastycznonaukowych, m.in. „Wyspa zaginionych okrętów”.

* Jefremow Iwan A. (1907–72), autor powieści fantastycznonaukowych, m.in. „Mgławica Andromedy”.

* Grin Aleksandr S., właśc. A.S. Gryniewski (1880–1932), autor fantastycznoutopijnych opowiadań oraz powieści fantastycznonaukowych, m.in. „Migotliwy świat”.

eserowskich wodzów, a „Dach świata” to jedyna rosyjska kolonialna powieść fantastyczna.

ROZDZIAŁ 3

PRZYJACIELE MAMY

Powiedz mi, kim są twoi przyjaciele...

Nie znałem mojej mamy. Nigdy nie miałem czasu, żeby porozmawiać z nią o jej młodości, o tym, co widziała i kogo znała. Najpierw byłem zbyt zajęty swoim życiem, a potem zaczęło mi się wydawać, że moja mama, która nawet za granicą nigdy nie była, to człowiek zwyczajny i ze względu na swój podeszły wiek mało interesujący.

Jeśli teraz zacznę bić się w piersi i rwać z głowy ostatnie włosy, ani mamie, ani memu sumieniu lżej nie będzie.

Teraz, w ostatnich latach, gdy zacząłem pokasywać, jak moja mama na starość, mówić z jej błędami i coraz częściej używać jej ulubionych powiedzonek, zrozumiałem, jaki ze mnie idiota.

A mamie zapewne niezręcznie było narzucać się ze swoimi wspomnieniami. Zresztą niektórych bała się do końca życia, a o tajemnicy swojego urodzenia opowiedziała mi dopiero w latach sześćdziesiątych, gdy upewniła się, że Stalin już nie wróci.

Jedno wiem na pewno — jej biografia jest niezwykła nawet jak na nasz kraj, a mamy mężowie, kochankowie i przyjaciele byli ludźmi wyjątkowymi pod względem intelektu, talentów i charakteru. Zapomniałem o nich i teraz, gdy próbuję zrozumieć, dlaczego zostałem pisarzem fantasty, a nie iluzjonistą, fizykiem eksperymentatorem, paleontologiem czy diabli wiedzą kim, uświadomiłem sobie, że w znacznym stopniu jest to zasługa mamy, a w szczególności jej otoczenia. Przychodząc na chwilę, wpadając na herbatkę, ludzie ci zasiewali we mnie ziarna mądrości i ciekawości, sami tego nie zauważając. Ja też nie zauważałem. A teraz spostrzegłem i jestem wstrząśnięty własną ślepotą.

Opowiem o ludziach, których poznałem dzięki mamie.

Pierwsi to jej szkolni przyjaciele z początku lat dwudziestych.

Należał do nich przede wszystkim wujek Kika Kuzniecowa, który był mi dziesięć razy bliższy od ojca, i Ola Olsen, najbliższa przyjaciółka mamy z czasów szkolnych. Ona i mama w starszych klasach szkoły zawodowej zarabiała na Wyspie Wasilewskiej jako partnerki springowe na kortach, grając z NEP-owcami i urzędnikami.

Wujek Kika, Mikołaj Mikołajewicz Kuzniecowa, był mężczyzną dość niskim, wysokie czoło upodabniało go do Lenina. Zawsze gładko ogolony, mieszkał na Wielkiej Podiaczeskiej, nieopodal Kanału Gribojedowa.

Wszystkie moje wspomnienia z Petersburga związane są właśnie z tą częścią miasta. Tysiące razy, w deszczu, śniegu lub spiekocie siedłem tam nabrzeżem od prospektu Majorowa albo od mostka przy poczcie.

Wielka Podiaczeska to prosta, nudna, urzędnicza uliczka. Przy skrzyżowaniu z ulicą Rimskiego — Korsakowa mieszkał na — rodnik Kibalicz, powieszony za udział w zamachu na cara Aleksandra II, mój idol lat szczenięcych, mój Che Guevara lat czterdziestych.

W podróżnym kufrze, który stał w korytarzu prowadzącym do komunalnej kuchni w dawnym mieszkaniu Kuzniecowa, odnalazłem wiele grubych czasopism „Byłoje” w białych okładkach.

Czasopismo poświęcone było historii ruchu rewolucyjnego w Rosji i z niego przedwcześnie dowiedziałem się, że rewolucje w naszym kraju robili nie tylko bolszewicy, a właściwie to przeważnie niebolszewicy.

Wydawał je archiwariusz rewolucji i łowca prowokatorów, niezłomny Burcew. Początkowo tomy czasopisma, grube jak „Nowyj Mir”, ukazywały się za granicą, dopiero później, wraz z

odwołaniem cenzury prewencyjnej przeniosły się do ojczyzny. Czasopismo, wydawane do końca lat dwudziestych, zginęło wraz ze wszystkimi wydawcami i autorami.

Najwięcej miejsca poświęcano w nim narodnikom i eserowcom. Jeden z pierwszych numerów w całości poświęcono sprawie pierwszego marca 1881 roku, to znaczy zabójstwu Aleksandra n.

Trzystustronicowy numer „Byłoje”, skompilowany z dokumentów i pamiętników, był znacznie ciekawszą lekturą niż „Hrabia Monte Christo”. Zawierał powieść — od starannych przygotowań ataku, znacznie ciekawszych niż w „Dniu Szakala” czy innej powieści naszych dni — po samą tragedię na nabrzeżu, śmierci imperatora i Hryniewieckiego*, polowania na spiskowców, śledztwa, zdrady supermana Rysakowa, losów zawodowców — Żelabowa i Pierowskiej.

Wśród aresztowanych i skazanych był Kibalczyk, bombardier, z pochodzenia Polak, pasjonat i altruista, dziwak — spędzał całe lata w laboratorium terrorystów i być może, nie zdawał sobie do końca sprawy z tego, że jego bomby zabijają ludzi.

W celi trubeckiego rawelina Kibalczyk pracował nad problemem lotu ku gwiazdom. Jego rysunek statku jądrowego (zachował się w prośbie do nowego imperatora o odroczenie kaźni do czasu realizacji wynalazku) był naiwny — nawet Juliusz Verne narysowałby statek kosmiczny znacznie bardziej przekonująco — i śledczy zwyczajnie włożyli go do archiwum. Po rewolucji archiwa zostały opublikowane i obraz Kibalczyka, który pod szubienicą rysuje statek kosmiczny, poruszył wyobraźnię historyków.

Moją również.

Ten po dziecięcemu naiwny rysunek, przedstawiony w czasopiśmie „Byłoje”, ten lecący ku gwiazdom statek przemówił do mnie silniej niż rakiety Ciołkowskiego. Kibalczyk, człowiek, którego gwiezdna godzina była godziną śmierci, stał się moim idolem.

I w jakiś magiczny sposób połączył się z obrazem innego fantasty, o którym również dowiedziałem się z czasopisma „Byłoje” na Wielkiej Podiaczeskiej.

Był to więzień Szlisselburga, Mikołaj Morozow, który spędził tam, obok Wiery Figner, dwadzieścia trzy lata. W twierdzy tworzył tomy swoich dziwacznie genialnych prac i hodował warzywa w ogrodzie, w którym porucznik Mirowicz w XVIII wieku próbował uwolnić cara Iwana i został za to skazany.

W tym czasie wiedziałem już, że moja mama przez kilka miesięcy pełniła obowiązki komendanta Twierdzy Szlisselburskiej. Te dwa zjawiska w moim mózgu nie łączyły się ze sobą. Mama w celi cara Iwana, mama w celi Mikołaja Morozowa — zwyczajnie to do mnie nie przemawiało.

Choć było najprawdziwszą prawdą.

Wyobraźcie sobie, że moja mama zagląda do ogrodu urządzonego przez Morozowa. A może nawet sama z nudów siała tam marchewkę?

Opis życia Morozowa i Figner, oraz innych, którzy siedzieli z nimi w twierdzy, doprowadził mnie do artykułów i książek Mikołaja Morozowa. Najpierw była „Historia kamienia filozoficznego”, potem „Objawienia w Deszczu i Burzy”.

Za czasów władzy radzieckiej Mikołaj Morozow został akademikiem. Ponieważ dwadzieścia trzy lata spędzone w samotności oznaczają dużo wolnego czasu, który można poświęcić pisarstwu i który znacząco wpływa na stan umysłu, prace Morozowa stawały się coraz bardziej fantastyczne.

Na długo przed dzisiejszymi odkryciami historii Morozow odwołał ogólnie przyjętą chronologię i wprowadził własną. Został niebianinem. Bolszewikom pochlebiali, że pomagają mieszkańcy nieba, i Morozow otrzymał bajkowy tytuł honorowego akademika. O ile pamiętam,

* Hryniewiecki Ignacy (1856–81), narodnik; działacz polskich kółek rewolucyjnych w Petersburgu; w 1881 dokonał udanego zamachu na Aleksandra II Romanowa, sam ranny od rzuconej bomby, zmarł.

prócz niego taki tytuł dostał jedynie Stalin.

Wśród miliona innych honorowych stanowisk i tytułów był tytuł przewodniczącego Towarzystwa Światoznawstwa.

Elegancki tęczowy dyplom tego towarzystwa jest u mnie do tej pory.

Ponieważ kręgi życia i kontaktów są dość wąskie, przez cały czas, niczym człowiek, który zabłądził w lesie, natrafiamy na tę samą polankę.

Dyplom ten został wydany Mikołajowi Mikołajewiczowi Kuzniecowski.

Ale nie wujkowi Kice, lecz jego ojcu. W rodzinie Kuzniecowskich kobiety zawsze starały się urodzić syna, a gdy im się udawało, nadawano mu imię Mikołaj. W ten sposób kilka pokoleń Kuzniecowskich było Mikołajami Mikołajewiczami.

W spadku po wujku Kice dostałem wielką mapę geograficzną Rosji i „plemion, które ją zasiedlały”, stworzoną w 1866 roku przez jego dziada, nauczyciela gimnazjalnego. A na drzwiach komunałki na Wielkiej Podiazeskiej umocowano wielką błyszczącą tabliczkę z brązu: „Mikołaj Mikołajewicz Kuzniecowski”. Została przykręcona za życia ojca wujka Kiki. Po nim zachowały mi się zdumiewające wspomnienia. Ten człowiek zapisywał wszystkie swoje bożonarodzeniowe i noworoczne wrażenia. Każdego roku. Przez wiele lat. Wyszła z tego gruba książka, gatunek papieru był z roku na rok coraz gorszy i ostatnie zapiski zostały zrobione na odwrocie jakichś kancelaryjnych blankietów.

Skończył je pisać na kilka lat przed śmiercią.

Oto dlaczego.

Ów Mikołaj Mikołajewicz pracował w Izbie Kontroli, przedsiębiorstwie ważnym i solidnym. Przed rewolucją został jej wiceprzewodniczącym, w randze rzeczywistego radcy stanu. Wtedy właśnie wstąpił do Towarzystwa Światoznawstwa, założonego przez Mikołaja Morozowa gdzieś w 1910 roku (Morozowa wypuszczono z twierdzy w 1905 roku, po pierwszej rewolucji).

Po rewolucji Kuzniecowski pozostał w tej samej Izbie Kontroli, tylko na szeregowym stanowisku, potem został księgowym i wszystko byłoby w porządku, gdyby nie fantastyczne Towarzystwo Światoznawstwa, założone przez honorowego akademika rewolucjonistę.

O dziwo, w latach dwudziestych Towarzystwo Światoznawstwa funkcjonowało nadal, badało świat i rozwijało fantastyczne idee Morozowa.

Nic więc dziwnego, że gdy w połowie lat trzydziestych wszystkie fantastyczne i niezbyt fantastyczne towarzystwa zaczęto likwidować, po rozstrzelaniu wszystkich członków WOF, to znaczy towarzystwa filatelistów, którzy wysyłali szpiegowskie informacje o naszym państwie na odwrocie znaczków pocztowych, po likwidacji wszystkich esperantystów, którzy próbowali porozumiewać się z wrogiem w niezrozumiałym języku, czekał się wzięli się za Towarzystwo Światoznawstwa.

Ciekawe, że zazwyczaj przewodniczących podobnych towarzystw początkowo nie ruszano, a jeśli nawet ruszano, to w innym procesie. Na przykład przewodniczącym WOF był komisarz narodowy prawa Krylenko i jego rozstrzelano znacznie później. Nawet gdy wsadzali i skazywali Komintern, główną siłę światowej rewolucji i, jak się potem okazało, gniazdo szpiegów, jego przywódcę, Georgija Dymitrowa, który zwyciężył w procesie w Berlinie samego Göringa, jednak nie ruszyli.

A Annę Łazariewnę Razumową, która po dwudziestu latach obozu przytuliła się w naszym wydziale i która wcześniej była osobistym sekretarzem Dymitrowa oraz tajnym agentem Kominternu, wzięto jako jedną z ostatnich. To była zdumiewająca kobieta, należąca do tych więźniów, którym jakimś cudem udało się zachować bystrość umysłu i zdrowie fizyczne. Taki sam był mój przyjaciel Lew Razgon, który w wieku dziewięćdziesięciu lat pracował w Komisji do spraw Ułaskawień, pisał książki i jeździł do Włoch do swoich wydawców.

O Annie Łazariewnie wspomniałem dlatego, że z nią wiąże się jedno z moich największych przeżyć. Piła z nami herbatę w instytucie i opowiadała fantasmagorie o swoim życiu. Na przykład, miała trzech mężów w różnych końcach świata — jeden z nich był, o ile pamiętam, Chińczykiem. Ona wywoływała powstanie na Madagaskarze, a ja nieodmiennie myślałem: jutro przyniosę ze sobą notes albo magnetofon i będę zapisywał jej opowieści, a dzisiaj trzeba biec po kielbasę albo na jakąś wystawę. Anna Łazariewna wiedziała i pamiętała wszystko, jej opowieści o śmierci Kominternu, o tym, jak niszczone najwierniejszych synów i córy partii, były straszne. W jedno tylko nie mogła uwierzyć — gdy w jej obecności opowiedziano mi, że Stalin osobiście wydał rozkaz zabrać z łagrów niemieckich antyfaszystów i oddać ich Hitlerowi, swemu przyjacielowi, który osobiście o to poprosił, Anna Łazariewna zerwała się i oburzona wybiegła z pokoju.

A kilka tygodni później jedna z jej byłych kominternowskich przyjaciółek, Niemka, przysłała swoje wspomnienia, w których opowiadała, jak wagony z antyfaszystami zatrzymywały się na granicy i czekałi liczyli elitę światowego komunizmu, a potem do wagonów wchodzili esesmani i znowu ich liczyli, już po niemiecku. Może była w tym jakaś sprawiedliwość dziejowa, że z wyjątkiem osobiście nielubianych przez Hitlera i Goringa komunistów, faszyci nikogo nie zamęczyli. Niektórzy antyfaszyci wyszli na wolność w czterdziestym piątym.

Książka zrobiła na Annie Łazariewnie ogromne wrażenie. Przestała opowiadać nam zdumiewające, szokujące historie z życia tajnych agentów Kominternu, wkrótce potem nagle zachorowała i zmarła.

A ja jak ostatni idiota niczego nie zapisałem!

Zresztą nie pierwszy raz. Ojca również nie spytałem o jego działalność prokuratora kraju Niżniego Nowogrodu, na początku lat trzydziestych, czy o życie na Kremlu po wojnie. Może by coś opowiedział. Mamy też nie wypytywałem o rewolucję.

Wujka Kiki również o nic nie pytałem. A przecież jego ojciec, Mikołaj Mikołajewicz, księgowy, a przedtem rzeczywisty radca stanu, o czym w ankietach nie wspominał, został aresztowany wraz z pozostałymi członkami Towarzystwa Światoznawstwa, organizacji trockistowsko–szpiegowsko–faszystowskiej, i rozstrzelany.

A przywódca Towarzystwa Światoznawstwa, honorowy akademik Morozow, wyruszył na naukową stację leśną nad Jeziorem Rybińskim w Borkach, gdzie przeżył jeszcze jakieś dziesięć czy piętnaście lat, tworząc prace z zakresu historii alternatywnej i wirtualnej.

Wujek Kika pracował jako główny księgowy w fabryce mechanicznej, a w rzeczywistości był komisjonerem — to znaczy brał w komis kolekcje znaczków i był znany wśród filatelistów jako „Firma Kuzniecowa i pies” — jego żona hodowała airedale teriery na sprzedaż.

Airedale teriery sprzedawały się słabo i w jednym pokoju z taką menażerią żyło się trudno. Gdy żona wujka Kiki zmarła, teriery od razu znikły, za to pojawiły się przyjaciółki, z którymi wujek Kika jeździł na urlop w Karpaty albo nad Morze Czarne.

Do mieszkania z tabliczką „Mikołaj Mikołajewicz Kuzniecowa” szło się po wyszlifowanych kamiennych schodach, wijących się wokół szybu windy. Ale windy przed rewolucją nie zamontowano, a po rewolucji tym bardziej nikt nie miał najmniejszego zamiaru tego robić. Sto dwa stopnie. Bardzo długie schody. Idziesz i idziesz, a okna wychodzą na podwórze. W Petersburgu zachowało się bardzo wiele tych kamiennych studni, specjalnie dla rewolucjonistów, żeby mogli uciekać niekończącymi się przejściami pomiędzy podwórzami.

Można zadzwonić. Dwa dzwonki. Jeśli wujek Kika jest w domu, a nie w swoim Wyborgskim Pałacu Kultury u filatelistów, to otworzy, a jeśli nie, to trzeba zapukać w ścianę, która wychodzi na schody. W tym pokoju mieszka Eugenia Kazimierzowna — szlachetna polska pani o wykwinnych manierach. W jej towarzystwie człowiek od razu zaczyna się zastanawiać, kiedy ostatnio mył ręce. Jest bardzo stara, lekko zgarbiona, mówi niskim schrypniętym głosem. Pochowała trzech czy

czterech mężów (dwóch z nich zginęło w łagrach). Z jakiegoś powodu w biednym pokoju tej biednej kobiety zachowały się afrykańskie przedmioty — łuk, kopia, figurki. Ona już nie pamięta, po kim je ma. Zawsze miło jest napić się z nią herbaty, ponieważ opinie Eugenii Kazimierzownej są trzeźwe, inteligentne i nigdy byś nie przypuścił, że ona ma ponad osiemdziesiąt lat. Gdy siedzi i patrzy na ciebie, jesteś pod wrażeniem jej pięknej, szlachetnej twarzy.

Jeśli wujka Kiki nie ma, zaglądam też do jego starszej siostry Tatiany, byłej mistrzyni Leningradu w łyżwiarstwie figurowym. Na ścianach jej wąskiego pokoiku — dziesięć metrów kwadratowych i jedno małe okienko — wiszą zdjęcia ślicznej dziewczynki w szerokiej, obszytej futerkiem spódnicy do kolan. Jedzie po lodzie, robiąc „jaskółkę”.

Ciocia Tania ciekawi mnie również dlatego, że w młodości przyjaźniła się z rodziną Bure oraz Anną Achmatową. Kiedyś pokazała mi zdumiewający dokument: wielki wykroj szerokiej spódnicy. Z obu stron zapisany wierszami. Kiedyś Anna długo czekała, aż Tatiana sfastryguje sukienkę, i szybko pisała na wykroju — innego papieru pod ręką nie było. Potem oni gdzieś uciekali i Achmatową zapomniała o tym największym na świecie poetyckim autografie. A Kola Gumilow przez jakiś czas zalecał się do młodziutkiej łyżwiarki Tani Kuzniecovej, dawał jej w prezencie małe książeczki w zwykłych papierowych okładkach. Zebrało się ich ponad trzydzieści. Niektóre z zabawnymi dedykacjami. Ciocia Tania przechowywała je do końca życia. Gdy umarła, przepadły.

Gumilowa znałem wówczas znacznie lepiej niż Achmatową, o której słyszałem jedynie od cioci Tani. Stało się to za sprawą Wani Buchaniewicza. Wania uczył się w naszej szkole i mniej więcej w dziewiątej klasie nagle został najprawdziwszym poetą. Pisał wiersze o Afryce, o „zdumiewającej żyrafie”, o tajemnicach Czarnego Łądu... Byliśmy wstrząśnięci tą przemianą i prosiliśmy: „Daj przepisać. Pokażę jednej dziewczynie!”. Gwiazdy naszej szkoły, Akselrod, Rappaport i bracia Zorkije, przekładali wiersze Buchaniewicza na muzykę i śpiewali na szkolnych wieczorkach.

A potem ktoś, chyba Pietia Zorkij, znalazł tomik Mikołaja Gumilowa, który, jak się okazało, napisał owe wiersze znacznie wcześniej.

Upadek Buchaniewicza był bardzo dotkliwy.

Ale pieśni zostały.

Podczas blokady wujka Kikę ewakuowano wraz z jego fabryką obronną, a ciocia Tania przeżyła całą blokadę i miała jakąś szczególną złośliwą formę dystrofii. Dystrofia powracała każdej wiosny i z każdym rokiem była coraz silniejsza. Lekarze powiedzieli szczerze: następnego ataku pani nie przeżyje.

Tej rzekomo ostatniej wiosny dystrofia nie powróciła i ciocia Tania przeżyła w swoim pokoiku jeszcze wiele lat.

W czasie ewakuacji wujek Kika zdobył przyjaciela — Wiktora Mikołajewicza Engelgardta, z książąt, który przeżył, ponieważ ukrył się przed sądami na Syberii. Wykładał tam angielski na Uniwersytecie Omskim i raz w roku przyjeżdżał do Leningradu pohulać. Wiktoruszka był człowiekiem wytwornym i zniszczonym. Przez całe życie przekładał i poprawiał „Balladę o więzieniu w Reading” — utwór Oscara Wilde. Jeśli ja w tym czasie byłem w Leningradzie, to dla mnie i Witka, pasierba wujka Kiki, zaczynały się słodkie dni. Życie w jednym pokoju z dwoma terierami, żoną wujka Kiki, kobietą postawną i surową, pasierbem Witkiem, mną, wujkiem Kiką i Wiktoruszką nie było łatwe, za to wesołe. Rano Wiktoruszka wysyłał nas po bilety — na stadion, do teatru czy do cyrku. Dla całej rodziny. A wieczorem następowało uroczyste wyjście...

Co zostało w mojej pamięci?

Został Kanał Gribojedowa — najpiękniejsze miejsce na świecie.

Niekończące się schody i drzwi z tabliczką.

Zapach ciemnego korytarza i wiecznie zajęty przez sąsiadów telefon.

Egzotyczny i ubogi pokój Eugenii Kazimierzowny.

Pozostało czasopismo „Byłoję”, które pochłaniałem na zapadniętej kanapie, gdy wujek Kika porządkował kolejną kolekcję.

Została moja i Witka wyprawa na Newski, gdzie wystaliśmy się w kolejce do piwiarni, opiliśmy się piwa i próbowaliśmy zaczepiać dziewczyny. Z jakiegoś powodu nic nam z tego nie wyszło.

A gdy wujek Kika był już chory i wiedział, że nie wyzdrowieje, podarował mi gimnazjalną mapę z 1866 roku, na całą ścianę. Mapa otoczona była obrazkami przedstawiającymi plemiona. Na dole plemiona Ameryki Rosyjskiej, która jeszcze wtedy nie została sprzedana, pozostałe narody parami, tylko smętny Żyd w jarmulce i chałacie stoi bez pary. Widocznie malarzowi nigdy nie udało się zobaczyć jego żony.

Dostałem również dyplom Towarzystwa Światoznawstwa, z podpisem Mikołaja Morozowa, jednego z największych fantastów naszego kraju, a po śmierci wujka — kopertę z zapiskami, notatkami, rysunkami i sentymentalnymi biletami kinowymi i tramwajowymi. To zlepek świata, w którym istnieli szesnastoletni wujek Kika i ciocia Ola, kochana przez wujka Kikę na zabój, moja mama i jeszcze dwie czy trzy nieznane mi postacie.

Tamten Leningrad to jeden z moich korzeni. Mogę opowiadać o nim w nieskończoność, zachwycam się nim, rozkoszuję i zaczynam za nim tęsknić, gdy tylko wsiadam do pociągu, który ma mnie zawieźć z powrotem do bezsensownej Moskwy.

Marzę o nim.

O Pietropawłowce, o prospekcie Kamiennoostrowskim, o Wyspie Jelaginej i oczywiście o Riepinie, Pawłowsku, i jeszcze raz o Pawłowsku.

ROZDZIAŁ 4

PIĘKNY KORABLOW

Musiał nadejść dzień, w którym złączyłyby się wszystkie główne linie mojego życia. W przeciwnym razie nie wyszłaby wytyczna.

Ten dzień przyszedł latem 1946 roku, gdy miałem jedenaście lat i mieszkałem na dacy we wsi Odpoczynek przy kolei Kazaskiej.

Linie były następujące:

Literatura. Najchętniej w dziwnej, nierealistycznej formie.

Kosmiczne dale. W każdej postaci.

Kolekcjonerstwo. Zbieranie wszystko jedno czego.

Początek tej historii sięga wiosny czterdziestego drugiego roku. Przenieśliśmy się wtedy do Czystopola, gdzie żyło wielu radzieckich pisarzy bądź ich rodzin, mama pracowała jako dowódca szkoły powietrznodesantowej, a ja zaczynałem wstawać z łóżka po chorobie serca. Wtedy doda Liza Kron zaprowadziła mnie do teatru, gdzie grali bardzo interesującą sztukę o naszych partyzantach i niemieckich okupantach, napisaną przez samego Korablowa.

Siedziałem w jednym z pierwszych rzędów i strasznie przeżywałem — nasz partyzant, piękny Korablow z siwą czupryną, wszystkiemu zaprzeczał, kiedy przesłuchiwali go gestapowcy, chociaż groziła mu okrutna śmierć. I w ostatniej chwili, gdy już mieli zaprowadzić go na szubienicę, Korablow wyciągnął z kieszeni marynarki torebkę z pieprzem i... jak nie sygnie pieprzem w oczy faszystom!

Faszyści tarli oczy i wyli. Ich bolało, nas śmieszyło, a piękny siwy Korablow niespiesznie zszedł ze sceny — wracał do lasu, by znowu walczyć z okupantem.

To był mój pierwszy kontakt z teatrem. Korablow stał się moim pierwszym bożyszczem.

Potem wróciliśmy do Moskwy.

Mama nadal przyjaźniła się z ciocią Lizą. Ciocia Liza była piękną kobietą, co w końcu nie było niczym dziwnym — była córką samego Korablowa i żoną pięknego Aleksandra Krona, który przyjeżdżał do Czystopola z frontu w mundurze marynarza i napisał znaną sztukę „Oficer floty”. W tej sztuce radzieccy komandorzy mówią o sobie, że są oficerami. A tym, którzy mają wątpliwości, czy wypada radzieckim komandorom mienić się białogwardyjskim słowem oficer, wyjaśniają, że słowo jest szlachetne i nie ma w nim nic białogwardyjskiego.

Trwała wojna, akurat wprowadzono pagony, dowódców armii od dawna nazywano generałami i skończono z tym, co wywalczyła rewolucja. Prowadził nas sztandar Aleksandra Newskiego, a nie wroga narodu Trockiego.

Gdy skończyła się wojna, czasy nastały głodne. Mamie było ciężko, pracowała od rana do wieczora. Więc gdy ciocia Liza Kron z głębi serca zaproponowała jej i jeszcze jednej wspólnej przyjaciółce Marinie zaopiekowanie się latem ich synami, mną i Andriejem Pisariewem, oczywiście się zgodziły.

Przez cały dzień obaj z Andriejem byliśmy pozostawieni sami sobie, a wieczorem przyjeżdżała ciocia Marina albo moja mama, karmiły nas, szorowały nam uszy i kładły spać w pokojach na pierwszym piętrze. Gdzie mama tego lata umieściła Nataszkę, nie pamiętam.

W domku, piętrowym, przestronnym, zbudowanym na długo przed wojną i należącym do ojca dramaturga Krona (kompozytora Kreina, którego balet „Laurencja” był wówczas wystawiany w Teatrze Bolszoi) prócz mnie i Andrieja mieszkał wtedy tylko piękny siwy Korablow i jego żona, która była dziesięć lat od niego starsza, co w ich wieku już nie miało żadnego znaczenia. Korablow

zwykł mawiać:

— To logiczne i rozsądne. Przecież kobiety w naszym kraju żyją o dziesięć lat dłużej od mężczyzn. Umrzemy jednego dnia.

I śmiał się głośno, zadowolony, nie mając zamiaru umierać.

Willa stała na ogromnej leśnej działce, nie było tam żadnego gospodarstwa, rosły tylko kwiaty w miejscach niezacienionych sosnami. Na cienistej polance wisiał hamak, w którym leżał Korablow i w którym czasem mogliśmy się połuścić z Andriejem. Do dziś słyszę skrzyp listwy hamakowej i czuję sznurki wpijające się w plecy.

Piękny dziadek Korablow był człowiekiem impulsywnym, gwałtownym (jeśli się nie mylę, pochodził z Krymu), grał na małych scenach i w razie potrzeby pisał sztuki dla małych teatrów.

Jego żona była po prostu babcią, surową i bardzo dobrze wychowaną. Chciała, żeby wszyscy wokół niej byli dobrze wychowani, dlatego się jej baliśmy.

Pięknego Korablowa nie bał się nikt. Znał milion żartów i zabawnych historii. Urządzał zawody, kto dalej nasika. I zawsze wygrywał! Umiał sikać na odległość sześciu metrów! Wyobrażacie sobie, jak go szanowaliśmy obaj z Andriejem? Przy okazji wspomnę też, że umiał puszczać najgłośniejsze bąki na świecie.

Do naszej dyspozycji był wielki dom i własna działka w lesie. Każdego ranka zbieraliśmy tam koszyk grzybów. Za płotem zaczynały się najprawdziwsze lasy, które ciągnęły się, jak twierdził Korablow, do samego Uralu. Kiedyś chcieliśmy dojść do Uralu, lecz zmęczyliśmy się i wróciliśmy na kolację.

Ale diabeł nie spał. Gdy jesteś wolny i bogaty, syty i zdrowy, zaczyna cię kusić do złego. Dokładnie tak było z nami.

Odkryliśmy drogę na strych — wielki i przestronny, niczym gabinet kompozytora Kreina. Stały tam kufry, walizy, leżały paczki gazet i papierów, walały się stare i niepotrzebne rzeczy.

Rzecz jasna, weszliśmy na ten strych. I to niejednym razem. I dokonywaliśmy tam wykopalisk. Największym odkryciem była najprawdziwsza rakielnica i pudło rakiet.

Od tej chwili ciągle planowaliśmy, gdzie i kiedy jej użyjemy.

Powstrzymywało nas tylko to, że był lipiec i dni tak długie, jakby słońce w ogóle nie zachodziło. Wstawaliśmy w słońcu i kładliśmy się w słońcu. No i kiedy tu strzelać z rakielnicy? Czekaliśmy na prawdziwą ciemność.

Drugie strychowe znalezisko rozbudziło w nas przyszłych kolekcjonerów. W każdym razie we mnie.

Odkryliśmy tam walizkę z listami pisanymi przed rewolucją. Niektóre były powiązane sznurkiem w paczki, inne leżały stertami.

Listów nie czytaliśmy, były napisane niewyraźnie, a niektóre w ogóle w obcych językach. Ale ponieważ listy w takiej ilości leżały zapomniane na strychu, stwierdziliśmy, że nie są nikomu potrzebne.

I co zrobiliśmy?

Tak jest! Zaczęliśmy odrywać od kopert znaczki pocztowe.

Wyobrażacie sobie — znaczki z portretami carów i caryc, z carskim orłem, z nieznanymi mężczyznami i kobietami!

Szczerze mówiąc, nie kryliśmy się zbytnio z tym procederem. Oczywiście nie pytaliśmy o pozwolenie, bo wiedzieliśmy, że jak zapytamy, to na pewno nam zabronią. Po prostu przygotowaliśmy sobie dwa zeszyty i wklejaliśmy do nich znaczki.

A potem pokazaliśmy je Marze Kron, która przyjechała na kilka dni.

Mara była starsza od nas o pięć lat, bardzo ładna i dumna, jak wszyscy Kronowie — Korablowowie. Oznajmiła nam, że jesteśmy młodocianymi przestępcami, ale chyba nie przydała

naszemu czynowi szczególnego znaczenia. Miała swoje sprawy, jak to zwykle ładne dziewczyny.

Komuś jednak się wygadała. Może swojej mamie albo babci?

I w tym akurat momencie przyjechał dziadek Krein. Solidny jak monument Krein, nie bacząc na swój szacowny wiek, wdrapał się na strych, skąd krzyczał tak, że obaj z Andriejem uciekliśmy do lasu.

Dobrze zrobiliśmy.

Gdyśmy wrócili, już prawie w nocy, najbardziej wrażliwi członkowie rodziny Kronów zaczęli się niepokoić i podejrzewać, że z rozpaczycy rzuciliśmy się pod pociąg. Gniew Kreina spadł na ciotkę Lizę, która trzyma na jego dacy małych bandytów i złodziejasków, a moja mama i mama Andrieja cicho płakały po kątach i przysięgały, że zaraz następnego ranka wywiozą nas do Moskwy. Kiedy my nieśmiało wróciliśmy do domu, wszystko ucichło.

Korablow powitał nas na słodko pachnącej pyłem dróżce przed daczą i powiedział jakby nigdy nic:

— Więcej łez, więcej pokory. Indulgencja gwarantowana.

Nie wiedzieliśmy, co to takiego indulgencja.

Ale do domu wróciliśmy i w końcu prawie nam wybaczone. Na całe szczęście Krein więcej na daczę nie przyjeżdżał, zajęty pisaniem baletów w stolicy.

Za to ja pojąłem, na razie podświadomie, że w naszym kraju kolekcjonerstwo zawsze związane jest z kryminałem. Wraz z biegiem czasu jedynie utwierdzałem się w tym przekonaniu.

Więcej nie wchodziliśmy na strych, ale jedno z trofeów zachowaliśmy i nie rozstawaliśmy się z nim do końca lata.

Trofeum to wyciągnęliśmy nie ze strychu, lecz z regału w ogromnym (jak mi się wtedy wydawało) gabinecie samego Kreina.

Na regałach stało milion książek. Krein nigdy by się nie domyślił, że wzięliśmy jedną z nich. Poza tym i tak mieliśmy zamiar odstawić ją na miejsce.

Była to broszura w ciemnozielonej okładce.

Miała tak ekscytujący tytuł, że wy na naszym miejscu też byście ją wzięli: „Życie seksualne dzieci”.

Przekład z niemieckiego, wydany na początku wieku. Broszurka najprawdopodobniej przeznaczona dla rodziców, którym nie było wszystko jedno, na kogo wyrośnie ich dziecko.

Nazywaliśmy tę książkę umownie ŻSD, od pierwszych liter, i wydawało nam się to bardzo śmieszne. Wystarczyło, żeby jeden z nas powiedział na głos: ŻSD, a zaczynaliśmy skrecać się ze śmiechu. My wiemy, a oni się nie domyślają!

Niewiele pamiętam z tego dzieła i raczej nie wywarło ono szczególnego wpływu na mój rozwój seksualny, już choćby dlatego, że było pseudonaukowe, bezsensowne i niepotrzebne nikomu — prócz jedenastoletnich chłopców.

Ale zapamiętałem kilka terminów: polucja, onanizm i stosunek płciowy.

Wstrząsnęło mną przekonanie autora książki, że partnerzy w czasie stosunku płciowego — a dokładniej mężczyzna traci bardzo dużo azotu, dlatego winien odżywiać się bobem i innymi bogatymi w azot produktami. Ani ja, ani Andriej nie wiedzieliśmy, czy te rekomendacje mają jakieś znaczenie dla pięknego Korablowa bądź ciotki Lizy, ale przez dłuższy czas domagaliśmy się, żeby karmić nas fasolą albo soczewicą. Szybko nam się to znudziło, tym bardziej że nie mieliśmy pojęcia, jak działa to na otaczających nas dorosłych.

Literatura piękna, którą pochłaniałem do tego czasu, w żaden sposób nie wpłynęła na moje życie, a ŻSD sprowokowało interesujący epizod.

Jak rozumiecie, rzecz nie ograniczyła się do spożycia fasoli.

W domku obok nas mieszkała Tańka. Miała dwanaście lat i trochę nami pogardzała. Mimo

wszystko rozmawiała z nami, ponieważ ta kraina wypoczynku nie obfitowała w dzieci w naszym wieku. Mieszkały tam głównie starsze dzieciaki, które wieczorem na polanie w pobliżu stacji grały w siatkówkę. Chodziliśmy tam dopingować „naszych”, biegaliśmy po piłkę, a gdy siatkówka się kończyła i zaczynały tańce przy wyniesionym na polankę patefonie, musieliśmy sobie pójść i tego, co działo się w krzakach, już prawie nie widzieliśmy.

Tańka czasem przychodziła sama, czasem ze swoim przyjacielem, który też był trochę starszy od nas.

Przez cały czas nas kusilo, żeby podzielić się z nią straszliwą tajemnicą. Ciągłe robiliśmy aluzje i chichotaliśmy, powtarzając fatalne, kuszące: ŻSD.

W końcu nie wytrzymałiśmy. Wyznaliśmy jej wszystko i nawet daliśmy do poczytania naszą książkę, cały dzień bojąc się, że Tańka jej nie zwróci.

Ale przyniosła książkę i kazała nam iść do szałas.

Szałas stał na obrzeżach naszej działki, miał dach z gałęzi świerku. Zbudowaliśmy go na początku lata, trochę się w nim bawiliśmy, a potem zapomnieliśmy. Czasem chowaliśmy się tam przed deszczem, czasem chodziliśmy pogadać o tajemnicach.

Był świetnie zrobiony, ponieważ przy budowie brał udział Korablow, który nie znosił fuszerki. Na środku szałas można było się spokojnie wyprostować.

Tańka powiedziała, że książka jej się nie spodobała, ponieważ ona wie znacznie więcej, niż tam jest napisane, i to nie tylko o dzieciach, ale również o dorosłych.

— Pokaż im — zaproponował jej przyjaciel.

— Nie wtrącaj się — osadziła go Tańka.

Potem ściągnęła z siebie majteczki i kazała nam patrzeć.

Nic szczególnego tam nie zobaczyliśmy, ale i tak był w tym zdumiewający sekret. Robiliśmy coś zakazanego. I przysięgam, że gdyby nie ŻSD, Tańka nie zdjęłaby przy nas majteczek.

Andriej miał siostrę Maję, ja — Nataszkę. I obaj, mieszkając całą rodziną w jednym pokoju, nieuchronnie zapoznaliśmy się z kobietą anatomią dawno temu i do tego szałasowego momentu nie widzieliśmy w niej nic szczególnego. A wtedy zobaczyliśmy.

Przyjaciel Tanki kazał jej odwrócić się do nas tyłem, ale to wydało nam się tak śmieszne, że całe wtajemniczenie i wprowadzenie w dorosłość zostało zepsute.

Tańka była niezadowolona. I przyjaźń z nią ostatecznie wygasła...

Już wiecie, że tego lata zapoznałem się z niezwykłą literaturą. Zajmowałem się kolekcjonowaniem i poznawałem seks.

Pozostało mi opowiedzieć o kosmicznych dalach.

Zbliżało się zaćmienie Słońca. Możecie sprawdzić, jaki miał być to dzień. Wszyscy szykowali się do niego od dawna, okopcili szkła, regulowali zegarki, wyszukiwali najbardziej odpowiednie miejsca, a ja i Andriej mieliśmy tajny plan.

Mieliśmy przecież wypożyczoną ze strychu raketnicę!

Z raketami w kartonowym pudełku.

Poczekaliśmy, aż zaćmienie będzie tuż — tuż, zapakowaliśmy raketnicę do plecaka i wyszliśmy z działki na przesiekę. Ludzi tam nie było, zresztą ludzie nie byli nam potrzebni. Po prostu musieliśmy jakoś uczcić to wydarzenie, które miało miejsce pierwszy raz w naszym życiu.

Chociaż o zaćmieniu pisano we wszystkich gazetach i cała ta sprawa z punktu widzenia astronomów była najzupełniej przeciętna, wewnętrzny, pierwotny strach ogarnął zarówno psy, jak i ludzi.

Wszyscy chcieli być razem i razem patrzeć na niebo.

Moja mama i mama Andrieja tego dnia wcześniej przyjechały z pracy i zasiadły na tarasie.

W pierwszym rzędzie zajął miejsce, jak zawsze, Korablow, który wygrzebał gdzieś prawdziwą

lunetę i był pewien, że obaj z Andriejem nie odstępimy go nawet na krok.

Nie wiedział, że nas interesowało nie tyle zaćmienie, ile nasza rola w tym wydarzeniu.

Zaczęło się ściemniać. Nie za bardzo, zmieniały się kolory, jaskrawe gasły i barwny świat przemieniał się w niedoświetlone czarno-białe zdjęcie.

Ucichły ptaki. Zamilkli ludzie. Wszyscy się trochę bali.

A ja i Andriej baliśmy się, że nie zdążymy.

Jeszcze rano rzuciliśmy monetą i wypadło, że strzelać będzie Andriej. Załadowaliśmy raketnicę, która była trochę za duża dla Andrieja, on uniósł ją nad głową obiema rękami i wycelował w słońce. Ja miałem czekać na moment, gdy słońce zniknie i dookoła niego zapłonie, tak jak obiecywano, korona.

— Ognia! — ryknąłem w pewnym momencie.

Andriej ze wszystkich sił nacisnął dwoma placami wskazującymi na spust.

I rozległ się huk — przynajmniej tak mi się wydawało.

Oślepiająca zielona rakietka wzbiła się ponad pas drzew i niemal doleciała do słońca.

— Hurra! — krzychałem.

Andriej też chciał krzyknąć „hurra!”, ale zamiast krzyczeć, wyjęczał:

— Ojojoi!

Zaćmienie Słońca, nawet najpełniejsze, i tak nie daje absolutnej ciemności. W dziwnym niekolorowym półmroku zobaczyłem, że rakietnica spada na ziemię, Andriej chwytą się za głowę i spomiędzy jego palców spływa strużka krwi.

Andriej był ranny!

Nie uwzględnił odrzutu, a ręce miał zbyt słabe, żeby utrzymać wycelowaną w niebo raketnicę. Rozwaliło mu głowę. Do krwi.

Pobiegliśmy do domu i zdaliśmy się na łaskę rodziców. Wybuchła straszna panika, Andriejowi przemyli głowę, obwiązali bandażem i zaprowadzili do szpitala.

Andriej przeżył, rana nie była śmiertelna. Wrócił ze szpitala romantycznie obandażowany, jak czołgista po bitwie.

Wszyscy odetchnęli z ulgą.

Oprócz mnie.

Ja zostałem strasznie poniżony. Po raz pierwszy w życiu.

Nie wiem, jakie rozmowy poprzedzały to zajście, ale mama zaprowadziła mnie do pokoiku pod schodami, kazała się położyć na łóżku i zaczęła chłostać siatką na zakupy. Nigdy wcześniej tego nie robiła, wcale mnie to nie bolało, ale wyobrażacie sobie, co za poniżenie! Ja ryczałem, mama płakała, pozostali dorośli znajdowali się na zewnątrz, ale doskonale rozumieli, że moja mama wymierza rodzicielską sprawiedliwość — w końcu chłopak dorasta bez ojca!

Mama rzuciła siatkę i uciekła do sadu.

Leżałem na łóżku w pokoiku pod schodami i już wtedy rozumiałem, że nie mogę się na mamę obrazić. Najpierw ja i Andriej ukradliśmy znaczki z listów, a teraz wypaliliśmy z raketnicy. An — drieja nie można bić, on, na własne szczęście, jest ranny, ale ja nie i mogą nas wygonić z daczy. Potrzebne mi świeże powietrze, a pieniędzy nie ma. Mama tłukła nie mnie, lecz naszą biedę i zależność od dobrych, szlachetnych ludzi.

O ile pamiętam, po tym lecie przyjaźń naszych mam się skończyła. Może ciocia Lizie jeszcze raz dostało się od Kreina, a może bała się znowu wziąć pod opiekę taką bandę czerwonoskórych?

W następne wakacje zostałem wysłany na obóz pionierski.

A z tego lata pamiętam jeszcze jedno...

Dziadek Korabłow pisał wspomnienia. Nikt nie chciał go słuchać, oprócz mnie. Korabłow mościł się na hamaku i czytał mi na głos. Wspomnienia dotyczyły jego dzieciństwa na Krymie. Nic

ładniejszego w wieku swoich jedenastu lat nie znałem. Pięknym, aktorskim głosem Korablow opowiadał, jak żuczek pełźnie po źdźble trawy i jak motylek siada na kwiatku.

Tym zyskał w moich oczach dodatkową wielkość. Gdyby jeszcze zachowywał się tak samo solidnie jak Krein, zacząłbym go czcić i uwierzyłbym w jego geniusz literacki. Ale Korablow pozostał tak samo niesolidny, a w duszy był nawet chuliganem.

Za to dzięki niemu dowiedziałem się, że prawdziwą literaturę może pisać zwyczajny człowiek, który puszcza najgłośniejsze bąki w całej wsi.

Chyba nigdy więcej nie zobaczyłem Korablowa i jego żony. A kilka lat później mama opowiedziała mi, że on ciężko zachorował i poszedł do szpitala. W tym samym czasie zachorowała jego żona. Przed śmiercią bardzo za sobą tęsknili, ale nie udało im się zobaczyć — umarli jednocześnie w różnych szpitalach.

Wiele lat później przypadkowo spotkałem Marę, która do tego czasu została słynnym reżyserem teatralnym. Gdy przyznałem się, że to właśnie ja byłem tym małym gościem, który niesie w pamięci staruszka Korablowa, zwierzyła się, że gdy dziadek i babcia umierali, jej nie było w Moskwie. Przyjechała na pogrzeb, a potem do ich mieszkania. I zobaczyła, że na podwórku leżą ich rzeczy i meble. Mieszkanie było tak pilnie potrzebne administracji albo komuś wyżej, że nie czekano, aż krewni zabiorą rzeczy.

Zapewne właśnie tam zginęły wspomnienia.

ROZDZIAŁ 5

SZPANOW I TRYLOBITY

Dorosłych, którzy mnie czegoś nauczyli i w dobroczynny sposób wpływali na moje życie, nie było zbyt wielu. Zazwyczaj uśmiechali się uprzejmie, czasem rozmawiali ze mną, udając, że ich to interesuje.

Ale nie wszyscy przemknęli bez śladu.

Najlepiej pamiętam mężczyzn. Kobiety, które nas odwiedzały, były przyjaciółkami mamy, czyli jakby jej wariantami, albo żonami interesujących mnie mężczyzn. Chyba je zwyczajnie ignorowałem. Możliwe, że wpłynął na to brak ojca.

Mój rodzony ojciec nigdy nie zdołał uświadomić sobie roli, jaką odgrywał w moim życiu, i wołał „pomagać Musi materialnie”, a ten przybrany — prawdziwy, ukochany, mądry — mieszkał z nami dwa lata, jak byłem mały, a potem poszedł na front, gdzie przez cztery lata walczył z faszystami, a wreszcie zginął. Możliwe, że przyjeżdżał z frontu kilka razy, ale pamiętam tylko jeden jego przyjazd, gdy poszliśmy na spacer i rzucaliśmy się śnieżkami.

Niedawno znalazłem jego nieliczne listy z frontu. Ciągłe przekonywał w nich mamę, żeby uczyła mnie języków obcych, co jest bardzo potrzebne kulturalnemu młodemu człowiekowi.

Gdy skończyła się wojna, mama nie miała nawet lat czterdziestu, ale wydawała mi się stara jak świat.

Kiedy teraz patrzę na jej zdjęcia, to rozumiem, że była kobietą atrakcyjną i miała ładną figurę (jak starożytnego wieku trzeba dożyć, żeby ocenić figurę własnej mamy!).

Mama miała przyjaciół i, jak sądzę, kochanków.

A oni wszyscy nieświadomie popychali mnie w tym samym kierunku — ku fantastyce.

Jeden z przyjaciół mamy, Wołogdin, mieszkał po wojnie w niewielkim domu w rejonie placu Sobaczego. Chyba był to jednopiętrowy domek.

Z jego mieszkania pamiętam tylko gabinet. Nie mam pojęcia, co było poza jego granicami. Od tamtego czasu upłynęło ponad pół wieku. Oczy pamiętają, ale świadomości trzeba pomagać.

Wołogdin był paleontologiem. I właśnie dlatego ja też postanowiłem zostać paleontologiem. W jego przestronnym, jak myślałem wtedy, gabinecie pojąłem całe piękno tego zawodu. Nie zostałem paleontologiem i do dziś tego żałuję.

Gdy ku swojemu przerażeniu uświadomiłem sobie, że nie pamiętam, jak Wołogdin miał na imię, bez szczególnej nadziei sięgnąłem po encyklopedię. W końcu było wielu paleontologów, poza tym mógł mieć inaczej na nazwisko. Ale w encyklopedii widniało: „Wołogdin, Aleksander Grigoriewicz (1886–1971), geolog i paleontolog, członek korespondent AN ZSRR (1939), główne prace dotyczące regionalnej geologii azjatyckiej część ZSRR, paleontologii (archeocjaty, stromatolity), stratygrafii”.

I wszystko ustawiło się na swoich miejscach.

Wcale nie wydawał się stary. Po prostu wielki człowiek bez konkretnego wieku. Nigdy nie starał mi się przypodobać, na każde moje pytanie odpowiadał spokojnie i bez pośpiechu...

Ściany w gabinecie były obwieszane kartkami brystolu z wy — rysowanymi na nich trylobitami i innymi mieszkańcami pierwotnych oceanów. Jakże piękne, geometrycznie doskonałe i architektonicznie niedościgłe wydawały mi się te powiększone milion razy pierwotniaki, plankton oceanu z triasu...

Przed domem było niewielkie metalowe ogrodzenie. W pamięci pojawia się brzęk — w furtce szcęknięła zasuwka.

U Wołogdina znalazłem roczniki „Ogonioka” ostatnich lat wojny. Poszukiwałem ich od dawna — bardzo chciałem przeczytać do końca ukochaną wtedy powieść Nikołaja Szpanowa „Wojna niewidzialnych”. Jej pierwszą część, „Tajemnicę profesora Burago”, dał mi tata — w sześciu odcinkach, na kiepskim, gazetowym papierze.

Szpanow jako fantasta, moim zdaniem, przewyższał wszystkich pisarzy Massolitu. Wydawał mi się człowiekiem, któremu los podarował samorodek. On wyciągnął z tajgi ten samorodek — swój talent i zaczął pospiesznie oskubywać, odtłukiwać, odłamy — wać od niego małe kawałki, póki nie roztrwonil całej bryłki.

Pamiętam jego portret w czasopiśmie „Wsemirnyj sledopyt” (Wszechświatowy tropiciel) w roku trzydziestym. Jeśli się nie mylę, brał wtedy udział w locie balonem. Oddelegowany przez czasopismo leciał również na poszukiwanie sterowca „Italia”, gdy ratowano ekspedycję Nobilego*. Pisał szkice dokumentalne, związane z awiacją, a w swoim czasie opublikował w „Wokrug swieta” (Dookoła świata) swoją pierwszą powieść „Biegun niedostępności”. Nie pamiętam, o co tam chodziło, chyba akcja toczyła się na łodzi podwodnej.

Nie mam zielonego pojęcia, czym Szpanow zajmował się przez całe dziesięć lat po tym wydarzeniu, ale potem zadziwił naszą ojczyznę fenomenalną lipą — była to powieść bojowa, radość Stalina, pod tytułem „Pierwszy cios”.

Strzał w dziesiątkę!

Powieść została wydana w trzydziestym dziewiątym roku, gdy podpisaliśmy pakt o nieagresji z Hitlerem. Jednocześnie nie należało zapominać, że „lecz jeśli jutro wojna, lecz jeśli jutro w drogę, my już dzisiaj do niej gotowi!”. Od tej chwili wroga nie nazywano po imieniu, a wszystkie antyfaszystowskie książki zniknęły z półek. Usuwano je nawet z bibliotek, żeby nie urazić nowych sprzymierzeńców i przyjaciół.

Drugi, ważniejszy cel miał wypełnić — i wypełnił — Mikołaj Szpanow. W wystarczająco przekonujący i bojowy sposób dowiódł, że nakryjemy czapkami każdego agresora, rozgromimy go niewielkimi siłami, w dodatku na jego własnym terytorium. Tak uczył towarzysz Stalin.

Szpanow zrobił wszystko, jak się należy.

W jego książce wrogowie podnoszą w powietrze swoje powietrzne armie. Nasi wspaniali piloci też podnoszą w powietrze swoje maszyny bojowe. Bez strat, bez zabitych i rannych gromimy agresora, zarzucamy go bombami i czapkami, następnie przenosimy działania wojenne na jego terytorium, zrównujemy jego miasta z ziemią i czekamy, aż wdzięczny naród kapitalistyczny powstanie i zrzuci jarzmo kapitalizmu. Co też wdzięczny naród (a raczej jego niedobita naszymi bombami część) robi.

Nasza historia pełna jest wciąż tych samych dręczących powtórek. A my niczego się nie uczymy. Zresztą nikt nigdy nie uczy się na własnych błędach.

Książka Szpanowa została zaakceptowana na samej górze. Właśnie w taki sposób należy przygotowywać się do zwycięskiej wojny.

Szpanowa zaczęto wydawać energicznie i w ogromnych nakładach. Szczególnie dużo wydano w serii „Biblioteczka dowódcy” wydawnictwa Narodowego Komisariatu Obrony. A jeśli robi się coś takiego w Związku Radzieckim, to znaczy, że książka staje się instrukcją działania.

Wyobrażam sobie, jak klęli Szpanowa dowódcy, którzy w 1941 roku uciekali przed faszystami albo oddawali się do niewoli.

Pisarz zgadł. Trafił w sedno. Ale nie zdążył otrzymać nagrody stalinowskiej — jego książka

* Nobile Umberto (1885–1978), włoski konstruktor sterowców i podróżnik polarny, generał. W 1926 sterowcem własnej konstrukcji dokonał wraz z R. Amundsenem i L. Ellsworthem lotu nad biegunem północnym. W 1928 osiągnął biegun północny po raz drugi sterowcem „Italia”, który w drodze powrotnej uległ katastrofie.

znalazła się na indeksie i została usunięta z bibliotek.

Wtedy Szpanow wziął się za powieść fantastyczną innego rodzaju. O ile „Pierwszy cios” był fantastyczną utopią, to „Tajemnica profesora Burago” — powieścią przygodową. A właściwie epopeją przygodową z kilkoma fantastycznymi liniami. Jej akcja toczyła się głównie w czasie wojny i była pisana jakby „śladami wydarzeń”. Sześć pierwszych odcinków ujrzało światło dzienne w czterdziestym drugim roku.

Wtedy też ujawniła się zasadnicza wada tej prozy: nadmierna gadatliwość. Szpanow okazał się narratorem, który nie potrafi się powstrzymać. „Pierwszy cios”, jak sądzę, powstał w ciągu tygodnia, było to pilne zamówienie partii (a może domysł własny Szpanowa), „Tajemnica profesora Burago” zaś powstawała nie siąc po miesiącu i na skutek nieobecności podobnych utworów w naszej literaturze cieszyła się nie mniejszą popularnością niż „Pierwszy cios”. Szpanow nie umiał wziąć się w karby, a skoro warunki czasów wojennych przeszkodziły mu wydać „Tajemnicę...” w postaci książki, zaczął pisać kontynuację pod tytułem „Wojna niewidzialnych” i drukować ją w „Ogonioku”. Jeśli się nie mylę, w 1944 roku.

I właśnie te „Ogonioki” z ową kontynuacją czytałem na kanapie w gabinecie Wołogdina, a ze ścian spoglądały na mnie trylobity, amonity i najbardziej pierwotne morskie rozwiazdy.

W pamięci utkwiała mi straszna chwila. Otóż pewnego pięknego dnia przeczytałem kolejny numer — pod koniec bohaterowie trafiają na lód na północ od Murmańska; jak mi się zdaje, wydarzenia były powiązane z angielskim konwojem polarnym. I wtedy okazało się, że nie tylko Niemcy są niewidzialni (oni już dawno ukradli nam tajemnicę niewidzialności), ale nasi marynarze również znikli...

Wziąłem do ręki kolejny numer „Ogonioka” z grubej sterty czasopism leżących na szafeczce obok zapadniętej skórzanej kanapy i stwierdziłem, że dalszego ciągu brak.

Rzuciłem się do przeczytanego przed chwilą numeru. Na końcu widniały słodkie słowa: „Ciąg dalszy nastąpi”.

Jednak ciągu dalszego nie było!

Może zapomnieli wydrukować kontynuację w tym numerze, ale potem spostrzegą pomyłkę i wznowią publikację pasjonującej powieści?

Niestety. Ani w następnym, ani w jeszcze następnym, ani w żadnym innym numerze „Wojny niewidzialnych” nie było. Pisarz Szpanow obrzydlł wszystkim. A może przyszła odgórna dyrektywa. Nie wiem.

Ale jego los na tej powieści się nie zakończył.

Straciłem Szpanowa z pola widzenia na kilka lat i przegapiłem moment, gdy znowu ruszył do ataku na sławę. W dodatku z powodzeniem.

Okazało się, że pod koniec lat pięćdziesiątych ostatecznie oderwał się od fantastyki i stworzył kilka nieprawdopodobnie opasłych tomów, przez które trudno przebrnąć, po tysiąc stron każdy. „Podżegacze”, „Spiskowcy”, „Huragan” były poświęcone zdemaskowaniu nie tylko amerykańskich imperialistów oraz szanghajnistów, ale także Tito i jego krwawej sfory. Na okładkach płonęły ruiny i atakowali czytelnika straszni podżegacze wojenni, szalenie przypominający Churchilla.

Wraz z każdym zakrętem w naszej polityce, z minimalnymi zmianami w obozie wrogów bądź przyjaciół, Szpanow rzucał się do poprawiania wolumenów i kolejne sto tysięcy cegieł rzucono na lady. Spróbujcie zapytać dzisiaj, czy któryś z waszych znajomych czytał te księgi. Założę się, że żaden.

W końcu Szpanow zdobył sławę na miarę państwową. Nie tak głośną, jak w czasie przyjaźni stalinowsko — hitlerowskiej, ale zupełnie realną. Znalazła wyraz w nagrodzie stalinowskiej.

Trzy tysiące stron w ciągu trzech lat. I w każdym wydaniu kolejne, niekończące się zmiany i

poprawki... Najwidoczniej Szpanow nie wytrzymał takiego napięcia i zmarł. Jako stosunkowo niestary człowiek.

W czasach „Wojny niewidzialnych” o niczym podobnym jeszcze nie było mowy, sam Szpanow był dopiero w drodze do nagrody. Ale obrażony byłem straszliwie, tym bardziej że podejrzewałem czasopismo „Ogoniok” o wrogą rozprawę z twórcą Witemy — Wolfa, kapitana Najdenowa i admirała Burago.

Domek, w którym mieszkał Wołogdin, na pewno został zburzony, stał na trasie Nowego Arbatu. Ale gabinet paleontologa — schematy i wykresy, grafiki i rysunki trylobitów na ścianach, czasopisma „Ogoniok” na szafeczce przy czarnej skórzanej kanapie... To wszystko weszło we mnie i choć na pół zapomniane, pozostało.

Z innymi przyjaciółmi mamy, którzy mieszkali naprzeciwko nas na ulicy Siwcew Wrażek, wiąże się moja znajomość z prawdziwymi książkami.

Przedtem książki były dla mnie jedynie źródłem lektury.

Książka dobra czy niedobra, wartościowa czy zwyczajna — nie widziałem żadnej różnicy.

Nasz dom, wybudowany w latach trzydziestych, był zwykły, nudny i służył jako wypełnienie przestrzeni pomiędzy dwoma wielopiętrowymi przedrewolucyjnymi kamienicami czynszowymi. Dom, w którym mieszkali Golcowie, nie był zabytkowy, ale za to solidny, z początku wieku. Po obu jego stronach zachowały się parterowe domki, biedne, podobnie jak wiele innych domków w naszych zaułkach.

Nie pamiętam schodów ani wejścia do domu, w którym mieszkał Władimir Wiktorowicz i ciocia Julia, jego piękna żona. Ale wewnątrz tego mieszkania żyje w mojej pamięci, ponieważ były tam dwie rzeczy, które mną wstrząsnęły i zdeteminowały moje życie. Chociaż byłem w tym domu zaledwie dwa czy trzy razy, Władimir Wiktorowicz zaproponował mi napisanie opowiadania (miałem wtedy jakieś trzynaście lat). Spełniłem jego prośbę, ale nie odważyłem się przynieść tego dzieła. To znaczy, gdyby Golcew o tym wspomniał, pomknąłbym do niego ze swoim pierwszym opowiadaniem jak na skrzydłach. Ale on nie wspomniał. Nie wiem dlaczego, może zapomniał?

Zawsze szokowali mnie poeci, w których żyje szczególna, szlachetna odmiana poetyckiej bezczelności. Młody poeta obowiązkowo wdziera się do domu poety wybitnego i deklamuje mu swoje młodzieńcze wiersze. Nawet jeśli wybitny nie ma na to ochoty. Przy czym poeci bynajmniej nie wstydzą się tej cechy. Doskonale pamiętam, jak przemili, dobry i skromny Walentyn Berestow opowiadał o swoich dziecięcych wędrówkach po domach poetów i naprzykrzaniu się Marszakowi. Otwórzcie „Klaser” mojego kolegi z instytutu, Andrieja Siergiejewa, który dostał za tę książkę nagrodę Bookera w 1996, i dowiecie się, jak Andriej i inni poeci zjawiali się u prawdziwych poetów i zmuszali ich do słuchania swoich utworów.

— Ja przynależę do prozaików i zawsze czuję się niezręcznie, pokazując swoje dzieła innym ludziom. Raz jeden gotów byłem pokazać opowiadanie Golcewowi, ale się nie zdecydowałem, a drugi raz posłałem swoją pracę Feliksowi Zigelowi, przewodniczącemu kółka astronomicznego w planetarium. Trzeba było napisać artykuł, a ja napisałem opowiadanie o locie na Księżyc. Jak na złość, akurat wtedy się przeziębilem i utwór zaniósł do planetarium mama. Nikt nie odpowiedział, nikt nie docenił mojej pracy. Nigdy więcej nie poszedłem do planetarium.

Gdy otwierały się najzwyczajniejsze drzwi do domu Golcewów, wchodziłem w czarodziejski świat, który miał swoje korzenie.

Ja wyrosłem w domu bez korzeni. Wszyscy wokół mnie żyli w świecie bez korzeni. Rodzice moich kolegów z klasy i sąsiedzi w naszym domu przyjechali do Moskwy skądś i urządzali się, jak mogli. W naszych mieszkaniach nie było starych przedmiotów, pamiątek. Czasami ludzie specjalnie się ich pozbywali, żeby przypadkowy gość nie odniósł wrażenia, że oni są „byli”.

Natomiast dom Golcewów był spadkiem po ojcu, słynnym publicyście Wiktorze Golcewie, i kontynuował tradycje starych przyjaciół domu: Czechowa, Michajłowskiego, Amfiteatrowa.

W naszym domu były rzecz jasna książki, ale zostały głównie po moim ojczymie, wujku Jaszy, który kupował je przed wojną. To były prawie wyłącznie nowe książki, częściowo naukowe, a częściowo pożyteczne. „Życie zwierząt” Brehma, „Historia artylerii”, w której pomalowałem ilustracje, słownik angielsko–rosyjski i zdumiewająca książka w języku angielskim: „Historia Anglii od Wilhelma Zdobywcy do królowej Wiktorii”, na grubym papierze z kolorowymi ilustracjami. Teraz mam wrażenie, że było w niej mnóstwo pokolorowanych grawiur, które w zabawny sposób opowiadały o historii Albionu. Ale wtedy angielskiego nie znałem, a książka nie wzbudzała we mnie palącego pragnienia nauczenia się go natychmiast.

U Golcewów nie stała biblioteczka ze szklanymi drzwiczkami, jak we wszystkich znanych mi domach. Ściany, od podłogi do wysokiego sufitu, zastawiono regałami. Były to jakby książki — ściany. Ale najbardziej wstrząsnęła mną jedyna oszklona szafa, chyba zabytkowa i też wypełniona książkami. Otóż okazało się, że to wcale nie książki, tylko inkunabuły. To znaczy książki, które zostały wydane w pierwsze sto lat po tym, jak Gutenberg puścił w ruch swoją pierwszą maszynę drukarską.

Golcew miał kolekcję inkunabułów! Słowo honoru!

Otwierałem inkunabuły (Golcew mi na to pozwalał) i widziałem na karcie tytułowej datę wydania — czasem w cyfrach rzymskich (które znałem), a czasem w arabskich. I okazało się, że ten niewielki, gruby tomik w skórzanym ubranku trzymał w ręku Kolumb, a ten, w białej okładce z cielejącej skóry, wydany nieco później, pochodził z biblioteki Diirera. I nawet ma jego notatki na marginesach. Golcew pokazywał mi podpis Diirera, przypominający japońską świątynię albo chińskie hieroglify. A ja w tym czasie wiedziałem już co nieco o Durerze i miałem nawet zamiar zostać malarzem. Wkrótce moje marzenie legło w gruzach.

Stałem przed tą szafą, oniemiały z bibliofilskiego szczęścia, choć wtedy jeszcze nie podejrzywałem w sobie takich uczuć.

Nie wszędzie ściany były zastawione regałami. Pomędzy stelażami znalazło się miejsce dla obrazów.

Obrazy spowodowały drugi wstrząs. Wyglądały, jakby namalowało je mało zdolne dziecko. Doskonale pamiętam płótno z wielbłądem. Nawet ja bym lepiej narysował.

W tym czasie miałem bardzo słabe wyobrażenie o malarstwie innym niż Surikowa, ale po powrocie do domu w żaden sposób nie mogłem przegnać z myśli tego wielbłąda i uczujących ludzi w czarnych czerkiesach. Dobroduszny, wielce zadowolony ze mnie jako słuchacza Golcew opowiadał, jak jeszcze przed rewolucją żył w Tbilisi taki dziwny człowiek, Niko Pirosmani*, który nigdzie się nie uczył, tylko chodził od duchana do duchana i malował tam ściany albo szyldy. Za to częstowano go winem i szaszłykami.

Ludzie rozumieli, że jego nieumiejętność rysowania jest właśnie przejawem talentu. Nie można było nauczyć go rysunku, ponieważ wtedy przestałby być Pirosmanim.

Przychodziłem do Golcewów patrzeć na te dziwne, hipnotyzujące obrazy.

I gdy jakiś czas później czytałem o Pirosmanim w książce wspomnień Paustowskiego, dla mnie, w odróżnieniu do pozostałych mieszkańców mojego ogromnego kraju, Pirosmani nie był wątpliwym wynalazkiem inteligentów czy gruzińskich nacjonalistów, lecz prawdziwym, od dawna lubianym malarzem.

* Pirosmanszwili Niko, N. Pirosmani (1862–1918), gruziński malarz samouk, przedstawiciel sztuki naiwnej, początkowo malował szyldy, portrety i pejzaże. W 1912 odkryli go przedstawiciele rosyjskiej awangardy i odtąd datuje się zainteresowanie jego sztuką.

Wkrótce po spotkaniu z Pirosmanim ja, być może wcześniej niż należało, przeczytałem kilka gigantycznych powieści o Gruzji — największą pod względem objętości był „Wielki Mourawi” autorstwa Antonowskiej. W ośmiu albo dziewięciu tomach opisano historię życia Georgia Saakadze, siedemnastowiecznego bojownika walczącego z Persami i innymi wrogami Gruzji, włączając wrogów wewnętrznych. Wewnętrzne swary i wojny zawsze były największym nieszczęściem Gruzji.

Druga gruba powieść napisana przez gruzińskiego autora, Konstantego Gamsachurdija, nazywała się „Porwanie księżycy”. Przez dłuższy czas była to dla mnie najważniejsza książka. Szczególnie wstrząsnęło mną to, że autor, naruszając wszelkie prawa literaturoznawstwa, zszedł nagle na stronie książki nie tylko jako świadek, lecz jako aktywny uczestnik wydarzeń.

Wkrótce potem siadłem do rysowania dużego obrazu. Na pół arkusza brystolu. Przedstawiłem na nim bitwę Tariela z panterą śnieżną.

Moje dzieło nie było bynajmniej oryginalne. Starannie skopiowałem je z ilustracji Zichy’ego do książki „Rycerz w skórze tygrysa”.

Gruzja stała się krainą moich marzeń.

Dopiero w wieku piętnastu lat mogłem się do niej zbliżyć — podczas obozu młodzieżowego w Wąwozie Cejskim w Osetii. Wtedy zawieziono nas do Tbilisi na wycieczkę. Na jeden dzień.

Z wiekiem zacząłem obrastać w gruzińskich przyjaciół, moje podróże do Gruzji nabrały realnego sensu po zawarciu znajomości z Otarem Lordkipanidze i dzięki ekspedycji archeologicznej, w której uczestniczyłem dwukrotnie.

ROZDZIAŁ 6

SZKOLNE KARTKI

Dokładnie pamiętam okoliczności powstania pierwszego w moim życiu utworu literackiego. Był to poemat.

Niektórzy wielcy poeci piszą pierwsze linijki, ponieważ zakochują się w swojej rówieśnicy albo jej cioci. Mnie do twórczości popchnęły chore migdałki.

Gdy skończyłem trzynaście lat, w celu uniknięcia częstych angin, źle wpływających na serce, lekarze zalecili mi wyciąć migdałki. To była najprawdziwsza operacja. Leżałem na oddziale chirurgii, sam jeden w sali i czekałem na rano i na śmierć pod nożem chirurga. ŚmieJCie się, śmieJCie. Mnie wcale nie było do śmiechu.

Nie mogłem zasnąć. I nagle, w środku nocy uświadomiłem sobie, że jest sposób, by uratować się przed zapomnieniem. Trzeba stworzyć coś genialnego.

W efekcie powstała krótka, niedokończona (w końcu jednak zasnąłem!) bajka, rozmiarem i stosunkiem do bohaterów bardzo przypominająca „Rusłana i Ludmiłę”. Tylko gorzej napisana.

.Nic więcej o tym poemacie powiedzieć nie mogę.

Pamiętam, jak pisałem, pamiętam, jak się bałem, ale o czym pisałem — nie pamiętam.

Migdałki mi wycięli — to było ohydne i bolesne. Czekałem, że po operacji będą mnie karmić wyłącznie lodami (legenda żyjąca wśród moich kolegów), ale dostawałem kaszę i bulion.

Wtedy poprosiłem, żeby mama przyniosła mi papier i ołówek. I postanowiłem zostać malarzem. Siedziałem przy oknie i rysowałem wszystko, co widziałem.

Od tamtej pory po dziś dzień marzę o tym, żeby zostać malarzem. Jestem pewien, że byłby ze mnie całkiem znośny malarz i byłbym szczęśliwy. Ale los uśmiechnął się do mnie na ułamek sekundy i odwrócił wzrok.

Po wyjściu ze szpitala poprosiłem mamę, żeby posłała mnie do szkoły rysunku. Mama po zastanowieniu zgodziła się ze mną. Była przekonana, że inteligentne dzieci powinny mieć dodatkowe zajęcia po szkole. I dlatego kupiła nam fortepian, który zajął dokładnie połowę pokoju, my gnieździliśmy się wokół niego. Trzy razy w tygodniu przychodziła do nas przemiła babcia i grałiśmy gamy. Nie wyszedłem poza gamę chromatyczną. Co rano budziłem się z nadzieją, że miła babcia wpadnie pod tramwaj. Rok później babcia, mimo że bardzo potrzebowała pieniędzy, powiedziała, że nie ma sensu tak się poświęcać materialnie i uczyć mnie tego, do czego nie mam predyspozycji.

Za to do szkoły rysunków przy metrze Park Kultury chodziłem z radością. Uwielbiałem nawet zapachy tej szkoły. Uczyłem się w niej cały rok, skończyłem pierwszą klasę, a potem mama zdobyła dla mnie skierowanie do Kisłowodzka do sanatorium dla dzieci chorych na serce.

Skierowanie było na wrzesień. Karmili nas tam słoniną i gotowanymi burakami — dreszcz mnie przeszywa na samo wspomnienie. Za to można było kąpać się w wannach z łaskoczącą wodą mineralną, a wieczorami uczyli nas tańców balowych. Tańczyłem pas-de-grasse i pas-de-patiner ze Świętą Asmołową i zakochałem się niej. W kinie pocałowałem ją w policzek, a ona się na mnie nie obraziła. Na tym romans się zakończył. My, dzieci z sanatorium, weszliśmy w konflikt z dziećmiakami z domu dziecka. Przyszli, żeby dać nam łupnia, a my wyciągnęliśmy żelazne pręty, którymi na schodach był przyciśnięty dywan. Przeciwno ich pałkom i pewności siebie pojawiła się broń nowego pokolenia. Wychowankowie domu dziecka odeszli.

Remis, zero do zera.

No i w efekcie spóźniłem się miesiąc na rozpoczęcie zajęć w szkole rysunku i już nie

odważyłem się tam pójść. Nie wiem, czego się bałem — może tego, że będą się śmiać, a może, że będą krzyczeć.

Prosiłem mamę, żeby zaprowadziła mnie do szkoły.

Mama roześmiała się i tym śmiechem, sama nie zdając sobie z tego sprawy, złamała mi życie.

Wyśmiała się i powiedziała:

— Niedługo skończysz czternaście lat i chcesz, żebym cię prowadziła za rączkę do szkoły? Jeśli naprawdę pragniesz zostać malarzem i masz talent, to pójdziesz sam i poprosisz, żeby przyjęli cię z powrotem.

Mama знаła mnie dobrze, a jednak niewystarczająco.

Jestem człowiekiem o słabej woli, niezdecydowanym i z tego powodu bywam bardzo uparty. To zapewne kompensacja niedostatków charakteru. Absolutnie nie umiem mówić „nie”, ale jeśli czegoś naprawdę nie chcę, to nikt nic na to nie poradzi. Dlatego czasem jestem dla samego siebie najstraszniejszym wrogiem. Jak w przypadku tej szkoły rysunków. No i dobrze! — powiedziałem sobie. Nie chcesz, żeby twój syn został malarzem, to na złość tobie malarzem nie zostanę!

Czujecie żelazną logikę silnej natury?

Oto ja.

Oczywiście do głowy mi nie przyszło, że mama jest śmiertelnie zmęczona, że dopiero wróciła z pracy, wystąpiła się w kilometrowych kolejkach, zaraz da nam kolację i weźmie się za pranie. A w nocy będzie farbować chusteczki... Nie miała nawet czterdziestu pięciu lat, jeszcze całe życie i miłość przed sobą, a zdążyła najwyżej przespać się pięć godzin i mknęła karmić swoje pisklęta. Dwoje dzieci i oboje bez ojca.

A co ja i Nataszka z tego rozumieliśmy? Rośliśmy i żądaliśmy: jeszcze!

Dopiero teraz jest mi wstyd, a przecież nie da się przekazać tego doświadczenia następnemu pokoleniu. Mama na starość chorowała, miała problemy z chodzeniem, potem złamała szyjkę kości biodrowej i męczyło ją, że z gospodyni domu otwartego dla przyjaciół i znajomych przemieniła się w staruszkę mieszkającą w domu niezbyt lubianego zięcia. Nie chciała się przeprowadzać, ale sytuacja była bez wyjścia. Mama nie mogła chodzić, nie mogła zostać bez opieki, a my byśmy ją najwyżej odwiedzali, żadne z nas nie mogło zamieszkać u niej na stałe. Nataszka zabrała mamę do siebie.

A ja ciągle się spieszyłem. Przyjeżdżałem ze dwa razy w miesiącu, wychodziłem z mamą na spacer, załatwiałem jej raz i drugi miejsce w domu wczasowym. Mnie czas mknął, mamie się dłużył. Zawsze na mnie czekała. I oczywiście, kochała mnie znacznie bardziej niż Nataszkę i swoją wnuczkę Julkę, nie mówiąc już o mężu Nataszki, Wołodii. Przecież oni byli pod bokiem — a to zupy nie podgrzeją, a to łazienkę zajmą nie w porę. A ja przybiegałem z bukietem kwiatów i torcikiem. Spoglądałem na zegarek, siadałem obok łóżka i tak naprawdę nie obchodziły mnie mamine klótnie z Julka czy zawartość czasopisma „Nowyj mir”. Cmokałem mamę w policzek i pędziłem dalej. W poczuciu spełnionego obowiązku.

Mama umarła. Julka po skończeniu aspirantury na wydziale fizyki Uniwersytetu Moskiewskiego pojechała na staż do Niemiec, gdzie wyszła szczęśliwie za mąż. Kiedyś zadzwoniła do mnie i — co się zdarza — nie wytrzymała, wygarnęła mi wszystko. Nie pamiętam dokładnie słów, ale sens był taki: „Dobrze było być ukochanym syneczkiem Igoreczkiem! Wspaniale się urządziłeś, nie ma co! A wynoszenie nocników, mycie jej w wannie, takiej ciężkiej i nieruchomej, wysłuchiwanie jej kaprysów i przesiadywanie po nocach, gdy chorowała, to wszystko zostało dla mnie i mamy! Do tej pory cię za to nienawidzę!”.

Jak ja się wtedy obraziłem!

Ponieważ wiedziałem, że Julka ma absolutną rację.

Bóg dał mi wspaniałą, niezwykłą matkę, której zawdzięczam wszystko. A ja traktowałem ją jak

coś stałego, wiecznego. Dlaczego miałem jej być wdzięczny? To przecież matczyne obowiązki. Przyjmołem jej miłość jak coś oczywistego...

W czasie wojny i zaraz po mama brała pracę do domu — farbowała jedwabne chusteczki albo kolorowała diapozytywy na tematy higieniczne, które potem wisiały w korytarzach przychodni rejonowych.

Tata trochę nam pomagał.

Właśnie z jego pomocą związana jest jedyna w moim życiu utrata przytomności.

W czasie wojny ojciec wydzielał nam część swojej kartki żywnościowej B.

Kraj wypracował skomplikowany system przywilejów i ulg, które istniały do początku lat dziewięćdziesiątych. A ponieważ tata znajdował się na bardzo wysokim szczeblu drabiny społecznej, zostawały mu pewne zbędne produkty.

Sklep spożywczy, w którym zaopatrywali się wielmoże drugiego gatunku, mieścił się na placu Dzierżyńskiego, na początku ulicy 25 Października, obok metra. Stoi tam do dziś, nawet stiuki na suficie pozostały takie same. Niewiele się zmieniło.

Mama kupowała w tym sklepie smalec i cukier — artykuły bardzo potrzebne. Kiedyś wzięła mnie ze sobą. Gdy ona stała w niewielkiej, uprzejmej kolejce żon odpowiedzialnych towarzyszy, którym nie powinno z powodu jakiejś tam wojny niczego zabraknąć, ja wędrowałem od wystawy do wystawy. Patrzyłem na kielbasy i sery z pewną zawiścią, lecz jasno rozumiejąc, że nie zasłużyłem na nie. Ale przed wystawą z tortami i ciastami straciłem duchową równowagę.

W roku czterdziestym trzecim, na placu imienia człowieka troszczącego się o dzieci ulicy, które on sam wraz ze współbojownikami uczynił sierotami, w sklepie ze starannie zasłoniętymi oknami była cała wystawa tortów, ciast i wyrobów czekoladowych.

Czemu w żadnej antytopii nie znalazło się miejsce dla takiego kadru?... Czytelnik by nie uwierzył?

Miałem przyjaciela, numizmatyka, którego żona pracowała w KC KPZR jako sekretarka. Bardzo mili ludzie, w czasie niektórych świąt dzielili się z nami zamówieniem. Działo się to w latach osiemdziesiątych, gdy z artykułami spożywczymi było tak źle, że czasem po pracy sterczało się kilka godzin w kolejce po wątpliwą kielbasę. Zamówienia cukiernicze — tort, ciasto berlińskie, migdałowe i jakieś porządne czekoladowe cukierki — odbierało się w budynku KC, w ich stołówce.

Kira nie chciała tam chodzić, czując wrogość do tej KC–publiki, ale ja chodziłem. Człowiek miał ochotę na coś słodkiego. I zawsze czułem lęk. Byłem tam jedynym brodatym odbiorcą dóbr. Bałem się, że mnie zdemaskują i wyprowadzą z tej błyszczącej, piętrowej stołówki.

Ale jakoś się udawało.

Z zamówieniem kielbasowo-serowo-mięsnym było prościej. Wydawano je w GUM-ie, na lewo od wejścia. Przy drzwiach stał bardzo uprzejmy milicjant, a sprzedawczynie w wykrochmalonych fartuchach biegały pomiędzy półkami, wyciągając ładnie zapakowane paczki.

Sześćdziesiąt lat przeżyłem w antytopii, tak nudnej, realistycznej i nużącej, że nikt nie miał ochoty jej opisać.

A przecież to wszystko zaczęło się od list zaopatrzenia w artykuły spożywcze towarzyszy żyjących na Krymie w 1918 roku. I od zdjęcia „Wręczenie ciastka — nagrody przodownikom na budowie kanału Białomorsko-Bałtyckiego” w specjalnej eleganckiej książce poświęconej tej budowie, napisanej przez cały sztab radzieckich pisarzy, z Katajewem i Zoszczenką na czele.

...W sklepie wszystko się dobrze skończyło, przyniesiono mi szklankę wody. W drodze powrotnej mama przez cały czas powtarzała, jak strasznie się bała, czy te damy nie pomyślą sobie, że chłopiec zemdlał z głodu. A przecież to nieprawda! Jej dzieci nigdy nie głodowały!

Oczywiście. Ani ja, ani Nataszka nie głodowaliśmy. Ale zdarzało się, że głodowała mama i na

długo zachowała nawyki czasów głodu. Kiedyś, jak już żyliśmy normalnie, mama kupiła pomarańcze i Nataszka spytała: „A ty czemu nie jesz?”. Na co mama: „Przecież wiecie, że nie lubię pomarańczy”.

I tak już zostało — mama nie lubi pomarańczy.

A ja nawet w czasach największego głodu nie mogłem jeść sufletu. Trudno wyjaśnić, co to właściwie było — coś w rodzaju słodzonego mleka sojowego. Nie cierpiałem też masła kokosowego, które czasem dawali na kartki. Za to nie znałem nic wspanialszego od amerykańskiej kiełbasy konserwowanej.

No a w szkole dawali rogaliki z powidłami. I herbatę.

Innym było trudniej. Ale jeść chciało się zawsze.

Jak już mówiłem, mój tata był radzieckim wielmożą czasów wojny, który znał smak życia, jeździł na wyścigi i do restauracji, utrzymywał stosunki z magnatami szarej strefy, którzy już wtedy istnieli. Pamiętam jednego z nich. Jego sklep deficytowych towarów sportowych mieścił się dokładnie pod biurem taty — na ulicy 25 Października. Jeśli się nie mylę, nazwisko tego radosnego grubasa brzmiało Maas.

W tym powojennym okresie bogaci byli również ciocia Ksenia i wujek Pietia.

Kiedyś zatrzymali się w nowym mieszkaniu ojca na ulicy Worowskiego.

Tata wezwał mnie do siebie. Wszedłem po eleganckich schodach, a drzwi otworzył mój młodszy brat Siergiej, któremu błyszczały oczy od zdumiewającego widowiska.

Zaprowadził mnie do kuchni.

Kuchnia była wąska i długa, chyba na osiem metrów.

W jednym końcu kuchni stał wujek Pietia w wojskowych bryczesach, podkoszulku i lśniących butach. Mam wrażenie, że nigdy tych butów nie zdejmował.

W drugim końcu stała ciocia Ksenia.

Każde z nich miało pod ręką skrzynkę.

Wyjmowali z niej filiżanki, talerze i rzucali w siebie. Podłoga była usłana różnokolorowymi odłamkami.

Jak rozumiem, przywieźli te naczynia z krajów nadbałtyckich, które udało im się wyzwolić po raz drugi w ciągu pięciu lat.

Wkrótce potem wujek Pietia pojechał służyć w Polsce, a ciocia Ksenia z dziećmi została w Kałudze, gdzie pracowała w sieci zbiorowego żywienia, żeby móc jeść ciastka.

To był dopiero początek tej niewiarygodnej historii.

Gdybym nie został fantastą, po tym jak ją poznałem, nie byłbym godzien żyć w Kraju Rad.

Wujek Pietia w randze pułkownika i z tytułem specjalisty od aprowizacji wybył do Warszawy. Żył mu się tam dobrze, stanowisko na to pozwalało. Głodne polskie kobiety były przychylnie usposobione do pułkownika Sikorskiego, pochodzącego z porządnej polskiej rodziny.

Zakochał się w pięknej pani Ożydowskiej, zrujnowanej przez wojnę młodej wdowie po prezesie banku. Pokochał ją namiętnie i wszystkie nielegalne dochody rzucał do jej stóp, obiecywał, że się z nią ożeni, i kompletnie zapomniał o cioci Kseni i potomkach. A ciocia Ksenia, która od dawna nie otrzymywała wieści z Polski, wyczuła śmiertelne zagrożenie i zaczęła prosić, by pozwolono jej jechać do męża. Nikt nie chciał jej puścić, ale szła jak czołg, przebiła się do starosty narodowego, dziadka Kalinina, wdarła się do jego gabinetu z pięciorgiem czy sześciorgiem dzieci i padła mu do nóg! Staruszek nie wytrzymał presji.

Cioci wydzielono przedział w pociągu pasażerskim i ona, niczym grad, spadła na głowę zakochanego Pietii.

Co miał człowiek zrobić, skoro dowództwo zostało poinformowane?

Wujek Pietia udał, że pogodził się z losem, a w tajemnicy uciekał pod wagonami, żeby Ksenia straciła trop, wsiadał do pociągu podmiejskiego i gnał do pani Ożydowskiej.

Ciocia Ksenia nie wytrzymała. Wyśledziła go pod wagonami i napisała, gdzie trzeba.

Wujka Pietię, rozeźlonego na żonę, odesłano z Polski do Lwowa. Tam osiadł na rok czy dwa.

Ale miłość nie wygasła.

W czterdziestym dziewiątym roku trzecia kariera taty zakończyła się katastrofą.

Trwała walka z syjonizmem.

Wszyscy zastępcy taty i większość sędziów byli Żydami.

Przeprowadzono rewizję w biurze, którego okna wychodziły na Mauzoleum Lenina. W piwnicy, jak opowiadał potem jeden z przyjaciół ojca, którzy wtedy ucierpieli, znaleziono „dyżurną” łopatę. Tą łopatą sędziowie Żydzi robili podkop pod Kreml, żeby zabić towarzysza Stalina. Wcześniej łopaty używali trockiści i zinowjewowcy*.

Wszystkich spiskowców aresztowano, ojca zaś zwolniono z pracy i tymczasowo usunięto z partii za utratę czujności.

A mój tata zaczął wyklądać „prawo i państwo”. Pod koniec życia nawet obronił w końcu doktorat i wezwał mnie, żebym powitał na dworcu oponentów, którzy przyjechali do niego z innych miast (miało to związek z kolejnymi intrygami w świecie prawników). Ja niosłem ich walizki, a ojciec mówił: „To mój syn Igor, kandydat nauk”.

Zacząłem już wtedy pisać fantastykę, ale ten rodzaj literatury nie mieścił się w wyobraźni taty. Ojciec nigdy się nie domyślił, że jestem prawie prawdziwym pisarzem.

Tata był wysokim, potężnym mężczyzną przy tuszy i mówił głębokim basem, którego nie odziedziczyłem. Lubiał śpiewać w czasie biesiad. Wstawał i śpiewał basem: „Jakby mi tu zdobyć cześć i na Putywlu kniazem sięść”. Zawsze miał młode kochanki, chociaż ostatnie lata przeżył w biedzie. W jego mieszkaniu były kosztowne i ekskluzywne przedmioty, odbiornik Telefunken, eleganckie meble i ubrania, ale to wszystko pochodziło sprzed 1949 roku. W przeszłości był tam nawet samochód Horch — potwornie długi, należący uprzednio do jakiegoś hitlerowskiego działacza partyjnego.

Będąc człowiekiem zdrowym, choć grubym, tata umiał i lubił się leczyć. Najpierw w „Kremlówce”, potem w zwykłych szpitalach. Pamiętam go ze szpitali. Ciocia Gala, jego żona, też wiecznie chorowała, mój brat Siergiej również, chyba nawet szkoły średniej nie skończył. A gdy tata zachorował po raz ostatni i nie wstawał już z kanapy, akurat zaczęła się wymiana legitymacji partyjnych. Tata wezwał mnie, żebym znalazł fotografa, który zrobiłby mu zdjęcie w domu. Strasznie się bał, że nie wydadzą mu nowej legitymacji i partia odejdzie w świetlaną przyszłość bez niego.

Zawsze się gniewał na mnie za to, że nie chcę wstąpić do partii i nie kocham Lenina. Ale sądził, że z wiekiem się poprawię.

Sam nie był konsekwentny w swoich partyjnych namyślnościach. Kiedyś przyszedłem do niego z wizytą i zobaczyłem nad biurkiem, za plecami ojca wielki portret Stalina. Takiego portretu nie widziałem nigdy wcześniej ani nigdy później. To było bardzo duże zdjęcie: Stalin siedział w swobodnej pozie, odwrócony od biurka i serdecznie uśmiechnięty. Niewymuszona poza, portret do pasa.

— Skąd go masz? — spytałem.

* Termin pochodzi od nazwiska Grigorija J. Zinowjewa, (1883–1936), bliskiego współpracownika Lenina, który w czasach stalinowskich został pozbawiony wszystkich stanowisk (pod zarzutem trockizmu), w 1935 aresztowany i skazany na 10 lat więzienia, po czym ponownie postawiony przed sądem w procesie szesnastu, skazany na śmierć i stracony

Tata zamyślił się i powiedział jakby bez związku:

— W ostatnim czasie dużo czytam Stalina i zrozumiałem, że on jest znacznie lepszym stylistą niż Włodzimierz Iljcz. Pisze bardziej przystępnie, bardziej bezpośrednio. Rzecz jasna to, co ci właśnie powiedziałem, musi pozostać między nami. Niech ci do głowy nie przyjdzie opowiadać o moich poglądach w szkole.

Zapewne tymi wrażeniami ojciec dzielił się nie tylko ze mną i być może, za każdym razem dodawał prośbę o zachowanie tajemnicy, choć nie sądzę, by akurat ta fronda mogła mu w jakiś sposób zaszkodzić.

Przypomniałem sobie to rytualne zachowanie ojca w anty — utopii, gdy — już w naszych latach — zobaczyłem w gabinecie przewodniczącej komisji do spraw nagród wielkie, kolorowe zdjęcie Jelcyna.

Jelcyn siedzi, zwrócony w stronę widza, na pieńku w lesie. Ma na sobie biały sweter, wygląda swojsko i dobroduszenie.

Rozsądna i mądra przewodnicząca komisji nie chciała oficjalnej fizjonomii, przypominającej zdjęcie legitymacyjne. Gdy zmienił się prezydent, pozostawiła portret Jelcyna za swoimi plecami, u szczytu długiego stołu, obok flagi naszego państwa. Najlepszy dowód, jak bardzo zmieniły się czasy!

Po śmierci taty i śmierci cioci Gali, która zmarła zaraz po ojcu (ciocia przez całe życie znosiła eskapady ojca i cierpliwie czekała na niego w kuchni, bo żyć bez niego nie mogła), przeglądałem papiery ojca w biurku. Znalazłem tam dokument o surowej naganie w Leningradzie, materiały o zdjęciu nagany, ankiety, życiorysy, zaświadczenia i nieskończoną mnogość zaproszeń na plac Czerwony na uroczystości siódmego listopada, na tuszyńskie parady powietrzne, na zjazdy rad i partii. I książkę „Umowa gospodarcza w ZSRR”, napisaną na podstawie rozprawy habilitacyjnej, którą ojciec przepisywał cztery razy, ponieważ w tych latach przynajmniej czterokrotnie zmieniło się pojęcie umowy gospodarczej w ZSRR.

Ostatnia katastrofa w karierze taty miała wpływ na nasze życie.

Jak już mówiłem, po rozwodzie rodziców jeden pokój w naszym mieszkaniu oddano współpracownikowi ojca, wujkowi Saszy Sokołowowi.

Był to poczciwy pijaczyna, wobec którego mam straszne poczucie winy.

Wujek przechowywał na antresoli kuferek z przedrewolucyjnymi papierami. I ja w tym kufereku grzebałem. Wyciągnąłem dyplomy nadania odznaczeń i stopni jego przodkom. Zachwycałem się nimi, nikomu nie pokazywałem i miałem szczerzy zamiar odłożyć je na miejsce. Na dyplomach były lakowe pieczęcie zaklejone kwadracikami papieru, tekst był wydrukowany, ale podpisy imperatorów i urzędników wysokiej rangi autentyczne, odręczne — można było dotknąć.

Wujka Saszkę aresztowano w czasie ataku na zastępców ojca. Przespałem tę tragedię. Obudziłem się, a mama mówi (z tym pokazowym spokojem, z jakim wypowiadano podobne zdania w tamtych czasach):

— Igorku, w nocy przyszli po wujka Saszkę.

— Za co?! — krzyknąłem, bo jeszcze wtedy brakowało mi odporności na takie informacje.

— Zapewne — wymyśliła na poczekaniu mama — za jego związki z młodymi ludźmi. Rozumiesz mnie?

— Rozumiem.

— Szczerze mówiąc, zawsze się bałam — mówiła dalej mama. — Wydawało mi się, że on spróbuje cię w to wciągnąć.

O koszyku na antresoli mama nic nie powiedziała czekistom. W końcu miała prawo o nim nie wiedzieć! Ale następnego dnia zadzwoniła do siostry wujka Saszy, która zaraz wywiozła pleciony

kosz. Nie zdążyłem odłożyć dyplomów na miejsce, zresztą nie jestem pewien, czy zrobiłbym to, gdybym miał taką możliwość.

Stamtąd się nie wracało.

Ale gdy jakiś czas później sięgnąłem do swojej skrytki, żeby znowu przesunąć palcem po podpisie imperatora Pawła, nic tam nie znalazłem. Mama wszystko wyniosła na śmietnik. Miała doskonale rozwiniętą wyobraźnię.

Jestem kolekcjonerem. Ludzie dzielą się na kolekcjonerów i tych, którzy nic nie zbierają. To cecha genetyczna. Dziewięćdziesiąt dziewięć procent kolekcjonerów to mężczyźni, kobiety co najwyżej zbierają niezbyt kosztowne przedmioty. Wśród numizmatyków ich nie ma, bo żadna kobieta nie pozwoli sobie na wyrzucenie wielkich pieniędzy za kawałek metalu.

Ja zawsze coś zbierałem. Początkowo znaczki i naklejki z pudełek od zapalek, potem medale, potem ordery, hełmy i czako, epolety i dystynkcje. Z czasem zbieractwo zaczęło ustępować miejsca pisaniu o dystynkcjach czy orderach.

Tamtych dyplomów nie oplakiwałem zbyt długo. Byłem dzieciakiem. Ale teraz żałuję. Bardzo żałuję.

Tragedia Rosji polega na tym, że wszystkie pamiątki — dokumenty, ordery, epolety, dystynkcje, wszystko było konsekwentnie i nieustannie niszczone.

Anglik tego nie rozumie, dla Francuza czy Niemca, którzy też przeżyli ciężkie czasy to nonsens. A w naszym kraju walciono nie tylko z ludźmi, ale również z rzeczami. I jeszcze jak walciono!

Wojna domowa i rewolucja uniosły ze sobą masę cennych rzeczy i dokumentów. A to, co nie zostało zniszczone, wywożono za granicę.

W latach dwudziestych pojawił się Torgsin (sklepy komisyjne), taka Bieriozka* czasów NEP-u. Tam oddawano złote przedmioty (w tym ordery) na przetopienie. Zdający otrzymywał bony.

A rok trzydziesty, trzydziesty siódmy i inne lata? A wojna z faszystami i okupacja połowy europejskiej części kraju? A pragnienie wyprzedania wszystkiego, co się tylko ma, w ostatnich latach? Po order Świętego Andrzeja Pierwszego Powołania* lepiej pojechać do Paryża. Tam kupicie. Tak właśnie robią bogaci kolekcjonerzy.

A rękopisy — jak wiadomo — płoną.

Wkrótce po aresztowaniu wujka Saszy jego pokój oddano niewysokiej rangi czekistom — szoferowi Borysowi i jego żonie Katerinie. I zaczęło się dla nas życie w prawdziwej komunałce. Współlokatorzy stale grozili mamie donosami, bo bardzo chcieli zagarnąć całe mieszkanie, ale na nasze szczęście, większy metraż im nie przysługiwał. Nasze mieszkanie przemieniło się w komunałkę gorszego typu — z podziałem palników i krzykami w kuchni. Zresztą wszyscy moi przyjaciele i koledzy z klasy, którzy też mieszkali w komunałkach, twierdzili, że nasz wariant jeszcze nie jest taki zły.

Mieszkaliśmy w domu numer 21 na ulicy Siwcew Wrażek, w mieszkaniu numer 21, które znajdowało się na wysokim parterze, co oznaczało, że okna zaczynały się dwa metry nad ziemią. Z nastaniem wiosny aż do późnej jesieni okno w pokoju było otwarte — wychodzono i wchodziło tylko przez nie, stół zaś przez cały dzień był rozstawiony — wygodniej grało się w ping-ponga. Nataszka, rocznik 1939, zawsze była z nami, kochali się w niej (z poprawką na różnicę wieku) chłopaki z naszej męskiej szkoły, a potem jej szkoła (numer 70, na Gagarińskim) stała się jakby partnerem naszej szkoły. I my przyjaźniliśmy się z tamtejszymi dziewczętami. Powiem szczerze,

* Bieriozka (brzózka) — nazwa sklepu walutowego.

* Order Świętego Andrzeja Apostoła Pierwszego Powołania najwyższe odznaczenie Cesarstwa Rosyjskiego, ustanowione 1698 (nazwa od imienia patrona Rosji), krzyż wielki i gwiazda.

że rozdzielenie dziewcząt i chłopców było jednym z głębszych pomysłów towarzysza Stalina. Zapewne wódz wspominał z udreką własne seminarium, gdzie przyjmowano, jak wiadomo, wyłącznie chłopców i ubierano ich w mundurki, tak samo jak nas.

W dziewiątej i dziesiątej klasie ja, duchowy spadkobierca Wołodgina, nie miałem wątpliwości, że wstąpię do Instytutu Geologicznego i zostanę paleontologiem. W naszej klasie uczył się Wołodia Rusinow, jego ojciec był geologiem i zabierał mnie i Wołodię na niewielkie wyprawy po skamienieliny. Nie wiedzieć czemu, szczególnie zapamiętałem wycieczkę na brzegi Pachry. Wysiedliśmy w Górkach i przez cały dzień szliśmy brzegiem rzeki, gdzie trafialiśmy na głębokie jaskinie.

Kilka lat później los znowu rzucił kości — tym razem same szóstki — i zobaczyłem najprawdziwszego Aleksandra Kazancewa.

Miałem piętnaście lat. Ósma klasa.

Trafiłem wtedy do górskiego obozu sportowego w Osetii, w Wąwozie Cejskim, o którym już wspominałem. To był cudowny miesiąc — wchodziliśmy na Adaj-hoh, byliśmy w pogańskiej kaplicy Osetyńczyków wędrowaliśmy po górskim lesie, w którym pomiędzy kamieniami połyskiwały niemal czarne liście rododendronów. My, moskwianie i Osetyńczycy, żyliśmy w wielkiej przyjaźni. A potem zbuntowaliśmy się w obronie sprawiedliwości. Przed nocą wyruszyliśmy z obozu do lasu. Dziewczyny zostały — w lesie było zimno, około zera, a my wytrzymaliśmy i odnieśliśmy moralne zwycięstwo nad kierownictwem obozu. Ja miałem ze sobą bochenek chleba zamiast poduszki. Nigdy potem nie było mi już tak zimno.

Właśnie na tym obozie nauczyłem się palić. Człowiek z papierosem mógł uważać się za niemal prawdziwego mężczyznę.

Od tamtej pory paliłem przez czterdzieści lat i nie miałem zamiaru rzucić, chociaż na starość dorobiłem się chronicznego bronchitu i zupełnie straciłem wdech. Dwie paczki primy dziennie było normą.

Przeszedłem zawał i lekarz powiedział: „Może pan palić dalej, ale gwarantuję, że za rok spotkamy się znowu”. Stchórzyłem. Nie tyle głową, ile wnętrzościami.

Wyszedłem ze szpitala i nie czułem już ochoty na papierosa.

A zacząłem palić w Wąwozie Cejskim na Kaukazie.

Tam poznałem Olega Kazancewa. Oleg nie chwalił się swoim ojcem i o tym, że jest synem pisarza, dowiedziałem się tej zimnej nocy, gdy drżeliśmy, opierając się karkami o czerstwe bochenki.

Po powrocie do Moskwy byłem raz u Olega.

Teraz mi się wydaje, że widziałem samego Kazancewa i że był podobny do swoich portretów. Ale może Kazancewa w ogóle nie było w domu i tylko mi się zdaje, że go widziałem, a on mnie błogosławił? Co byłoby już zupełnie nieprawdopodobne, ponieważ wtedy nie miałem pojęcia o swojej literackiej przyszłości i całkowitym odrzuceniu Kazancewa jako zjawiska radzieckiej utopii.

Wróćmy po raz ostatni do wujka Pietii.

We Lwowie wujek urządził się całkiem nieźle — ni mniej, ni więcej tylko jako naczelnik więzienia. Ciocia Ksenia dobrze go karmiła i sama też nieźle się odżywiła. Urodziło im się jeszcze jedno, a może nawet dwoje dzieci.

Wujek Pietia utrzymywał dobre oficjalne stosunki z kolegami z organów, co było nie bez znaczenia, ponieważ w tamtych dniach było się we Lwowie czym pożywić. Polscy okupanci uciekli, porzucając domy, kosztowne przedmioty i tajemnice.

Wujek Pietia nie znośił swojej pasierbicy Swietłany, ponieważ była córką wroga narodu, Woronowa. Zabraniał jej chodzić do szkoły i żeby nie złamała zakazu, zabierał jej buty. Swietłana chodziła do szkoły boso. Wstrząśnięci nauczyciele przystali delegację. Wujek Pietia, cały w orderach, skrzypiąc błyszczącymi butami, powitał delegację na schodach. Wysłuchał nauczycieli i powiedział:

— Kroki zostaną podjęte, winni będą ukarani.

Pobił Swietłanę, tak żeby nie było śladów, ale buty oddał. Więcej nawet! Po jakimś czasie powiedział jej:

— Z tobą przynajmniej można porozmawiać, ale twoja matka nadaje się wyłącznie do łóżka i poza nim nie może być interesująca dla inteligencji.

I zaprowadził Swietłanę do pewnego tajemnego miejsca. Tajemne miejsce było willą zarekwirowaną sługusowi polskich imperialistów. Jakimś cudem wujkowi udało się ją chapnąć.

Swietłana zapamiętała długą amfiladę pokoi z wysokimi sufitami. Pokoje były zastawione meblami ściągniętymi z innych bogatych domów.

— To dom pani Ożydowskiej — oznajmił wujek Pietia. — Kocham ją. Gdy już pokonamy wszystkie przeciwności, pobierzemy się. W tym celu będę musiał przejść na katolicyzm.

W każdym pokoju na widocznym miejscu wisiał portret pani Ożydowskiej. Metr na dwa, w złoczonej ramie... powiększony z legitymacyjnego zdjęcia.

Przygotowania do wspólnego szczęścia zakończyły się tragicznie.

Stęskniony za panią Ożydowską wujek Pietia zdecydował się popełnić przestępstwo, choć oczywiście, sam tego za przestępstwo nie uważał.

Dogadał się z pilotami samolotu transportowego, którzy wozili kontrabandę do Polski i z powrotem, żeby zawieźli go do pani Ożydowskiej.

Piloci się zgodzili. Może nawet bezinteresownie, w końcu naczelnik więzienia był dość ważną postacią w powojennym Lwowie.

Polecieli.

I zgodnie z prawem podłości, właśnie tego dnia zmieniło się zwierzchnictwo. Samolot został zmuszony do lądowania, wyciągnięto z niego grupę przestępców. Wszyscy dostali wysokie wyroki. Nic dziwnego — kolektywna zdrada ojczyzny i porwanie supertajnego samolotu. Generalnie groziło im rozstrzelanie i gdyby wujek Pietia nie był naczelnikiem więzienia, źle by z nim było.

Ale wszyscy rozumieli, że człowiekowi zwyczajnie powinęła się noga, nic więcej. Porządny gość, swojak, tyle wódki razem wypili!

O ile wiem, w więzieniu wujek Pietia miał się dobrze.

Nie odesłali go nawet do żadnego odległego łagru. Dawni przyjaciele nie pozwolili skrzywdzić porządnego człowieka.

A ciocia Ksenia i jej dzieci żyły w biedzie. Wujek Pietia nie kochał jej i nie dbał o nią.

Ciocia Ksenia przebijała się w sieci żywienia zbiorowego.

Dzieci rosły, Swietłana bez żadnych przeszkód chodziła do szkoły i nawet zdobyła średnie wykształcenie, na co, jako córka wroga narodu, nie zasłużyła. Jej moskiewski wujek Wsiewołod, który nie był bynajmniej zadowolony z istnienia wujka Pietii, załatwił internat i w drugiej połowie lat czterdziestych moja cioteczna siostra wstąpiła na wydział prawa. Wujek Pietia był oburzony. Ale dokąd można napisać z więzienia?

Nie przydał właściwego znaczenia losowi pasierbicy, a gdy znalazł się na wolności, po odsiedzeniu w sumie trzech lat, ona już wyfrunęła spod jego potężnych skrzydeł.

Po odsiadce wujek Pietia stracił stanowisko, ordery i współ — bojowników, musiał opuścić organy. Cała jego rodzina pociągnęła na południe, do „ciepłych krajów”, gdzie można się było

nieźle urządzić.

Osiedli w Izmailu.

Żyło się tam ciężko i wujek Pietia był głęboko rozczarowany. Ale do Lwowa nie mógł już wrócić — willa pani Ożydowskiej przeszła do kogoś innego, kto wyciął ze złotych ram powiększone fotografie. Sama pani również znikła — podobno uciekła do Niemiec Zachodnich. Nie wiodło się wujkowi Pietii w życiu osobistym.

Gdy ciocia Ksenia znowu zaszła w ciążę, oświadczył, że ona w ten sposób chce pozbawić go ostatniego kawałka chleba. Pchnął żonę na podłogę i kopał ją w brzuch, licząc, że poroni. Ale ciocia Ksenia okazała się mocną kobietą, przeżyła i urodziła kolejnego potomka wujka Pieti.

Postanowiła zemścić się okrutnie na mężu za poniżenia i zmarnowane życie. Powiedziała, że napisze, gdzie trzeba, o zawartości skrzyneczki, której nie ruszyli w czasie aresztowania. Był to kuferek z orderami, skonfiskowanymi w więzieniu zdrajcom ojczyzny.

Wujek Pietia przestraszył się i zaniósł kuferek nad Dunaj. Było lato, Świetlana przyjechała do matki na wakacje. Pogodzony z sukcesami pasierbicy wujek Pietia zawołał ją, żeby poszli razem.

Nad brzegiem Dunaju wujek Pietia otworzył kuferek pełen cudzych orderów.

Wyjmował z kufereka order Lenina, całował go i mówił:

— Ten dostałem za bohaterskie czyny podczas obrony Stalingradu.

Potem wzdychał i rzucał jak najdalej od brzegu. Całował następny order.

— A ten jak forsowałem Dniepr. Co za ogień prowadzili faszyci!

I tak wrzucił do rzeki pół setki orderów. Gdy skończył, twarz miał zalaną łzami. Powiedział Świetłanie:

— Oto do czego doprowadzili mnie wrogowie. Nie przestawał płakać aż do samego domu. W tych miesiącach zaczął pisać wspomnienia. Fantaści, trzymajcie się!

Pamiętniki nosiły tytuł: „Marsz dinozaurów”.

Mieszkał w Izmailu do połowy lat pięćdziesiątych. Co robił, jak żył, nie wiem, Świetlana nie opowiadała. Widocznie jego życie nie było zbyt pasjonujące.

W końcu opuścił ciocię Ksenię na zawsze. Uciekł, zabierając ze sobą ostatnie cenne rzeczy. I zjawiał się we Lwowie.

Okazuje się, że jeszcze z Izmaila nawiązał korespondencję z byłą lekarką więzienną, z którą kiedyś miał romans bądź zażyłość innego rodzaju. Lekarka zgodziła się przyjąć go do domu.

Ostatnie wiadomości o nim Świetlana miała w latach osiemdziesiątych. Był już stary, miał prawie osiemdziesiąt lat, ale żyło mu się dobrze, miał gospodarstwo i hodował boksery na sprzedaż.

Trudno wymyślić takie zakończenie tej historii, prawda?

A może on nadal żyje? Nie miałby nawet stu lat. Tylko teraz nie hoduje bokserów, lecz rottweilery i inne psy bojowe dla lwowskich milionerów.

Podjeżdża na swoim dżipie, wychodzi i skrzypi błyszczącymi butami.

ROZDZIAŁ 7

JEŻYNY NA HOWERLI

Tworząc antyutopię, moi koledzy budują fantastyczne społeczeństwo, narzucając jego członkom obraz życia nie mający nic wspólnego z życiem, którym żyje sam autor.

Kojarzy mi się to z często zadawanym w wywiadach pytaniem: „Czy nie wydaje się panu, że dzieci przestały czytać i że komputer zastępuje im świat zewnętrzny?”. To absolutnie poważne pytanie należy, na szczęście, do dziedziny fantastyki — w naszym kraju dziewięćdziesiąt procent dzieci nie miało jeszcze styczności z komputerem.

W rzeczywistości inercja zwykłego życia jest tak wielka, że można znaleźć znacznie więcej podobieństw w codzienności dzisiejszej i sprzed stu lat, niż zjawisk i obyczajów, które pojawiły się w ciągu ostatniego dwudziestolecia.

Z jakiegoś powodu, mówiąc o historii państwa, w którym przeżyłem całe życie, nie chcemy przyznać, że było ono antyutopią w jej skrajnym przejawie i każde opisanie jej w literaturze błędnie wobec rzeczywistości. Orwell czy Zamiatin kreślą świat abstrakcyjny, na skutek swej abstrakcyjności bynajmniej niestraszy.

Życie radzieckie było znacznie straszniejsze, bo nikt nie myśli, że było fantastyczne.

I z jakiegoś powodu pisarze nie ośmielili się przenieść do swoich literackich, wymyślonych antyutopii naszej rzeczywistej antyutopii (socjalistycznej utopii).

Mój cel polega na tym, żeby w oddzielnych obrazkach naszego minionego życia przedstawić prawdziwą antyutopię lub przynajmniej przypomnieć o niej tym, którzy zapomnieli.

Po ukończeniu szkoły byłem przekonany, że pójdę do Instytutu Geologicznego imienia Ordżonikidze, który przytulił się do starego uniwersytetu na ulicy Mochowej, przemianowanej wówczas na prospekt Marksa.

Ja i Tola Rusinow chodziliśmy tam na jakieś zajęcia. Rozpływałem się z zachwytu, widząc na korytarzach studentów tego wspaniałego instytutu — mieli uniformy z kontrpagonami.

Wtedy do naszej klasy przyszedł instruktor komitetu rejonowego Komsomołu i powiedział (tu mamy kolejny przejaw fantastyki, przynajmniej z punktu widzenia zwykłego człowieka, żyjącego w zwykłym społeczeństwie), że towarzysz Stalin chce wybrać najlepszych komsomolców, by uczyli się na wywiadowców w „specjalnym” instytucie.

Nie byłem najlepszym komsomolcem, ale ja i mój przyjaciel Lonia Siedow postanowiliśmy wstąpić na ścieżkę wywiadu. Stalin jeszcze żył, wrogie otoczenie groziło nam bombą atomową, sprawy w Korei szły jak najlepiej; narodowi koreańskiemu przyszli z pomocą chińscy ochotnicy, a chińskim ochotnikom — nasze słynne stalinowskie sokoły.

Prócz nas do „specjalnego” instytutu na tak zwany wydział tłumaczeń zdecydowali się wstąpić Zicer, Alek Akselrod i Tola Gozenpud. Feliks Francuzów oznajmił, że nawet nie będzie próbował — jego mama po łagrze mieszka na Syberii na zesłaniu, a ojca razem z innymi więźniami w głodnym 1942 roku wywieziono na barce na środek Amuru i utopiono (w naszym wielkim kraju od razu zrobiło się mniej gąb do wykarmienia).

Pozostali poszli na rozmowę.

Przesłuchiwała nas komisja składająca się z instruktora komitetu rejonowego, przedstawiciela wydziału i człowieka z organów.

Pytania były głupie, niepotrzebnie się denerwowałem. Na przykład: ile kolumn ma Teatr Bolszoj. Zapomniałem ile i chłopak z komitetu, bardzo sympatyczny, podpowiedział mi. Co prawda, potem znowu zapomniałem i nie wiem do tej pory. Chyba co najmniej osiem.

Potem wszyscy się rozeszli do domów, a gdy wróciliśmy po wyniki, okazało się, że Lonię Siedowa i mnie przyjęli, a Gozenpuda, Akxelroda i Zicera (który w dziewiątej klasie, gdy dostawaliśmy dowody osobiste, został Szmuglakowem) — nie.

Okazuje się, że oni nie przeszli rozmowy z komisją. Niewłaściwie policzyli kolumny w Teatrze Bolszoj.

Feliks Francuzów powiedział, że to dlatego, że są Żydami.

Uczyliśmy się w szkole na Arbacie, w spokojnej, inteligenckiej dzielnicy i procent Żydów w naszej klasie był wyższy niż średni procent w kraju, ale szczerze mówiąc, nie zastanawialiśmy się nad tym. A Żydzi się zastanawiali. W dziewiątej klasie, odbierając dowody, kilka osób zmieniło nazwiska na brzmiące po rosyjsku. Gdyby nie zmienili, ich szansę przetrwania w naszym wspaniałym internacjonalnym państwie gwałtownie by spadły.

Dotknęło to nawet naszej rodziny, na szczęście lekko. Gdy moja siostra Nataszka miała dostać dowód, mama poszła z nią na milicję po odbiór. Milicjant przeczytał na głos: „Natalia Jakowlew — na Bokinik”. Na jego twarzy pojawił się wszystkowiedzący grymas, milicjant przekreślił jej imię ojcowskie i zamiast „Jakowlewna” wstawił „Jankielewna”. Zmieniając imię wujka Jaszy z umiarkowanie żydowskiego na ortodoksyjnie żydowskie, tym samym umieścił Nataszkę kilka stopni niżej na społecznej drabinie.

Mama zrobiła straszną awanturę. Dotarła do naczelnika i zwyciężyła — w końcu wujek Jasza zginął bohatersko na froncie, broniąc również tego naczelnika biura dowodów.

Był jeszcze jeden śmieszny szczegół.

Zmieniliśmy mieszkanie.

Nie dało się dłużej żyć na Siwcewom Wrażkie z czekistami, którzy zupełnie nas zaszczuli. Mama znalazła mieszkanie na zamianę niedaleko, w Zaułku Ostrowskiego przy ulicy Kropotkińskiej, na czwartym piętrze solidnego stalinowskiego domu.

Dobrze trafiliśmy. Okazało się, że nasi nowi sąsiedzi to mili, dobrzy ludzie. Od tej pory życie towarzyskie przeniosło się do dużej kuchni. Zaczęło się wspólne picie herbaty, co dla nas, weteranów życia komunalnego, było bajecznym postępem.

Głowa rodziny naszych sąsiadów, docent Uniwersytetu Moskiewskiego Aleksiejew, był neolamarkistą.

W innym kraju nie znaczy to nic. Neolamarkistą, postmodernistą, paleoantropolog — w końcu tak wiele jest naukowych specjalności! Ale w naszym kraju pod tą nazwą krył się ogrom tragedii.

Minęło ponad pół wieku od dnia, gdy historia ta osiągnęła szczyt. Zaczęła się jeszcze przed wojną, gdy Stalinowi spodobał się — w jakiś sposób podobny do niego (wewnętrznie, bo zewnętrznie do Hitlera) — ukraiński prowincjonalny agronom Trofim Łysenko, fantasta, który postanowił podporządkować przyrodę naszej partii komunistycznej. Takich ludzi było w tym czasie sporo. Wystarczy przypomnieć słynną Lepieszyńską, starą bolszewiczkę, przyjaciółkę Lenina, która udawała, że życie może narodzić się w probówce z substancji nieorganicznej. Tak podobno twierdził Lenin. Babcia była szalona, co nie przeszkodziło jej otrzymywać nagrody stalinowskie i tytuły akademickie. Alchemicy średniowiecza mogliby się jej nisko kłaniać, żaden z fantastów nie mógł się z nią równać. Łysenko zaś wynalazł wewnątrzgatunkową przyjaźń i wzajemną pomoc jako prawo biologii oraz pozagatunkową walkę jako drugie prawo. Wynikało z tego, że komuniści i kłosa pszenicy powinni sobie nawzajem pomagać, walcząc jednocześnie z jęczmieniem i żytem, które, zgodnie z prawami Łysenki, powinny zmieniać się w pszenicę, jeśli taka jest wola partii. Główną teorią Łysenki była, oczywiście, walka z imperializmem, który w biologii przyjął formę weismannizmu–morganizmu. Innymi słowy — precz z genetyką!

Szkoda, że nie widzieliście, z jakim entuzjazmem nasi karykaturzyści przedstawiali kapitalistycznych uczonych i naszych sługusów imperializmu, którzy robią coś obrzydliwego z

muszką owocową! Łysenko przywrócił do życia nadgryzioną przez mole teorię Lamarcka (stąd termin „neolamarkista”) o dziedziczeniu cech nabytych. Oznaczało to, że jeśli z pokolenia na pokolenie będziemy psu obcinać ogon, to w końcu urodzi się szczeniak bez ogona.

Marksistom — fantantom teoria Łysenki przypadła do gustu.

Pod światłym przewodem partii możemy zmieniać biologiczną istotę żywych organizmów!

Ale tego wątku fantastyki jednak nie wykorzystali.

Łysenko był ulubieńcem partii, mimo że żadne z jego odkryć nie przyniosło rezultatów i żadna teoria się nie sprawdziła. W nauce nie był w stanie zrobić nic, za to mógł zorganizować potrzebną partii biologię pod własnym przywództwem.

Przy tym, jak każdy wielki łajdak, zaczął karierę od donosów, podłości i prowokacji, niszcząc wielkich biologów naszego kraju. Największą jego ofiarą był Nikołaj Wawiłow*, wybitny biolog naszych czasów. Drugi wielki człowiek na szczęście się uratował, bo został w Niemczech i spędził tam całą wojnę na stanowisku dyrektora Instytutu Biologicznego. Potem, co prawda, został zesłany. Mam na myśli Timofiejewa–Resowskiego, wykreślonego z naszej nauki na kilkadziesiąt lat. Mniej znani uczeni o światowych nazwiskach ginęli w łagrach jeden po drugim.

Łysenko nadal miał wystarczająco dużo przeciwników.

I wtedy, z pomocą swojego głównego teoretyka, akademika Prezenta, przy poparciu samego Stalina, zorganizował dyskusję biologiczną, gdzie nie tylko on, ale i przywódcy partii udowodnili całemu światu, że wymyślona przez partię i łajdaka Łysenkę fantastyka jest znacznie ważniejsza od całej genetyki.

Mniej więcej w tym samym czasie zdemaskowaliśmy i zlikwidowaliśmy również cybernetykę jako burżuazyjną pseudonaukę.

Zdumiewające, że w odróżnieniu od podobnych dyskusji, urządzanych wśród pisarzy i kompozytorów, biolodzy walczyli rozpaczliwie, od początku stając na straconej pozycji.

Niektórzy wspaniali naukowcy trafili do łagrów, innych zwalniano z pracy. O spotkaniu z jedną z ofiar opowiem później.

Łysenko triumfował.

W jednej chwili genetycy przestali istnieć. Nawet z muszkami owocowymi szybko się rozprawiono.

Taki stan rzeczy trwał kilka długich lat.

Po śmierci Stalina Łysenko utrzymał się na swoich licznych stanowiskach. Przecież otaczały go setki dyrektorów instytutów, kierowników katedr i profesorów zwyczajnych, których istnienie w nauce było bezpośrednio uzależnione od sytuacji ich dobroczyńcy. Niemniej zaczął się stopniowo wycofywać i w drugiej połowie lat pięćdziesiątych, gdy myśmy się przeprowadzili na Zaulek Ostrowskiego, przeszedł do rozpaczliwej obrony.

Nasz sąsiad, docent Aleksiejew, był neolamarkistą, jak zaczęli się nazywać „łysenkowcy”, gdy zrozumieli, że samymi aresztowaniami się w nauce nie utrzymają.

Co nie przeszkadzało docentowi być człowiekiem poczciwym i roztargnionym. Jako gabinetowy scholastyk wybrał sobie odpowiednią herezję i nieustannie udowadniał, że na ostrzu igły można umieścić wyłącznie dziewiętnaście aniołów i ani jednego więcej.

Aleksiejew miał przyjaciela, który był mu przydatny.

Przyjaciel nazywał się Isaj Izrailewicz Prezent.

Akademik i laureat. Prawa ręka Łysenki. Biolodzy o nim mawiali: „Prezent to nie podarunek”.

* Wawiłow Nikołaj I. (1887–1943), botanik i genetyk; członek m.in. Akademii Nauk ZSRR, Towarzystwa Królewskiego w Londynie; nie akceptował koncepcji lansowanych przez Łysenkę; 1940 aresztowany, zmarł w więzieniu.

Kiedyś był szkolnym metodologiem w dziedzinie biologii, rwał się do sławy i władzy, ale się spóźnił — w połowie lat trzydziestych Żydów przestano dopuszczać zarówno do sławy, jak i do władzy.

Jak mądra ryba podnawka, Prezent znalazł swojego rekina. Od tamtej pory podczas zebrań i dyskusji wyjaśniał w zrozumiałym, marksistowskim języku, dlaczego Łysenko i partia mają rację, a Kolców, Wawilow i Dubinin to najmici. Miał na sumieniu wiele kłamstw, oszustw, a nawet krwi.

Gdy po raz pierwszy zobaczyłem akademika Prezenta, jego kariera miała się już ku końcowi.

Zaczynała się druga połowa lat pięćdziesiątych. Chruszczowowi Łysenko też się podobał i on, podobnie jak Stalin, też miałby ochotę za jednym zamachem skierować przyrodę na drogę marksizmu, ale mimo wszystko musiał wziąć pod uwagę opinię innych ludzi, rozumiejących, jak potworną szkodę Łysenko wyrządził biologii, a więc również rolnictwu Kraju Rad. Niemniej w ariergardowych walkach Łysenko nadal utrzymał sowchoz „Górki leninowskie” oraz czasopismo naukowe i zachował stanowisko w Akademii Rolniczej. Sowchoz „Górki leninowskie” był dla Łysenki bardzo ważny: znajdowało się tam stado krów, które miały przywrócić Łysence dawną świetność.

Jeśli zastosuje się wobec krów cały zestaw odkryć Łysenki, zawartość tłuszczu w mleku podniesie się kilkakrotnie i w efekcie krowy będą dawały nie mleko, lecz śmietanę.

Żarty na bok. To najprawdziwsza surowa fantastyka naszego życia.

Sowchoz przemieniał mleko w śmietanę. Wewnątrz krów. Za pomocą wewnątrzgatunkowej przyjaźni i wzajemnej pomocy, selekcji i jarowizacji.

Do tego sowchozu Łysenko wrzucił ostatniego ze swych czołowych pomocników — Prezenta. Pozostali rozbiegli się i z boku czekali na wynik ostatniego starcia pomiędzy weismannistami–morganistami a uczciwymi neolamarkistami–leninowcami.

I ten wielki człowiek, alchemik dwudziestego wieku, Isaj Izrailewicz skromnie, jak najzwyczajniejszy śmiertelnik, wchodził do nas na czwarte piętro. Najpierw długo szeptał z Aleksiejewem w jego gabinecie, gdzie regały z książkami sterczały jak zęby grzebienia. Przyjaciele kompilowali kolejny list do KC, następnie Aleksiejew siadał, żeby przepisać go na czysto, a Isaj Izrailewicz szedł do kuchni napić się herbaty.

Wtedy dopiero zaczynałem uświadamiać sobie, co tak naprawdę oznaczała wojna w biologii, lecz nie byłem dość wykształcony, nie czytałem też opublikowanych z poprawkami stenogramów dyskusji o biologii — szczytowego zwycięstwa Trofima Denisowicza Łysenki. Szczerze mówiąc, wtedy nie łączyłem Isaja Izrailewicza z represjami i nagonkami.

Zresztą jakżebym mógł? Do kuchni przychodził mały, suchy, starszy pan z żywymi, czarnymi oczami otoczonymi pajęczynką zmarszczek. Zawsze smutnie uśmiechnięty i szatańsko inteligentny — można go było słuchać godzinami. Doskonały komentator wszystkich wydarzeń w kraju, pozostający w łagodnej opozycji do reżymu, niczym zwykły „kuchenny” inteligent tamtych lat, tylko znacznie bardziej czytany, znający nieskończenie wiele cytatów, powołujący się na autorytety. Miał wyostrzone poczucie humoru i cięty język.

Na moje nietaktowne wypowiedzi czy powoływanie się na inne autorytety nie reagował, a jeśli reagował, szybko mnie osadzał. Ale nigdy się nie kłócił.

Niedawno czytałem wspomnienia jednej z sekretarek Hitlera — jaki z niego był dobry, serdeczny człowiek, który w swojej „kuchni” nigdy nikomu nie wyrządził krzywdy. Dlatego nie wiem, jak zmieniał się Prezent, gdy otwierał usta, by pokazać kły. Mogłem sobie najwyżej co nieco wyobrazić po przeczytaniu jego przemów i wystąpień, a zwłaszcza uwag wygłaszanych w trakcie cudzych wystąpień podczas dyskusji o biologii.

Sądząc po tych wypowiedziach — był złym, jazgotliwym kundelkiem.

W naszej kuchni był przemiłym, inteligentnym profesorem.

I gdyby tworzyć strasznego, fantastycznego dyktatora, ciekawym doświadczeniem, moim zdaniem, byłoby opisanie Isaja Izrailewicza.

...Oto siedzi naprzeciwko mnie, właśnie serdecznie, po przyjacielsku, przesłuchał mnie na okoliczność moich zajęć w instytucie, a potem zaczął wspominać. Wspominał w zabawny sposób. We wspomnieniach nigdy w żadnym razie nie występował jako główny bohater.

Posłuchajcie:

— Gdzieś na początku lat pięćdziesiątych, gdy szykowano się do podjęcia konkretnych kroków przeciwko Żydom, wezwano mnie do odpowiedniego gabinetu. Rozmawiał ze mną stary znajomy; na krótko przed tą rozmową sporo razem zrobiliśmy. Posiedzieliśmy, powspominaliśmy stare czasy, a potem on mówi: „Dostaliśmy, Isaju Izrailewiczu, nieprzyjemny sygnał. Podobno zastąpił pan partyjne kryterium doboru kadr kryterium nacjonalistycznym”. Oho, myślę sobie, wpadłem, do mnie też się miotła dobrała! „A co — pytam — są podstawy, by wierzyć temu świstkowi?”. „A jakże! — odpowiada stary znajomy i wyjmuje listę moich współpracowników: — Halifman — Żyd, Rabinowicz — Żyd, Kogan — Żyd, Moczałkin — Żyd, Aleksiejew — nie nadaje się do pracy naukowej!”.

Po chwili przerwy Isaj Izrailewicz zaczyna się śmiać cienkim głosem. Śmieje się też Aleksiejew, który zajrzał do kuchni i również słuchał tej opowieści. Rzeczywiście, czy to nie śmieszne — sami Żydzi i jeden Aleksiejew, który „się nie nadaje”?

Wtedy nie zastanawiałem się nad tragizmem tej rzekomo komicznej sytuacji.

Okazało się, że jakiś czekista mógł wezwać na dywanik akademika, wiernego, otrzaskanego w partyjnych bojach naukowego wielmożę i grozić mu (przecież nacjonalistyczne kryterium doboru kadr mogło oznaczać ogromne nieprzyjemności!), używając donosu niczym pałki.

I akademik Present przeniósł w sobie ten strach przez lata.

Pamiętam, że zapytałem go wtedy:

— I co pan mu odpowiedział?

— Zażartowałem w odpowiedzi — rzekł Present, gdy już przestał się śmiać. — Zapytałem: „Czy my w Akademii Rolniczej przekroczyliśmy pięcioprocentową normę?”. On nic nie wiedział o pięcioprocentowej carskiej normie i odpowiedział poważnie: „Nie chce pan chyba powiedzieć, że Żydzi stanowią pięć procent ludności Związku Radzieckiego?!”.

Wtedy wszyscy znowu zaczęli się śmiać.

Z Hitlerem sprawa była jasna. On uważał Żydów za złych ludzi i pragnął oczyścić z tego baracha najpierw Niemcy, a potem cały świat.

W Związku Radzieckim wszystko było przewrócone do góry nogami.

To państwo tworzyli inteligentni Żydzi z Karolem Marksem na czele. Przybici małomiasteczkowym uciskiem, przeklętą prowincjonalną biedą, utalentowane gorące głowy wyrwały się na wolność. Zdawało im się, że przebudowują świat i niosą ludzkości szczęście na ostrych pikach rewolucji. Wojna domowa otrzeźwiła idealistów i pozbyła się ich. Pozostali okrutni, zębaci funkcyjni, którzy sądzili, że rządzą krajem, a w efekcie okazali się ofiarami brudnej wojny o władzę.

Ale doktryna państwa była internacjonalistyczna i jako taka przeciwstawiała się ideologicznie Niemcom.

Stalin i jego otoczenie najpierw walczyli ze starą gwardią, w której było wielu Żydów, a potem, po zwycięstwie nad faszyzmem i zdemaskowaniu rasizmu, jęli zaprowadzać porządek w domu, dzieląc narody na dobre i złe (na razie z politycznego punktu widzenia). Jeśli można było ogłosić Czeczeńców i Kałmuków złymi ludźmi, jeśli udało się za jednym zamachem wywieźć z ich ojczyzny krymskich Tatarów, dlaczego Żydzi mieliby być lepsi? Tylko dlatego że Hitler ich mordował? No to my nie będziemy nazywać Żydów Żydami! Nazwiemy ich, dajmy na to,

syjonistami! Czyli antypatriotami naszego kraju. Jaką by im jeszcze łatkę przypiąć? O, nazwijmy ich kosmopolitami, to i tak ludzie bez ojczyzny!

W historii nie ma słowa „jeśli”. W fantastyce jest.

Antyutopia komunizmu umierała powoli i fragmentarycznie.

Likwidacja Żydów hitlerowską, acz „humanitarną” metodą — to znaczy poprzez wysłanie wszystkich na Daleki Wschód, dokarmianie nimi mandżurskich tygrysów — tego kroku nasz kraj nie zrobił. Zapewne tylko dlatego że następcy Stalina spieszyli się, by zetrzeć nimb z jego ikony. A przecież pozostał tylko krok!

Po trzykroć rację miał mój kolega Feliks Francuzów, który nie próbował wcisnąć się do Instytutu Języków Obcych, by zostać stalinowskim szpiegiem. I tak by go odrzucili jak Akselroda czy Gozenpuda, ponieważ liczba kolumn w Teatrze Bolszoi zmieniała się od abiturienta do abiturienta.

Od tamtej pory poprzez dziesięciolecia w państwie przyjaźni między narodami Żyd mógł wstąpić do specjalnego żydowskiego instytutu. To znaczy do Stankina, Medycznego (drugiego albo trzeciego), Rybnego, Weterynaryjnego...

Co najstraszniejsze, niektórzy z nich, zbyt utalentowani i inteligentni, by dać się przyłapać na liczbie kolumn, przechodzili przez sito. W jakimś sensie Hitler był bardziej logiczny i bardziej uczciwy niż komuniści.

Wraz ze śmiercią Stalina okazało się, że wywiadowi nie jesteśmy potrzebni i nasz wydział zredukowano o połowę. Podobnie jak w szkole, w instytucie uczyłem się na męskim wydziale. Co prawda, prócz wydziału przekładu, w instytucie było jeszcze pięć żeńskich wydziałów pedagogicznych.

Życie w instytucie było ciekawe, ale nauka szła mi tak sobie. Teraz myślę, że miałem okropnego pecha, że nie zostałem geologiem czy paleontologiem, ale stosunkowo szczęście, że nauczyłem się przynajmniej jednego języka obcego.

Uczyli nas źle, formalistycznie i metodami z epoki kamienia łupanego. W ciągu sześciu lat powinniśmy nauczyć się pięciu języków, a my ledwie ciągnęliśmy jeden. Za to jeździliśmy do kołchozu, uprawialiśmy turystykę, redagowaliśmy serwis informacyjny w radiowęzle i wielonakładówkę, graliśmy we własnym teatrze. Po skończeniu nauki mniejszość została tłumaczami, przeważnie ci, którzy skuszeni stosunkowo wysoką pensją trafili do KGB albo wojska.

W tych latach po raz pierwszy zetknąłem się z fantastyką zagraniczną oraz dziecięcą.

Co świadczy o bardzo niskim poziomie mojego wykształcenia i jednocześnie o czarnym humorze losu, który prowadził mnie za rękę.

Mój przyjaciel, Lonia Siedow, zjawił się u mnie pewnego dnia z książką, która przypadkiem wpadła mu w ręce i która wstrząsnęła nim do tego stopnia, że postanowił ją niezwłocznie przetłumaczyć. Przeczytałem książkę, nie wszystko zrozumiałem, ale generalnie przyznałem Loni rację. Lonia przetłumaczył jeden z cudownych wierszy z tej książki, żeby udowodnić nasze wysokie kwalifikacje, i poszliśmy do Detgizu.

Weszliśmy na drugie piętro po typowych, szarych schodach wijących się wokół podwójnej windy. Nie pamiętam już, do którego z redaktorów trafiliśmy. Zapamiętałem tylko, że długo czekaliśmy na końcu mrocznego korytarza, który wyginał się pod kątem prostym i wpadał w ścianę.

Redaktor, który (albo która) z nami rozmawiał, był uprzejmy i nie okazał swojej słusznej pogardy. Wyjaśnił nam, że książka Lewisa Carrolla pod tytułem „Alicja w krainie czarów” powstała jeszcze przed rewolucją i w Rosji była już wydawana. W ostatnich latach zapomniano o niej na tyle, że nawet studenci wydziału językowego nie mają pojęcia o tym wybitnym angielskim

pisarzu. Gdy nowy przekład stanie się potrzebny, a stanie się na pewno, raczej mu nie podolamy.

Było nam wstyd, ale nie tak, jak powinno, i kontynuowaliśmy nasze wysiłki tłumaczeniowe, tym bardziej że na czwartym roku katastrofalnie brakowało stypendium. Mama nadal pracowała na dwóch etatach, ale o dostatku mogliśmy tylko marzyć. Mama wspaniałomyślnie pozwalała mi zostawiać stypendium sobie i ja egoistycznie z tego pozwolenia korzystałem.

Nie pamiętam już, który z nas odszukał opowiadanie Arthura Clarke'a „Pacyfista”, o robocie, który nie chciał brać udziału w wyścigu zbrojeń. Tego pisarza też nie znaleźliśmy, ale opowiadanie odważnie przetłumaczyliśmy, przekonani, że w odróżnieniu od Carrolla, Clark jest naszym współczesnym, a amerykańskiej i angielskiej fantastyki wtedy nie tłumaczono. Opowiadanie zanieśliśmy do czasopisma „Znanje–siła” i tam je wydrukowano. Kolejny krok ku fantastyce zrobiłem, nieświadomie, półtora roku później, lecąc do Birmy. Samolot wylądował w Pekinie, czekaliśmy na przesiadkę do Kunmingu. Na stoliku leżały chińskie czasopisma. Zaczęłem kartkować jedno z nich i przypadkiem dostrzegłem ilustracje z „Znanje–siły”. Zapytałem któregoś z Chińczyków, znającego rosyjski, do czego są te ilustracje. I on wyjaśnił mi, że to przekład rosyjskiego opowiadania fantastycznego „Pacyfista”, autorstwa Igora Możejko i Leonida Siedowa.

W ten sposób formalnie stałem się pisarzem fantasta.

Ale dopóki o tym nie wiedziałem, myślałem, że będę tłumaczem. Albo dziennikarzem. Albo jeszcze kimś innym. Co świadczy o tym, że rzadko zastanawiałem się nad swoją przyszłością, a kariery pisarskiej wśród przyszłych ewentualności nie było.

Jakoś tak wyszło, że elita (w dowolnym instytucie jest pewna „elita” — ci studenci, których wszyscy znają na roku i dwóch następnych latach, rzadziej przynależność do niej określają sukcesy na niwie nauki, częściej działalność poza audytoriami) naszego fakultetu w latach pięćdziesiątych koncentrowała się wokół wielonakładowej gazetki „Student Radziecki”. Jak drugoplanowemu instytutowi udało się wywalczyć dla siebie prawdziwą wielonakładową gazetę — Bóg jeden wie. W gazecie był prawdziwy sekretarz redakcji na etacie, faktycznie kierujący gazetą, Lonia Łopatnikow. Niewiele od nas starszy, wydawał się nam mężczyzną w średnim wieku. Do dziś my, redakcja tamtej gazety, zbieramy się u jednego z nas przynajmniej raz do roku. To znaczy, że gdzieś w środku uważamy się za wychowanków tej gazety.

Tam zacząłem drukować swoje utwory.

Pierwszą moją publikacją były szkice, które robiłem w zoo.

Przyniosłem wtedy do domu kilka numerów gazety. Jeden położyłem mamie na kanapie, żeby od razu zauważyła, drugi na swoim biurku. Niestety, w tym momencie nie byłem w nikim zakochany, więc prawdziwej sławy nie zdobyłem. Nasz wydział przekładów był męski, dziewczyn studiowało zaledwie kilka, trafiały tam jakimiś nieoficjalnymi kanałami. Za to, jak już wspominałem, byliśmy otoczeni morzem wydziałów pedagogicznych. A tam w ogóle nie było mężczyzn.

Oczywiście, już na pierwszym roku mógłbym się wyróżnić sprawozdaniami z zebrań Komsomół, które były obowiązkowym punktem w wysokonakładowce, ale na szczęście Łopatkin od razu przydzielił mnie do działu kulturalnego.

Jak widzimy, wtedy był ze mnie żaden pisarz, w przeciwnym razie nie pchałbym się do gazety. W przeciwieństwie do moich przyjaciół, nie wyróżniłem się w gazecie literacko. Ale ponieważ rozpasanie sięgnęło wówczas zenitu, w celu dalszego doskonalenia się przyszłych tłumaczy postanowiono zezwolić na wypuszczanie profesjonalnego czasopisma. Za tym stały nie tylko pedagogiczne, ale również bardzo konkretne przemyślenia: w instytucie istniała hektografia (coś w rodzaju podziemnej typografii wczesnych bolszewików) przeznaczona do drukowania informacji, opracowań i niezbyt dużych podręczników. I okazało się, że ów zakład nie realizuje planu! Tak być nie może! Jeśli plan dotyczący liczby arkuszy drukarskich i wydatkowania papieru nadal nie

będzie realizowany, typografia — hektografia zostanie zamknięta.

W związku z tym pojawiło się czasopismo „Nasza Twórczość”, poświęcone oryginalnym i przekładowym utworom studentów, wychodzące w nakładzie stu egzemplarzy. Wyszły dwa numery, po czym kolegium redakcyjne ukończyło instytut, a hektografię zamknięto z przyczyn nieznanych.

Ponieważ byłem „działaczem” wysokonakładowki i innych kulturalnych przedsięwzięć, ale nie błyszczałem talentem pisarskim, bez specjalnych przeszkód zatwierdzono mnie na stanowisku redaktora czasopisma. Po „Arce”, którą wydawałem w klasie ósmej, było to moje drugie czasopismo.

Wszyscy wydziałowi poeci przyszli do mnie tego samego dnia i przynieśli swoje dzieła. Wśród nich było przynajmniej dwóch naszych przyszłych poetów — Paweł Gruszko, którego, być może, znacie z cudownego dramatu muzycznego „Gwiazda i śmierć Hoakino Muriety” wystawionego w teatrze Marka Zacharowa; oraz Andriej Siergiejew, który później został laureatem nagrody Bookera za wspomnienia „Klaser”. Prócz tego Siergiejew przyniósł wiersze swoich przyjaciół. Ja, mając do tego niejakię prawo, wydrukowałem również przekład angielskiego opowiadania. To było rzekomo realistyczne opowiadanie Armstronga, które tak naprawdę było fantastyczne pod względem stosunku do materiału i ludzi.

W tym opowiadaniu bohater, angielski pisarz w podeszłym wieku, we włoskim hotelu rozpakowuje walizkę, wyjmując po kolei rzeczy, które nazbierały się w niej w czasie podróży. Na przykład Biblię w języku włoskim dla cici. Okazuje się, że walizka pełna jest prezentów dla przyjaciół i krewnych, których pisarz bezstronnie charakteryzuje.

W nocy bohater nieoczekiwanie umiera.

Młody angielski krytyk, który przypadkiem znalazł się w tym samym hotelu, pisze artykuł o nieboszczyku pisarzu, za podstawę analizy jego charakteru biorąc rzeczy znalezione w pokoju hotelowym.

Dalej już się domyślcie. Na przykład widzi Biblię po włosku i stwierdza, że pisarz na starość stał się tak religijny, że nauczył się włoskiego, by czytać Biblię w języku Dantego i Petrarcki. I tak dalej.

Do trzech razy sztuka... Wiele lat później znowu zacząłem wydawać czasopismo. I znowu ukazały się tylko dwa numery.

To było na początku lat dziewięćdziesiątych, gdy wszyscy żyliśmy w dziwnej euforii, czekając, aż nasi czytelnicy zaczną wrywać sobie z rąk numery nowo powstałych czasopism fantastycznych.

„Cech Fantastów”, który zgodziło się wydawać wydawnictwo Robotnik Moskiewski, miał być takim właśnie pismem. W tym czasie pasjonowałem się historią fantastyki radzieckiej okresu przedwojennego i pisałem „Pasierbicę epoki”. Niestety, nawet w tamtych czasach nie znalazłem wydawcy. Może to i lepiej, teraz mogę zrobić „Pasierbicę” bez brzemienia błędów. „Cech Fantastów” tworzył wraz ze mną Wsiewołod Rewicz, człowiek niezależny i odważny, który twardo stał na swoim stanowisku, nigdy nie szedł na kompromisy z Młodą Gwardią i nie zdradzał Strugackich nawet wtedy, gdy było to korzystne.

Żałuję, że nie udało nam się zrobić kolejnych numerów „Cechu”. Mieliśmy wszelkie możliwości, a Robotnik Moskiewski był wobec nas lojalny.

Jak widzicie, mój udział w epopei pod nazwą „rosyjskie periodyki fantastyczne” okazał się bardzo skromny.

Przez wszystkie lata studiów byłem zagorzałym turystą, dzięki czemu udało mi się zobaczyć te zakątki naszego kraju, których nigdy później nie zdołałbym zobaczyć.

Turystyka lat pięćdziesiątych była pseudosportem, który starannie negował zachwyty nad przyrodą czy badanie starożytnych ruin. Mieliśmy maszerować, dążyć, zmierzać i składać sprawozdania — co też czyniliśmy. Należało zdobyć trzeci stopień, potem drugi, a stąd już niedaleko do pierwszego. Zimowa dwójka, wodniacka dwójka... wszystko było sumowane, przeliczane na dni i kilometry.

Na szczęście nasza turystyczna wspólnota w instytucie nie była aż tak sformalizowana, chociaż dwójki, trójki i stopnie starannie podliczaliśmy i składaliśmy sprawozdania.

Ale trochę kłamaliśmy.

Rosjanin musi choć trochę oszukać zwierzchnictwo, ta cecha wywodzi się z naszej niewolniczej przeszłości. Niewolnik nie ma własności, a własność gospodarza, tym bardziej gospodarza w postaci państwa, jest bezmierna. Górki włożył te rosyjskie słowa w usta włoskiego chłopca: „Jeśli od dużego odjąć odrobinę, to nie będzie kradzież, lecz podział”.

Niektóre wspaniałe podróże i wędrówki rodziły się z konieczności zdobycia kolejnej gwiazdki na turystycznych pagonach. Na przykład do drugiego stopnia potrzebne mi było kierowanie grupą wodną. Kto chce wyruszyć łódką po rzece Ugra od Wiaźmy do Kaługi? Trasa prosta, jedynka, pośpiechu nie ma. No i zbiera się dziesięć osób. Łódkę trzeba było zdobyć w Wiaźmie. Okazało się, że jest, owszem, ale w taborze Cyganów na tamtym brzegu. Dopóki trwały skomplikowane pertraktacje, ja i nieugięty Zielencow ruszyliśmy do stołówki, gdzie nie było nic prócz podejrzanego gulaszu, za to przy sąsiednim stoliku siedziało dwóch grubych mężczyzn i jadło chłodnik. Zieleńców wygłosił wzruszającą przemowę o sprawiedliwości. Jeden z grubasów podszedł do okna i pomachał ręką. Z dołu przyszedł milicjant i aresztował nas za obrazę miejscowej władzy. Obaj siedzieliśmy w więzieniu — on jako przestępca, ja jako osoba odpowiedzialna za niego. A za ścianami więzienia szalał nastawiony do nas przyjaźnie cygański tabor. Eryk Angarow już miał zrobić podkop, żeby nas uwolnić, ale w związku z zakończeniem dnia pracy milicjantom znudziło się trzymanie nas pod kluczem.

Łódka beznadziejnie przeciekała, w górnym biegu Ugra była niegłęboka i kręta, wsie trafiały się rzadko, były ciche i puste, a rzeka przezroczysta i ciemna w wirach. Na brzegach sosnowy las wycofywał się za piaszczyste skarpy, a głębiej zaczynało się królestwo na wpół zasypanych okopów, schronów i lejów. Na ziemi, ledwie wyglądając spod warstw sosnowych igieł, kryły się niemieckie i nasze hełmy. Pod zapadniętymi bierwionami schronu leżała lufa cekaemu. O dziwo, zapomnieliśmy o tym, że w lesie jest dużo min. Sfotografowaliśmy się w hełmach i maszerowaliśmy z zardzewiałymi karabinami. Wojna wtedy nie była egzotyką. Dziesięć lat to dla historii niewiele.

Później zetknęliśmy się z wojną jeszcze bliżej. Wędrowaliśmy po Karpatach. Na Howerli była mgła, na stromych skarpach rzeczek za nią panował jeżynowy raj. Góra wyglądała jak pokryta plamami czarnego tuszu. Tego lata jeżyny były bardzo słodkie.

Zgubiliśmy drogę i spotkaliśmy grupę zmęczonych Huculów w podartych waciakach i zdeptanych butach. Mieli automaty. Ucieszyliśmy się z tego spotkania — właśnie zaczynał padać deszcz i chcieliśmy się przed nim jak najszybciej ukryć.

Huculi zaprowadzili nas do drogi i w zamian poprosili o papierosy. Daliśmy im paczkę bielomorkanałów.

Nocowaliśmy w wiosce, w pustej (były wakacje) szkole. Deszcz ustał mniej więcej w południe. Poszliśmy do wiejskiej stołówki.

Siedziała tam tylko grupa Huculów, do złudzenia przypominających tych, którzy pomogli nam wczoraj. Byłem pewien, że to ci wczorajsi, tylko trochę lepiej ubrani i jakby weselsi. Na stole przed nimi leżało kilka dowodów osobistych. Nie pamiętam dlaczego, ale przysiadłem się do ich stolika — chyba chciałem zapytać, jak iść na Mukaczewo. W otwartym dowodzie było zdjęcie

chłopaka, który wczoraj wziął ode mnie bielomory. Okazało się, że ci wczorajsi byli banderowcami. W przekonaniu czekistów, którzy zaatakowali ich z zaskoczenia w wiosce, banderowcy powinni byli zabić nas, rosyjskich turystów. Ani nam, ani banderowcom nie przyszło to do głowy. Oni byli miejscowi.

Gdy zacząłem wędrować po kraju, turyści byli tak niezwykłym zjawiskiem, że w opustoszałych wioskach babcie nazywały nas „żołnierzami” albo „kursantami”. Nigdy nie słyszałem o przypadku, żeby ktoś napadł turystów albo ich okradł. Turysta był biedny i nieszkodliwy. Gdy po pierwszym roku postanowiliśmy znaleźć drogę z Moskwy do Wołgi przez lasy i małe rzeczki, od jeziora Pleszczejewo do Uglicza, to na całej Nerli nie spotkaliśmy ani jednego turysty. Dostępne w sprzedaży mapy geograficzne jawnie kłamały — wioski umieszczano na brzegach innych rzek, a jeziora znajdowały się w miejscu wzgórz. Czasem nas to bawiło, a czasem złościło. Robiono to celowo, żeby zbić z pantafelów Francuzów, w razie gdyby jakiś Napoleon znowu zapragnął podbić naszą ojczyznę. A może bano się Polaków i Dymitra Samozwańca? My, turyści, przeklinaliśmy kartografów, ale w końcu to nie była ich wina, polecenia wydawali czekiści. Nawet wtedy, gdy pierwsze satelity już krążyły nad Ziemią i Amerykanie mogli sobie spokojnie sami zrobić mapę ZSRR, na której byłoby widać każdą chatę, nasi dalej mącili ludziom w głowach.

Ten system superiorwellońskiego idiotyzmu przejawiał się również w wycinaniu informacji niedostępnych dla Rosjanina z zagranicznych czasopism i książek. Pamiętam, że dostałem od kogoś czasopismo geograficzne, z którego na pocztce (w urzędzie celnym czy w KGB — przez te dwa miesiące, nim dotarło do mnie, czasopismo mogło być wszędzie) wycięto kilka stron. Z treści zrozumiałem, że usunięto artykuły o wszechświatowej sieci baz wojskowych, zarówno naszych, jak i amerykańskich. Pomyślcie tylko, jakie przerażenie ogarnęłoby nasze państwo, gdybym dowiedział się, że w Kostromie są rakiety! Zapewne każdy z moich rówieśników, mający do czynienia z zagranicznymi periodykami, mógłby przytoczyć znacznie śmieszniejszy przykład.

Wyobraźcie sobie powieść o państwie, w którym wszystkie mapy kłamią, żeby szpieg zabłądził! To przecież fantasmagoria!

W ciągu ostatniego półwiecza (co za słowo!) tło dla podróżnika zmieniło się bardziej niż w ciągu całego XIX wieku. Ponad dwadzieścia lat temu z Żenią Głuszczenko kupiliśmy spory kuter, a raczej jolkę, należącą niegdyś do pisarza fantasty, który napisał, jeśli się nie mylę, jedną jedyną powieść. Jolka nazywała się „Pegaz”. Znaleźliśmy dla niej miejsce w Skniatinie nieopodal Kimru. Nieduże rzeczki wpadające do Wołgi były już opanowane i nieźle zaśmiecone przez turystów. Na Nerli nie mogliśmy się precyzyjnie przemieszczać między kajakami i namiotami, a jak wychodziliśmy na wyspę przy Kalazinie, rankiem budziły nas różne głosy zbieraczy jagód i grzybów — niedzielnych turystów. Na Wołdze było tyle motorówek, że huk nie milkł przez okrągłą dobę, jakby ktoś grzebał kijem w gigantycznym gnieździe trzmieli.

Nasz „Pegaz”, ściągnięty kiedyś z Niemiec, wspaniała, acz dogorywający jacht, wymagał stałej troski i nieustannego remontu. Tym właśnie zajmowaliśmy się, gdy tylko topniał śnieg. Jechaliśmy cztery godziny w każdą stronę w zawsze przepełnionym (na pamiątkę wojny domowej) pociągu Moskwa–Uglicz, a potem dwie godziny maszerowaliśmy do naszej wsi. Mieszkały tam prawie wyłącznie starowinki oraz jedna para małżeńska. Żona rozwoziła pocztę na rowerze, a mąż leżał permanentnie pijany i groził światu: „Zabiję! Wszystkich zabiję!”. Ale żeby zabić, trzeba było wstać, a na to nie miał sił.

Na trzy tygodnie „Pegaz” stawał się sterowny, silnik zgadzał się współpracować. Wtedy zbieraliśmy przyjaciół i wyruszaliśmy na włóczęgę po ogromnym, grząskim jeziorze, w które przemieniała się Wołga. Zwykle na farwaterze nasz silnik gasł i obok przemykały inne łodzie. Dobiegały nas okrzyki:

— Nie zapalacie, nie zapalacie! Na pewno nie zapalacie!

Gigantyczna motorówka albo ciężka barka z drzewem najeżdżała na nas, grożąc zatopieniem i wtedy okrzyki wodniaków stawały się jeszcze bardziej rozbawione.

Trudno mi sobie wyobrazić, czym stała się Wołga dzisiaj — w końcu technika nie stoi w miejscu, turyści wybierali pewnie wszystkie grzyby, wędkarze zgarnęli narybek.

Ryby to bardzo żywotne stworzenia. Niedawno przechodziłem obok centrum telewizyjnego. Była jesień i spuszczone wodę z wielkiego, okolonego betonowymi brzegami niegłębokiego stawu. Może chcieli czyścić albo remontować... w każdym razie pośrodku stawu zostały duże kałuże wypełnione trzcina, dochodzące do metra głębokości. Mniej więcej dwudziestu facetów w wysokich butach, z siatkami albo szuflami w rękę, brodziło po kałużach i „łowilo” ryby, które jeszcze zostały. Przystanąłem i zacząłem się przyglądać. Widać było, że wyciągają głównie rybki nadające się jedynie na karmę dla kotów, jeśli koty zgodzą się je jeść. Wtedy jeden z mężczyzn głośno krzyknął, sąsiedzi odwrócili się — mężczyzna tulił do piersi wielkiego, może półtorametrowego szczupaka. Zaczął się w kałuży, myślał, że przechytrzy naszych. Nic z tego.

To też kadr przyszłości. Ostatnie ryby w ostatnim niezatrutym stawie.

Można by tam urządzać zawody, nawet międzynarodowe.

Ósma rybka o wadze dwudziestu ośmiu gram! Zwycięzca — Iwan Timoszenko z Dniepru!

Turystyka w naszym instytucie skończyła się z powodu tragedii, której uniknąłem jedynie przypadkiem — akurat uczestniczyłem w seminarium leśników. Piętnaście osób z naszej sekcji popłynęło dwoma szalupami do Leningradu na obchody Dnia Marynarki Wojennej. Spieszyli się, żeby zdążyć na święto i postanowili przeskoczyć przed sztormem. Rozbili się o pnie martwego lasu w północnej części Zalewu Rybińskiego.

Budowniczo wie zalewu chcieli zmieścić się w planie i nie zdążyli ściąć lasu. Zostały podwodne pnie — straszne zagrożenie.

Ciała naszych kolegów wylawiano przez dwa tygodnie, przywożono w cynkowych trumnach. W ciągu tych dwóch tygodni pochowaliśmy bardzo wiele osób. Koszmarne wspomnienie. Chodziliśmy — jak do pracy — dzisiaj rano na cmentarz, jutro też na cmentarz...

Ze studiów, podobnie jak ze szkoły, zapamiętałem letnie miesiące, prawie nie pamiętam zim. Zimy były nudne. Lato oznaczało podróże w kręgu przyjaciół.

Filologiem zostałem przez nieporozumienie. I gdyby nie przekłete kolumny Teatru Bolszoj, byłbym normalnym geologiem, przeżyłbym znacznie bardziej interesujące życie, a już na pewno nie zostałbym tym nieruchawym grubasem, którym jestem dzisiaj.

Przez cały czas mijałem swoje szczęście.

Ale widziałem jego puszysty ogon i nawet mogłem go dotknąć.

ROZDZIAŁ 8

KUSICIELE Z IZRAELA

Na roku było nas sześciu żonatych. Ja ożeniłem się wczesną wiosną ze studentką architektury, Kirą Soszyńską. Poznaliśmy się rok wcześniej. Zobaczyłem ją na jakiejś imprezie u wspólnego znajomego, wszedłem spóźniony, a Kira stała pod ścianą — pamiętam sukienkę z dużymi kieszeniami. I wtedy po raz pierwszy w życiu pomyślałem — ożenię się z tą dziewczyną. Wcześniej miewałem romanse, przeżywałem dramaty, a taka myśl nigdy nie przyszła mi do głowy. Bardzo nie chciałem się zenić.

Latem Kira wyjechała do babci do Symferopolu. Jej ojciec pochodził z Krymu, był Greko — Polakiem, a babcia miała parterowy, wrośnięty w ziemię, malutki biały domek. Ja pracowałem jako tłumacz przy delegacji leśników — taką miałem praktykę. Nasza trasa biegła przez Krym. Ale coś nas zatrzymało i wyznaczonego dnia do Symferopolu nie dotarłem. Kira pojechała do Ałusztzy, zostawiając mi na poste restante przykry list — „Nikomu nie można wierzyć”.

Zmartwiło mnie to umiarkowanie, ponieważ byłem bardzo zajęty.

Nawet nie podejrzewałem, że moje spóźnione olśnienie, które zaczęło się od czasopisma „Byłoję”, ruszy takimi siedmiomilowymi krokami. Nie należało wysyłać młodzieży radzieckiej na rozszarpanie kapitalistom! Bez względu na wszelkie przygotowania do walki ideologicznej, w decydującej chwili i tak jesteście bezbronni.

Wiem to po sobie. Właśnie w tych dniach, gdy Kira zarzucała mi niewierność, ja obcowałem z wężem kusicielem, rzecz jasna, narodowości żydowskiej...

To było jedno z pierwszych seminariów naukowych w naszym kraju, który zaczął niepewnie wyglądać zza żelaznej kurtyny.

Seminarium leśników odbywało się pod egidą ONZ i istniało — pod pewnymi aspektami — jakby poza radziecką rzeczywistością, ponieważ radziecka rzeczywistość chciała pokazać całemu światu, jaka jest postępową, a nawet wolną.

Do ZSRR przyjechało dwudziestu leśników z całego świata, żeby popatrzeć, co w tej dziedzinie osiągnięto u nas. Przy boku leśników było dwóch albo trzech działaczy ONZ oraz dwustu albo trzystu pracowników różnych radzieckich urzędów, przeważnie tajnych.

Z nietajnych odnotowałem pół tuzina tłumaczy i tyłuż leśników, z głównym leśniczym Związku Radzieckiego, Kowalinem, na czele, który pochodził z leśników, a nie urzędników, co oznaczało, że mieliśmy szczęście. Kowalin nikogo się nie bał (a jeśli nawet bał, to nie dał tego po sobie poznać), w dowolnym porośniętym lasem zakątku naszej ojczyzny był bezsprzecznym autorytetem i gospodarzem umiejącym podejmować decyzje.

Ponadto naszedł pięćdziesiąty szósty rok, Chruszczow już przygotowywał swoją bluźnierczą mowę na XX Zjazd Partii i pierwsze tysiące więźniów powracały do domów.

Seminarium rozpoczęło się w Moskwie, gdzie w towarzystwie radzieckich kolegów cudzoziemcy zasiadali i słuchali wykładów. Cudzoziemcy przybyli z najróżniejszych krajów — od Danii po Indie.

Następnie przez ponad miesiąc jeździliśmy po całym kraju, oglądając pracę radzieckich ludzi na niwie zalesiania terenów.

Cudzoziemcy zaczęli demoralizować mnie, dwudziestoletniego smarkacza, niemal od pierwszego dnia.

Prosty przykład. Seminarium prowadzi do Mauzoleum Lenina. Ja też jestem zainteresowany wycieczką, ponieważ na skutek wrodzonego lenistwa nigdy nie chciało mi się stać w

wielogodzinnej kolejce do relikwii wodza. A tu nas prowadzą bez kolejki — przez pusty plac i ustawiają w kolejce dla tych bez kolejki. Stoimy. Jest ciepło, sucho, po placu chodzą gołębie, przed mauzoleum zastygła warta honorowa. Za mauzoleum stoją w szeregu srebrne świerki.

Widok budzi od razu dwa wspomnienia.

Jedno stare, powojenne, gdy tata był państwowym bonzą i mógł wejść na plac w czasie parad. Czasem brał mnie ze sobą. Stałem wtedy niedaleko mauzoleum i gdy towarzysz Stalin wchodził na trybunę, a za nim inni znani przywódcy, wydawało mi się, że jest tuż obok mnie i mogę dojrzeć każdą ukochaną, dobrą zmarszczkę na jego pięknej twarzy. Ja krzyczę i klaszczę w dłonie, a Józef Wissarionowicz kiwa głową i uśmiecha się — do mnie.

Drugie wspomnienie jest straszne.

Piętnaście lat temu byłem w Niemczynówce u znajomych. Wynajmowali tam domek od starej kobiety, której mąż kiedyś hodował na działce piękne drzewa ozdobne. I wyhodował całą aleję srebrnych świerków. Jeszcze przed wojną przyjechali do niego „stamtąd” i uprzejmie poprosili, żeby wykopać świerki i przewieźć je na plac Czerwony, gdzie akurat brakowało materiału sadzonkowego. Ten skąpiec odmówił i następnej nocy został aresztowany. Jak się okazało, był niemieckim szpiegiem. Świerki zostały wykopane i przewiezione na plac Czerwony siłą.

No i stoimy sobie w tej kolejce, składającej się z samych delegacji „bez kolejki”, i nagle jeden z moich nowych znajomych, doktor Gur z Izraela, ciemniącego nasz bratni naród arabski, mówi cichutko:

— Proszę się o mnie nie martwić. Wrócę prosto do hotelu. A teraz pójdę do tamtego sklepu, chciałbym kupić płyty.

Wydałem cichy okrzyk i zapytałem (też szeptem):

— Jak to? Przecież stoimy w kolejce do mauzoleum!

— Nie jestem człowiekiem religijnym — odpowiada na to Żyd kusiciel. — Nie oddaję czci relikwiom.

Patrzyłem z przerażeniem, jak odchodzi.

Przydzielony Gurowi pracownik organów, ze smutkiem oglądając się na mauzoleum, potruchtał za Gurem po bruku, płosząc gołębie.

Następnego dnia Gur, malutki, wysuszony pustynnym słońcem, żywy i ruchliwy człowiek suworowskiego typu, przyznał mi się, że zanim został naczelnikiem zarządu leśników Izraela, był komendantem Jerozolimy w czasie pierwszej arabsko–izraelskiej wojny i słynną postacią w Izraelu. Powiedział także zagadkowe zdanie:

— Do tej pory nie byłem w dwóch krajach świata.

— W jakich?

— W Afryce Południowej i Związku Radzieckim.

— Dlaczego?

— Ponieważ w Afryce Południowej jest apartheid, a ja nie znoszę rasistów...

Podczas jednej z pierwszych wypraw trafiliśmy do Instytutu Lasu (za niedokładność w nazwie przepraszam), gdzie siedzieliśmy w gabinecie szanownego akademika Sukaczewa, dyrektora tegoż instytutu, i spokojnie rozmawialiśmy. Gabinet był nieduży, więc czekał się nie zmieścili. Wszyscy udawali, że oni nie istnieją.

W trakcie spontanicznej, swobodnej rozmowy jeden z obcokrajowców (być może tenże doktor Gur) zapytał:

— Czy to prawda, że profesor Dubinin pracuje jako strażnik leśny przy waszym instytucie?

Pytanie było nietaktowne. To tak jakby w domu powieszzonego zapytać o sznurek. Nasze radzieckie leśne kierownictwo zaniepokoiło się, zwłaszcza że nie miało pojęcia, co akurat robi Dubinin.

Staruszek Sukaczew po krótkiej przerwie spokojnie odpowiedział:

— Jeśli życzyacie sobie państwo porozmawiać z profesorem Dubininem, mogę go zaprosić. W naszym instytucie zawiaduje ornitologią.

— Ach — odezwał się wiceminister, który jeździł z nami po Moskwie. — Zbliża się pora obiadu...

Jego słowa zawisły w powietrzu, nikt ich nie usłyszał.

Era stalinowska umierała w oczach.

O dziwo, niedawno sprawdziłem w autobiografii Dubinina, że latem 1956 roku on już zaczął organizować laboratorium genetyki racjonalnej. Oznacza to, że najcięższe lata ten największy genetyk, ofiara Łysenki, miał już za sobą. Możliwe, że Dubinin specjalnie przyjechał do Sukaczewa — nie miał innej możliwości spotkania się z kolegami z innych krajów. Doskonale pamiętam, jak wszedł do gabinetu Sukaczewa — łysy, z czarnymi, gęstymi brwiami...

Po powrocie z praktyki po raz kolejny spotkałem się we wspólnej kuchni z akademikiem Prezentem. Tylko w odróżnieniu od poprzednich spotkań tym razem byłem znacznie lepiej poinformowany, zahartowany, udało mi się nawet co nieco przeczytać. Z ufego „sąsiada” zmieniłem się w przeciwnika. Prezent był ze mnie niezadowolony. O Dubininie nie umiał powiedzieć nic miłego. O seminariach, organizowanych dla imperialistycznych szpiegów, też nie...

Później jeździliśmy po kraju i na własne oczy zobaczyłem wielki stalinowski plan przekształcania przyrody. Pasy lasów i zadrzewiane tereny, na których udowodniano istnienie wewnątrzgatunkowej solidarności i międzygatunkowej wrogości na poziomie nasion. Ponieważ praktycy odnosili się do Łysenki pogardliwie (choć ostrożnie), w ciągu sześciu tygodni nie spotkałem ani jednego stronnika jego teorii. Dla obcych delegatów Łysenko był postacią anegdotyczną, a mój kuchenny rozmówca Prezent — godną pogardy.

Objechaliśmy Ukrainę i trafiliśmy na Krym.

W Symferopolu na poczcie znalazłem nowy list od Kiry, tym razem mniej surowy i dowiedziałem się, że jest w Ałuszcie.

Pokazałem list Kowalinowi.

Kowalin był jak zwykle małowówny i rzeczowy.

— Weźmiesz mój samochód — powiedział. — I żebyś punkt osiemnasta był w Jałcie.

Ja i Kira przesiedzieliśmy dwie godziny na zboczu góry z widokiem na morze, w cieniu starych orzechów. Gdy nadlatywał wietrzyk, zielone kuleczki orzechów skakały po kamieniach. Całować się właściwie nie mogliśmy, bo wyżej na zboczu był pastuszek. Owce też patrzyły.

O osiemnastej byłem w Jałcie.

Z Jałty odpłynęliśmy do Gruzji, skąd trafiliśmy do Azji Środkowej.

W ciągu sześciu tygodni uczestnicy seminarium zaprzyjaźnili się i zapomnieli, kto jest tłumaczem, a kto leśnikiem. Rzecz jasna, czekał o niczym nie zapomnieli.

W Azji Środkowej wpływ marksistowskich idei Łysenki był mniej odczuwalny niż w Rosji. To tak jakbyśmy wyrwali się z fantastycznego kraju, gdzie zboże przemienia się w pszenicę, krowy dają śmietaną, nasiona pomagają sobie nawzajem, a psy, którym ucina się ogony, mają bezogoniaste szczeniaki.

Dzisiaj zapomina się już, że Łysenko nie był jedynym państwowym szarlatanem. Mówiłem już o Lepieszyńskiej, która odkryła narodziny życia w brudnych probówkach. Był akademik Bogomolec, który odkrył życie wieczne, i wtórujący mu Zieliński. Któryś z nich wynalazł cudowne zsiadłe mleko o właściwościach odmładzających.

Wszystkie te bzdury drukowano w gazetach. Wydawałoby się, Bóg z nimi. Potworność polegała na tym, że ludzi, którzy nie zgadzali się z oczywistymi bredniami, można było wsadzić do

więzienia i stracić.

Staliśmy przed rachitycznymi pasami lasów, stworzonych w oparciu o prawa Trofima Denisowicza Łysenki, sformułowane przez jego przyjaciela Isaja Izrailewicza Prezenta. Nasi leśnicy milczeli, a uprzejmi cudzoziemcy się nie śmiali. Tylko doktor Gur czasem się uśmiechał. Nasi ministerialni naczelnicy nie przepadali za nim.

W końcu dotarliśmy do Buchary. Była tam stacja hodowli roślin na pustynie, co zainteresowało naszych delegatów z Indii, Pakistanu i Izraela.

Przyjechaliśmy wieczorem.

W świetle zachodzącego słońca, otulona cieniutkim tiulem kurzu podświetlonym pomarańczowymi promieniami, Buchara wydawała się miastem baśniowym. Wtedy, pięćdziesiąt lat temu, była jeszcze nietknięta współczesną cywilizacją, a jej najlepszy, a może nawet jedyny hotel mieścił się w przestronnej medresie.

Wieczorem oboje z panią biolog z Taszkientu spacerowaliśmy po krzywych uliczkach. Przechodniów prawie nie było, panowała cisza. Od czasu do czasu rozlegało się szczekanie psa oraz stukot butów czekistów — nigdy nie zostawiali nas samych.

Następnego dnia, wybierając się na pustynię, wstaliśmy bardzo wcześnie.

I usłyszeliśmy dziwne brzęczenie, jakby obok hotelu przebiegała linia wysokiego napięcia. Dobiegało z placu, na który wychodziły galerie medresy.

Plac był pełen ludzi.

Wszyscy mieli na głowach czarne czapeczki.

Nic nie rozumiałem, podobnie zresztą jak inni.

Żeby dotrzeć do autobusu i samochodów, musieliśmy przejść przez plac.

Gigantyczny tłum nasunął się na nas i zamarł, rozchylając się, niczym rozcięty nożem.

Nasi delegaci stali na schodkach, nie mając odwagi wejść w zastygły tłum.

Wtedy wystąpił doktor Gur.

Zaczął iść przez tłum.

Ludzie padali przed nim na kolana i nieśmiało wyciągali do niego ręce.

To byli bucharscy Żydzi. Na wieść, że po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat radzieckiej rzeczywistości przybył tu człowiek z Ziemi Obiecanej, ściągnęli ze wszystkich dzieńne miasta i okolicznych wiosek, aby pokłonić się jemu i Izraelowi.

Nasza podróż skończyła się w Taszkencie.

Na kilka dni przed powrotem stałem w holu dwupiętrowego przedrewolucyjnego hotelu i wraz z doktorem Gurem zastanawiałem się, jak moglibyśmy spędzić ten wolny dzień.

Przez hol szedł potężny mężczyzna w podeszłym wieku, dość pewny siebie, o ładnej postawie.

Gur wyprostował się i powiedział:

— Znam tego człowieka!

A skąd on mógł znać jakiegoś radzieckiego człowieka w Taszkencie?

Ale wiedziałem, że Gur nigdy się nie mylił.

— Niech mnie pan przedstawi! — zażądał.

Niepewnie podszedłem do mężczyzny, który należał do rodzaju ludzi, wobec których czuje się onieśmienie.

W tym momencie odezwał się Gur:

— Nazywa się pan Wertyński. Jest pan rosyjskim śpiewakiem. Byłem na pana koncercie w Jerozolimie w dwudziestym siódmym roku.

(Być może, źle zapamiętałem rok).

Mój Boże, jaka zmiana zaszła w tym dumnym człowieku! Jakby spotkał zaginionego brata,

którego nie widział trzydzieści lat.

Wertyński prosił, błagał, żądał, żebyśmy przyszli wieczorem na jego koncert.

Poszliśmy. Było nas pięcioro — Jugosłowianin, irański ksiązę i Sikh, wiecznie ze wszystkiego niezadowolony, który chodził wszędzie, gdzie nie trzeba było płacić.

Wertyński śpiewał bosko i trzy razy na bis — dla mnie i dla Gura — „Palestyńskie tango”.

Zaraz wyjaśnię, dlaczego łączę swoją osobę z izraelskim pułkownikiem.

Następnego ranka biegałem po korytarzach w poszukiwaniu sznurka — typowe zadanie tłumacza w dniu wyjazdu. Trzeba było zapakować jakieś referaty i czasopisma, Kowalin mnie ponaglał, a ja nawet jeszcze nie zacząłem.

I nagle — o cudzie! — spostrzegam na korytarzu Wertyńskiego.

— Aleksandrze Nikołajewiczu! — wołam do niego. — Nie ma pan czasem sznurka?

Przecież znałem go już tak dobrze! Przecież wczoraj śpiewał specjalnie dla mnie! Przecież prawie słyszałem go trzydzieści lat temu w Jerozolimie!

— Niech pan idzie ze mną — zaprosił mnie Wertyński. I poprowadził mnie do swojego pokoju.

W pokoju panowała przytulność stworzona przez człowieka, który całe życie spędził w hotelach.

— Proszę usiąść.

— To pana córki? — rozsiadłem się wygodnie w fotelu.

Na stole stało zdjęcie dwóch ślicznych dziewczynek. I fotografia kobiety. Poznałem ją. To była żona Wertyńskiego, bajeczna piękność grająca Feniksa w filmie „Sadko”.

— Napije się pan koniaku? — zapytał Wertyński.

Koniaku po przyjacielsku nie odmówiłem. Nie rozumiałem, że piję koniak w czyimś imieniu.

Stuknęliśmy się i Wertyński zapytał:

— Pan dawno z Jerozolimy?

Uśmiechnąłem się pobłaźliwie — uśmiechem prawdziwego komsomolca.

— Jestem z Moskwy. Tłumacz.

Po tym, z jak uprzejmą wzgardą ten wielki śpiewak podał mi motek sznurka i wskazał drzwi, zrozumiałem, że nasza przyjaźń nie będzie się dalej rozwijać. Na szczęście już wtedy miałem poczucie humoru i gdy Gur śmiał się serdecznie z mojej przygody, wtórowałem mu.

Dzięki narodowi izraelskiemu napiłem się koniaku z wielkim człowiekiem.

Rozstając się w Moskwie, my, uczestnicy seminarium, przysięgaliśmy sobie, że nie zerwiemy kontaktu, będziemy kulturować przyjaźń i pisać listy.

Nikt tego nie zrobił.

Tylko ja następnej Wielkanocy dostałem paczkę z Izraela. Musiałem jechać na międzynarodową pocztę, gdzie celnik zapytał mnie jadownicie:

— Co spodziewa się pan dostać?

— Słowo honoru, nie mam pojęcia.

W skrytości liczyłem na angielskie książki — deficytowe marzenie.

Celnik wydał mi kartonowe, rozwalające się pudełko. Już je przesłuchali i przejrzeni.

Pudełko było zdumiewająco lekkie, jakby była w nim tylko jedna książka.

W środku były jakieś wafle. Postne i bez smaku.

Ale przecież Gur nie należał do żartownisiów!

Zadzwoniłem do babci Feliksa Francuzowa.

— To przecież najprawdziwsza maca z Tel Avivu! — wykrzyknęła babcia.

I ku obopólnemu zadowoleniu, zawiozłem jej tę macę.

ROZDZIAŁ 9

KIEROWNIK DZIAŁU GOSPODARCZEGO NA BUDOWIE

Wiosną 1957 roku ja i Kira wzięliśmy ślub.

Początkowo nie mogliśmy się zdecydować, gdzie będziemy mieszkać, czy w jednopokojowym mieszkaniu jej rodziców na Pietrowce, czy w naszej komunalce w Zaułku Ostrowskiego, razem z neolamarkistą Aleksiejewem i jego sympatyczną rodziną. W końcu sprowadziliśmy się do mojej mamy. Z rzadka przyjeżdżał Prezent i teraz, gdy byliśmy już w różnych obozach, on z uśmiechem tłumaczył moją ewolucję wpływem ogólnoswiatowego syjonizmu.

Kończyłem instytut i nie podejrzewałem jeszcze, że małżeństwo przesunęło mnie do kategorii osób „pewnych”. Przede mną, jako człowiekiem żonatym, otwierały się nieoczekiwane perspektywy.

Był rok 1957 i nagle okazało się, że nasz kraj nie jest bynajmniej jedyny na Ziemi, że jest jeszcze wiele innych państw, z którymi można być nie tylko we wrogich, ale także przyjacielskich stosunkach. Namnożyło się byłych kolonii, pracowitych, postępowych i miłujących wolność, którym nie zaszkodziłoby pomóc i w zamian za to wciągnąć je do walki z międzynarodowym imperializmem. W tym celu potrzebni byli tłumacze. Ale jak tu wysłać za granicę nieżonatego tłumacza, którego pierwsza lepsza amerykańska szpiegówka może skusić i skłonić do zdrady na tle seksualnym?

Kira też tego nie podejrzewała i wysłuchiwała pełnych współczucia monologów przyjaciółek, że zmarnowała młodość. Przecież jej wybraniec nie miał ani dobrego zawodu, ani nawet wykształcenia muzycznego, podczas gdy Kira całe dzieciństwo i młodość spędziła ze skrzypcami w ręku.

Mój wydział był męski, na roku sześciu żonatyh „anglików”.

Dwóch skusiła wysoka pensja w KGB, reszta poleciała do Birmy na budowę obiektów „podarunkowych”.

Co to oznaczało?

My budowaliśmy w Birmie politechnikę, nowoczesny hotel, szpital w górach, w Taundzi. A Birma dawała nam adekwatną ilość ryżu.

Dla nas było to wielkie przedsięwzięcie, jedna z pierwszych budów tego rodzaju poza granicami obozu socjalistycznego.

Do samolotu wsiadłem sam (Kira nadal studiowała architekturę) i poleciałem długą, okrężną drogą przez Mongolię i Chiny do Zatoki Bengalskiej, nie mając o tych krajach bladego pojęcia.

Opuściłem radziecką antyutopię w jej wydaniu domowym, żeby uważnie przestudiować jej wersję zagraniczną.

Co było bardzo pożyteczną rzeczą dla przyszłego fantasty.

W Pekinie, jak już mówiłem, zobaczyłem czasopismo, z którego dowiedziałem się, że jestem pisarzem. Potem znalazłem się w Kunmingu, gdzie czekałem na samolot do ziem dalekich i nikomu nieznanym.

Wreszcie nadeszła chwila wejścia w tropiki.

Niewielki, stary samolot wylądował na lotnisku w stolicy Birmy, Rangunie.

Popołudnie. Tropikalne powietrze uderzyło mnie w twarz i powstrzymało ruch do przodu. Było gęste nie tylko z powodu czterdziestu stopni Celsjusza i stuprocentowej wilgotności, ale również z powodu aromatów równikowego świata.

Zaprzagnąłem schować się w chłodzie kadłuba samolotu, ale nikt by mi na to nie pozwolił. Tym

bardziej że z naprzeciwka biegł już w moją stronę Kirył Szangin, kolega z roku, który przyleciał do Rangun w wcześniej.

Czekaliśmy na bagaż w przestronnej klimatyzowanej sali lotniska Mingaladon. Na jednej ze ścian widniał ogromny militarno–historyczny fresk. Fotele były miękkie i obszerne, kelnerzy w białych strojach roznosili sok pomarańczowy z lodem — wtedy jeszcze nie wiedziałem, że to po prostu nazywa się *orange*. Młodzi ludzie w kraciastych spódnicach chodzili parami, trzymając się za ręce, młode sprzedawczynie w kioskach wyglądały, jakby wymazano im twarze wapnem, we włosy miały wplecione girlandy malutkich białych kwiatuśzków, które słodko pachniały na kilka metrów. Kirył czuł się swobodnie i popisывał się birmańskimi zwrotami, wywołując szczere rozbawienie słuchaczy.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że pokocham ten kraj i tych ludzi, ale już w pierwszych minutach pochwyciło mnie dziwne uczucie niecierpliwości — chciałem szybko jechać dalej, patrzeć i słuchać, wchłaniać w siebie ten świat nie mający pojęcia o swojej egzotyce.

Dostałem swój bagaż i poszliśmy do wyjścia, gdzie czekał na nas gazik, z którego wyskoczył kierowca. Miał wściekły wyraz twarzy i nazywał się Maun Szwe, potocznie — Misza.

Rosjanie nie uczą się języków obcych i nie interesują się cudzymi zwyczajami. Są zdania, że wystarczy przekreślać imiona tubylców, klepać wszystkich po ramieniu, aby wzbudzić szczerą miłość do Związku Radzieckiego. Teoretycznie wystarczy pokazać Afrykańczykom czy Malezyjczykom portret Lenina, by łzy same napłynęły do czarnych oczu.

Pokazowa komunalna demokracja, która nie ma nic wspólnego z prawdziwą demokracją, przypominała poufałe stosunki panujące w izbie lokajskiej. „Panowie” w podobnie poufały sposób traktują plebejuszy, licząc, że stojący wyżej bonzowie będą ich traktować w ten sam sposób.

Owej komunalnej demokracji obowiązkowo towarzyszyła dwustopniowa bieda. Pierwszy stopień to bieda zagraniczna, gdy radziecki specjalista otrzymywał dziesięć razy mniej od swojego kolegi z Anglii i żył w dziesięć razy gorszych warunkach. Praktyczny rozum tubylca dokonywał szybkiej analizy: skoro radziecki specjalista zgadza się pracować za znacznie mniejsze pieniądze i żyć w znacznie gorszych warunkach, to znaczy, że jako specjalista jest dziesięć razy gorszy od Anglika. Co za tym idzie, radziecki specjalista był znacznie gorzej traktowany.

Drugi stopień biedy brał swoje źródło z biedy ojczystej. Radziecki inżynier bądź tłumacz, pochodzący z Moskwy czy Permu, żył biedniej niż Birmańczyk czy Indonezyjczyk, którego przyjechał obsypać dobrodziejstwami. Za granicą Rosjanin rozpaczliwie oszczędzał, żeby kupić samochód, marzenie każdego radzieckiego specjalisty. Jeśli z tego względu przychodziło głodować, to nic, jakoś wytrzymamy, za to będziemy mieli moskwicza. A jak byłeś kierownikiem, to nawet wołgę. Będziemy głodować, ale wrócimy samochodem! Ileż było za tym komedii, ile tragedii! A najważniejsze, żeby cię za wcześnie nie wyrzucili — to znaczy, zanim uskładasz pieniądze.

Stale mieszkający i pracujący za granicą specjaliści, przy całej swojej biedzie i chciwości, mimo wszystko wiedzieli, że to ich życie i dlatego najnormalniejsi z nich (a takich jest znacznie więcej na budowach niż w innych organizacjach) chodzili do kina, jeździli popływać, robili zwykłe codzienne rzeczy.

Najstraszniejsi byli ci, których wysyłano na krótkoterminową delegację. Mogę o tym zaświadczyć jako tłumacz.

Często gęsto przydzielano mnie takim wielmożom, którzy, dochrapawszy się wreszcie wycieczki do Azji, wpadali w amok. Musieli zadowolić wszystkich — od żony po kadrową w ministerstwie. W bardziej odległych krajach, na przykład w Indiach, które musiały się z nami zawzięcie przyjaźnić, pojawiały się ulice, gdzie otwarcie kpiąc z nędzarzy–dobroczyńców z kraju zwycięskiego socjalizmu, handlarze krzyczeli od progu swoich sklepików: „Ruski — charaszo,

madam very big, Wania, kup!”.

Kirył zawiózł mnie do Railway Hotel, czyli do hotelu Kolejowego. W ciągu swojego życia zdarzyło mi się mieszkać w stu, a może dwustu hotelach. Hotel Kolejowy w Rangunie był jednym z najbardziej egzotycznych.

Zbudowano go przy dworcu kolejowym pod koniec ubiegłego wieku i zapewne był w Birmie ostatnim tego typu. W droższych hotelach pojawiały się już ślady postępu. W Kolejowym przez sto lat nie zmieniło się absolutnie nic. Gigantyczne pokoje, pięć metrów wysokości, pięćdziesiąt metrów kwadratowych powierzchni. Pod sufitem poskrzypywały ogromne wiktoriańskie wentylatory (świt elektryczności), leniwie mieszając powietrze. Na środku każdego pokoju stały dwa albo trzy łóżka. Każde prawie kwadratowe i każde z tiulowym baldachimem chroniącym przed moskitami. Nie mogę nazwać tych baldachimów moskitierami — tyle gazy zużyto na każde z tych arcydzieł.

Okna wychodziły nie na ulice, lecz na perony dworca, rówieśnika hotelu. Wszystkie hałasy i zapachy peronu przenikały do pokoju.

W takich właśnie pokojach mieszkaliśmy.

W naszym — inżynier Witia Mołdawanow, Kirył Szangin , i wasz pokorny sługa.

Przyzwyczajeni do biedy w Moskwie, nie odczuliśmy niewygód birmańskiego życia. Natomiast zwierzchnictwo, czyli Jurij Iwanowicz Alichanow i naczelny inżynier Mekriukow mieszkali w hotelu Strand na nabrzeżu, w którym niegdyś zatrzymywali się kolonizatorzy, a obecnie — ważne delegacje. Tam już szumiała klimatyzacja, moskitier nie było. Zazdrościłem mieszkańcom Strandu, bo ich okna wychodziły na port — za szerokim nabrzeżem płynęła mętna ruda rzeka usiana statkami różnego rodzaju i rozmiaru.

Mam ogromną ochotę opowiedzieć wam o Birmie i udowodnić, że to najcudowniejszy kraj na świecie, choć nieszczęśliwy, ale niestety, nie ma tu miejsca na taką opowieść, zwłaszcza że planuję napisanie monografii „Birma dwudziestego wieku”.

Tutaj opowiem o tych aspektach birmańskiego życia, które związane są z kształtowaniem się waszego bohatera, czyli bardziej z życiem człowieka radzieckiego w Birmie, niż z Birmą i Birmańczykami.

Przez pierwsze miesiące mieszkaliśmy w hotelu oddalonym o pół godziny drogi od budowy, która wtedy była dopiero placem z długimi barakami. W nich mieściło się biuro budowy i projektanci.

Żeby lepiej zrozumieć dalsze poczynania postaci dramatu, trzeba uświadomić sobie, czym jest Rangun.

W tym czasie mieszkało w nim nieco ponad pół miliona ludzi (teraz cztery razy więcej). Miasto zaczynało się na południu nad rzeką Rangun, wzdłuż której ciągnęły się cywilizowane nabrzeża, im dalej od centrum, tym bardziej prymitywne były cumowiska.

Na północy mieściło się dobrze rozplanowane przez Anglików centrum, składające się z trzy- i czteropiętrowych domów. Tam znajdowały się sklepy, restauracje, kina i inne atrybuty stolicy.

Kolej oddzielała stołeczne miasto od miasta wschodniego, tropikalnego. Za torami ciągnęły się proste i krzywe ulice, zabudowane willami, chatami i monastyrami, otoczone bujną roślinnością. Ta część Rangun, pod względem ilości mieszkańców trzy razy mniejsza od centrum, zajmowała obszar dziesięć razy większy. Niektóre części tego Rangun, szczególnie okolice wokół jezior, uważano za prestiżowe. Tam mieszkali ludzie bogaci, tam mieściły się ambasady i domy różnych zagranicznych specjalistów, w tym radzieckich.

Dalej, w miarę jak domy stawały się mniejsze i biedniejsze, Rangun stopniowo przechodził w przedmieścia, kończąc się lotniskiem Mingaladon. Na północ od niego zaczynała się Birma „właściwa” — kraina wsi, lasów, pól ryżowych i gór, przemieniających się na północy w potężne,

sześciokilometrowe szczyty. Za nimi leżą Chiny (bardziej na wschód) i Indie (bardziej na zachód).

Ponieważ wkrótce z tłumacza stałem się drugim kierownikiem działu gospodarczego, zyskałem pewną swobodę. Jeśli Misza z naszym gazikiem był zajęty, czasami jeździłem do miasta autobusem, „kobrą”, przerobioną, jak wszystkie birmańskie autobusy, z wojskowej ciężarówki.

Do moich obowiązków należało wynajmowanie domów dla budowniczych, zdobywanie mebli na składach brygady rehabilitacyjnej (dziwnej instytucji zawiadującej oddającymi się do niewoli powstańcami, przeciwnikami rządu w permanentnej w Birnie wojnie domowej), oraz zdobywanie na ciele wszelkiego rodzaju towarów przeznaczonych dla budowy oraz budowniczych.

Z jednej strony praca była interesująca — nie trzeba było siedzieć na zakurzonej placu budowy, ale z drugiej męcząca i prowadząca do najróżniejszych konfliktów. Nawet w czasie świąt nie mogłem się spokojnie bawić, bo do tańca prosiły mnie młode żony młodych operatorów buldożerów czy dźwigów i po kilkunastu taktach Masza albo Zina zaczynały namiętnie szeptać mi do ucha: „Igor, stół nam się kołysze — nie znalazłby się w magazynie taki z drzewa tekowego?”. Albo inaczej: „Nie wpadłbyś do nas jutro

wieczorkiem? Znowu widmo chodzi po strychu, oszaleć można. Albo je przegonisz, albo będziemy nocować na ulicy!”.

Z widmami i różnego rodzaju cudami było ciężko. W Birnie po prostu nie było ludzi niezabobonnych — oprócz mnie. Każdy Birmańczyk doskonale wie, że człowiek, który zginął śmiercią nienaturalną, przemieni się w natę, złego ducha i będzie prześladował zabójcę, potomków zabójcy oraz wszystkich, którzy nie przypadną mu do gustu. W każdym dużym drzewie mieszka natę, a nawet kilka. I gdy w porze deszczowej gigantyczne drzewa z trzaskiem i łoskotem przewracają się, niszcząc dachy domów albo zgniatając na placek przejeżdżające nie w porę samochody, wszyscy wiedzą, że to postępkę złego natę.

Widziałem kiedyś takie upadające drzewo. Straszny widok.

Pewnego wieczoru, tuż przed rozpoczęciem pokazu filmu w ambasadzie, setka ludzi zebrała się na trawniku, na tyłach głównego budynku. Był cichy, bezwietrzny dzień.

Nagle zobaczyłem, jak w odległej stronie trawnika jeden ze stumetrowych olbrzymów powoli zaczyna się przechylać. To było nierealne, patrzyłem na drzewo jak zahipnotyzowany, nie wierząc własnym oczom. Wszyscy ludzie, którzy stali na trawie, zastygli.

Rozległ się lekki trzask. Rozrywały się stare, przegniłe korzenie martwego giganta.

W miejscu, na które, nabierając rozpędu, miało upaść drzewo, bawiły się dzieci.

Ich matki też to widziały. Jedna z nich powoli, niczym w koszmarnym śnie, zaczęła iść do dziecka, wyciągając ręce.

Wtedy drzewo zdecydowało się wreszcie — runęło na ziemię niemal błyskawicznie. Runęło, walnęło, uderzyło tak, że ziemia zadrżała.

Jedna z dziewczynek znalazła się pod gałęziami. Zginęła w okamgnieniu.

A dzień wcześniej była u nas w domu, Kira uczyła ją grać na skrzypcach.

Jeśli w danym kraju wszyscy wierzą w widma, widma muszą się pojawiać. Wszyscy nasi budowniczowie wierzyli w nie święcie.

Przyjeżdżasz do domu, który właściciele wcisnęli nam za pół ceny (bo nikt nie chciał w nim mieszkać), siedzisz na werandzie, pijesz herbatę i słyszysz, jak coś tupie po suficie, zapala i gasi światło. I wtedy musisz rozstrzygnąć kwestię taktyczną: który z naszych operatorów buldożera zgodzi się zamienić z przerażonym Czuwpiłłą, jeśli zaproponujemy mu dwa pokoje zamiast jednego? Jeśli uda się znaleźć odpowiedniego kandydata, widmo, zaufajcie mojemu doświadczeniu, ze wstydem opuszcza zaczarowany, przeklęty dom.

Względy ekonomiczne zmuszały mnie do odnoszenia kolejnych zwycięstw nad widmami.

Oszczędzaliśmy na wszystkim. Niemiecki czy angielski inżynier zajmował willę, a my w takim domu umieszczaliśmy cztery rodziny, po jednej w każdym pokoju, żeby kolektywnie składały się na kucharza i ogrodnika. Chcesz czy nie, musisz mieć ogrodnika, w przeciwnym razie dżungla wchłonie cię razem z domem w ciągu pół roku.

Dzień pracy kierownika działu gospodarczego zaczynał się wcześniej.

Rano jechałem do miasta i udawałem się do urzędu celnego, gdzie grałem w szachy z chłopakami w białych mundurach, szortach i czarnych getrach. Celnicy wiedzieli, że na Rosjanach się nie pożywią, ale za to Rosjanie nie ośmieliły się przewieźć rzeczy niedozwolonych. To sprzyja umocnieniu przyjaźni.

Po załatwieniu spraw wyruszałem na ulicę Aung Sana (wodza birmańskiej rewolucji) do księgarni mister Bowna, niewysokiego, łysiejącego, przygarbionego dżentelmena około pięćdziesiątki, żonatego z Birmanką, który to fakt zmusił go do pozostania w niepodległej Birmie.

Zawsze odnosiłem wrażenie, że jestem jego jedynym klientem. Niektóre książki, najlepsze i najdroższe, Bown dawał mi w prezencie.

Dopiero kilka lat później zrozumiałem, że Bown był niczym bohaterowie późnych powieści Grahama Greene'a. Dumny, lecz zagubiony Anglik, odłamek dawnego imperium, niepotrzebny ani jednym, ani drugim.

Siedziałem u Bowna godzinami, rozmawialiśmy o wszystkim.

Później birmańskie władze zrujnowały Bowna i księgarnia została zamknięta. Ale to już działo się bez mnie, w czasie junty wojskowej.

Bown pomógł mi zrobić kolejny, bardzo ważny krok ku mojej pisarskiej przyszłości.

Oto siedzę sobie w księgarni, palę angielskiego papierosa, a Bown nastawił na maszynie spirytusowej wodę na kawę.

W księgarni, zajmującej obszerne pomieszczenie w bardzo starym budynku o grubych murach, zawsze panuje chłód i pachnie książkową pleśnią. Niczym znudzone żołnierzyki, na półkach stoją *pocketbooks*. Pomarańczowe to proza, zielone — kryminały, błękitne — książki popularnonaukowe. Nie pamiętam koloru fantastyki. A może nie miała swojego koloru i zadowalała się pomarańczowym?

Bown podarował mi książkę nieznanego autora, Orwella. Książka nosiła tytuł „Rok 1984” i rozłożyła mnie na łopatki. Wkrótce potem zauważyłem powieść Huxleya „Nowy, wspaniały świat”.

Mnie też udało się sprawić Bownowi przyjemność. W sklepiku z książkami radzieckimi, otwartym w przybudówce do pagody Suly, kupiłem Paustowskiego po angielsku. Bown zaczytał do dziur „Złotą różę”, szkice o roli i pracy pisarza, choć mnie wydawało się dziwne, że Anglik może zrozumieć i docenić Paustowskiego, tym bardziej w przekładzie.

Każdego miesiąca Bown otrzymywał nowe numery „Galaxy” i „Astounding”. Do dziś mam kilka numerów. To była moja przepustka do świata anglojęzycznej fantastyki, jej złotego wieku, gdy Asimov, Clarke, Sidmak, Pohl, Bradbury, Shekley byli młodzi i pełni sił — mgławicowi mieszkańcy niebios. Nie marzyłem wówczas o pisaniu fantastyki i w ogóle nie dopuszczałem myśli, że oni mogą być żywymi ludźmi. Gdyby ktoś powiedział mi wtedy, w tym malutkim sklepiku przy ulicy Aung Sana, że dwadzieścia lat później będę pił wódkę z Gordy Dicksonem i dyskutował z Frederickiem Pohlem, w ogóle bym z takim kłamcą nie rozmawiał.

Księgarnia Bowna nie mogła uczynić ze mnie pisarza, ale zrobiła ze mnie czytelnika amerykańskiej fantastyki.

Mieszkałem w Birmie dwa lata i skompletowałem pokaźną bibliotekę fantastyki. Nie napisałem

ani linijki, lecz gromadziłem w sobie pisarstwo jak brzemie, od którego wcześniej czy później będę się musiał uwolnić.

Pod koniec lat pięćdziesiątych byłem jednym z najbardziej czytanych w amerykańskiej fantastyce czytelników rosyjskich.

Jesienią Kira wzięła urlop dziekański i przyjechała do mnie. W tym czasie przenieśliśmy się już z hotelu Kolejowego do domu przy ulicy Uniwersyteckiej, na brzegu jeziora Inia w dzielnicy willowej. Dostała mi się mansarda, za to z oddzielnym wejściem. Na dole mieszkał Szarygin z żoną, główny inżynier Mekriukow oraz wujek Gosia, jego zastępca. Moi sąsiedzi, jak przystało na ludzi radzieckich, przyjechali z żonami, więc nasz stosunkowo nieduży i obliczony na jedną rodzinę dom stał się zwykłą radziecką komunałką, tylko z własnym ogrodnikiem i magnoliami na kwietniku.

Nim przyjechała Kira, mieszkałem w Birmie dwa miesiące i już na drugi dzień po przyjeździe młodej żony mogłem zrobić jej prezent, który umiała docenić tylko ona, i o którym nikomu nie opowiadaliśmy.

Pojechaliśmy do znanego mi szewca.

Szewc pokazał Kirze, jakie pantofle umie robić, i zaproponował klientce, aby zdecydowała, czego sobie życzy.

Jeśli, drodzy czytelnicy, jesteście ludźmi niemłodymi, możecie sobie wyobrazić, jak zabrzmiały te słowa dla radzieckiej studentki pod koniec 1957 roku. Kira miała jedną parę pantofli, której strzegła jak żrenicy oka, ponieważ jechała w niej do „prawdziwej” zagranicy.

Wiedziała, że to wszystko żart, kawał, ale nie chciała się do tego przyznać nawet przed sobą.

— Ile par chciałabyś dzisiaj zamówić? — spytałem niedbale, wiedząc, że nawet zarabiając dwadzieścia razy mniej niż Anglik, mogę sobie pozwolić na kupno pięćdziesięciu par w miesiącu.

— Jedną? — spytała Kira szeptem.

Nie otrzymując odpowiedzi, wyszeptala:

— Dwie, tak?

— Wybieraj — powiedziałem — potem zobaczymy.

I wyszedłem zapalić.

Nie ma słodsze uczucia niż dawanie prezentów. Potrójną słodyczą jest dawanie prezentów leżących poza granicami ludzkiego wyobrażenia.

Tego dnia Kira zamówiła sobie trzy pary pantofli i przez następne dwa dni, nim rowerzysta je przywiózł, nie mogła spać.

Nie śmiejecie się. Antyutopia wychowała sobie posłuszne córki.

Nie kupiliśmy samochodu, ale nie przesadzę, jeśli powiem, że Kira przywiozła sobie z Birmy dwa tuziny pantofli. Jakże trudno było się powstrzymać!

Mój swobodny tryb życia budził niepokój w pewnych radzieckich organizacjach w Birmie.

Nie zabraniano mi wprawdzie szwendać się po mieście samemu, ale w końcu zaczęto mnie pilnować. W tym celu przydzielono mi pracownika przedstawicielstwa handlowego. Miał na imię Pietia, cienkie, prostopadłe do czaszki czerwone uszy i chudą szyjkę. Jeśli teraz widzę gdzieś taką szyjkę i takie uszy, mam ochotę ukreślić temu człowiekowi łeb. Pietia nie ukrywał, że jestem podejrzany o określone zamiary, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem, jak bardzo. Żeby to pojął, musiało dojść do kryzysu.

Pietia wiedział, że w niedzielę zwykle rysuję. Oznajmił, że lubi patrzeć, jak ludzie rysują, i będzie mnie zawoził, gdzie zechcę, ponieważ ma samochód.

Kiedyś zasnęłam i obudziłam się, czując czyjaś obecność w pokoju. Nie ruszając się, uchyliłam powieki i zobaczyłam, że Pietia siedzi przy moim biurku nad otwartą szufladą.

Niespodziewanie odwrócił się do mnie i powiedział:

— Nie udawaj, że śpisz. Wiem, że udajesz. Nie chciałem cię budzić. Pomyślałem, niech sobie pośpi. A ja w tym czasie poczytam, co on tu pisze. Muszę ci powiedzieć, że wierszyki masz podejrzone, ale poniżej poziomu.

Wiersze podarłem jeszcze tego samego dnia. Nie dlatego, że ; się przestraszyłem, po prostu było mi wstyd, jakby on zobaczył mnie nago.

Nigdy nie miałem szczęścia do wierszy. Pisałem, jak należy, od czternastego roku życia. Potem zaczęliśmy wydawać czasopismo „Arka” — czterech nastolatków i moja siostra Nataszka. Ja byłem redaktorem. Nasz kolektyw nazwaliśmy „Współtowarzysze”. Na szczęście, nie było wśród nas donosiciela, a my z nikim nie dzieliliśmy się tajemnicą — jedynie z dwoma czy trzema dziewczynkami ze szkoły Nataszki.

W tym czasopiśmie byłem sam sobie sterem, dlatego nie oparłem się pokusie i zacząłem umieszczać w nim wiersze liryczne. Zresztą wszyscy, włączając dziesięcioletnią Nataszkę, pisaliśmy wiersze.

Pisałem je również na studiach, ale coraz bardziej wstydzilem się je komukolwiek pokazać. Jak się okazało, słusznie. Gorką prawdę poznałem wiele lat później, gdy w 1996 roku mój kolega z instytutu, Andriej Siergiejew opublikował powieść „Klaser”. W tej powieści moja poezja została podsumowana wprost i bez ogródek: „Najwcześniejszy przyjaciel w instytucie — Igor Możejko. Sympatyczny człowiek, jakieś tam wiersze...”.

W radzieckim świecie za granicą wszyscy byli doskonale zorientowani, kto dla kogo i jako kto pracuje. Ale jeśli wiedziałeś, że ten czy inny major albo kapitan zawiera kontakty z postępową miejscową społecznością, mogłeś być spokojny, że on (jeśli tylko nie jest bydlęciem z natury) nie będzie na ciebie donosił. W jego towarzystwie czułeś się bezpieczniej niż wśród amatorów.

Pamiętam, że później, gdy pracowałem w Birmie jako redaktor APN (Agencji Prasowej „Nowosti”), pojechaliśmy z szefem biura, Lwem Iwanowiczem (reprezentował w Birmie wojsko) przez cały kraj do miasta Taundzi, gdzie w państwie szanskim był szpital i pracowali nasi lekarze. Po drodze mieliśmy przyjrzeć się pracy wydziałów Związku Towarzystw Przyjaźni i dowiedzieć się, na ile energicznie Birmańczycy czytają radziecką literaturę propagandową.

Jechaliśmy szeroką szosą. Po obu jej stronach od czasu do czasu pojawiały się tablice z nazwami jednostek wojskowych, do których prowadziły wąskie dróżki.

Lowa był na kacu, kończyny nie chciały go słuchać, więc poprosił mnie, żebym pomógł wywiadowi wojskowemu i zapisywał numery jednostek. Każdego dnia przynajmniej jedna linijka!

Nie miałem ochoty zwracać sobie tym głowy w taki upał i przekazałem zadanie kierowcy Nureddinowi, który nie ukrywał, że pracuje w birmańskim kontrwywiadzie i cały czas nas

obserwuje. Ja o tym wiedziałem i Lowa o tym wiedział, ale musiał napisać raport. Nureddin też musiał napisać raport. Tylko ja mogłem beztrudnie próżnować.

Dotarliśmy do górskiego Taundzi. Mieszkaliśmy w hotelu, w sąsiednich pokojach. Siedzieliśmy sobie właśnie wieczorem, trochę piliśmy, gdy nagle rozległo się stukanie do drzwi. Na progu stała żona jednego z lekarzy. Powiedziała, że musi koniecznie porozmawiać z Lową w cztery oczy. Wyszedłem. Dwadzieścia minut później Lowa wpadł do mojego pokoju.

Wściekły.

— Ta... przyniosła mi to! — rzucił na łóżko zeszyt zapisany drobnym pismem wzorowej uczennicy. — Co ona powypisywała! Zresztą Bóg z tym! Tylko dlaczego na męża?! — miotał się Lew. — Kogo ci nasi werbują!

Do zwierzchnictwa Lowa miał stosunek krytyczny.

Ale zeszyt z donosami zawiózł rezydentowi.

Żona lekarza była niebezpiecznym typem amatora, pochłoniętego namiętnością pchania się pod cudze kołdry — uważała to za swój obowiązek. Gdy zabiorą męża, zawsze będzie mogła znaleźć

nowego. Przecież to nie jej wina, wobec organów jest tylko ofiarą wierności wspólnej sprawie.

Gdy mój szef upijał się wieczorami w lokalach, ja albo Kola Nowikow musieliśmy go szukać i pijanego w trupa ciągnąć do domu. Tam czekała na niego mocna, posępna małżonka, nieszczęsna zresztą kobieta, i gdy już zataszczyliśmy szefa i położyliśmy na łóżku, ona zaczęła go bić. Wtedy wychodziliśmy.

Rano szef zjawiał się w pracy punktualnie — plasty, bandaże i przypudrowane siniaki — i oznajmiał nam:

— Będę myślał. Do dwunastej nie przeszkadzać.

Początkowo to zdanie mną wstrząsnęło: okazuje się, że można wydzielić myślenie w oddzielny proces. Ja na przykład chodzę i myślę, jem i myślę, szef natomiast oddzielnie myśli od ósmej do dwunastej, a oddzielnie je i pracuje.

Taki stan rzeczy trwał dość długo, aż do dnia kiedy mój szef z konsulem upili się na statku, który przyłynął do Rangun, i to upili tak, że zgubili teczkę z paszportami kurierów dyplomatycznych. Kto bywał za granicą, ten wie, co to oznacza.

Sytuację komplikował fakt, że późnym wieczorem do bramy naszej ambasady podeszło dwóch Hindusów i oznajmiło, że przypadkiem znaleźli w porcie teczkę i mogą oddać ją radzieckim przyjaciółom za umiarkowaną nagrodą. Dyżurujący w bramie komendant, odznaczający się bystrością umysłu ptaka goworuna, chytrze mrugnął do Hindusów i powiedział:

— Pokażcie mi jeden paszport, zobaczę, czy jest prawdziwy.

Hindusi naradzili się pod latarnią przy bramie i podali paszport przez kratę. Komendant chwycił paszport, wsunął za pas, cofnął się na bezpieczną odległość i krzyknął:

— A teraz, łajdaki, dawać drugi paszport, bo jak nie, to zadzwonię na milicję!

Hindusi splunęli w żółty pył drogi i poszli sprzedawać drugi paszport Amerykanom.

Tymczasem trwała energiczna praca: biegły zaszyfrowane meldunki, zwierzchnicy mieli językami w dźwiękoszczelnych pokojach. W końcu ktoś gdzieś podjął decyzję, żeby ograniczyć się do surowej nagany.

Całkiem zrozumiałe.

Pijaństwo za granicą uważane było (a może nadal jest) za najmniejszy z grzechów. Mało tego, niepijący człowiek od razu stawał się podejrzany i zazwyczaj go odrzucano. No, upili się chłopaki, no, zawinili. Ale ojczyzny nie zdradzili? Nie zdradzili.

Ta kompletnie fantastyczna historia, podobnie jak cały fantastyczny obraz mojego łysego szefa, podświadomie pchał mnie do tworzenia utworów literatury irracjonalnej i fantastycznej.

Ale do przesycenia roztworu i wytrącenia się osadu jeszcze nie doszło. Poziom idiotyzmu musiał się jeszcze podnieść.

Los mi w tym względzie sprzyjał. Chciał uczynić ze mnie kronikarza epoki w całej jej krasie.

Wewnątrz mnie rodziło się, powstawało, dojrzewało miasto Wielki Guslar. I poczciwy los uprzejmie skomplikował sytuację w naszej ambasadzie.

ROZDZIAŁ 10

NIESZCZĘŚCIA CHODZĄ...

Najpierw był incydent z moskwiczem.

W Birmie pracowało dwóch techników z fabryki imienia Leninowskiego Komsomołu, która dostarczała Birmie (bądź miała taki zamiar) swoje samochody.

Technicy prezentowali unikatowy egzemplarz stojący na podwórku przed domem przedstawicielstwa handlowego — starej, piętrowej budowli z werandą, która obiegała budynek wokół pierwszego piętra. Tam, ściśnięci jak śledzie w beczce, mieszkali pracownicy tegoż urzędu oraz dwóch techników.

Ci dwaj byli prostymi chłopakami i nudzili się. Samochodu nikt nie kupował, nie było nawet chętnych do oglądania.

Technicy pili dużo tanich i mocnych birmańskich napojów, blisko spokrewnionych z bimbrem.

I kiedyś zdarzyło się tak, że wypili wszystko, co było w domu.

Chcieli jeszcze.

Dość mocno pijani, wsiedli do samochodu i pojechali na lotnisko Mingaladon, bo tam był całodobowy bufet z alkoholem.

Na lotnisko dojechali szczęśliwie, jedną butelkę wypili, jedną wzięli ze sobą, żeby wypić na dobranoc.

Szosa z Mingadalonu była niezbyt szeroka i dość kręta. Ciemno jak w jaskini. Chłopaki byli już w takim stanie, że nie zauważyli jadącego poboczem policyjnego patrolu na rowerach.

Samochód zahaczył jednego z policjantów. Policjantowi oderwało ucho.

Chłopaki zatrzymali moskwicza, by, jak utrzymywali później, zawieźć policjanta do szpitala. Ale drugi zaczął coś groźnie mamrotać, a nawet krzyczeć w swoim dzikim języku. On czegoś żądał, a nasi nie rozumieli. Wtedy powiedzieli policjantowi:

— A pójdziesz ty w...!

Wsiedli do samochodu i pojechali. Jak twierdzili — żeby poszukać dobrego lekarza.

Oburzony policjant nie wymyślił innego sposobu zatrzymania samochodu, jak tylko otworzenie do niego ognia. Zdażył dać kilka serii.

Pół godziny później ambasadora Związku Radzieckiego obudził telefon z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Birmy. Ministerstwo wyrażało zdumienie, dlaczego radzieccy specjaliści samochodem o takim to a takim numerze rejestracyjnym prowadzą po pijanemu i rozjeżdżają policjantów.

Ambasador obiecał zająć się tą sprawą.

Obudził sekretarza, który zadzwonił do domu przedstawicielstwa handlowego, zrywając ze snu kogoś z mieszkańców.

Na polecenie ambasadora mieszkaniec wyjrzał przez okno. Podwórko było dobrze oświetlone. Samochód techników stał na miejscu. Mieszkaniec oznajmił ambasadorowi, że oświadczenie ministerstwa to oszczerstwo i prowokacja. Ambasador przekazał to ministerstwu.

Ministerstwo nie pozwoliło ambasadorowi pospać. Zadzwoniono ponownie i ponowiono oszczerstwo. Dyktując numer samochodu i rysopisy techników.

Ambasadorowi znudziła się telefoniczna walka z oszczercami, widocznie było mu ciężko na duszy. Ubrał się, wezwał samochód i osobiście pojechał do przedstawicielstwa handlowego.

Była głęboka noc. Nawet ptaki spały.

Tylko czasem — groźnie i bezszelestnie — przelatywały latające lisy.

Ambasador zatrzymał samochód na podwórku, wysiadł i podszedł do moskwicza. Bez trudu dostrzegł, że samochód jest podziurawiony kulami.

Drzwi nie były zamknięte.

Ambasador pociągnął je na siebie. Otworzyły się. Siedzenia moskwicza były zalane krwią. Ambasadora tknęło straszliwe przeczucie.

Wbiegł na pierwsze piętro i bez stukania wszedł do pokoju techników.

Technicy spali tak mocno, że nie zwrócili uwagi na zapalenie światła. Obaj mieli nogi owinięte prześcieradłami, żeby krew nie kapała. Prześcieradła były czerwone i mokre.

Ambasador wezwał lekarza.

Do przyjazdu karetki nie budzono zuchów z fabryki Leninowskiego Komsomołu.

Lekarka na ich widok straciła przytomność. Ocucono ją. Następnie obudzono techników, zaczęto im prawić kazania i opatrywać rany.

Sprawę jakoś zatuszowano. Doradca do spraw kultury i jednocześnie specjalista do spraw bezpieczeństwa wymyślił sprytnie posunięcie. Jeden z techników nosił, jeśli się nie mylę, nazwisko Orłów. Takie samo nazwisko nosił jeden z radców ambasady.

Jeszcze tego samego dnia ambasada ZSRR wystosowała do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Birmy notę, w której stwierdzano, że zeszłej nocy, w okolicy lotniska Mingaladon, patrol policyjny ostrzelał samochód. Samochodem tym jechał radca ambasady Orłów, człowiek absolutnie nietykalny. Ambasada Kraju Rad prosi o natychmiastowe podjęcie odpowiednich kroków oraz o pozwolenie na natychmiastowe odesłanie radcy i jego kierowcy, również ranionego przez policjantów, do ZSRR.

Odesłano, rzecz jasna, techników. Ich rany goiły się w try miga, pewnie na skutek silnego zdezynfekowania spirytusem.

Birmańczycy zdawali sobie sprawę, że Rosjanie zastosowali wybieg, ale nikt nie miał ochoty klócić się z powodu policyjnego ucha. To był czas dobrych stosunków i umiarkowanej współpracy. Toteż na oficjalnych przyjęciach nikt nie pozwolił sobie na nietaktowne zdumienie, dlategoż to pan Orłów, który rzekomo wyjechał do ZSRR, tak szybko powrócił.

Oczywiście, w niewielkim hierarchicznym, podrzędnie złożonym świątku radzieckiej kolonii w Birmie nikt nie odebrał historii dzielnych techników jako dzwonka alarmowego, początku tragedii prowadzącej do haniebnej śmierci tegoż świątku. Przeciwnie, wyczyny techników były świadectwem szczególnej fizycznej i moralnej siły człowieka radzieckiego.

— Tylko popatrzcie! — głosili nasi wysoko postawieni obywatele. — Nawet kule się ich nie imają!

— Co oni tam mają za kule! — odpowiadali inni. — Nas taki kulami z drogi nie zbijesz.

Co to za słodycz, takie przekonanie o własnej niezłomności!

Przeświadczenie o tej szczególnej, rosyjskiej drodze, charakterystyczne dla urzędników, przybierało czasem przedziwne formy.

Pamiętam, jak główny inżynier budowy Mekriukow, słuchając opowieści tłumacza Zielonki, że teraz w Birmie, za przykładem Anglii, daje się rodzącym kobietom znieczulenie, zerwał się i zaczął krzyczeć, wyrzucając przed siebie rękę niczym Lenin:

— Nie pozwolimy! Tysiące lat rosyjskie baby rodziły mołojców w słusznych cierpieniach! I jeszcze przez tysiąc tak będziemy rodzić!

Można by pomyśleć, że za chwilę on sam zacznie się wić w bólach porodowych.

W Ministerstwie Zdrowia w latach siedemdziesiątych omawiano kwestię wprowadzenia znieczuleń w Związku Radzieckim. Odrzucono ten pomysł pod pretekstem, że rodząca w bólach kobieta tym samym pomaga sobie urodzić, co przyszłemu dziecku może wyjść tylko na dobre. Gdy kapitaliści się zorientują, ile zła narobili swoim znieczuleniem, będzie już za późno.

Jednocześnie podjęto uchwałę odbierającą kobietom prawo do tajemnicy aborcji. Gdy kobieta przerwała ciążę, przy wypisie ze szpitala otrzymywała w książeczce zdrowia dokładną diagnozę. Takie zaświadczenie należało zanieść do kadr.

Niektóre kobiety nie wyobrażały sobie dalszej pracy w miejscu, w którym wszyscy wiedzą, co jest napisane na doniesionym do kadr świstku.

Ale ministerstwo żądało prawdy i tylko prawdy! A decyzję podejmowały matrony od dawna pozbawione możliwości i sposobności grzeszenia i popełniania błędów życiowych.

Widząc dziś marsze przeciwników aborcji w USA albo plakaty propagandowe w naszym metrze, na myśl przychodzą mi kobiety mszczące się za swoją nieudaną młodość.

Jakiś czas po incydencie z technikami oszalał attache wojskowy.

Zbyt długo pracował, za bardzo się denerwował i nie chciał odejść na emeryturę — pragnął zostać generałem. Dużo myślał i zamartwiał się. Pewnego dnia zajrzał do gabinetu ambasadora i oznajmił mu w tajemnicy (ambasador był człowiekiem dobrym, inteligentnym i aż chciało się poskarżyć mu na życie), że jest amerykańskim szpiegiem. Nie pamiętam szczegółów — albo ambasador gdzieś się oddalił, a ktoś czegoś nie zrozumiał, w każdym razie naszego pułkownika zawieziono karetką do centralnego szpitala wojskowego na oddział chorób nerwowych.

Tam attache poczekał do wschodu księżyca, następnie wyszedł na balkon, zeskoczył do ogrodu, gdzie zaczął biegać w poszukiwaniu wyjścia i mówić wszystkim po angielsku, że wcale nie jest amerykańskim szpiegiem, jak myślą wszyscy, tylko prawdziwym radzieckim patriotą.

W centralnym szpitalu Ranguny zawsze dyżurowali reporterzy głównych gazet, by móc jako pierwsi dowiedzieć się, skąd przywieziono rannego czy samobójcę, i zrobić reportaż.

Zobaczyli biegającego po ogrodzie człowieka w szlafroku. Człowiek ten nie krył przed nimi prawdy o swych przekonaniach.

W końcu sanitariusze zdjęli go z palmy, związali i przekazali naszym zuchom z ambasady.

Rano we wszystkich gazetach Birmy na pierwszej stronie widniał ogromny tytuł: „Rosyjski attache wojskowy wybrał wolności Zbiry z ambasady rosyjskiej trzymając uczciwego człowieka w niewoli!”.

W tych dniach miało miejsce ochłodzenie w stosunkach Birma–ZSRR, chyba z powodu chińskich ruchów na północy. Historia z attache była bardzo à propos.

Dziennikarze pewni, że ambasada będzie przewozić nieszczęsnego bojownika o prawdę do rosyjskiego więzienia, w liczbie pięćdziesięciu dyżurowali w porcie, gdzie stał w pogotowiu nasz statek. Druga pięćdziesiątka dziennikarzy wyruszyła na lotnisko, żeby przechwycić attache tam.

I rzeczywiście. Po energicznych naradach i wymianie zaszyfrowanych dokumentów z Moskwą, z bramy ambasady wyjechał kordon samochodów.

Dziennikarze spod ambasady pojechali za kordonem do portu.

Wkrótce potem z ambasady wyjechał drugi orszak i pomknął do Mingaladonu. Na lotnisku pułkownika przeprowadzono przez szpaler dziennikarzy, którzy proponowali mu wolność. Komendanci i młodszy rangą czeikiści machali gazetami przed twarzami fotoreporterów, podobno rozbili nawet kilka aparatów. A pułkownik (prawdopodobnie naszpikowany tabletkami) niczego nie rozumiał i sądząc, że odprowadzają go wielbiciele, machał ręką i wołał:

— Dziękuję, towarzysze!

Po czym znikł w samolocie.

W tym wypadku mieliśmy do czynienia z wyolbrzymionym patriotyzmem na tle nerwowym, a bynajmniej nie z pragnieniem ucieczki na Zachód. W przeciwnym razie po co pułkownik biegałby w koszuli nocnej po szpitalnym ogrodzie i krzyczał, że jest uczciwym leninowcem?

W ambasadzie narastała atmosfera psychozy, szczególnie, radzieckiej psychozy, zajadłej i

niezwyciężonej.

Wtedy oszalał nasz Narcyssow.

Mieszkał nad moim przyjacielem Kiryłem Szanginem i pracował na budowie jako projektant. Był to cichy, nieśmiały człowiek o eleganckich gestach i zwrotach. Lubił mawiać: „Nie umarłem jako niemowlę i całe życie muszę się męczyć”. Nie kładł się spać bez buteleczki miejscowego, mandalajskiego ginu, napoju topornego, acz bliskiego rosyjskiej duszy.

Kirył opowiadał, że właśnie siedzieli sobie wieczorem i pili herbatę, gdy nagle usłyszeli na górze potworny łoskot. Wbiegli na górę, zobaczyli, że Narcyssow leży pod żeliwną wanną — wcisnął się pod nią, podnosząc tonę metalu własnym ciałem.

Wyciągnęli go i zapytali, czemu to zrobił.

Narcyssow wyjaśnił, że do sąsiedniego domu wprowadziła się angielska rodzina, która otrzymała zadanie puszczenia w Narcyssowa znaczonego atomu. Atom będzie krążył po jego naczyniach i komórkach, w ten sposób Anglicy poznają wszystkie myśli Narcyssowa. Dlatego musiał wejść pod wannę — promieniowanie nie przeniknie przez żeliwo.

Zawieziono go do ambasady, zamknięto w punkcie medycznym i zaczęto czekać na samolot, który latał raz w tygodniu.

Pierwszy dzień Narcyssow spędził spokojnie, ale drugiego zaczęło mu się nudzić. Oznajmił swoim strażnikom, że nie ma po co żyć — nikt w Moskwie nie uwierzy, że on jest patriotą, wszyscy już wiedzą, że zaprzedał się międzynarodowemu imperializmowi. Życie nie ma sensu.

W roli strażników występowało dwóch stażystów ambasady, którzy grali w szachy na stoliczku przy łóżku.

W pewnym momencie Narcyssow niespiesznie podszedł do ściany, oparł się o nią plecami, niespodziewanie odepchnął się od niej i skoczył prosto na wystający kant przeciwległej ściany. Rozbił sobie głowę.

Przeżył. Ale do chwili wylotu leżał w łóżku, a do samolotu szedł z zabandażowaną głową. Za nim biegli birmańscy fotoreporterzy.

Reportaże nosiły tytuł: „Kolejna ofiara komunistów”.

Proszę zwrócić uwagę: to już druga „ofiara”, pragnąca udowodnić, że jest patriotą i komunistą.

Dalsza opowieść zapozna nas z ludźmi o innych poglądach.

Do ambasady przyjechał stażysta, znawca Birmy. Przez cały rok czekał na tę podróż, denerwował się i przeżywał, nie wierząc, że uda mu się trafić do ukochanej, niedosiętej Birmy. Był tak szczęśliwy, że przez pierwszy tydzień w ogóle nie mógł spać.

Jak przystało na komsomolskiego idealistę, od razu zgodził się nieść pół setki społecznych obciążeń, które ochoczo przerzucili na niego „weterani”. Został redaktorem gazetki ściennej, członkiem komitetu, bramkarzem w drużynie piłkarskiej... Nocami zaś czytał birmańskie gazety, słuchał radia, szlifował język...

W drugim tygodniu przyszedł do stołówki mieszczącej się na terenie ambasady, wziął talerz zupy i korzystając z tego, że po obiedzie życie zamierało od upału i sytości, wszedł do głównego budynku, wkroczył do gabinetu ambasadora i postawił zupę na biurku kierownika ambasady.

— Proszę jeść — poprosił łagodnie. — Musi się pan wzmocnić. Zaraz weźmiemy pański samochód i pojedziemy do Bangkoku. A stamtąd promem do USA. Postanowiłem zdradzić ojczyznę...

Słyszycie? Te same nuty! Zmienia się melodia, lecz sens pozostaje ten sam — osobiste relacje bohatera i ojczyzny! Orwell, Zamiatin, Huxley!

Ambasador udał, że się zgadza, posłusznie zjadł zupę, zastanawiając się, jak by tu stażystę pochwycić i związać. Myślał jednocześnie, jak ohydny zupę gotują kucharze dla oszczędnych pracowników ambasady. Ambasador miał własnego kucharza.

Nic nie wymyśliwszy, ambasador dojadł zupełi i wtedy do gabinetu wszedł sekretarz ambasady, Sasza Razwin. We dwóch związali stażystę.

To jeszcze nie koniec tej historii.

Stażysta odleciał na pokładzie samolotu Aerofłotu. Towarzyszył mu pewien attache, który wybierał się na urlop. Samolot przeleciał nad granicą ZSRR, znalazł się nad Syberią. Attache rozluźnił się nieco i zdrzemnął. Stażysta grzecznie i spokojnie zapytał, czy może pójść do toalety, attache pozwolił. Pięć minut później przez pokład samolotu przetoczyła się fala zdumionych szeptów. Czując, że coś się święci, attache ocknął się i zerwał z miejsca.

Przejęciem szedł absolutnie nagi stażysta i niósł zwinięte w kłębek ubranie.

— Co ty robisz? — zapytał attache.

— Cicho! — syknął stażysta. — Nikt nie może mnie rozpoznać.

Ostatnimi akordami tej szalonej serii były dwie udane ucieczki...

Ja i Sasza Kaznaczejew mieliśmy urodziny w tym samym miesiącu. Wprawdzie on był attache, a ja pracowałem na budowie, ale obaj należeliśmy do młodych i, że tak powiem, inteligentnych ludzi naszej kolonii. Dlatego postanowiliśmy obchodzić urodziny wspólnie.

W dniu jego urodzin jeszcze nikt się niczego nie domyślał.

A kilka dni później Sasza po prostu wyszedł z ambasady, zostawiając tam nawet swój służbowy samochód, żeby nikt nie mógł oskarżyć go o kradzież, przyszedł do ambasady amerykańskiej i poprosił o azyl polityczny. Wprawdzie wtedy była to jeszcze nowość, ale zdrada ojczyzny przeszła gładko. Sasza nawet spotykał się — na żądanie ambasady ZSRR — z naszym ambasadorem i rezydentem, czyli jednym z radców, i potwierdził, że uciekł świadomie i nikt go nie porwał. Wówczas zarzucili mu kradzież.

Później Sasza żył w Ameryce, napisał dość banalną książkę i podobno zginął w wypadku samochodowym. Nie wiem, jak było naprawdę.

Jego czyn miał spory wpływ na moje losy.

Po ucieczce Kaznaczejewa kierownictwo ambasady i innych organizacji zaczęło tworzyć — w ścisłym kontakcie z Moskwą — listy ludzi pewnych, niezbyt pewnych i całkiem niepewnych.

Okazuje się, że ostatnią listę otwierałem ja. Oto palec losu!

Po pierwsze, miałem naganę z wychowania fizycznego (kryptonim organizacji komsomolskiej). Druga nagana była cicha, a dostałem ją za to, że moja żona uciekła ode mnie z Wołodią Wasiliewem. Wołodia był pracownikiem naukowym Instytutu Orientalistyki, żył według własnych reguł, ignorował ambasadę i jej zasady, jeździł wynajętym dżipem, którego siedzenie pokryte było dywanem, i miał czelność przesłuchiwać naczelnika budowy Alichanowa:

— Przepraszam, czy w czasie pańskiej wizyty w Pompejach nie był pan w lunaparku?

Tak naprawdę Kira po prostu leciała do Moskwy jednym samolotem z Wołodią. Ona mnie nie porzucała, a Wołodia, którego ambasadorska sfera nie znosiła, nie miał pojęcia o swoich wyczynach Don Juana. A już na pewno nie podejrzewał, do czego mnie one pchną.

A pchnęły mnie ni mniej, ni więcej, tylko do zdrady ojczyzny. Co może zrobić tłumacz bez żony? To oczywiście — zdradzić ojczyznę!

Ponadto, jak się okazało, czytałem książki po angielsku, spędzałem sporo czasu w sklepie pewnego Anglika i piłem tam kawę w godzinach pracy. Co gorsza — urządziłem urodziny razem z Kaznaczejewem!

No i kierownictwo ambasady, zebrawszy się i omówiwszy wszystkich potencjalnych kandydatów do zdrady, doszło do wniosku: jako następny ucieknie Mozejko.

A Mozejko nic o tym nie wiedział i dalej żył w tej fantastycznej powieści, tak rzeczywistej, że

mógł ją napisać jedynie Siergiej Dowłatow.

Tego dnia wybierałem się do urzędu celnego. Kierowcy Miszy nie było, pojechał naszym gazikiem do dentysty. Czekałem na niego dość długo, moi pozostali współlokatorzy, główny inżynier Mekriukow, wujek Gosia i Szarygin, pojechali na budowę, więc poszedłem na przystanek autobusowy. Korzystanie z autobusów nie było dobrze widziane przez naszych zwierzchników. Gorsze mogły być tylko ryksze — podróżowanie nimi było porównywalne do wizyty w domu publicznym.

Wszedłem do „kobry”, na szczęście niezbyt zatłoczonej, udało mi się przycupnąć na drewnianej ławce i pojechaliśmy.

W porcie poszedłem do znajomych celników, którzy szybko załatwili formalności związane z ładunkiem dla budowniczych. Zakończyłem wszystkie sprawy przed obiadem i wyszedłem na ulicę. Jak na złość lunął deszcz. Był listopad, najwyższa pora, by deszcze wreszcie się skończyły, ale ogon monsunu nie mógł się uspokoić. Parasola oczywiście nie wziąłem, więc dobiegłem do kawiarni, wziąłem tam „Guardiana” i zacząłem czytać. Deszcz, jak to zwykle w tropikach, lał jak z cebra i gdy wreszcie przestał, znad asfaltu w promieniach słońca unosiła się para.

Kolejna ulewa dopadła mnie już przy dworcu. Nie pozostawało mi nic innego, jak korzystając z daszków nad kinami na ulicy Aung Sana, dobiec do sklepu Bowna.

Bown ucieszył się na mój widok — tego dnia byłem jego pierwszym klientem. Pogawędziliśmy do szóstej i ruszyłem do domu.

Jednym słowem, wróciłem dopiero wieczorem.

Wysiadłem z autobusu przed naszym domem numer 9 i spostrzegłem, że na okrągłym asfaltowym podjeździe do domu stoi kilkanaście samochodów — z ambasady, z przedstawicielstwa i naszych, budowlanych.

Co się mogło stać? Chciałoby się powiedzieć — serce ścisnęła trwoga.

Ostrożnie podszedłem do domu i zajrzałem do środka. Pusto. Tylko z gabinetu głównego inżyniera dobiegają głosy. Leciutko uchyliłem drzwi.

W gabinecie, na krzesłach przyniesionych ze wszystkich pokoi siedzieli liderzy radzieckiej kolonii. Siedzieli, zdaje się, od dawna. Właśnie występował Pietia, czekista, którego mi przydzielono.

— Mówiłem o tym nieraz — grzmiał Pietia — ale nikt mnie nie słuchał. A przecież wszystko wyraźnie zmierzało...

Poczułem ulgę. Chwała Bogu, nic strasznego! Znowu gadają o Kaznaczejewie. Najlepiej zrobię, jak usiądę sobie cichutko na tamtym krześle przy drzwiach i udam, że siedzę tu już od dawna...

Usiadłem. Mojego pojawienia się nie zauważył nikt prócz oratora.

Pietia przerwał swoją przemowę w pół słowa, zaczął się jąkać: „Aa... aaa...” i wskazywać mnie palcem.

Wtedy przeżyłem nieprzyjemną chwilę. Wszystkie głowy siedzących w pokoju ludzi zaczęły odwracać się w stronę wskazaną palcem czekisty. W moją stronę. Ich oczy się zaszklily.

W końcu Pietia głośno, z przekonaniem, wykrzyknął:

— Prowokacja! Towarzysze, przecież uprzedzałem, że trzeba być gotowym do prowokacji!

Ludzie zaczęli wstawać, niektórzy, przechodząc obok mnie, rzucali mi pogardliwe spojrzenia, inni wychodzili, nie patrząc.

Gdy wszyscy się już rozeszli, moi koledzy opowiedzieli mi, co zaszło.

O jedenastej rano z jakiegoś powodu szukał mnie Alichanow.

— Gdzie Możejko?

— Chyba wybierał się do miasta — powiedział Szarygin.

— Jakim samochodem?

— Nie było samochodu. Misza nie przyjechał.

— „Kobrá”?

— „Kobrá”.

— Cholera jasna! Jak przyjedzie na obiad — natychmiast do mnie! Ile razy można powtarzać, żebyście nie jeździli komunikacją miejską?

Na obiad Możejko nie wrócił.

O piątej po południu Alichanow wbrew sobie, acz zgodnie z instrukcją, zameldował o nadzwyczajnym wydarzeniu ambasadorowi.

W ambasadzie niczego innego się po mnie nie spodziewali.

W tym czasie, gdy ja piłem u Bowna herbatę z mlekiem, do naszego domu zaczęli zjeżdżać się zmęczeni, źli i wystraszeni członkowie radzieckiej kolonii.

O siódmej wszystko było jasne. Oratorzy starali się wybić ponad innych w spóźnionej czujności. Niestety nie było tam magnetofonu ani stenografistki. Sasza Razwin był szczerze wzruszony, słysząc, w jak wczesnym dzieciństwie zostałem zwerbowany przez amerykański wywiad. Muszę jednak przyznać, że moi rówieśnicy i koledzy nie brali udziału w tej grze. Szło nowe pokolenie, pokolenie lat sześćdziesiątych. Niestety, oni również zestarzeją się i zmienią...

Możecie sobie wyobrazić, jaki popłoch wywołał mój powrót. Ale żaden z „demaskatorów” nie czuł się niezręcznie. Żyliśmy w antyutopii.

Wieczorem miałem bardzo nieprzyjemną rozmowę z Alichanowem, pod koniec której Jurij Iwanowicz oznajmił, że w ciągu dwudziestu czterech godzin odeśle mnie do ojczyzny, której omal nie zdradziłem. Rano wezwano mnie do ambasadora, potem nie wiadomo po co do sekretarza partyjnego ambasady... Każdy z nich walił pięścią w meble i groził mi powrotem do Moskwy — to była najstraszniejsza kara!

Zarówno ja, jak i moi rozmówcy wiedzieliśmy, że to tylko gra. Człowiek wścieka się, klnie, obraża mnie, a w oczach ma błysk satysfakcji: „Przekłety łajdak, inteligent parszywy, zabić go to mało! Ale przecież nie uciek!”.

Kilka lat później od jednego z radców ambasady w Waszyngtonie uciekła młoda żona z dwojgiem małych dzieci. Próbowwała namówić męża, żeby poszedł za jej przykładem, ale on nie chciał zostawić ojczyzny. Był z pokolenia lat sześćdziesiątych i doktorem filozofii. Gdy żona znikła, mąż dwa dni siedział w prostracji, mając nadzieję, że ona opamięta się i wróci. Kiedy ambasada dowiedziała się o tej stracie, było już za późno. Mąż wrócił do Moskwy. Długo nie mógł znaleźć pracy. Pamiętam słowa jednego z urzędników (jak sądzę, typowe): „Nie umiał zatrzymać żony, to trzeba było z nią uciec. Taki nam niepotrzebny”.

Moja żona jakoby uciekła ode mnie do ojczyzny. Więc cała rodzina uciekała we właściwym kierunku.

Zostałem wtedy w Birmie, ale, co charakterystyczne, odesłano mnie do domu dokładnie w dniu wygaśnięcia mojego kontraktu. Byłem jedynym tłumaczem czy specjalistą, z którym nie przedłużono umowy choćby na pół roku. Mimo że pracowałem nie lepiej, ale i nie gorzej od innych...

Za to zostałem fantastą.

Sądzę, że na moim miejscu każdy zostałby fantastą.

Teraz, gdy wszystko się już dokonało, myślę, że źródła mojej biografii twórczej leżą właśnie w tych dwóch birmańskich latach.

Tylko wtedy jeszcze o tym nie wiedziałem.

Myślałem, że to właśnie jest normalne życie.

ROZDZIAŁ 11

WIEŻE BABILONU

Po powrocie do Moskwy złożyłem dokumenty na aspiranturę Instytutu Orientalistyki, na wydział Azji Południowo — Wschodniej. Na szczęście tego 1959 roku nikt prócz mnie nie miał ochoty poświęcać życia brimanistyce i nie miałem konkurentów. W końcu dwa lata mieszkałem w Birmie, trochę mówiłem i czytałem po birmańsku.

Moim promotorem był wspomniany już Wołodia Wasiliew. Drugiego dnia pobytu w murach instytutu wyszedł ze mną na korytarz i powiedział:

— Igor, chciałbym cię prosić, żebyś przy ludziach zwracał się do mnie per „Władimirze Fiodorowiczu”. To w końcu instytut naukowy.

Zawstydzilem się i zgodziłem. Do starych stosunków wróciliśmy dopiero kilka lat później.

W aspiraturze płacili tysiąc (potem sto) rubli, urodziła się Alicja, z pieniędzmi było krucho, zwłaszcza że nie umieliśmy oszczędzać. Za to żyło nam się dobrze, jeździliśmy za ocean, przywiozłem ponad tysiąc książek, byliśmy dobrze ubrani i obuci. Na początku lat sześćdziesiątych jeździłem na budowy do Ghany i Iraku — każdy wyjazd trwał dwa miesiące.

A przede wszystkim — zaczęto mnie drukować.

Oczywiście o fantastyce nie było na razie mowy, ale przyjaciółka mamy, tłumaczka z angielskiego, zaprowadziła mnie do „Wokrug Swieta”, gdzie zaproponowano mi napisanie szkicu o Birmie. Pierwszy szkic pojawił się w połowie 1960 roku i z przyjaciółmi pojechaliśmy nad jezioro Onega.

Jeszcze na studiach byłem zagorzałym turystą, dwa razy zabrałem Kirę na jakieś międzysezonowe wypady. Problem polegał na tym, że my lubiliśmy głośno śpiewać, nie przestrzegając praw harmonii i nie trzymając się linii melodycznej. Kira, absolwentka konserwatorium, cierpiała niewypowiedziane męki. Za trzecim razem z nami nie pojechała, za czwartym ja też zostałem w domu.

Z pisarzami mojego pokolenia zawarłem znajomość już w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych, gdy zajmowałem się dziennikarką i zacząłem tłumaczyć dla wydawnictwa Mir. Tam Jewgienij Arturowicz Dewis, wspaniały człowiek, zapoczątkował długą i, można powiedzieć, rewolucyjną serię fantastyki zagranicznej. Jestem przekonany, że do rozwoju fantastyki rosyjskiej owa seria wniosła nawet większy wkład niż redakcja Żemajtisa. Zresztą czy można to porównywać?...

W każdym razie większość przyszłych oraz już aktywnych, a przy tym niebogatych fantastów przeszła przez tę serię w charakterze tłumaczy, autorów wyboru oraz autorów przedmowy.

Ja należałem do grupy tłumaczy i recenzentów, ponieważ znałem angielski. To była prawdziwa szkoła!

Jewgienij Arturowicz wszystkich nas, przechodzących przez jego ciasny gabinet, segregował i umieszczał w szufladkach.

Ja znalazłem się w szufladce „recenzent i tłumacz”. Do autorów wyborów już nie trafiałem, a przedmowę, jeśli się nie mylę, napisałem raz. Wychodził bułgarski zbiorek, a ja właśnie wróciłem z Bułgarii i znałem autorów osobiście.

Dewis przez długie lata nie mógł uwierzyć, że potrafię cokolwiek napisać sam. A kilka lat temu, gdy on był konsultantem w wydawnictwie Armada i wynikła kwestia dotycząca współpracy, Dewis zgłosił się jako pośrednik i po spotkaniu ze mną oznajmił: „Zawsze był z ciebie dobry tłumacz i nie jestem pewien, czy warto było porzucać to zajęcie”.

W Mirze poznałem tłumaczkę Nelly Jewdokimową, grubą, leniwą, kłótniową i utalentowaną kobietę, a potem jej męża — Saszę Jewdokimową, który handlował książkami.

Sasza był niezłym bibliografem. Strasznie chudy i kudłaty, odrobinę przypominał wielbłąda.

Jewdokimowie mieszkali w domu na nabrzeżu, nieopodal mostu Borodińskiego. Była tam brama wysokości trzech pięter. Akurat nad bramą mieściło się ich mieszkanie, a raczej część komunałki — przestronny, wysoki pokój z regałami, zapadniętym fotelem i jeszcze bardziej zapadniętą kanapą. Musiały być też jakieś inne miejsca siedzące, już choćby dlatego, że Nelly założyła swój własny salon literacki, w którym zbierało się do dwudziestu gości i wszyscy się jakoś mieścili.

Tutaj właśnie zobaczyłem fantastów.

Główną postacią na tych zebraniach była Ariadna Gromowa, z natury Główna Kobieta.

Ariadna przychodziła i siadała w fotelu, a za jej fotelem ustawiali się młodzi „giermkowie” — Szura Mirer i Rafa Nudelman. Pierwszy to prawdziwy fantast, później jeden z lepszych w naszym kraju, drugi — krytyk, tłumacz i współautor Ariadny.

Dla Arkadija Strugackiego, który też zjawił się raz czy dwa, nie znalazło się honorowe miejsce. Był wtedy początkującym pisarzem i jeszcze sam nie zdawał sobie sprawy z własnej wielkości.

Ja nie byłem pisarzem fantasty, należałem do kohorty tłumaczy.

Drugie moje spotkanie z prawdziwym pisarzem miało miejsce znacznie później, w 1967 roku, gdy zdecydowałem się napisać powieść fantastyczną. Umówiłem się na to z moją przyjaciółką, redaktorem Detgizu, Niną Matwiejewną Bierkową. Ona poradziła mi, żebym wyjechał z Moskwy, gdzie na pisanie z trudem wykrawam po dwadzieścia minut dziennie. Pracując gdzieś daleko, będę siedział przy maszynie od rana do wieczora i stukał do upadłego.

Obecny przy tej rozmowie Oleg Sokołow, wówczas pracownik „Iskatiela” (Poszukiwacza), powiedział, że doskonale zna pisarza z Rygi, Władimira Michajłowa, szalenie gościnnego człowieka. Że to niby „siadaj, Igor, do pociągu, zadzwonisz z dworca do Wołodii i spędzisz miesiąc na wybrzeżu ryskim. Oni tam mają rewelacyjny dom pracy twórczej, nad samym morzem, z sosnami wokół”...

Do dziś nie wiem, co mnie wtedy opętało! Jak mogłem zjawić się zniecka w obcym mieście i wprosić się do obcego człowieka? Nigdy tego nie robię i nie lubię, gdy ktoś postępuje tak ze mną. Ale wtedy rzeczywiście wsiadłem z pociągu i zadzwoniłem do Michajłowa. Nie było go w domu, lecz żona zaproponowała mi uprzejmie, żebym przyszedł do nich i poczekał.

Z walizką i maszyną do pisania wdarłem się do mieszkania Michajłowa i utknąłem tam na kilka godzin. Gospodarz zajmował się swoimi sprawami na mieście, nie podejrzewając, jaka czeka go niespodzianka.

Gdy po powrocie zobaczył mnie, już całkiem nieźle zadomowionego, w pierwszym momencie, ku mojemu wstydomu, nie mógł skryć pewnego rozdrażnienia. Wyglądał na zmęczonego, widocznie miał ciężki dzień.

Powoli jednak ochłonął, stał się miły, a ponieważ rzeczywiście był człowiekiem bardzo serdecznym, już po godzinie się zaprzyjaźniliśmy i pozostaliśmy przyjaciółmi po dziś dzień.

U Wołodii Michajłowa zobaczyłem nie tylko półkę, na której stały czasopisma z jego powieściami i opowiadaniem, ale najprawdziwsze książki, w których widniało nazwisko autora. A sam autor, niewysoki, czarnowłosy, o zwawych ruchach, stał obok mnie, palił fajkę i traktował mnie jak kolegę po fachu.

Przenocowałem u niego, a następnego dnia zawiózł mnie na wybrzeże w poszukiwaniu mieszkania. Dom pracy twórczej był dla mnie niedostępny — może z powodu mojej pozycji społecznej, a może z innej przyczyny. Wynajęliśmy pokój u sprzątaczk, miłej młodej Łotyszki mieszkającej z dwoma synami. Spędziłem w jej domu miesiąc. Trwała mokra, nadbałtycka zima,

w malutkiej kawiarni przy szosie można było tanio (nie sezon) kupić bitą śmietaną, minogi i prawdziwą kawę. Nocą padał śnieg, a rano wszędzie topniał, zostawał tylko na trawnikach. Siedziałem przy oknie, mokry śnieg spadał z sosnowych gałęzi, które prostowały się z ulgą. Napisałem tam powieść „Ostatnia wojna”, która narodziła się we mnie kilka miesięcy wcześniej, gdy płynąłem „Siegieżą” z Murmańska do rzeki Chatangi. Nawet statek kosmiczny w mojej książce nazywał się „Siegieża”, a niektórzy członkowie załogi nosili nazwiska marynarzy.

Z żadnymi innymi kolegami po piórze się nie przyjaźniłem, jeśli nie liczyć oczywiście Romana Podolnego, który prowadził dział literacki w czasopiśmie „Znanje–siła”. Gdy Roman zmarł, czasopismo od razu zrezygnowało z zaszczytu bycia pionierem rosyjskiej fantastyki, ustępując palmę pierwszeństwa czasopismu „Chimja i žyzn” (Chemia i życie).

Roman Podolny był autorem cudownych, krótkich nowel, ale nie zdobył należnej mu sławy, ponieważ nie mógł okiełznać długiej formy — nie miał szczęścia do powieści. Ponadto był największym w naszym kraju popularyzatorem nauki, w czym pomagała mu wyjątkowa, absolutna pamięć.

Kiedyś Roman zachorował i pojechałem go odwiedzić. Po drodze przypomniałem sobie, że nie wziąłem mu nic do czytania. Szedłem właśnie Arbatem i wstąpiłem do antykwiariatu naprzeciw Teatru Wachtangowa. Zobaczyłem tam rocznik czasopisma „Niwa” z tysiąc osiemset osiemdziesiątego któregoś roku. Wtedy, dwadzieścia lat temu, cena takiego rocznika równała się przejazdowi taksówką, więc kupiłem „Niwę” i dojechałem do Romana metrem. Wiecie, co on powiedział na widok prezentu?

— Poczekaj, może nie będę tego czytał. Jak miałem dziesięć lat, mama przynosiła mi roczniki „Niwy”. Pamiętam całą zawartość.

Niemniej dziesięć lat później zdumiewająca pamięć splatała mu figła. Podolny napisał kolejny podręcznik fizyki, a recenzent wytknął mu jakieś błędy merytoryczne. Roman był wściekły — nie mógł się pomylić! Ale okazało się, że jednak...

Widziałem go wówczas. Trudno wyobrazić sobie bardziej zgnębionego człowieka. Zawiódł go najwierniejszy przyjaciel — własny mózg.

Właśnie dzięki Podolnemu w czasopiśmie „Znanje–siła” pojawiała się wszystko, co godne uwagi w naszej fantastyce. Tutaj drukowano wczesne powieści Strugackich oraz ich późniejsze utwory. Tutaj opublikowano wspaniałą powieść Mirera „U mienia dieiat žyzniej”. Tutaj też pojawiły się przekłady najlepszych amerykańskich i angielskich autorów. Setki tysięcy czytelników prenumerowało „Znanje–siła”, uważając je za czasopismo wzorcowe. To zasługa Romana Podolnego.

Podolny, człowiek błyskotliwy i wynalazca, był autorem wielu nieszablonowych, pionierskich akcji. To właśnie on wymyślił Akademię Wesołych Nauk. Tutaj drukowano informacje wątpliwe i bardzo wątpliwe. Na przykład kiedyś w Akademii pojawił się artykuł, że żyrafa nie może istnieć, ponieważ żadne żywe stworzenie nie może mieć tak długiej szyi. Gdybyście widzieli te stopy listów, które przychodziły do redakcji! Czytelnicy, ślepo wierzący w słowo drukowane, wyrażali oburzenie, że „Ogoniok” zamieścił zdjęcie tego jakoby istniejącego stworzenia! Sypały się pretensje pod adresem Brehma i podręczników zoologii.

Ale za najwyższy przejaw świętej naiwności uważam reakcję prasy na niewielką żartobliwą notatkę Lwa Minca w „Wokrug Swieta” mniej więcej takiej treści: „Interesujący zwyczaj istnieje w księstwie Radżapur w południowych Indiach. W nocy, co pół godziny, pod oknem maharadży strzela armata i specjalny herold woła: «Cisza, cisza, władca odpoczywa!»»,.

Minc zbierał i wklejał do zeszytu przedruki tej informacji w przeróżnych czasopismach. Było ich całkiem sporo.

Ja napisałem do Akademii Wesołych Nauk list z miasta Wielki Guslar, w którym emeryt Łożkin

oznajmiał, że orzechy włoskie to nasi najbliżsi bracia w rozumie. W paleontologicznej przeszłości pełzały one po gałęziach drzew i polowały na muchy, ale potem miłość wzięła górę i orzechy połączyły dwa mózgi pod twardą skorupką. Teraz żyją razem, zapomniawszy o świecie zewnętrznym.

Oczywiście, w liście wszystko zostało szczegółowo wyjaśnione, ewolucja orzechów włoskich rozpatrzona została z odsyłaczami, powoływaniem się na autorytety i kończyła się wezwaniem: „Przestańcie zjadać naszych braci w rozumie!”.

W odpowiedzi na tę publikację przyszło kilkadziesiąt listów, głównie obietnice niejedzenia orzechów włoskich. Najlepsze było kolektywne przesłanie ze strażnicy pogranicznej.

Kolejnym wynalazkiem Podolnego, w pewnym stopniu związanym z fantastyką, była Komisja do spraw Kontaktów.

Podolny wpadł na pomysł, żeby utworzyć komisję z uczonych, sceptyków z natury, w celu rozpatrzenia pretensji ludzi o poglądach paranaukowych.

Ekspertów było ponad tuzin, redakcja fundowała im herbatę i ciasto. Do czasopisma przychodzili telepaci, telekinetycy, twórcy nowej chronologii i inni magicy. Muszę powiedzieć (a jeśli w Rosji pozostał któryś z członków komisji, on to potwierdzi), że żaden z gości nie mógł odczytać cudzych myśli, odgadnąć trójkątów, przesunąć szklanki czy udowodnić, że świat antyczny wymyślili średniowieczni mnisi. A już o latających talerzach czy tajemniczych przybyszach w ogóle nie ma co mówić. Goście wychodzili z komisji obrażeni. Na szczęście mieliśmy kolektywne poczucie humoru oraz „aksjomat niezwykłości”, zaproponowany przez matematyka Jurę Siestrina: „Żadna mitologia świata nie zdołała wymyślić kangura”.

Ale potem komisja, tak dumna i sceptyczna, zblamowała się haniebnie. Wszystkiemu winien von Däniken.

Däniken zrobił film „Wspomnienia z przyszłości”, który w tych latach był równie popularny co „Czemu to zrobiłam?”, traktujący o zgubnym wpływie aborcji. Oglądając „Wspomnienia...”, a zwłaszcza fragmenty dotyczące mojej specjalizacji, wiedziałem, że autor kłamie, dlaczego kłamie i na czym polega jego słabość.

Ale gdy tylko film wychodził poza granice mojej wiedzy, przyłapywałem się na myśli: „A nuż coś w tym jest?”.

Okazało się, że moi koledzy z komisji po obejrzeniu dzieła Dänikena również są dziwnie stropieni. I wtedy któryś z nas zaproponował, żeby pójść jeszcze raz, wspólnie obejrzeć film i napisać wspólną recenzję.

Usiedliśmy w sali z notesami w rękę. Każdy czytał na swoją zdobycz...

Aha, mówiłem sobie, oto żelazna kolumna w Delhi, której udało się nie zardzewieć od półtora tysiąca lat, ponieważ wykonali ją kosmici ze szczególnie czystego żelaza. Ale von Däniken nie wje, a jego czytelnicy tym bardziej, że pewien szwedzki metalurg postanowił sprawdzić, czy tak jest w istocie, i wykopał dołek u podnóża kolumny. Następnie wziął kawałek metalu do analizy i okazało się, że kolumna została sklepana z kawałków dość „brudnej” stali i głęboko przerdzewiała u podstawy, gdzie oddziałuje na nią wilgoć gleby. Stoi nadal jedynie dzięki szczególnie suchemu powietrzu w tym rejonie.

Podobne naukowe fakty przypomniał sobie każdy z nas podczas projekcji filmu.

Napisaliśmy kolektywną recenzję. Nawet nie znęcaliśmy się zbytnio nad Dänikenem, który w tym czasie siedział za oszustwa w szwajcarskim więzieniu. I zaczęliśmy czekać na wdzięczność czytelników.

Rozpętało się piekło.

Do redakcji przyszło kilkaset listów. I ani jednego ze słowami: „Brawo, doktorowie nauk, zrobiliście kawał dobrej roboty!”. Nic z tych rzeczy. W listach żądano, żeby pozbawić nas stopni

naukowych, wygonić z pracy, połamać nam parszywe palce, wsadzić nas do więzienia, a nawet rozstrzelać, żebyśmy nie psuli wspaniałego powietrza planety Ziemia.

Nie martwiliśmy się tym zbyt długo. Szybko zrozumieliśmy, że nasza próba walki za pomocą naukowego sceptycyzmu z nie — podlegającym logice zjawiskiem świadomości religijnej była z góry skazana na klęskę.

Po powrocie z Birmy nie zaprzestałem działalności tłumacza. Były to realne dochody, nie mówiąc już o możliwości zobaczenia obcych krajów, które człowiekowi radzieckiemu nie zawsze udawało się zobaczyć. Nie wiem, co było ważniejsze. Wszystko było ważne. W 1960 roku urodziła się Alicja, mieszkaliśmy w dwudziestometrowym mieszkaniu z rodzicami Kiry na Przejęździe Mazutowym, który zostanie przemianowany na ulicę Pawła Korczagina — zdumiewająca wolta radzieckiej świadomości religijnej. Stąd już tylko krok do placu imienia Mojdydyra. Zaciera się granica pomiędzy rzeczywistością i mitem.

Kira nie pracowała, ja, jako aspirant, otrzymywałem maksymalne, ale i tak niewielkie stypendium, a chciało się wielu rzeczy.

Więc gdy serdeczne panie z działu kadr wielkiego przedsiębiorstwa budowlanego powiedziały, że można pojechać na dwa miesiące do Iraku z delegacją, która będzie pertraktować z postępowym dyktatorem Kasemem na temat budowy pomników przyjaźni radziecko-irakijskiej w postaci fabryk, mostów, promów, natychmiast pobiegłem do aspirantury. Chciałem namówić kierownika do wypuszczenia na zarobek pracującego od niedawna, niegodnego aspiranta. Kierownik wspominał o ewentualnym prezencie, ja uznałem jego sugestię za rozsądną i polecałem do Bagdadu.

W tej historii jest pewien interesujący epizod, mający bezpośredni związek z naszym tematem.

Budowniczych było trzech, z przewodniczącym, chyba zastępcą ministra, Orłowem na czele. Orłów był mocnym, wesołym i dobrodusznym wielmożą, a dwaj budowniczowie przy nim byli urzędnikami i, na szczęście, całkiem normalnymi ludźmi. Nawet nie zmuszali tłumaczy do biegania z nimi po sklepach, w których trzeba było tłumaczyć sprzedawcy: *My madame very good, my madame very big!* — na co handlarze odpowiadali: *Iwan, tommorrow come, small money, big madame* i skręcali się ze śmiechu. W ciągu kilku lat pomocy krajom rozwijającym się nasi biedni, pragnący wszystko wykupić i wywieźć specjaliści i donosiciele zdołali tak zszargać reputację człowieka radzieckiego, że czasem my, tłumacze, ludzie z przedostatniego szczebelka zagranicznej drabiny społecznej (niżej od nas byli tylko kierowcy, a i to nie zawsze), wstydziliśmy się zaglądać do miejsc publicznych. Pamiętam, jak w ambasadzie i organizacjach pomagających mieszkańcom Afryki budować dostatek przeprowadzono kontrolę medyczną. Zapomniałem, z jakiego powodu, widocznie przyszła dyrektywa z Moskwy albo przyjechał nowy ambasador. W trakcie kontroli stwierdzono kilka przypadków głodowania, a jedną rodzinę trzeba było natychmiast odesłać do Moskwy — dwójka dzieci miała zastarzałą dystrofię, identyczną jak w czasie blokady Leningradu.

W Birmie dystrofii nie widziałem, ale życie na granicy głodu było zjawiskiem powszechnym. Ratowało nas tylko to, że na budowie ludzie byli bardziej normalni niż w innych kolektywach. Prowadzono otwarte życie, cały dzień na placu budowy, częste odwiedziny — wstyd było tak zupełnie skąpić.

Wróćmy jednak do Iraku końca 1959 roku.

Mieszkaliśmy w hotelu w centrum miasta. Prócz nas byli w nim nasi lotnicy wojskowi oraz jacyś ludzie z nimi związani — spotkałem tam też moich kolegów tłumaczy. Świat był prosty i rozumiały. My pomagamy naszym arabskim przyjaciółom, którzy też gotowi są budować socjalizm. Iraccy urzędnicy są wobec nas rzeczowi i lojalni. Budowniczowie omawiają z nimi gigantyczne plany budowy zapór i fabryk. Biuro, które Irakijczycy wydzielili naszej grupie,

znajdowało się na drugim brzegu Eufratu.

Każdy poranek zaczynał się tak samo — biegłem do kawiarni, gdzie młody chłopak z zaporoskimi wąsami wyciskał mi trzy pomarańcze, sok akurat mieścił się w wysokie szklance. Do biura musiałem iść przez niekończący się most, było chłodno, wiał poranny, grudniowy wiatr, słońce oślepiało. Potem trzeba było jeszcze pokonać dwie czy trzy ulice.

Kiedyś wydarzył się tam drobny, ale wbijający się w pamięć incydent.

Szedłem ulicą pomiędzy duwałami — bez okien, bez prześwitu. I nagle z naprzeciwka jedzie ZIL-111 z zielonymi pancernymi szybami. Okno z boku jest opuszczone i widzę charakterystyczny profil Kasema, dyktatora Iraku. A ja właśnie wczoraj go spotkałem — byliśmy u niego na przyjęciu, omawialiśmy zasadnicze kwestie i ja tłumaczyłem. O dziwo, Kasem mnie zapamiętał. Uśmiechnął się do mnie i pomachał z samochodu.

Też chciałem mu pomachać. W tym celu musiałem wyjąć z kieszeni spodni skostniałą dłoń.

Wtedy jakby coś mnie tknęło. Podniosłem oczy i zobaczyłem, że za ZIL-em jedzie samochód opancerzony. Na dachu kabiny stoi cekaem. I ten cekaem właśnie celował w moje czoło — spodziewając się, że wyciągnę z kieszeni bombę. Zobaczyłem okrągłą czarną dziurkę, z której za chwilę wyleci rój kul. I sam będę sobie winien.

Zastygłem z ręką w kieszeni, dopóki Kasem i jego ochrona nie skryła się za rogiem. Jakiś czas potem Kasema zabili spiskowcy.

W biurze dowiedziałem się, że czeka nas podróż na południe do Basry, przez pustynię. Mieliśmy jechać samochodem, który poprowadzi przydzielony nam przez tamtejsze Ministerstwo Budownictwa młody człowiek Adnan. Adnan był chudy, niski, ruchliwy i gadatliwy. Nie wiedzieć czemu, moi towarzysze nie uznali go za równego sobie i pojechali wszyscy trzej dżipem, który również nam wydano. Mnie pozostał Adnan i cadillac.

To był bardzo długi, nieco powgniatany potwór, mniej więcej dziesięcioletni. Zazwyczaj mruczał i mknął jak rakieta. Ale od czasu do czasu, w najbardziej nieodpowiednich miejscach, milkł. Ponieważ Adnan był mistrzem kierownicy, ale nie miał pojęcia, co taki samochód ma w środku, zaczynało się poszukiwanie mechanika, co jest szczególnie owocne na środku pustyni. W takich wypadkach nasza delegacja jechała dalej dżipem, a ja i Adnan czekaliśmy na pomoc.

Takie postoje były bardzo interesujące i twórcze. Dowiedziałem się na przykład od Adnana o istnieniu miłości lesbijskiej jako międzynarodowego biznesu. Do tej pory słyszałem jedynie o Safo i nigdy nie interesowałem się lesbijkami.

Nie to co Adnan.

Adnan od dwudziestu lat jeździł po świecie i zbierał wszystko, co miało związek z lesbijstwem. Oglądał specjalne przedstawienia, które dawały lesbijskie kochanki w szklanych sypialniach, szukał książek i rysunków, filmów i zdjęć. Przysięgał, że posiada kolekcję składającą się z pięciu tysięcy eksponatów.

Nie potrafił mi wyjaśnić subtelności swojej pasji — nie było pod ręką pomocy naukowych, ale wrażenie jego seksualnego zachwyty czułem każdego dnia.

Droga do Basry prowadziła przez szarą gładką pustynię, obok bagien zamieszkałych przez szczególne plemię bagiennych Arabów, których chaty wylaniały się zza zarośli wikliny. Znacznie bardziej podoba mi się Kara-Kum, gdzie jest prawdziwy piasek i prawdziwe wydmy niczym piękne morze, a nie kiepsko zamiecione gigantyczne piaszczyste podwórko.

Wzdłuż szosy kroczyły wielbłądy, z pogardą spoglądając na rzadkie samochody czy wojskowe ciężarówki.

Potem trafiliśmy do Babilonu. Przekonałem moich towarzyszy, że każdy kulturalny człowiek ma obowiązek odwiedzić to miasto, a ponieważ nikt nie chciał uchodzić za niekulturalnego, zwiedzanie Babilonu wszyscy potraktowali jak obowiązkowy punkt programu.

— Tam jest taki rysunek — cieszył się na wizytę w Babilonie Adnan — osłupiejesz: lew gwałci kobietę. To herb Babilonu, rozumiesz? Zobaczysz pozostałości ogrodów Semiramidy. Wyobrażasz sobie? Ona była lesbijką, zachowały się wzmianki antycznych autorów.

Jakich autorów — tego Adnan nie precyzował. Nie śmiałem spierać się z takim autorytetem jak on.

Pusta droga za miastem Al-Hilla nieoczekiwanie ożyła. I to w dziwny sposób. Z naprzeciwka jechały samochody i autobusy, do dachów były przymocowane ciasne, prymitywne trumny. Okazuje się, że samochody zmierzały do świętej Karbali i nie mniej świętego An-Nadżaf. Nieboszczycy pragnęli spoczywać obok meczetów świętych miejsc.

Następnie droga skręciła w lewo i hałaśliwy świat współczesności umilkł.

Wąska, nierówna szosa zaczęła krążyć pomiędzy wzgórzami. Z każdym kilometrem wzgórze stawały się coraz wyższe i cisnęły się do siebie.

Wzgórza były bure i bezkształtne. Aż chciało się zakrzyknąć — oto marność ziemskiej sławy!

Nie starczyło mi wyobraźni, by przywrócić Babilon do życia i zobaczyć masywne mury, pałac i oczywiście słynne wieże Babilonu.

Nasze samochody z trudem wjechały na niewielki plac przed dwupiętrowym, nijakim budynkiem muzeum. Panowała taka cisza, że było słyhać, jak unoszone wiatrem ziarenka piasku stukają o ścianę.

Skrzypnęły drzwi.

Na progu muzeum powitał nas wysoki starzec — szejek pustyni, baśniowy mędrzec, który oznajmił nam z niezadowoleniem, ile dinarów jesteśmy winni zarządowi archeologicznemu Iraku. Trzymał w ręku rulonik z biletami niczym papier toaletowy dla kota.

W budynku panował półmrok, eksponaty ustawiono i ułożono bez żadnego ład.

Miało to miejsce czterdzieści lat temu. Możliwe, że teraz muszą się oganiać od turystów. Ale wątpię, żeby ktoś się tam tłoczył.

Muzeum było biedne, ponieważ wykopaliska w Babilonie prowadzili Europejczycy, którzy później — legalnie i podstępnie — wywozili babilońskie zabytki do siebie, ratując je przed pożądanymi urzędnikami osmańskimi. Znacznie lepiej oglądać Babilon w muzeum berlińskim. W British Museum również jest długi, cichy korytarz z płaskorzeźbami przedstawiającymi polowanie na lwy.

Za muzeum ziała przepaść.

Wzgórza były rozkopane, same doły i transzeje, jedne osunęły się przez sto lat, inne, stosunkowo świeże, zachowały wojskową kanciastość.

Na tym polu wojny pozycyjnej gigantów widniała szrama sięgająca niemal do środka Ziemi.

Ulica Procesji. Wąwóz uchodzący zboczami w dół, wyłożony płytkami ceramicznymi, w które wbite są idące do wodopoju gryfy i lwy.

Trzeba było tam zejść, by poczuć majestat wieczności.

Stary kustosz starożytności mamrotał o ogrodach Semiramidy czy wieżach Babilonu, pokazując tę czy inną stertę cegieł.

Lew gwałcający mieszkankę Babilonu rzeczywiście wznosił się nad wzgórzami. Zapewne wyciągnięto go z ziemi i postawiono na wzgórzu, ale wydawało się, że stoi tam od zawsze. Co prawda, on raczej rozszarpał, niż gwałcił swoją ofiarę.

Adnan marzył — poranny chłodek wydawał mu się polarnym mrozem. Nie chciał iść do wieży Babilonu.

— Nie ma jej — oznajmił mi.

Rzeczywiście. Wieży nie było.

Jedynym wielkim podróżnikiem, który ją jeszcze zastał, był Herodot. W VI wieku przed naszą

erą opisał ją szczegółowo jako schodkową piramidę, której bok — dziewięćdziesiąt metrów — równał się wysokości. Dwa dolne tarasy były niemal równe: pierwszy na wysokości trzydziestu metrów, drugi o piętnaście metrów wyżej. Następnie wznosiło się sześć zmniejszających się, niewysokich stopni po piętnaście metrów (wysokość czteropiętrowego bloku) każdy.

W następnych latach wieża niszczała. Bóg Marduk, którego świątynia stała na ostatnim tarasie, popadł w niełaskę nowych władców miasta i Aleksander Macedoński zamiast wielkiej wieży, o której zobaczeniu marzył, ujrzał jedynie stertę cegieł. Wielki człowiek — wielkie pomysły. Aleksander, który zamierzał uczynić Babilon swoją stolicą, symbolem wspaniałości władzy, rozkazał zburzyć pozostałość wieży, w tym miejscu wybudować nową, nie gorszą od poprzedniej, i poświęcić nieznanemu jeszcze bogowi — bogowi wszechświatowej religii aleksandryjskiej.

Sam Aleksander wkrótce po powrocie do Babilonu zmarł w zwiędłych ogrodach Semiramidy.

I takiego zapamiętała go historia — jako burzyciela i niszczyciela. Nie zdążył dokonać odbudowy. Często się to zdarza wielkim zdobywcom. Burzą, niszczą, spieszą się, a gdy tylko zapragną, by powstało coś godnego ich wielkości, Bóg natychmiast wzywa ich do siebie. Hitler miał zamiar przekształcić Berlin w ośrodek świata, architekt Speer zrobił makietę tego supermiasta, owocu wybujałych marzeń rzemieślnika architektury. Stalin zaczął budować Pałac Rad — największy budynek na świecie, któremu wszystkie piramidy Cheopsa sięgałyby do kolan, a w palcu posągu Lenina, zwieńczającego tę budowlę, miała się mieścić restauracja, taras widokowy dla grup i jednostek wojskowych, a może fabryka.

Aleksander Macedoński też: zburzyć — zburzył, placyk przygotował, no i przeziębził się...

Wróciliśmy do samochodów. Ja czułem dojmującą chciwość. Potrzebowałem pamiętki, dowodu, że nie na próżno stałem w miejscu, w którym niegdyś zburzono wieżę Babilonu. Przecież byłem tłumaczem, a wymyślna kara boska polegała na usunięciu z budowy wszystkich tłumaczy.

Kustosze muzeum rozpląnął się pośród wzgórz, ale na scenie, jakby powołane do życia ruchem czarodziejskiej różdżki, pojawiły się nowe postacie.

Było ich dwóch. W długich, ciężkich burnusach.

— Tędy — oznajmili, wskazując szerokim gestem prześwit pomiędzy wzgórzami.

Pod nawisem skalnym stał składany stolczyk o bardzo cywilizowanym wyglądzie. Na nim tłoczyły się statuetki, leżały gliniane tabliczki z pismem klinowym i kawałki naczyń. Jedno duże naczynie stało na ziemi. Wystawy pilnował chłopczyk z palcem w nosie.

Nawet nie drgnął.

Sprzedawcy powinni byli wystraszyć się widoku osoby oficjalnej, czyli Adnana. Ale nie przestraszyli się, tylko patrzyli na niego jak na natrętną przeszkodę, zwłaszcza gdy Adnan zaczął twierdzić, że ich towar to barachło. Głosy spierających się stawały się coraz wyższe i towarzyszy Orłów powiedział, że na pewno natkniemy się na prowokację. Trzeba się stąd wynosić, bo to wstyd tracić walutę na kawałki gliny.

Byłem innego zdania, ale nie mogłem się przecież kłócić z wiceministrem, w dodatku porządnym człowiekiem.

— Łupieżcy — rzucił Adnan po angielsku i wszyscy, prócz mnie, odetchnęli z ulgą.

Poszliśmy. Szedłem trochę z tyłu, w głębi duszy mając nadzieję, że grabieżcy Babilonu dogonią mnie i tanio oddadzą tabliczkę z opisem czynów Gilgamesza — bohatera pierwszej na świecie powieści fantastycznej.

Ale nikt mnie nie gonił.

Wszyscy zaczęli wspinać się do samochodów ścieżką turystyczną, a ja poszedłem prosto. Przynajmniej w ten sposób mogłem wyrazić swoją niezależność!

Wdrapywałem się pod górę po krętym wypłuczysku, tędy płynął strumyczek wgryzający się w glinę wzgórze. Gdziekolwiek z glinianej masy wystawały kawałki cegieł. Jedną niewielką, płaską

cegiełkę postanowiłem wziąć na pamiątkę. Rozkołysałem ją, jak niepewnie siedzący w dziąśle ząb, i wsunąłem do kieszeni spodni — była wielkości tulskiego piernika.

Nie chciałem wyjmować cegiełki przy Adnaniu i zmusiłem się, żeby poczekać, aż wrócimy do Bagdadu.

Gdy przyjechaliśmy na miejsce, Orłów wymyślił jakąś naradę, nie pamiętam już, na jaki temat, a potem w korytarzu hotelu spotkałem elegancką Nataszkę, tłumaczkę naszych lotników. Miała na sobie lekką białą sukienkę i była bardzo zdenerwowana. Umówiła się z Alperowiczem, że pójdą na brzeg Eufratu zjeść rybę, ale jego gdzieś wysłali, a samotnej kobiecie wieczorem po Bagdadzie spacerować nie wolno.

Poszliśmy nad rzekę.

Było chłodno. Wzdłuż rzeki na nabrzeżu ciągnęły się jadalnie. Zresztą czy można je tak nazwać?

Na środku paliło się ognisko. Wokół ognia, na wetkniętych w ziemię palikach umocowano połówki przeciętych wzdłuż szerokich i grubych ryb, przypominających nasze karasie, ale znacznie większych. Ryby smażyły się we własnym tłuszczu. Naprawdę nie sposób sobie odmówić takiego smakołyku.

Wróciłem do pokoju bardzo późno i przypomniałem sobie o cegiełce skradzionej w Babilonie. Wyjąłem ją.

Po jednej stronie cegiełki, płaskiej i zaokrąglonej, zobaczyłem rzędy pisma klinowego.

Trzy razy budziłem się w nocy, żeby podziwiać swoją zdobycz.

Byłem przestępcą, grabieżcą narodowego majątku Republiki Iraku. Byłem przestępcą szczęśliwym.

Kilka dni później, po powrocie z podróży po Iraku (byliśmy jeszcze na północy, w Kirkuku i Mosulu, ziemiach niemal kurdyjskich, tam na ulicy podbiegła do nas kobieta w czadorze i zaczęła błagać, żebyśmy wyciągnęli jej rodzinę z haremu, do którego trafiła przez lekkomyślność; niestety, nie mogliśmy nic zrobić), Adnan przyjechał po mnie w wolny dzień, piątek, i zawiózł do Akarkufu.

Znowu szary, płaski step. Trzydzieści kilometrów dalej przed nami pojawił się leżący na ziemi obłoczek. Im bliżej podjeżdżaliśmy, tym obłok stawał się potężniejszy, przybierając kształt gigantycznej kuli gnoju, jakie toczą po Egipcie skarabeusze. Gdy podjechaliśmy bardzo blisko, kula zaczęła przypominać atomowy grzyb.

Wyobraźcie sobie łagodne wzgórze z pokruszonych cegieł, a na nim nierówną kulę trzydziestometrowej wysokości — mniej więcej dziesięciopiętrowy dom.

Wiatry i rzadkie deszcze rozmyły podstawę jeszcze jednej, ale istniejącej wieży babilońskiej, jakby przewiązując ją niewidoczną nitką. Gdy podeszliśmy do niej, nad naszymi głowami zawisła niewyobrażalna kula utworzona z płaskich cegieł przekładanych warstwami bitumu i wikliny.

Na świecie wiele jest miejsc, których nie sposób opisać i trudno sobie wyobrazić. Kula na pustyni właśnie do nich należy.

Wieża Babilonu jest mitem, ale ziggurat w Akarkufie to absolutna realność. Nie trzeba go odkopywać, chociaż po wspaniałym mieście Durkurigalzu, stolicy państwa Kasytów (podobnie jak po samych Kasytach) nie pozostał żaden ślad. Miasto było z gliny, a Kasyty z nietrwałego ciała.

To połączenie szarej pustyni, sięgającego do nieba zigguratu i zdumiewającej obcości leżącego obok świata rodzi uczucie fantastyki.

Nielegalnie zdobyty skarb — tabliczkę z pismem klinowym — schowałem do szafki przy łóżku.

A podczas pakowania zapomniałem ją zabrać. Zorientowałem się dopiero w samolocie.

ROZDZIAŁ 12

GARNITUR NA WYROST

W charakterze korespondenta „Wokrug Swieta” sporo jeździłem po kraju i w latach sześćdziesiątych byłem jednym z najbardziej aktywnych współpracowników czasopisma. Właśnie stąd zrobiłem krok w literaturę.

Długi korytarz na piątym piętrze domu przy ulicy Suszczewskiej przez ponad dziesięć lat był dla mnie miejscem bardzo bliskim. Ludzie również byli mi bliscy, niektórzy są tacy do dziś. Magia tego pisma polega między innymi na tym, że ludzie, przychodzący do niego jako młodzież, pozostają tam do starości, co pozwala im się nie starzeć. Jeszcze niedawno w redakcji widywałem ludzi, którzy zaczęli tu pracować przede mną. A przecież Lida Czeszkowa, Nadir Sofijew i oczywiście Lew Minc tysiące razy mogli znaleźć bardziej dochodowe posady. Ale nie chcieli...

Założone w 1861 roku przez Olchina „Wokrug swieta” przez pierwsze osiem lat swojego istnienia był rocznikiem, grubym tomem z grawiurami i ręcznie malowanymi litografiami. Wtedy nie było w nim żadnej beletrystyki, dopiero z czasem zaczęto drukować Juliusza Verne’a.

W 1868 roku czasopismo przestało wychodzić, pojawiło się ponownie dopiero w latach osiemdziesiątych, gdy tytuł odkupił Sytin, wielki rewolucjonista rosyjskiej sprawy wydawniczej. On przemienił pismo w cienki tygodnik, który stopniowo podbił stolicę i prowincję. Aż do rewolucji każdego tygodnia w skrzynce pocztowej średniozamożnej rodziny, w której był gimnazjalista albo dorosły miłośnik przygód, pojawiała się to czasopismo.

Wyszło, licząc po pięćdziesiąt na rok, ponad tysiąc numerów. W czasopiśmie publikowano nie tylko nowele i powieści w odcinkach, ale również opowiadania o podróżnikach. W XX wieku, gdy redaktorem został Popów, pismo zaczęło propagować ruch skautowski i przemieniło się w podstawowy organ skautów.

Ostatnie numery w roku 1917 wyszły w grudniu. Umieszczono w nich zdjęcia okrucieństw bolszewików, którzy barbarzyńsko niszczyli Kreml.

Czasopismo zamknięto.

Kilka lat później, w 1925 roku, w okresie rozkwitu NEP-u, Popów znowu wyskoczył niczym diabeł z pudełka. Ze względu na swoją przeszłość nie mógł być redaktorem naczelnym i został kierownikiem redakcji nowego miesięcznika „Wsiemirnyj Sliedopyt” (Wszechświatowy tropiciel). Było to stustronicowe czasopismo wydawane na papierze gazetowym i od razu zaczęło współzawodniczyć z szalenie popularnym „Mirem Prikluczenij” (Światem przygód), który odrodził się jeszcze wcześniej — w 1922 roku.

Dwa lata później „Wsiemirnyj Sliedopyt” ugruntował swoją pozycję na tyle, że jego nakład przekroczył sto tysięcy egzemplarzy. Można było zacząć myśleć o odrodzeniu głównego dziecka Popowa — tygodnika „Wokrug swieta”. Co też zrobiono.

Imperium Popowa rosło. W 1928 roku dołączył do niego skromny, ale bardzo popularny „Wsiemirnyj turist” (Wszechświatowy turysta), nie mówiąc już o biblioteczce „Sliedopyta” i zbiorach utworów Wellsa, Jacka Łondona i innych pisarzy.

Dwa lata później rodzina czasopism przestała istnieć — rok 1930 był dla nich ostatnim.

A przecież to właśnie czasopisma Popowa odkryły fantastykę radziecką. Drukowano w nich wszystkie powieści i opowiadania Aleksandra Bielajewa, najczęściej z niezłymi ilustracjami Szpira, to tam pojawiły się zasadnicze prace M. Zujewa—Ordynca i jego wspaniała powieść „Słowo o mieście Nowo—Kiteżu”. Tam ukazały się wczesne powieści Szpanowa i Turowa.

Moskiewski „Wokrug swieta” został zamknięty, a leningradzki, który odpączkował od

moskiewskiego w dwudziestym ósmym, jeszcze wychodził, ale był już w całości poświęcony problemom walki antykolonialnej i budowie kopalń na Syberii. Co prawda, nawet na tak wspaniałej pożywce nie udało się długo przetrwać. Mam w swojej kolekcji numer z 1932 roku, w którym opublikowano kolejny epokowy wykład towarzysza Stalina, z pomyłką w druku. Stało tam czarno na białym: „Nieuniknione zwycięstwo kapitalizmu”.

Dwa numery później — bo taki był cykl produkcyjny — w stopce redakcyjnej zmieniły się nazwiska redaktora naczelnego oraz członków kolegium redakcyjnego. Przepadli.

Tak naprawdę „Wokrug swieta” zmartwychwstało dopiero w 1946 roku i w tej postaci istniało do początku lat dziewięćdziesiątych, w latach siedemdziesiątych stając się najbardziej masowym pismem naszego kraju. Jego nakład przekraczał cztery miliony egzemplarzy. Karmiło wszystkie niedochodowe pisma wydawane przez Młodą Gwardię w rodzaju „Młodego Propagandzisty” czy „Teoretycznych problemów działalności artystycznej”. Nie oznaczało to oczywiście, że płacono tam lepiej niż w nikomu niepotrzebnych gazetkach komsomolskich. Przeciwnie. Na „Wokrug swieta” zawsze patrzono nieco podejrzliwie i w KC Komsomołu go nie lubiano. A za co je lubić, skoro korzystając ze swojego statusu czasopisma przygodowego i niezbyt poważnego, „Wokrug swieta” drukowało Grahama Greene’a, Roberta Heinleina i Williama Goldinga, czego nie warto było wtedy robić.

W latach dziewięćdziesiątych czasopismo niemal umarło, przedsiębiorczy działacze odebrali mu tytuł i teraz wychodzi pod wstydlwym pseudonimem „Putieszestwia wokrug swieta” (Podróże dookoła świata).

Co ciekawe, Popowowi udało się wtedy, w roku trzydziestym, uniknąć zagłady — wyjechał (lub został zesłany) na Ural, gdzie w 1935 roku, gdy ucichła kolektywizacja i industrializacja, założył pismo „Uralskij Sliedopyt” (Uralski tropiciel). Pismo jako tako dotrwało do naszych dni, chociaż wkrótce po założeniu nazwisko Popowa znikło z jego stron. Niestety, nie wiem, jak skończyło się życie tego niestrudzonego twórcy interesujących czasopism.

Pracowałem w „Wokrug swieta”, gdy mu stuknęło sto lat. Było to tak nieoczekiwane wydarzenie, że na wieść o istnieniu stuletniego pisma rząd wypuścił znaczek pocztowy, ale odznaczenia pismo nie dostało, chociaż znacznie mniejsze jubileusze wyróżniano orderami.

Właśnie wtedy zacząłem zbierać stare numery „Wokrug swieta”. Pieniądzy nie miałem, lecz pismo kosztowało grosze. Im dalej w las, tym więcej drzew. Im więcej mogłem wydać na czasopismo, tym droższe się stawało. Już chyba nie zbiorę kompletu.

Ze stu podróży mojego życia (możecie je nazywać wycieczkami czy wypadami — na co tylko człowiek nie pójdzie, żeby poniżyć Magellana), te najślodsze wiążą się właśnie z „Wokrug swieta”. Czasopismo wysyłało mnie, płaciło za nocleg, opłacało przelot i dawało polecenia wyjazdów służbowych, z którymi mogłem przyjść do dowolnego komitetu okręgowego Komsomołu i dostać pokój (albo przynajmniej łóżko) w hotelu.

Niełatwo odnaleźć wśród nich te najbardziej pasujące do tematu mojego opracowania. O podróży na „Segieży”, która natchnęła mnie do napisania „Ostatniej wojny”, czyli mojej pierwszej powieści fantastycznej, napiszę oddzielnie. Na Dalekim Wschodzie nic fantastycznego mi się nie przydarzyło, do Alma Aty trafiłem tak biedny i głodny, że aż nie chce się o tym pamiętać, ale wyprawy do oazy chorezmijskiej, do Chiwy i delty Amu-darii z Żenią Głuszczenko były wspaniałe... Chociaż, jeśli miałbym wybór, wolałbym opowiedzieć o Pamirze.

Wyruszyłem tam w połowie lat sześćdziesiątych w towarzystwie Pawła Antonowa, z którym zaprzyjaźniłem się, pracując w APN, gdy wybierałem się do swojej „drugiej Birmy”. Pasza absolutnie nie mógł wyjechać za granicę, chociaż formalnie do niego, czystego Rosjanina, absolwenta Akademii Suworowskiej, mój kraj nie mógł mieć żadnych pretensji.

Ale tak się tylko wydawało postronnemu obserwatorowi.

Dalej zaczyna się tajemnica, która dzisiaj wydaje się brednią, niczym historia Żelaznej Maski.

Pasza był synem sekretarza KC greckiej partii komunistycznej i gdy komuniści wycofywali się z Grecji, nawet został ranny w walce. Pozostałych przy życiu greckich powstańców osiedlono w Azji Środkowej, a następnie Stalin postanowił wymienić górkę greckich komunistów i ojciec Paszy zginął. Jego mama, Czeszka, po jakimś czasie wyrwała się do Pragi; może przyjeżdżała do ZSRR — nie pamiętam, i Pasza został wysoko postawionym ulicznikiem, który powinien był, jak przystało na amanata (zakładnika), zapomnieć swój język, nazwisko i ojczyznę. Oddano go do rekrutów... to znaczy, przepraszam, do Akademii Suworowskiej.

Pod fałszywym nazwiskiem.

Na szczęście dla Paszy, udało mu się ukończyć uczelnię w roku kolejnego osłabienia reżymu i uniknąć losu oficera. Pasza zdemobilizował się i wstąpił na uniwersytet. Oczywiście jako Rosjanin, sierota i komsomolec.

Na uniwersytecie poznał dziewczynę z Tadżykistanu, Rano, której tata, pamiryjczyk Zarif Sołomatszo, był podwładnym Gafurowa, dyrektora mojego instytutu. Ale ponieważ Gafurow nie lubił ani Zarifa, ani jego córek, Sołomatszo nie mógł pracować w naszym instytucie.

Paszka ożenił się z Rano, czym bardzo zmartwił jej pamirskich krewnych.

Minęło kilka lat i Antonowowie — Paszka i Rano — postanowili jechać do Pamiru.

Gdy o tym usłyszałem, pomyślałem — dlaczego by nie pojechać? Podróżując po Wschodzie, dobrze jest mieć przy sobie przyjaźnie nastawionych krajowców.

Tak mi się przynajmniej wydawało.

Paszka się ucieszył, Rano też.

Paszce udało się załatwić wyjazd służbowy z czasopisma „Pogranicznik”, co redukowało ewentualne problemy. W tamtych latach jedna trzecia terytorium Związku Radzieckiego — przyczynę do niepowstałej utopii — była dla obywateli Związku Radzieckiego zamknięta. Ja nie mogłem pojechać do Władywostoku czy Sewastopola, nie mówiąc już o setkach utajniowanych czy specjalnych miast w rejonach pogranicza. Wszystkie one były niedostępne i mieszkali tam wyłącznie pionierzy w czerwonych krawatach, rozpoznający na kilometr szpiegów i dywersantów, i spieszący do strażnicy, żeby zaalarmować porucznika Karacupa i psa.

Ja jechałem z ramienia „Wokrug swieta”, pisma solidnego i szanowanego. Oznaczało to, że mogłem liczyć na wsparcie miejscowych bossów komsomolskich.

A Rano jechała do siebie do domu, gdzie jej ojca znał każdy pies w każdym pamirskim kiszłaku, a cały Pamir dzielił się na jej krewnych i ludzi niezycielwych jej ojcu.

Nasza „ekspedycja” miała zamiar jechać wzdłuż granicy, doliną Piandżu, do jego źródeł, by następnie zagłębić się w góry Pamiru.

Na początek spędziliśmy kilka dni w Duszanbe. Mieszkaliśmy w porządnym stalinowskim domu, w którym było chłodno nawet w niesłychany upał. Następnie wylecieliśmy miejscowym samolotem do Chorogu. Lot był ciekawy, choć trochę przerażający. Gdy samolot zbliżał się do kolejnego wąwozu, miałem wrażenie, że się tam nie zmieści i połamie sobie skrzydła.

Żeby do tego nie doszło, samolot przechylał się, a tuż przy iluminatorze, dosłownie na wyciągnięcie ręki, przesuwano się z boku — widać było każdy kamyczek.

Jakimś cudem dolecieliśmy. Ludzie miejscowi traktowali te samoloty ze stoickim spokojem.

Chorog był słoneczny, jasny i jednocześnie zacieniony. Wyglądał jak zastygły w kryształowym powietrzu, mimo palącego i tak bliskiego słońca, czuło się odwieczny chłód. W ogrodzie botanicznym, który mieści się na występie skalnym nad miastem, rosły baśniowe owoce — słońce świeci tam intensywnie przez okrągły rok i promieniowanie przekracza wszystkie dopuszczalne normy. Ale ponieważ nie było tak szkodliwe, jak to stworzone przez człowieka, owoce spokojnie z niego korzystały.

Ja i Paszka spaliśmy na szerokim, drewnianym pomoście w ogrodzie, owoce morwy spadały na nas jak lekki grad, słońce budziło nas, przeświecając przez liście. Po obudzeniu zanurzaliśmy się w kuszących aromatach i brzęku naczyń — duży dom krewnych Ranoszki był skoncentrowany na superzadaniu: odkarmić gości z Moskwy. Ponieważ akurat ta rodzina była niepijąca, nawet się nie domyślałem, co czeka mnie w przyszłości. Zresztą czy gdybym wiedział, wróciłbym do domu od progu Wielkiego Pamiru?

Wyruszyliśmy na przyjęcie do naczelnika oddziału pogranicza. Od tego spotkania zależało praktycznie wszystko.

Spotkanie zaczęło się niespecjalnie miło.

Stosunkowo młody, niezbyt gruby pogranicznik w randze generała powitał nas słowami:

— Wiem, po co przyjechaliście. Wiem. Aleście się spóźnili. Patrzył na nas bez szacunku i nawet baśniowa uroda Ranoszki, potomkini Aleksandra Macedońskiego, nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

Wyraziliśmy zdumienie. Wtedy generał uniósł grube szkło przykrywające biurko i wyjął zdjęcie. Na zdjęciu była głowa martwej małpy ze sznurkiem na szyi.

— Możecie się nie trudzić — rzekł generał. Nieporozumienie szybko się wyjaśniło.

Okazało się, że na krótko przed naszym przyjazdem do Pamiru zaczęły krążyć kolejne pogłoski o pojawieniu się yeti. Nawet pogranicznicy go widzieli. Plotki były tak uparte, że przesączyły się do Duszanbe, skąd przyszło polecenie: złapać, sprawdzić, w razie czego odesłać do zoo.

Wtedy okazało się, że człowiek śniegu chodzi do pewnej odległej strażnicy, gdzie pogranicznicy go dokarmiają.

Generał polecił dostarczyć yeti do Chorogu.

Zaczęto go łapać, urządzono obławę i w rezultacie zastrzelono.

I wtedy się okazało, że była to tylko duża, oswojona małpa, która prawdopodobnie dostała się tu z Afganistanu, gdzie w bogatych domach trzyma się czasami małpy.

Zerwała się z uwięzi, zabłądziła i zginęła.

Wówczas w Chorogu zaczęli zjawiać się dziennikarze.

W najlepszym razie nie wierzyli pogranicznikom, w najgorszym — oskarżali o mordowanie ludzi śniegu. Dlatego generał trochę bał się dziennikarzy. Tym bardziej z Moskwy.

Ale na wieść, że Pasza planuje podróż wzdłuż granicy i robienie wywiadów z przodownikami przygotowania bojowego i politycznego, a ja mam opisywać życie w pogranicznych kiszlakach, potem zaś chcemy pojechać do Anczury, w której prowadzone są wykopaliska archeologiczne, stosunek generała zmienił się z ostrożnie dyplomatycznego na serdecznie ojcowski. Okazało się, że on szalenie ceni ojca Ranoszki i nawet prenumeruje „Wokrug swieta”.

Dostaliśmy to, o czym marzyliśmy.

Pograniczny gazik z kierowcą i obrońcą sierżantem Gieną. Ten gazik miał nas dowieźć do ostatniej strażnicy na rzece Piandź, by następnie traktem wschodniopamirskim (Osz–Cho–rog) odwieźć nas z powrotem do Chorogu.

Wieczorem odbyła się ostatnia uczta u gościnnych krewnych Ranoszki. Inteligentni gospodarze domu rozstawali się z nami nerwowo, ze szczególnym wzruszeniem żegnając się z Paską.

Nawet wtedy nie zacząłem niczego podejrzewać.

Wypowiedź Ranoszki, że w Chorogu mieszkają inteligenci, a w Iszkaszimje czy Wrاندze jej krewni są ludźmi bardziej prostymi, też mnie nie zaniepokoiła. Znajdowałem się w stanie euforii — jutro wyruszymy do zagadkowego kraju Aleksandra Macedońskiego. Co prawda wiedziałem, że w tymże kraju co kilkadziesiąt kilometrów będziemy natrafiać na całkiem banalne pograniczne strażnice.

Cudowny, czysty, przeniknięty słońcem Chorog został za nami.

Zaczynała się wyprawa brzegiem Piandżu. Na wielkiej skale, przy wyjeździe ze stolicy pamińskiej krainy krzyczały wielkie białe krzywe litery: „Kierowco, pamiętaj, że czekają na ciebie w domu”.

Budziło to niepokój, ale wesoły i pewny siebie Gienu od razu wyjaśnił:

— Pisać można, a kierowcy i tak wpadają do rzeki.

Gienu to nie dotyczyło, on był solidny i rozsądny, w przeciwnym razie generał nie powierzyłby mu życia naszej ekspedycji.

Przy wyjeździe stał młody Tadżyk, autostopowicz. Gienu nie chciał się zatrzymać — nie wolno, ale Rano namówiła go, żeby zabrał wędrowca. W końcu tą drogą jechało niewiele samochodów.

Młody człowiek zmierzał do kiszłaka po drodze do Iszkaszi — mu. Skończył okręgową szkołę, może zawodową, i wracał do domu, gdzie miał objąć jakieś niezbyt odpowiedzialne stanowisko. Całego dobra wiózł bardzo wypchaną teczkę. Chciał nam wyznać, co się w niej kryje, ale my jak na złość zachwycaliśmy się widokami gigantycznego laboratorium Boga, który zrzucił tu głazy pozostałe po stworzeniu Ziemi.

Wreszcie, korzystając z chwili przerwy, nasz pasażer powiedział:

— A ja kupiłem garnitur.

I jakby przestraszony, że zignorujemy jego oświadczenie, pstryknął zamkiem teczki i wyciągnął wielką niebieską marynarkę.

— Nie jest na pana za duża? — zapytała uprzejmie Ranozka.

— Bardzo duża! — potwierdził z radością młody człowiek. — Sześć rozmiarów za duża.

— To po co panu taka?

Wtedy nastąpiła chwila jego triumfu.

— Jak to po co? Do rejonu jadę, naczelnikiem zostanę, gruby będę.

Jego oczy płonęły przedsmakiem nadchodzącego szczęścia.

Nie przypomniałbym sobie tej anegdotycznej sytuacji, gdyby nie zdumiewający zbieg okoliczności. Rok albo dwa lata później ja i Żenia Głuszczenko podróżowaliśmy po Chorezmie, byliśmy też nad Jeziorem Aralskim. Na kilka dni zatrzymaliśmy się w mieście Urgencz. Hotel był standardowy, czteropiętrowy. Jak na złość nie pamiętam teraz nudnej topografii tej nudnej stolicy starożytnego Chorezmu, która zastąpiła słynną Chiwę z powodów administracyjno — transportowych. W pamięci został tylko przestronny plac z trzema niewielkimi posągami Lenina. Dwa pozłacane i jeden posrebrzany. Wszystkie posągi jednakowe, wyciągają do siebie jednakowe ręce. Jeden stoi przed komitetem okręgowym, drugi przed okręgowym komitetem wykonawczym, a trzeci nie pamiętam przed czym, założmy, że przed strażą pożarną. To absolutny rekord świata.

Przy okazji, w dziedzinie kultury rekord pod tym względem należy do placu Arbackiego w Moskwie. Niegdyś na końcu bulwaru Gogolewskiego stał pomnik Gogola, dłuta wybitnego rzeźbiarza Andriejewa. Jak byłem bardzo mały, prowadzano mnie tam na spacer i pamiętam, że biegałem po śliskich pochyłych metalowych drózkach pomiędzy przednimi łapami lwów, z których wyrastają słupy latarni wokół pomnika. Sam pomnik był smutny — Gogol siedzi w fotelu, otulony płaszczem, z nosem na kwintę. Po kwadratowym postumencie chodzili, biegali, rozmawiali i spierali się bohaterowie jego utworów. Dla mnie było to ciekawsze niż film.

Na początku lat pięćdziesiątych, gdy imperium radzieckie doszło do granic utopijnego idiotyzmu, towarzysz Stalin zdecydował, że Gogol jest zbyt pesymistyczny. Należało wymienić monument na bardziej adekwatny do roli, jaką pisarz odegrał w walce z caratem. Pomnik zdemontowano, a na jego miejscu ustawiono postać standardowego raznoczyńcy z napisem na postumencie: „Od władzy radzieckiej”. Jakby podarunek na święto. Z powodu tego monumentu wszedłem kiedyś w konflikt z ową władzą. W związku z jubileuszem nasza szkoła stała się szkołą

imienia M. Gogola. My, uczniowie dziesiątej klasy, upiliśmy się winem i w nocy poszliśmy sobie pospacerować. Doszliśmy do nowiutkiego pomnika zavalonego wieńcami od przywódców kraju. Poczulem ogromną miłość do tak bliskiego mnie osobiście oraz mojej szkole człowieka. Rozrzuciłem wieńce i wszedłem na pomnik, żeby objąć i ucałować klasyka. Dalej pamiętam tylko głosy przyjaciół: „To sprawa kryminalna!”. I odpowiedź milicjanta: „Nie, to sprawa polityczna!”. Przyjaciele mimo wszystko odbili mnie i zaprowadzili do domu. Okazało się, że pewne przestępcze elementy wyjmowały róże z bukietów i wieńców w celach zarobkowych. Dlatego też postawiono tam patrol milicji, którego po pijanemu nie zauważyliśmy.

Nieszczęsnego Gogola Andriejewa nie zniszczono, lecz zesłano. Miejscem zsyłki był Doński Monastyr, w którym spędzały resztę swoich dni niepotrzebne rzeźby, między innymi precudne płaskorzeźby Chrystusa Zbawiciela i Bramy Triumfalnej.

Gogol sterczał tam przez wiele lat — sam go widziałem przywalonego sagami drewna. Wreszcie komuś udało się zadziałać i rzeźbę przeniesiono na skwer przed dom, w którym Gogol zmarł. Na malutkim, praktycznie niewidocznym z ulicy skwerku Gogol ze swoją smętną, pesymistyczną miną był dobrze ukryty. Drugi Gogol stoi na drugim końcu placu Arbackiego. Nocą jeden Gogol schodzi ze swojego oficjalnego piedestału i idzie tunelami do Nowego Arbatu. Tam czeka na niego stary Gogol. Siadają we dwóch i rozmawiają, dziwiąc się kolejom swojego losu. Może wspominają, że nagrobek Gogola na Cmentarzu Nowodziewicznym, przywieziony, jeśli się nie mylę, przez Aksakowa z Krymu, też został usunięty, by zwolnić miejsce oficjalnemu popiersiu nieszczęsnego pisarza. Ale los zdecydował inaczej i kamień przez przypadek dostał się Bułhakowowi, który, jak twierdzą niektórzy, spoczywa w spokoju pod nagrobkiem swojego nauczyciela.

Powróćmy jednak do Chorezmu.

Mieszkaliśmy z Głuszczenką w standardowym hotelu, gdzie nic nie działało i niczego nie było. W naszym pokoju stały trzy łóżka. Dla nas, moskiewskich dziennikarzy, i dla młodego człowieka, który niedawno ukończył jakąś szkołę — partyjną lub zawodową. Pamiętam, że któregoś dnia poszliśmy z Żenią na drugą stronę placu, żeby przedstawić się okręgowemu naczelnikowi, towarzyszewi sekretarzowi komitetu okręgowego. Towarzysz sekretarz był smutny. Zainteresowaliśmy się, co wprawiło naszego gospodarza w tak minorowy nastrój. Wyznał z gotowością:

— Mam problem. Była rewizja z Taszkientu. Całe handlowe kierownictwo aresztowali!

— No to świetnie — stwierdził Żenia.

— Ech! — westchnął sekretarz komitetu. — Człowiek z Moskwy, a mówi takie rzeczy! Tamci byli syci. A teraz przyjdą głodni i rozkradną mi cały okręg.

Podobną mądrość słyszałem potem nieraz — to coś w rodzaju „wędrującego wątku”, bardzo na miejscu w Związku Radzieckim. Ale wtedy brzmiała jak odkrycie. Obaj z Żenią wpadliśmy w przygnębienie dla towarzystwa. W końcu sekretarz wziął się w garść i nawet zadzwonił do swojego wielokrotnego bohatera pracy socjalistycznej, towarzysza Tursunkułowa (nie ręczę za dokładność nazwiska), żeby przyjął moskiewskich korespondentów i pokazał im przodujące gospodarstwo. Wprawdzie ani mnie, ani Żeni nie było to do niczego potrzebne, ale w sumie co nam szkodziło popatrzeć.

Przedtem (podczas seminarium leśników) i potem wiele razy bywałem na środkowoazjatyckich ucztach na wielkim dywanie, z pilawem pośrodku, ale uczta w kołchozie towarzysza Tursunkułowa przewyższała wszystkie inne uczyty, jeśli nie liczyć tych, które urządzano na naszą cześć w ojczyźnie Ranoszki (o czym potem).

Ja i Żenia zostaliśmy zakwalifikowani do drugiej kategorii (kategorii gościnności we

wschodnim wariantcie socjalistycznej utopii było kilka). Z jednej strony sam sekretarz komitetu okręgowego prosił, żeby się nami zaopiekować. Ale z drugiej nie wysłał z nami swojego referenta w charakterze eskorty honorowej. Z jednej strony byliśmy towarzyszami z Moskwy, ale z drugiej nie mieliśmy stanowisk, a w tych czasach Tursunkułowowie nie bali się dziennikarzy. Więc sam Tursunkułow nie wyszedł nas powitać, lecz przyjął nas w gabinecie; ucztowaliśmy nie w jego domu, lecz w domu sekretarza komitetu partii i tak dalej. Co prawda, przywieziono dla nas z Urgencza wyemancypowane kobiety do towarzystwa. Do tej pogardliwej funkcji zwerbowano niebogatą wdowę, Tatarce, które miały siedzieć przy dastarhanie (stole) wraz z mężczyznami i udawać — o wstydzie! — że wszyscy jesteśmy cywilizowanymi ludźmi, a kobiety są równe przeklętym giałom — internacjonalistom. Wyemancypowane Tatarce aktywnie dolewały nam chorezmijskiego suczka — niewiarygodnie kiepskiej cuchnącej wódki — i wyzywająco chichotały. Gdy zdaniem gospodarzy upiliśmy się wystarczająco, zabrano nas na oględziny przodującego kołchozu.

Nasi dobrodusznicy działacze partyjni nie wiedzieli, że na dzień przed tą podróżą „zepsuła” nas wizyta w rosyjskiej gazecie okręgowej. W każdym okręgu były przynajmniej dwie gazety — rosyjska i okręgowa. Rosyjska w Azji Środkowej zawsze była drugorzędna, niedokarmiona, obca i uciskana. Ponadto rosyjskie gazety w okresie konfliktów pomiędzy pierwszym i drugim sekretarzem stawały się dla Moskwy źródłem informacji.

Nie wszystko zrozumieliście? Już wyjaśniam. W naszej anty — utopii, w każdej republice, a najchętniej w każdym okręgu, pierwszym sekretarzem był nacmien, czyli przedstawiciel mniejszości narodowej. Określenie pojawiło się wkrótce po rewolucji i nie miało wzdardliwego wydźwięku, po prostu mniejszość narodowa (*nacjonalnoje mienszynstwo*) w skali imperium. Za to przy nacmieniu stawiano drugiego sekretarza, Rosjanina, „pańskie oko”. „Drugi” był pod pewnymi względami ważniejszy od pierwszego, ale najczęściej starano się go owinać wokół palca, skompromitować i obalić, jeśli był niewygodny dla miejscowej władzy. Zazwyczaj „drugi” nie znał nawet języka narodu, który inwigilował.

W tej podróży służbowej o charakterze dziennikarskim ja i Żenia przy pierwszej sposobności uderzyliśmy do rosyjskiej gazety Urgencza. Po godzinie mieliśmy tam już przyjaciół i przed podróżą do imperium Tursunkułowa dostaliśmy wskazówki, jak to naprawdę jest, gdzie należy patrzeć, a gdzie nie trzeba, czemu wierzyć, a czemu nie wierzyć w żadnym wypadku.

Ten kołchoz — milioner istniał dzięki dziwacznej geograficznej niedorzeczności. Ciągnął się wzdłuż Amu-darii na pograniczu Oazy Chorezmijskiej. Dalej na zachód była granica z Turkmenią, za którą znajdował się kołchoz turkmeński. A jeszcze dalej zaczynała się bezkresna pustynia Kara-kum.

Granice pomiędzy republikami w Związku Radzieckim były pojęciem względnym i umownym. Ta tutaj rozdzielała dwa kołchozy, biegła polami bawełny i co najważniejsze, była mobilna. Jak przyjeżdżała kontrola z Taszkientu albo pojawiali się uzbecy geodeci, kołki rozdzielające Turkmenię i Uzbekistan przenoszono na wschód, w stronę Uzbekistanu, tym samym zmniejszając powierzchnię republiki i kołchozu o dwieście hektarów. Jeśli kontrola albo komisja jechała z zachodu, z Aszchabadu, kołchoźnicy robili to samo z ziemiami turkmeńskimi. Czyli dwa pograniczne kołchozy miały dwieście hektarów niezaksięgowanego białego złota — bawełny. Wielkie pieniądze!

W innych przodujących gospodarstwach Azji Środkowej przewodniczący organizowali więzienia i cele tortur dla ludzi niepokornych bądź tych kołchoźników, którzy w jakiś sposób zawinili. Tursunkułowowi nie było to potrzebne. Tuż obok zaczynała się bezkresna pustynia. Niepokorni udawali się na tę pustynię i znikali bez śladu. Żadnego z zaginionych nigdy nie znaleziono.

Cała reszta była dla gości, dla przyjaciół na wysokich stanowiskach, dla polityki partyjnej. Tursunkułowa nie można było ruszyć. On był dumą Związku Radzieckiego. Przyjaźń pomiędzy narodami trzymała się na takich bandytach. Przy czym protektorzy doskonale wiedzieli o grzeszkach bohatera. W skrajnym przypadku Tursunkułowa można było „wychłostać” w gabinecie za zamkniętymi drzwiami, a następnie odprowadzić do drzwi jak czcigodnego gościa.

Po obiedzie zaprowadzono nas, byśmy obejrżeli sobie tutejsze osiągnięcia.

Wyemancypowane kobiety szły obok nas i chichotały, sekretarz komitetu partyjnego i jego lokaje przewodniczyli naszemu pochodowi i surowo pilnowali, żeby któryś ze zdeterminowanych dekhanów nie rzucił się ze skargą do nóg dziennikarzy.

Najpierw zaprowadzono nas do bohaterki pracy socjalistycznej, słynnej mechanizatorce Chorezmu. Przed naszym przyjściem posadzono ją na traktorze. Dalej była scena rodem z filmu surrealistycznego. Mechanik o rosyjskiej twarzy uruchomił silnik i gdy maszyna ruszyła, szedł obok niej, w razie potrzeby rękami naciskając pedały. Jednocześnie instruował bohaterkę, co ma robić z rękami.

Bohaterka była krewną samego przewodniczącego.

Siedziała na traktorze — niewielkim, bez dachu — w jedwabnym chałacie z gwiazdą na piersi. Czasem odwracała się do nas (nasza procesja poruszała się z prędkością traktora) i uśmiechała się do zdjęć.

Pięćdziesiąt metrów później bohaterka zmęczyla się, traktor się zatrzymał i sekretarz po raz ostatni dźwięcznie zakrzyknął:

— Fotografujcie, fotografujcie!

Nie śmialiśmy się. To nie było śmieszne. To było straszne i zwyczajne.

Ale nie chcieliśmy zabłądzić na pustyni. Przecież nikt nie znalazłby naszych ciał.

Potem miała miejsce niewielka wpadka. Zaprowadzono nas do przedszkola, w którym przebywały dzieci, w czasie gdy ich matki pracowały na chwałę ojczystego kołchozu. Przedszkole było skromnym domem. Od razu skierowano nas do stołówki, gdzie stały nakryte białymi serwetami stoliki. Bez jedzenia i bez dzieci. Potem obejrżeliśmy sypialnię. Łóżeczka wyglądały wzruszająco. Sekretarz partyjny w końcu ochrypl od ciągłego krzyku:

— Fotografujcie, fotografujcie!

Było jasne, że nigdy żadna dziecięca pupa nie dotknęła tych śnieżnobiałych prześcieradeł.

Wtedy popełniłem straszną gafę.

Zostałem trochę z tyłu i niechcący otworzyłem drzwi obok sypialni. Zza drzwi dobiegał jakiś niezrozumiały hałas.

Tam właśnie trzymano dzieci.

Szkraby, przeważnie smagłe i niezbyt czyste, pełzały po brudnych szmatach.

Sekretarz przestał wzywać do robienia zdjęć i odepchnął mnie od drzwi z taką siłą, że omal nie rozbiłem głowy o przeciwległą ścianę.

— Patrz, gdzie trzeba! — szczechnął.

Następnie wizyta została zakończona. Wyprowadzono nas z kołchozu.

Ale do komitetu okręgowego mimo wszystko wróciliśmy gazikiem. Czekał na nas.

Przyszliśmy do hotelu, gdzie już był nasz współlokator.

Ku naszej rozpaczce w hotelu nie było wody, a my po tej podróży w szarym kurzu tak strasznie chcieliśmy się umyć!

— Czemu smutni? — spytał absolwent szkoły partyjnej.

— Przecież nie ma wody. Nie ma się czym umyć!

— Zaraz będzie.

Wyszedł z pokoju i wrócił minutę później. W ręku niósł kryształową karafkę — standardową

hotelową karafkę. W karafce pluskało kilka łyków żółtej wody.

— Jest woda! — wykrzyknął radośnie. — Można się myć. Gdy już ochłonęliśmy, gdy złość i rozdrażnienie minęły, nieśmiało powiedział:

— Byłem dziś w supersamie. Kupiłem garnitur.

W odróżnieniu od naszego pamińskiego autostopowicza, nasz sąsiad rozebrał się do satynowych slipów i włożył nowy strój. Garnitur wisiał na nim jak na kołku.

— Po co ci taki wielki garnitur? — zdumiał się Żenia.

— Do rejonu jadę — oznajmił młody człowiek. — Grubieć będę.

Ostatnie słowa wygłosił niczym hymn. Jak pieśń pokusy.

Wyobraźcie sobie, jak się poczułem, słysząc niemal te same słowa, wypowiedziane z tą samą intonacją na trakcie wschodnio — pamińskim.

Nadmierna dbałość o wygląd zewnętrzny nie jest prerogatywą mieszkańców Azji Środkowej. W najbardziej ostrej formie zetknąłem się z tym zjawiskiem w okręgu jarosławskim, gdzie trafiłem jako członek etnograficznej ekspedycji muzeum historycznego.

Wtedy, w przededniu setnej rocznicy urodzin wodza, komuś przyszła do głowy światła myśl, by przywrócić wiosce Szuszenskoje jej przedrewolucyjny wygląd.

Jakby Włodzimierz Hicz Lenin niedawno wyszedł i miał lada moment wrócić. Tylko nie wiadomo, w jakim charakterze.

Po chwili zastanowienia mózgi z Ministerstwa Kultury zdecydowały, że Szuszenskoje trzeba na początek wyposażać w przedmioty użytkowe. Każdy dom ma mieć swój *krasny ugołok* z ikonami i piec, na rogu ma stać zajazd, pop ma dostać dom, cerkiew — ikonostas, a sklep — towar.

Ale szukanie tych wszystkich rzeczy na Syberii byłoby głupie i niewiarygodnie kosztowne.

Wzięliśmy więc muzealny autobus, załadowaliśmy ekspedycję w składzie trzy pracownice muzeum, kierowca i ja, dziennikarz ochotnik. Na czele ekspedycji stał Żenia Butorow, restaurator muzealny. Widocznie zdecydowano, że on, jako specjalista, zdoła odróżnić właściwą rzecz od chlamu.

Podróż była sympatyczna, niezbyt trudna i niespieszna. Załadowaliśmy autobus butelkami, ikonostasami, setką ikon, starymi rondlami, metalowymi puszkami po czekoladzie Einem, słojami aptekarskimi i mnóstwem innych rzeczy. Możliwe, że część z nich osiadła w Państwowym Muzeum Historycznym, ale czy coś dotarło do wioski Szuszenskoje i czy w efekcie wioska została przemieniona w skansen — nie wiem.

Opowiadam o tym dlatego, że w tej podróży poznałem niezwykłą osobę — Lube.

Była młodą kobietą i jeszcze młodszym pracownikiem naukowym. Krótko mówiąc, atrakcyjną dziewczyną w wieku dwudziestu kilku lat.

Luba siedziała obok mnie.

Autobus bez pośpiechu jechał do Peresławia Zaleskiego, żeby dalej zanurzyć się w bezdroża i wsie.

Nie pamiętam już, o czym rozmawialiśmy, ale w pewnym momencie Luba powiedziała:

— Przy okazji, miałam najładniejsze kolana na wydziale.

— Tak?

W końcu co mnie obchodzą jej kolana? Mało widziałem w życiu kolan?

Ale przyłapałem się na tym, że gapię się na te kolana intensywnie, aż Luba omal nie obciągnęła spódnicy. Chwała Bogu, jakoś przeszło.

Dwa dni później, przy spokojnym ognisku na wysokim brzegu Wołgi, popijając gorącą herbatę, Luba oznajmiła kierowcy:

— Przy okazji, miałam najładniejsze piersi na roku.

Kierowca omal nie wypuścił filizanki, ale wziął się w garść i powiedział:

— Nie zwracaj uwagi.

Jak się potem zorientowałem, było to jego zdanie ratunkowe. Przez następne dwa tygodnie kierowca miał zwyczaj zostawiania nas w jakiejś wsi w celu pertraktacji i szukania zdobyczy — znikał, żeby zatankować. Wracał wieczorem, wesoly i syty.

— Znowu brałeś łebków na szosie? — pytał surowo Buturow, który nie miał nad kierowcą żadnej realnej władzy.

— Nie zwracaj uwagi — mówił kierowca i kładł się spać. Minęło kilka lat.

Któregoś dnia Luba zadzwoniła do mnie nieoczekiwanie i zapytała:

— Nadal interesujesz się heraldyką?

— A czego potrzebujesz?

— Zaraz wyjaśnię. Wysłałam za mąż. Za najprzystojniejszego mężczyznę w Moskwie. Mogę pokazać zdjęcie. Urodziła nam się córeczka. Wyobraź sobie, że jeszcze nie zdążyła do końca ze mnie wyjść, a lekarze już krzyczeli, że tak ładnego dziecka w życiu nie widzieli.

— Gratuluję.

— Poczekaj. Chodzi o to, że kupiłam najładniejszy wózek, żeby spacerować z córeczką. I chcę, żebyś znalazł herb naszej rodziny, wtedy zamówię, żeby narysowali mi go na boku wózka.

— A jak nazwisko dziewczynki?

— Jak nasze, Piętrowa. Najlepiej, żeby to był herb książęcy.

Nocować mieliśmy w Iszkaszimie. Nie pamiętam dokładnie, ale zdaje się, że ten kiszłak był jednocześnie ośrodkiem rejonowym.

Obok groźnie huczy potężny Piandź, cieniste uliczki biegną ku zboczcu.

Krewni Ranoszki, powiadomieni o nadjeżdżającej pamińskiej księżniczce, wyszli nas powitać.

A potem zaprowadzili nas do domu, żebyśmy mogli się umyć i doprowadzić do porządku przed ucztą.

Wtedy Pasza odbył ze mną poważną rozmowę.

Chodziło o to, że małżeństwo Ranoszki z Rosjaninem było głęboką psychologiczną traumą dla tej części klanu, rozrzuconej po kiszłakach Pamiru. Za chwilę zacznie się uczta i na tej uczcie przeprowadzone zostaną uprzejme próby kompromitacji jej rosyjskiego męża. On, podobnie jak wszyscy Rosjanie, okaże się alkoholikiem, chuliganem i ignorantem. Otóż ten numer krewnym nie przejdzie! Pasza będzie na tej i na wszystkich następnych ucztach aniołem. Ale triumf internacjonalizmu byłby niepełny, jeśli obok Paszy nie znajdzie się typowy Rosjanin, powiedzmy sobie, przeciętny przedstawiciel narodu rosyjskiego. To znaczy korespondent Igor Możejko. Typowy Rosjanin jest niezbędny w celu podkreślenia, jakim rzadkim i wspaniałym okazem jest Pasza.

Ranoszka nie uczestniczyła w tej wychowawczej rozmowie, ale orientowała się, o co chodzi, i czuła się niezręcznie...

Cóż, przyjaźń to przyjaźń.

Najpierw siedzieliśmy, prowadząc serdeczne rozmowy i czekając, aż skończy się krzątanie wokół kotła, w którym leżał cały baran. Na dywanie pojawiła się jakaś zakąska i miejscowa wódka — chogorski suczok.

Dlaczego w każdym miejscu, do którego pojedę, musi się znaleźć miejscowy bimber, pędzony z Bóg wie czego?

Napiliśmy się po kieliszku. Pasza odmówił. Okazało się, że on w ogóle nie pije.

Zaczęły się głośne protesty. Jakże to tak — nasz gość, nasz krewny! Musi wznieść czarę za zdrowie gospodarza, gospodyni, za przyjaźń między narodami, za towarzysza Breżniewa... A

Pasza nie pije!

— Ach! — kpi sobie w żywe oczy ten egoista Antonow. — Lepiej poczęstujcie mojego przyjaciela Igora. On może bardzo dużo wypić.

Igor wypija jeszcze jedną czarę cuchnącej wódki.

Przynoszą baranka, potem biały, parujący ryż. I zaczyna się prawdziwa uczta, na której Paszka i Ranszka siedzą niczym kosmici z marsjańskiego towarzystwa trzeźwości.

W gęstej mgłę, stukając głową o duwały i pnie morw, a potem również o drogę, dotarłem do koszmy i wyłączyłem się na godzinę.

W nocy obudziłem się, czując, że umieram. Byłem na śmierć zatruty chogorskim alkoholem.

Popelzłem w dół zbocza, mając nadzieję dopełznąć do aryku (rowu nawadniającego).

Po jakimś czasie tym częściami mojego ciała, które jeszcze żyły, udało się to zrobić. Do tej pory pamiętam chwilę tamtej rozkoszy — woda w aryku była lodowata. Zanurzyłem w niej biedną głowę typowego rosyjskiego dziennikarza.

We Wrandze, gdzie mieszkała druga grupa krewnych Ranszki, a może również wrogów jej rodziny, również groziła nam uczta. Zbuntowałem się. I wtedy los się do mnie uśmiechnął. Wjeżdżając do kiszłaku, dowiedzieliśmy się, że rano zmarł cioteczny wujek Ranszki (mogę się mylić co do stopnia pokrewieństwa). A ponieważ pogrzeby w krajach islamskich następują szybko, właśnie będą nieść ciało na cmentarz. Nam też kazano uczestniczyć w ceremonii. Pamiętam, jak lecieliśmy pod górę, a potem, dołączywszy do konduktu, gnaliśmy na cmentarz. Jakby cmentarz mógł odjechać, nie doczekawszy się na nieboszczyka.

W Pamirze cmentarze położone są w górach, na placykach, a nieboszczyków zasypuje się kamieniami. W innych miejscach Azji Środkowej, gdzie ludzie przez wiele tysięcy lat mieszkają w jednym miejscu, cmentarze leżą na sobie warstwami.

Przekonałem się o tym w chiwańskiej cytadeli. Długo spacerowaliśmy po tym cudownym i wtedy jeszcze zupełnie pozbawionym turystów średniowiecznym świecie, a potem Głuszczenko udał się do weterana partii Taszpułatowa (obecnie bezinteresownego krzewiciela oświaty), który w swoim mieszkaniu w cytadeli miał bibliotekę. Ja postanowiłem wejść na mury od wewnętrznej strony po żółtej piaszczystej skarpie, żeby stamtąd zrobić zdjęcie ogólnego planu pałacu chana, meczetów i suku, czyli krytego targowiska.

Gdy pokonałem połowę skarpy, uświadomiłem sobie, że wspinam się po starym cmentarzu, utworzonym niegdyś wewnątrz murów cytadeli. Niczym opuszczone mrowisko, nekropolia usiana była jakimiś dziurami, pułapkami i zapadkami, z ziemi sterczały czaszki, kości wystawały niczym martwe krzaki.

Zejście na dół było znacznie straszniejsze i trudniejsze niż wdrapywanie się na górę. W końcu nie zrobiłem tego zdjęcia.

Z innej przyczyny zginął cmentarz w Mujnaku.

Do tego miasteczka na północnym brzegu Jeziora Aralskiego w delcie Amu–darii przy płynęliśmy na statku strażniczym. Przyciągnął go do Mujnaku holownik pamiętający pewnie czasy podboju Krymu. Długo płynęliśmy między niskimi progami Amu–darii, dziesięć razy dziennie pakując się na mieliznę i spędzając dzień w Nukusie. W pamięci pozostał głównie kurz, biały dom komitetu okręgowego i niesmaczny gulasz w stołówce. Wszystko było płaskie i jednobarwne: woda, niebo, ziemia.

W tych latach zaczęło się wysychanie słonego Jeziora Aralskiego. Syr–daria już prawie do niego nie dochodziła, „rozebrana” na nawadnianie. Amu–daria jeszcze jako tako podtrzymywała własną deltę i dorzecze dolnego biegu z niepowtarzalnymi zaroślami, ale ją również ograbili, tworząc cud antyutopii — kanał Kara–kum. Kanał zabrał prawie połowę pozostałej w Amu–darii wody i przez całą pustynię Kara–kum transportował ją do Turkmenii. Po drodze woda

wyparowywała, przemieniając ogromne połacie pustyni w solniska. Żadnej korzyści z tego nie było, za to kanał Kara-kum, dziecień fantastów — praktyków, wniósł istotny wkład w śmierć Jeziora Aralskiego oraz Oazy Chorezmijskiej. Jego twórcami byli ci sami fantaści, którzy stworzyli Zalew Rybiński, przemienili Wołgę w łańcuch błotnistych strumieni i planowali zawrócić na południe północne rzeki.

Ale wtedy, trzydzieści lat temu, gigantyczna i kipiąca życiem delta Amu-darii jeszcze istniała. Ja i dziennikarz Jura pływaliśmy nawet łódką w jej zaroślach w poszukiwaniu nutrii. Ale Aral nie był już rybim spichlerzem. Okazało się, że z powodu spadku poziomu Amu-darii i skrócenia jej delty znikły tarliska leszcza — głównego gatunku w Aralu. Soleniem, suszeniem i konserwowaniem leszcza zajmowały się dwie przetwórcze rybne w Mujnaku. Gdy trafiliśmy tam, przetwórcze dogorywały. Leszcza zrobiło się mało i fantaści ichtiolodzy przywieźli z Morza Czarnego babki. Babki pożerały ikrę leszcza i innych cennych gatunków ryb. Trzeba było przywieźć sandacze, żeby polowały na babki... W efekcie najbardziej rozpowszechnionym gatunkiem w coraz płytszym Aralu stał się sandacz. A co miały z nim robić przetwórcze przeznaczone do płaskiej ryby? Jak go wędzić?

Miasto wymierało w pokornym zdumieniu, nie podejrzewając nawet, że za kilka lat Aral zginie.

Ośrodkiem miejscowego życia była smażalnia ryb na bazarze, gdzie przesiadywaliśmy w największy upał, czekając, aż Jura zdobędzie dla nas łódkę. W smażalni można się było sporo dowiedzieć o przeszłości miasta. Okazało się, że w latach stalinowskiego terroru do Mujnaku zsyłano członków rodziny wrogów narodu, by tu umarli. Jura powiedział, że wśród nich była żona Tuchaczewskiego.

Nieopodal bazaru zaczynał się cmentarz.

Podobnie jak w Chiwie, nie od razu się domyśliłem, że właśnie po nim idę.

Piasek, wydmy, dołki, wyboje... przekrzywiony krzyż, jakaś czaszka, kość... jeszcze o tym nie wiem, a już idę wśród mogił — umownych, podobnie jak całe życie w tym umownym mieście.

Nasz gazik jechał spokojnie i bez szczególnych przygód wzdłuż Piandżu, na wschód. Piandź zaczął się zauważalnie zwięzać, ale nadal pieniał się i huczał. W małych dolinkach, otwierających się w ścianie skał, tuliły się afgańskie kiszłaki. Tam mieszkali krewni naszych krewnych — wszyscy mieszkańcy Pamiru mają krewnych za granicą. Kobiety z tobołkami bielizny albo dzbanami na głowach z gracją schodziły ku wodzie, od której biło zimno pobliskich lodowców. Fantastyczne mineralne źródła Garm Czaszka krzyczały: „Nakręćcie tu «Odyseję Kosmiczną!»”. Gdzieś w wąwozach pamirskie gnomy nadal wydobywały lazuryt, dawni asasyni, a obecnie masy pracujące Wschodu i poddani władcy isma'ilitów Aga-chana, zbierali w kiszłakach daninę i nieśli ją do granicy. W tych ziemiach co drugi człowiek to isma'ilita.

Żona dowódcy strażnicy, w której zatrzymaliśmy się na jeden dzień, karmiła nas pielmieniami (pierożkami), jakby podkreślając: niesiemy brzemię białego człowieka. Dowódca strażnicy skarżył się na tadżycki KGB. Okazało się, że jeśli pogranicznicy znajdowali ładunek — daninę isma'ilitów albo narkotyki, mieli obowiązek zameldować o tym znalezisku czekistom. A czekisci nieodmiennie powtarzali: nie ruszać ładunku, urządzić zasadzkę, schwytać kurierów.

Kurierów nikt nigdy nie widział, ponieważ ładunek w tajemniczy sposób zniknął z jaskini. Dowódca był przekonany, że to robota czekistów.

Kiedyś widzieliśmy ich w kiszłackiej czajchane (herbaciarni). Młodzi, przystojni, zgrabni Tadżycy pili herbatę. To oni czynili granicę przezroczystą i złudną. Wszyscy pokornie gięli grzbiety przed małutkimi srebrnymi statuetkami wodza, ale po dokonaniu namazu szatanowi odwracali się w drugą stronę, na południe, do Mekki, żeby pomodlić się szczerze. Robili to wszyscy, włączając czekistów.

Ranoszkę, jako żonę Rosjanina, uważano za swojacczkę, również niosącą brzemię białego

człowieka. Dopóki się nie zhańbiła.

W wysokogórskiej strażnicy odpoczywało się wspaniale. Paszka od czasu do czasu oglądał się przez ramię, czy nie podkradają się krewni ze strony żony, ale potem pił normalnie.

Tymczasem pogranicznicy urządzili nam łaźnię.

Prawdziwą, wspaniałą rosyjską łaźnię, na wysokości trzech kilometrów w górnym biegu Piandżu, gdzie według zapewnień wspaniałego rosyjskiego fantasty Mscisławskiego położone są tajemnicze, niedostępne miejsca, zasiedlone przez cudowne, acz złowieszcze plemiona. Ale „Dach świata” przeczytałem znacznie później i dlatego wtedy tamtejszą rzeczywistość odbierałem bardzo trzeźwo.

Łaźnia była wspaniała. Wprawdzie nie tylko z bierwion, lecz i z kamienia, ale za to bierwiona na pokrycie i deski na podłogę przyniesiono z dołu, z Chorogu.

Posiedzieliśmy sobie w łaźni z Paszką, a potem wróciliśmy na ucztę z pogranicznikami. Zastępca dowódcy do spraw politycznych opowiadał o mrocznych wydarzeniach i aktualnych problemach, Ranozka poszła do łaźni.

Minęła godzina, może więcej, ucztą powoli dobiegała końca, niektórzy nawet przetrzeźwieli.

— Zobacz, jak się czuje nasz gość — poprosił żonę dowódca.

— Nie, nie — odparł Paszka. — Sam pójdę i popatrzę, co się tam dzieje. I tak mam ochotę się przejść.

Ja też miałem ochotę wyjść z ciasnego, przegrzanego pokoju.

Wieczór był mroźny, powietrze nieruchome. Szczyty nie — bieszczły się na tle purpurowego zachodu słońca. Szemrał strumień, z dołu dobiegał cichy ryk Piandżu.

Podeszliśmy do okienka pod dachem łaźni i Paszka krzyknął:

— Rano, żyjesz?! Żadnej odpowiedzi.

— Rano!

— Ciszej — szepnąłem.

Zamarliśmy. Z wnętrza dobiegał jakiś głos. A raczej płacz.

Paszka zaczął się dobijać do łaźni. Długo stukał, zanim Rano otworzyła drzwi. Potworne skrzypienie zawiasów obudziło chyba wszystkie orły na górskich szczytach.

Płacz Rano wyrwał się na zewnątrz.

Co się okazało?

Rano weszła do łaźni i rozebrała się. I spostrzegła, że prócz jednej niskiej ławy pod ścianą i dwóch dużych miedzianych kotłów nie ma nic, jeśli nie liczyć miski, gąbki, mydła i dzbanu.

Co robić?

Wanny nie ma, prysznic nie ma. Jak się myć?

W jednym kotle lodowata woda. W drugim — wrzątek.

W końcu Rano wymyśliła, że będzie dzbanem czerpać z kotła z lodowatą wodą i wlewać ją do wrzątku.

Zajmowała się tym przez pół godziny, zmęczyła się, posiedziała, popłakała, a potem postanowiła, że się nie podda i mimo wszystko urządzi sobie wannę w kotle.

Zapomniała o losie carewicza Iwana i innych baśniowych bohaterów, którym proponowano kąpiel w kotle z wrzątkiem.

Ranozka odpoczęła i zrozumiała, że jej trud na nic się nie zdał. W jednym kotle woda nadal wrzała, w drugim była tak samo lodowata jak na początku.

Ale Ranozka nie należała do ludzi, którzy łatwo się poddają!

Znowu zaczęła czerpać wodę dzbankiem... i płakać. Przecież absolwentka Uniwersytetu Moskiewskiego, potomkini Aleksandra Macedońskiego nie mogła przyznać się giaurom do klęski!

Nie wiedzieć czemu, pięć minut później o naszej przygodzie wiedziała już cała strażnica.

Rosjanie, w odróżnieniu od narodów Wschodu, nigdy nie wyróżniali się delikatnością czy powściągliwością. Zapewne z braku innych, bardziej pasjonujących sensacji, długo jeszcze opowiadano tam o mieszkańcach Moskwy, którzy nawet do łaźni nie umieją chodzić. A tacy niby kulturalni. No i jak tu wyjaśnić, że Rano od wszelkich łaźni wołała wannę?

Następnego poranka, gdy zgasty oślepiające i tak bliskie gór gwiazdy, pojechaliśmy dalej, tam gdzie zaczyna się Piandż, a droga skręca na północ, w głąb Pamiru i ZSRR.

Dotarliśmy do miejsca, gdzie Piandż sięga wielbłądowi po kolana, a płynie doliną leżącą na szczytach wzgórz, jak bura kołdra na kolanach leniucha. Granicę w tamtych latach ochraniano umownie — nie było przed kim. Giena się odwrócił, a ja i Paszka przekroczyliśmy granicę państwa — przeszliśmy w bród niestraszna rzeczkę. Woda była lodowata i biła pod kolana, starając się zepchnąć nas na dół, do wąwozów.

Z obcej strony Pamir wyglądał tak samo jak z naszej. Tylko u nas stał malutki gazik, a obok niego Ranozka, która machała ręką i wołała, żebyśmy wracali. A nuż ktoś nas aresztuje?

Tak naprawdę bała się żołnierzy wojsk rakietowych. Pogranicznicy opowiadali, a Giena potwierdził, że bateria wojsk rakietowych, ukryta w pasie pogranicza, jest wrogo nastawiona do strażnicy z powodu kirgiskich dziewcząt w kiszłakach. Dochodziło nawet do walk z użyciem broni palnej.

Żołnierzy nie spotkaliśmy.

Droga prowadziła od granicy, niewysoka żółta trawa plamami leżała pomiędzy wzgórzami. W trawie i na wzgórzach krząta —

ły się świstaki tak duże, że z początku wziąłem je za ludzi. Nie zwracały na nas uwagi, ale gdy samochód przejeżdżał zbyt blisko, świstak świstał i znikał. Zapadał się pod ziemię. Biegnącego świstaka nie widziałem nigdy.

Jechaliśmy do Aliczuru, gdzie archeolodzy badali stare kopalnie, w których niegdyś wydobywano turkus...

ROZDZIAŁ 13

PRZESTĘPCZY „MUMIZMATYCY”

Chciałbym opowiedzieć o historii, bez której zarówno moja biografia, jak i biografia antyutopii byłyby niepełnowartościowa.

Słyszeliście o sprawie numizmatyków?

Nie sędzę. Zaczęła się pod koniec 1969 roku i ciągnęła przez kilka lat. Stopniowo ucichała, robiąc krok wstecz.

Nadciągał rok siedemdziesiąty, setna rocznica urodzin proroka Lenina. Żyliśmy w prawie demokratycznym państwie, w którym dobiegły końca liberalne lata sześćdziesiąte i nastąpiły konserwatywne siedemdziesiąte. Na stojących rzędem tronach zasiadali starzejący się wodzowie i łamali sobie głowy, jak wykorzystać zarazę wniesioną przez Nikitę Chruszczowa w partyjne szeregi.

Do tego momentu żyłem sobie a muzom, nie zwracając szczególnej uwagi na działania władz. Byłem zwykłym mieszkańcem obłąkanego państwa, który sądzi, podobnie jak zamiatiński „numer”, że sądzone mu będzie żyć i umrzeć w ZSRR, mimo że inne kraje podobają mu się znacznie bardziej. W końcu pracowałem jako tłumacz, czytałem angielskie książki, a Głos Ameryki był dla mnie chlebem powszednim — do tej pory brzmi mi w uszach melodia z „muzycznej godziny”. Poza tym czytałem „Kontynent”, znałem niektórych dysydentów i chociaż nie byłem bojownikiem, miałem swoje stanowisko, nie zdradzałem go i nawet uważałem się za nieco bardziej konsekwentnego niż inni bojownicy o szczęście narodu.

Jak już deklarowałem, sam sobie określiłem, wprawdzie bardzo umowne, ale jednak jakieś granice swojego istnienia w naszym państwie. Pracuję, przyjmuję jedzenie z rąk tresera, ale nie wychodzę na arenę. To nie było takie proste (przypomnijmy sobie Birnę), ale do pierwszych szeregów się nie pchałem, więc jakoś się udawało.

Nigdy nie podzielałem stanowiska naszych działaczy literatury i sztuki, którzy korzystali ze sporych łask ofiarowywanych pisarzom i artystom przez organa partyjne, jeździli do domów pracy twórczej na seminaria, dostawali wille w Pieriedielkinie i piękne mieszkania, a za granicę jeździli co roku, żeby pokazać się i popatrzeć na innych.

Nie sposób ich za to osądzać. To było powszechne zjawisko. Dlaczego nie wykorzystają przychylnego stosunku partii i rządu?

Ale dalej zaczynało się coś, co po dziś dzień jest dla mnie niezrozumiałe.

Pisarz pisze umiarkowane odważne dzieło. Zaczynają go krytykować różni tam Bułharinowie. Pisarz chodzi po Moskwie albo Leningradzie, a postępową inteligencja strasznie mu współczuje — przecież mogą go pozbawić specjalnych racji!

Nie przesadzam i nie pragnę nikogo obrazić. Ale chcę przypomnieć, że ktoś, kto nie należał do Związku Pisarzy, nie miał prawa wydać więcej niż jedną książkę rocznie, otrzymywał niższe stawki niż członek czy przewodniczący związku, nie mógł też liczyć na żadne łaski. A już willa w Pieriedielkinie była stanowczo poza granicami jego marzeń.

Zdarzały się sytuacje, a w latach siedemdziesiątych było ich coraz więcej, gdy postępowemu pisarzowi mogło grozić wykluczenie ze związku. Wtedy zaczynała się walka o pozostanie.

Nawet dziś mam ochotę zapytać tych nieszczęsnych i obiektywnie szlachetnych ludzi, którzy przeżywali te osądzania i wykluczenia: Po jakie licho czepialiście się tego związku? I po jakie licho do niego wstępowaliście?

Ja nie mogłem należeć do grona radzieckich pisarzy, ponieważ nigdy nie podzielałem

przekonania o partyjności literatury, nie uznawałem metod realizmu socjalistycznego i konieczności odwiedzania gabinetu pracownika KGB, który mógł mnie wy — chłostać na oczach innych.

Oczywiście, nie wszyscy pisarze martwili się jedynie sposobem zdobycia futrzanej czapki czy samochodu bez kolejki, ale strach odsunięcia od koryta był tak powszechny, że gdy jedni szlachetni pisarze błagali, by nie wyganiać ich z tego cuchnącego związku, inni, płacząc rzewnymi łzami, głosowali tak, jak należało. Nie mogli wszyscy razem opuścić związku? Być może, dzięki temu cały system komunistyczny runąłby znacznie wcześniej.

Ale do niczego takiego nie doszło.

Najlepsi przyjaciele Pasternaka czy Sołżenicyna za przejaw wielkiej odwagi uważali ogłoszenie choroby bądź wyjście z sali w czasie głosowania. A przecież było jasne, że rozstrzelanie im nie grozi.

I teraz we wspomnieniach ci szlachetni ludzie chwalą się swoją śmiałością!

Znacznie bardziej zrozumiałe i konsekwentne jest, moim zdaniem, stanowisko tych, którzy będąc członkami Związku Pisarzy, bronili jego pozycji ideologicznych i żądali wygonienia wątpiących.

Pod tym względem najdalej posunął się nasz klasyk fantastyki Aleksander Kazancew, który (jak czytałem w stenogramie) żądał wsadzenia Pasternaka do więzienia. Jako jedyny pisarz w kraju!

Fantastyka przebijała sobie drogę do literatury partyjnej.

Wkrótce Kazancew otrzymał kolejny order.

U progu lat siedemdziesiątych zacząłem już pisać fantastykę, obroniłem pracę doktorską o średniowiecznej Birmie, wszystko układało się zrozumiale i rozsądnie.

Co niedzielę chodziłem do klubu numizmatyków, ponieważ zbierałem wtedy rosyjskie medale pamiątkowe. Ciężkie, brązowe krążki z portretami imperatorów.

Gdy pewnej niedzieli przyszedłem do klubu, usłyszałem, że kilku numizmatyków aresztowano. Handlowali mongolskimi tugrikami, a może zaszło coś innego.

Działo się to pod koniec 1969 roku, w przededniu jubileuszowego roku leninowskiego. System rozchybotał się na tyle, że głównym zajęciem jego obywateli było opowiadanie anegdot o wodzu. Wszyscy wylewali uczucia w dowcipach.

Lenin pyta Stalina:

— Czy moglibyście, Józefie Wissarionowiczu, zabić człowieka?

Stalin pali fajkę i odpowiada z ciężkim akcentem:

— Mogę.

— A moglibyście, ojczulku, zabić dziesięciu ludzi?

— Mogę.

— A moglibyście zabić i zamęczyć dziesięć milionów ludzi?

— Mogę.

— O, to wtedy my, ojczulku, będziemy was ostro, ale to bardzo ostro krytykować.

Tego rodzaju żarty opowiadano dość otwarcie. Gdy dzierżący władzę zostawali sami, puszczała taśmę z pieśniami Okudzawy czy Galicza, a potem opowiadali właśnie takie anegdoty.

Wszystkie organizacje i urzędy ojczyzny spieszyły, by uradować ducha Lenina wyjątkowymi osiągnięciami na niwie zawodowej oraz różnego rodzaju prezentami i dokonaniem. Prokuratura też nie chciała zostać w tyle.

Pamiętam nawet nazwisko inicjatora.

Polakow, prokurator miasta Kijowa.

Miasto Kijów leży wprawdzie na Ukrainie, ale w tamtych latach nie miało to większego znaczenia. Bez względu na położenie geograficzne, pochwały za zasługi otrzymywało się w

centrali. Kopniaki też rozdawano w centrali.

Towarzysz Polakow wymyślił, jak można ucieszyć nieboszczyka Lenina.

Trzeba podskubać numizmatyków.

Może podpowiedział mu to wnuk bądź syn, a może gdzieś przeczytał o konfiskatach, zasilających skarb państwa, w każdym razie rozkazał aresztować w Kijowie dziesięciu miejscowych numizmatyków. Zaczęto przesłuchiwanie na okoliczność wrogich zamiarów i przestępczej działalności.

Zakładam, że sprawa numizmatyków nie była wyłącznym dziełem prokuratora Polakowa. Niewykluczone, że gdzieś zachowały się jakieś dokumenty. W każdym razie gdy sprawa dotarła do Moskwy, wyglądała już bardzo groźnie.

Jeśli w praworządym Związku Radzieckim aresztowano podejrzanego, można go było trzymać w więzieniu trzy doby, nie przedstawiając zarzutu.

Potem się zobaczy.

Tak też zrobiono.

Numizmatyków wsadzono do więzienia i przesłuchiowano przez okrągłą dobę. Śledczych nie interesowały związki podejrzanego z wrogami czy innymi państwami, pytania były znacznie skromniejsze: Kiedy i co sprzedawałeś bądź kupowałeś? Kiedy i jaką monetę wymieniłeś bądź kupiłeś?

A ponieważ numizmatycy okazali się ludźmi nieobeznanymi z kodeksem karnym i chcieli jak najszybciej wrócić do domu, do mamy albo wnuków, jak obiecywał wujaszek śledczy, to ochoczo opowiadali o działalności swojej i znajomych.

Pod koniec trzeciej doby stało się jasne, że natrafiono na złotą żyłę. Zapachniało milionami. A wszystko odbywało się zgodnie z prawem.

Był wtedy w kodeksie karnym (niewykluczone, że w jakiejś postaci istnieje po dziś dzień) artykuł o operacjach walutowych. Brzmiał następująco: „Każda transakcja, związana z nabywaniem, odstępowaniem bądź wymianą drogocennych metali (włączając srebro) bądź wyrobami z tychże, dokonana poza bankiem państwowym, jest działalnością przestępczą i grozi karą pozbawienia wolności do lat ośmiu”.

Wszyscy aresztowani, ludzie rozmowni i posłuszni, podpadali pod ten artykuł, albowiem nie sposób zbierać monet czy medali, nie dokonując podobnej przestępczej transakcji.

Zeznania wszystkich numizmatyków miasta Kijowa zawierały informacje o numizmatykach z innych miast. Przede wszystkim z Moskwy i Leningradu.

Towarzysz Polakow, po skonfiskowaniu kolekcji swoich ofiar, wyruszył do Moskwy z radosnym meldunkiem — chyba uda nam się zrobić wspaniały prezent Iljiczowi!

W Moskwie Polakow został zrozumiany i doceniony.

Na podstawie przywiezionej przez niego listy od razu aresztowano ponad tuzin ludzi. Śmietankę rosyjskiej numizmatyki.

Wszystkich wsadzono do więzienia.

To tak jakby los, nie mogąc ofiarować mi trzydziestego siódmego roku z jego strachami i terrorem, stworzył specjalną sytuację, bym mógł na własnej skórze poczuć, co to znaczy — czekać na rewizję i areszt, siedzieć godzinami na przesłuchaniach, nie wiedząc, czemu jesteś winien, i rozumiejąc, że twój los nie zależy od prawa, lecz humoru śledczych czy prokuratora.

Przyszedłem do klubu kolekcjonerów — nawet w czasie potopu ludzie handlowali obwarzankami — gdzie pozornie toczyło się zwyczajne życie. Przy stolikach siedzieli sprzedawcy monet czy medali, pomiędzy nimi krążyli kupcy i tylko w holu, gdzie tłoczyli się weterani, paląc w kółko papierosy, mówiło się, że... Mitina wzięli, u Butorowa byli, a w Leningradzie ponoć zamknęli dwadzieścia osób.

Warto by napisać zamiatinowską powieść o życiu na statku kosmicznym, który nieuchronnie zbliża się do katastrofy. Przebywający na nim ludzie znają co do sekundy moment swojej śmierci, ale będą jeść, leczyć się, zdradzać, kłócić, a nawet na siebie donosić.

Potęga fantastyki może, a nawet powinna polegać na przedstawieniu życia zwykłych ludzi w nieprawdopodobnych sytuacjach. Gdy człowiek nie potrafi przeskoczyć samego siebie.

Pisarze wymyślają wielkie uczucia obywatela.

Najlepiej wiedział o tym Wells i dlatego napisał „Wojnę światów”, którą dzisiaj czyta się tak samo jak sto lat temu. Można powiedzieć, że współczesna fantastyka wyszła z tej książki i nie udało jej się odejść zbyt daleko...

Minęło kilka dni.

Ja o niczym nie wiedziałem. Śledczy się nie spieszyli, byli pewni, że przerażone króliki poczekają, aż wąż do nich podepłźnie.

Wzięli na przykład mojego przyjaciela Jurę Mitina, aspiranta Akademii Nauk Społecznych, zakładu naukowego samego Komitetu Centralnego KPZR, przygotowującego urzędników partyjnych wysokiego lotu. Ale prokurator miasta Kijowa i jego koledzy działali z rozmachem. Pragnęli pokazać, że na tę straszną zarazę, otwierającą serca radzieckich ludzi zagranicznym wywiadam, chorują także ludzie, którzy wydają się solidni.

W Kijowie już siedzieli w więzieniu wszyscy czołowi numizmatycy, w Moskwie trwały aresztowania, do Leningradu poszła depesza — brać!

O ile wiem, spośród wszystkich wielkich centrów, posiadających kluby numizmatyczne, uchwalił się jedynie Leningrad, a i to dzięki szczęśliwemu, czysto radzieckiemu przypadkowi. Okazuje się, że referent leningradzkiego „gospodarza” Tołstiakowa był filatelistą i zachował w sercu korporacyjne uczucia. Zrozumiał, że następny krok grozi śmiercią filatelistom. Jego obawy nie były bezpodstawne — przypomnę, że w latach trzydziestych aresztowano i zamęczono wszystkich jako tako znanych filatelistów Kraju Rad, a ich kolekcje albo trafiły do skarbu państwa, albo zostały rozkradzione.

Przy okazji, to właśnie radziecki fenomen. Niemieccy faszyci przeprowadzali konfiskaty z taką samą gorliwością co nasi rodzimi czełści, ale wszystko było rejestrowane i składane gdzie należy. A u nas nawet w czasach najstraszniejszego terroru przynajmniej połowę skonfiskowanego dobra rozkradli strażnicy rewolucji.

Referent położył dokument z Moskwy z żądaniem wydania głów dwudziestu kolekcjonerów na stół Tołstiakowa w odpowiednim momencie — gdy zwierzchnik miał odpowiedni humor. Wyjaśnił, że to tylko intrygi Moskwy, którym nie warto przyklaskiwać. Tołstiakow nie podpisał dokumentu.

Droży czytelnicy, spytacie, co tu ma do rzeczy sekretarz komitetu okręgowego?

A to, że grupowe aresztowania można było przeprowadzać jedynie z sankcji tegoż komitetu. Jeśli działało się z pominięciem sekretarza, sekretarz mógł to uznać za akt nieufności i miałby rację.

Z Leningradu kolekcjonerów ciągnięto na przesłuchania w trybie indywidualnym. Na przykład, Henrich Sudnik został przywieziony do stolicy przymusowo, jako świadek. Śledczy mieli nadzieję, że uda się go aresztować.

Ale nie wyszło — wszyscy mądrzeliśmy w oczach i już wkrótce zrozumieliśmy, że nie ma przymusu pisania donosów na siebie i towarzyszy, i że współpraca ze śledczym w niczym nam nie pomoże. Szczere wyznanie wykorzystają przeciwko niewinnemu!

Ja też czekałem na przyjscie czekistów.

Dlatego przeprowadziłem w swoim domu staranną autorewizję.

Po pierwsze, wywoziłem do siostry i mamy książki, których żal było wyrzucać i trudno

zniszczyć: roczniki „Kontynentu”, książki Sołżenicyna, Alilujewej, Siniawskiego i inne zakazane tomy.

Następnie sprawdziłem swoją twórczość pod kątem działalności antyradzieckiej, coś od razu zniszczyłem, coś dałem Kirze, żeby schowała poza domem. Teraz niektórych opowiadań mi żal, przepadły bez śladu. Jedno zachowało się przypadkiem. Mam na myśli „Wpadkę ‘67”, będzie o tym niżej.

Na numizmatyczną czystkę nie starczyło mi już czasu.

Gdy siedziałem wieczorem u mamy, zadzwoniła Kira.

— Przyszli.

— Gdzie są?

— Czekają gdzieś na zewnątrz. Nie wpuściłam ich.

Od razu przestałem się bać. Zazwyczaj człowiek boi się niewiadomego. A teraz diagnoza została już postawiona.

Poza tym nie były to już lata trzydzieste. Była ogromna różnica pomiędzy państwem masowo likwidującym poddanych i tym, które zajęło się mną i innymi numizmatykami.

Byłoby nieprawdopodobieństwem, by w trzydziestym siódmym roku żona przestępcy państwowego powiedziała czekistom: „Męża nie ma w domu, a ja was nie wpuszczę”, i żeby czekał ci czekali na schodach.

Mieszkaliśmy na ostatnim, ósmym piętrze.

Zatrzymała się winda.

Jeszcze z windy zobaczyłem sylwetki ludzi stojących pół piętra wyżej, przy strychu.

Pokornie podszedłem do swoich drzwi.

Oni szli z tyłu — czułem ich kroki.

Kira otworzyła.

Weszli za mną i okazali legitymacje.

Dalej to już było antyklimakterium.

Zamiast pokazać przede wszystkim nakaz rewizji czy aresztu, oni rozebrali się, wytarli buty, zapytali, do którego pokoju mają przejść. Pokoi było półtora, usiedli we trzech na kanapie i fotelu. Potem główny czekista, surowy i mocny jak szafa, z głębokimi bruzdami na topornej twarzy, podał mi kartkę.

To był zapisek od Mitina: „Igor, oddaj im moje medale okolicznościowe”.

Przed aresztowaniem Jura przywiózł do mnie kolekcję (około sześćdziesięciu) medali okolicznościowych. Myślał, że nigdy się nie przyzna. Ale jak sam potem mówił, już na drugi dzień przesłuchań poczuł tak przemożne pragnienie wyznania wszystkiego, że marzył tylko o jednym — oddać wszystko, może wtedy go wypuszczą.

To był błąd. Nigdy nie wypuszczają za szczerłość.

Jego zapisek dał im doskonałą możliwość popracowania również ze mną.

Że dążyli do tego od jakiegoś czasu, dowiedziałem się nieco później.

Jak się okazało, gdy zaczęto wypytywać zatrzymanych o przyjaciół i znajomych (czyli o to, o co przede wszystkim pytają na sprawie grupowej), niemal cała dwunastka moskiewskich numizmatyków w pierwszej kolejności wymieniła moje nazwisko. Byli przekonani, że lepiej wydać mnie niż człowieka, który może ucierpieć. Przecież Możejko to kandydat nauk, pisarz i w sumie zwykły człowiek.

Sądzili, że podając moje nazwisko, uratują innych.

Kolejny błąd. Nikogo nie można było uratować.

Podobną sytuację nieraz odgrywano w filmach wojennych. Bohater bierze na siebie winę za podpalenie stajni czy wybuch w sztabie niemieckim, sądząc, że wtedy faszyci wypuszczą na

wolność wszystkich niewinnie aresztowanych.

Nigdy nic dobrego z tego nie wychodziło. Kat najpierw karze przestępcę, szczerą ofiarę własnej szlachetności, a potem z tą samą gorliwością karze niewinnych, już przygotowanych do kaźni.

Zadanie śledczych i prokuratury u wrót roku leninowskiego polegało na zdemaskowaniu wszystkich numizmatyków i zwróceniu ojczyźnie pudów złota i srebra. W nadziei na to, że część tego bogactwa osiadzie na ich łapach.

Każdy szlachetny czyn podejrzanych czy też po prostu schwytych odbierany był jako słabość. Zachowywali się niczym palestyńscy terroryści i żona rybaka (tego od złotej rybki) — każde zaspokojenie swoich żądań i próśb śledczy traktowali jako przejaw słabości i robili kolejny krok w kierunku zostania „wszechwładną morza cesarzową”.

Śledczych, którzy spędzili wtedy u mnie wieczór i część nocy, było trzech.

Zapewne trudno wam w to uwierzyć, ale ja, przeżywszy pół życia w antyutopii, nie miałem żadnego doświadczenia w kontaktach z władzami w takiej sytuacji. Teraz przechodziłem tę szkołę z opóźnieniem, skróconym programem.

Pierwszy i najstarszy śledczy był surowy i nie ukrywał, że gdy skończymy rozmowę, zabiorą mnie ze sobą i więcej do tego domu nie wrócę. Drugi śledczy, przypominający ślusarza, był reprezentantem narodu zdumionego skalą naszych przestępstw i głębią upadku.

— Jakże to tak — mówił, a jego oczy rozszerzały się ze zdumienia — taki powszechnie szanowany człowiek, kandydat nauk, pisarz, że tak powiem, i nagle w takim towarzystwie? Natychmiast oczyść się, przyjacielu, od takich znajomości! To my jesteśmy twoimi prawdziwymi przyjaciółmi!

Trzeci był czarującym inteligentem, delikatnym i wrażliwym. Dręczyło go pragnienie, więc co rusz chodził do kuchni, prosił Kirę, żeby naląła mu wody. Mówił, że wszystko rozumie, że jest mu wstyd za kolegów i jeśli trzeba cokolwiek schować albo wynieść — on pomoże.

Po tej przydługiej wizycie byłem wielokrotnie wzywany na przesłuchanie do prokuratury, do Wydziału do spraw Walki z Kradzieżą Własności Socjalistycznej i Spekulacją i do KGB. Wszyscy zajmowali się tą sprawą, wszystko niepokoiło ich żywe umysły.

Pamiętam pokój na Pietrowce — sztab operacyjny sprawy numizmatyków. Tam zwożono zagarnięte dobro, tam zbierały się grupy operacyjne, tam pospiesznie przesłuchiowano wrogich świadków. Pamiętam skrzynki pełne taśm do orderów. Gdzieś udało im się dopaść babcię, wdowę po przedrewolucyjnym producencie wspaniałych morowych taśm, od szerokich naramiennych do wąskich na naszywki. Taśmy wypadły ze skrzynek, barwne rulony rozwijały się jak serpentyny. Wyglądało to odświętnie i denerwowało śledczych, którzy uwalniali się z taśm niczym synowie Laokoona z objęć węży.

Ich nieuctwo było absolutne, żenujące i banalne. Major, prowadzący całą tę kampanię, nazywał nas „mumizmatykami”. Poważnie. A ponieważ atmosfera tajemnic i zagadek panowała również na Pietrowce, to poziom plotek i pogłosek, wypełniających ten budynek, również był fantastyczny. Śledczy z zapartym tchem opowiadali sobie o kilogramach złota znalezionych pod kanapą u Chidekela albo o worku z platynowymi główkami Lenina, które Mitin odrywał od licznych, zniszczonych przez niego odznaczeń.

Wszystkich nas nazywano dywersantami gospodarczymi.

Na przesłuchaniach siedziało się bardzo długo. Śledczy szedł na obiad, wychodził napić się herbaty albo zapalić, a ty mogłeś wyjść z gabinetu najwyżej do toalety. I wszyscy cię straszili. Nigdy nie byłem pewien, czy tym razem wrócę z przesłuchania do domu. Każdy kolejny śledczy twierdził, że on osobiście bardzo w to wątpi.

W miarę zbliżania się dnia pierwszej rozprawy sądowej — a miało być ich sporo, bo w Moskwie i Kijowie znalazło się wielu oskarżonych — działalność narodowych mścicieli stawała

się coraz bardziej gorączkowa. Pomysł przetopienia łupu zagarniętego w domach kolekcjonerów (niemal wszystkie największe numizmatyczne kolekcje kraju) podchwycili wszyscy śledczy i oficerowie operacyjni. Jedynie cudem Muzeum Historycznemu udało się powstrzymać tę szlachetną akcję, przekonując bardzo wysokie zwierzchnictwo, że korzystniej będzie sprzedać to dobro za granicą. Chwała pracownikom muzeum za to, że nie mogąc pomóc ludziom, ratowali przynajmniej unikatowe rzeczy.

W tym samym czasie do wiadomości publicznej doszła inicjatywa towarzysza Krenkiela i kierownictwa WOF.

WOF — Wszeczwiązkowe Towarzystwo Filatelistów, organizacja niegdyś potężna, zostało praktycznie unicestwione w latach trzydziestych, gdy wyszło na jaw, że filateliści to zagraniczni szpiedzy.

W naszych latach WOF było już organizacją biurokratyczną. Należenie do jej „górków” oznaczało masę przywilejów, od otrzymywania dobrych znaczków i dostępu do skrytek począwszy, na podróżach na międzynarodowe zjazdy i wystawy (wraz z czekistami przydzielonymi do WOF) skończywszy. Formalnie towarzystwem kierował przewodniczący, radiotelegrafista Krenkiel.

Tym, którzy zapomnieli, kim był Krenkiel, przypominam — to jeden z czterech bohaterskich polarników, którzy spędzili kilka miesięcy na dryfującej krze w 1938 roku. Na czele tej czwórki stał towarzysz Papanin*, były czekista (czekista zawsze będzie czekistą), który rozstrzeliwał białogwardzistów na Krymie. Krenkiel był tam radiotelegrafistą.

Na starość został wciągnięty do Towarzystwa Filatelistów.

W jego imieniu wydrukowano, a następnie naklejono na drzwiach wszystkich filatelistycznych i numizmatycznych klubów naszego kraju następujące oświadczenie:

„Filatelistyka uczy naszą młodzież ideałów komunistycznych, numizmatyka zaś propaguje retrospektywne spojrzenie na historię, czym wyrządza młodzieży ogromną szkodę. Z tego względu wszystkie numizmatyczne kluby w ZSRR zostają zamknięte, a kolekcjonowanie monet, odznaczeń itd. zabronione”.

To nie dom wariatów. To oświadczenie zostało opublikowane, między innymi, w „Litieraturnej gaziecie” (Gazecie literackiej) i nikt się nie śmiał.

Jak niewiele zmienił się dzielny polarnik od czasu dryfowania na krze! Wtedy we trzech zasiadali w namiocie i na zebraniu komórki partyjnej omawiali kwestię skazania bądź ułaskawienia trockistowsko–zinowjewowskich dwulicowców. Doszli do jednogłośnego postanowienia — skazać, o czym powiadomili Moskwę. Cztery członek ekspedycji, hydrolog Fiodorow, w czasie głosowania znajdował się poza namiotem, na mrozie, w towarzystwie psa Wesołego. Fiodorow był bezpartyjny i dopóki nie przyjęto go do partii na tejże krze, męczył się jako odszczepieniec. Krenkiel był w namiocie.

Publikacja w „Litieraturnej gaziecie”, ówczesnym megafonie liberalnej inteligencji, naszym małym hyde parku, stała się przyczyną dwóch publikacji. Jedną z nich to wielki artykuł w amerykańskim czasopiśmie „Coins” (Monety). Były w nim nuty współczucia dla numizmatyków oraz jawna drwina z radzieckich władz. Kontynuacją nieprzyjemnych dla nas amerykańskich słów, które rozprzestrzeniły się po świecie, był nowy artykuł w „Litieraturnej gaziecie”, zatytułowany „Sprawa numizmatyków”. Po raz pierwszy stwierdzono w nim, że cała ta „sprawa” jest sztucznie rozdmuchana, a zabranianie numizmatyki nie przyszło do głowy nawet Hitlerowi.

W tak zwanym międzyczasie dobiegł końca pierwszy proces.

* Papanin Iwan D. (1894–1986), rosyjski badacz polarny, oceanograf i geograf, kontradmirał. Od 1932 kierował stacjami arktycznymi, w 1937–38 — pierwszą stacją naukową „Biegun Północny”, na Morzu Arktycznym.

Proces ohydny i pouczający. Ponieważ ja byłem świadkiem, a sądzono moich towarzyszy, byłem obecny na rozprawie i nawet zostałem usunięty z sali za to, że dałem wyraz swojemu oburzeniu.

Adwokatów z urzędu nikt nawet nie słuchał. Z podsądnymi rozmawiano jak z wrogami narodu, ze świadkami jak z ich pomocnikami.

Mój przyjaciel Jura Mitin dostał pięć lat łagrów na podstawie oskarżenia składającego się z sześćdziesięciu dwóch punktów. W punkcie takim to a takim mówiono: „przestępczo wymienił medal na medal”, „przestępczo kupił monetę” i tak dalej. Sześćdziesiąt dwa razy. Pięć lat.

Pozostali podsądni również zostali przykładnie ukarani.

Po artykułach w amerykańskiej prasie i wystąpieniu w „Litieraturnej gazietie”, za którym bez wątpienia stał ktoś wpływowy, uważający sprawę numizmatyków za haniebną, drugi proces przebiegał już inaczej. Przydzielony został prokurator Demin, słynny ze swojego liberalizmu, w czasie rozprawy na oskarżonych i świadków nikt nie krzyczał, wyroki nie tylko były umiarkowane, ale przeważnie równoznaczne z czasem spędzonym przez pod — sądneho w areszcie.

Ani śledczy, ani sąd nie mogą przeprosić niewinnie oskarżonego. W najlepszym przypadku podciągną go pod amnestię albo zaliczą mu spędzone w areszcie miesiące i lata. I niech się cieszy, że uszedł z życiem.

W taki oto sposób antyutopia rozprawiła się z numizmatyką i numizmatykami.

Efekt był oplakany. Skonfiskowano kilka ogromnych kolekcji, żadnej z nich nie zwrócono. Dwóch ludzi zmarło w więzieniu, a kilku innych wkrótce po wyjściu. Jeden skończył ze sobą. Epoka stalinowska dawno minęła, ale czasy i tak były znacznie okrutniejsze i straszniejsze od normalnych.

Jura Mitin powrócił do domu przed skończeniem wyroku. W tym była tragikomedia.

Gdy odsiedział w łagrze trzy i pół roku, okazało się, że sprawy numizmatyków są po cichu powtórnie rozpatrywane, a wyroki więźniów zmniejszane do już odsiedzianych.

Jurze dali wówczas nowy wyrok — trzy lata, żeby od razu wypuścić go na wolność. Ale póki liczyli, póki papiery krążyły tam i z powrotem, on przesiedział zbędne trzy miesiące.

Wyobraźcie sobie naczelnika łagru, do którego w tym momencie przychodzi papier — wypuścić Mitina w związku ze skończeniem wyroku.

Nie lubimy takich pomyłek.

Naczelnik łagru zaczął myśleć. Zapewne był to normalny człowiek, a nie sadysta, poza tym Jurę w łagrze ceniono. Z dwoma ukończonymi fakultetami i wrodzoną energią umysłową, on nie mógł tak po prostu odsiadywać wyroku. W łagrze zdołał ukończyć dwie szkoły zawodowe — elektryczną i stolarską. Został przodownikiem pracy.

Naczelnik łagru wymyślił niestandardowe posunięcie.

Wezwał do siebie więźnia Mitina i oznajmił mu, żeby zbierał się do domu. Ale ponieważ Jura odsiedział niepotrzebnie trzy miesiące, a nasz antyutopijny sąd jest najlepszy na świecie, w ramach rekompensaty Jura otrzymał „czysty dowód”.

To był iście królewski podarunek. Artykuł dotyczący przestępstw walutowych przewidywał również karę po odsiadce wyroku — „minus osiem”. To znaczy, zakaz mieszkania w ośmiu najlepszych miastach imperium.

Jura wrócił do Moskwy z czystym dowodem i czystym sumieniem, ale i tak nie mógł znaleźć pracy. Ani jako redaktor, ani jako nauczyciel, ani nawet jako przewodnik wycieczek. W końcu zaczął pracować jako elektryk. To tak jakby przedłużono mu karę do samej emerytury.

Dla mnie cała ta sprawa — prócz zamknięcia mi na jakiś czas granic — miała dwie dziwne kontynuacje.

Pierwsza nastąpiła, gdy jeden z figurantów procesu wrócił z łagru do Moskwy. Zamiast pędzić

do domu, on zrobił łuk i przyjechał do mnie. I powiedział coś w rodzaju:

— Gdybyś miał, Igor, nieprzyjemności, nie miej do mnie żalu. W tym miesiącu przyjechał do mnie człowiek z Moskwy i powiedział, że w czasie śledztwa źle się o mnie wyraziłeś i teraz ja mam możliwość zemścić się na tobie. Muszę napisać na ciebie donos, że dawałeś mi do czytania Solżenicyna i czasopismo „Kontynent”. Powiedział, że tobie i tak nic nie zrobią, a on musi mieć możliwość przedłużenia okresu cichego nadzoru nad twoją przestępczą działalnością. Oni teraz we wszystkim muszą mieć porządek i żeby dostać prolongatę śledztwa, musi mieć donos. No i przyjechał do mnie z donosem na ciebie. Jeszcze powiedział, że jak odmówię, to mnie nie wypuszczą na sześć miesięcy przed końcem wyroku i przez ciebie będę siedzieć od gwizdka do gwizdka. Myślę sobie, co oni ci tam zrobią? I podpisałem.

Monolog ten usłyszałem dwa i pół roku po ostatnich aresztowaniach.

Po nieoczekiwanej podróży do Indii z reżyserem Zguridim znowu zostałem pozbawiony zaufania ojczyzny i straciłem możliwość wyjazdu. Gdy tworzone delegację na jakąś zagraniczną konferencję, nawet nie próbowałem się przebić. I tak ostatniego dnia grupę zmniejszą o moją osobę. Donos urażonego kolegi był gwoździem do trumny.

Minęło kilka lat. I w siedemdziesiątym szóstym roku zadzwoniono do mnie i uprzejmie poproszono, żebym odwiedził Komitet Bezpieczeństwa Państwowego na ulicy Dzierżyńskiego. Ich moskiewskie biuro.

Powitał mnie tam pułkownik i oznajmił, że od obywatela Kraszeninnikowa kupiłem sztabkę złota o wadze stu gram. Przeciw temu złemu człowiekowi toczyło się śledztwo, ale niestety termin śledztwa upłynął. Należy je przedłużyć i dlatego proszony jestem o drobiazg — napisanie donosu, że obywatel Kraszeninnikow sprzedał mi sztabkę złota. Tym bardziej że podczas śledztwa obywatel Kraszeninnikow źle się o mnie wyrażał.

Świat się obracał niczym barwne szkiełka w dziecięcym kalejdoskopie. Teraz to ja miałem napisać donos...

— Po pierwsze — powiedziałem pułkownikowi — nie kupowałem żadnej sztabki od obywatela Kraszeninnikowa; po drugie, w ogóle nie skupuję złota, bo żaden normalny kolekcjoner się tym nie zajmuje. A po trzecie, jeśli podpiszę ten papier, wykorzystacie go przeciwko Kraszeninnikowowi, a jak zajdzie potrzeba — przeciwko mnie.

— Co też pan mówi! Jak pan mógł coś takiego pomyśleć! — oburzył się pułkownik. — Przecież jesteśmy znani jako ludzie o zimnych rękach i gorącym sercu.

— Nie da rady — powiedziałem. — Mam tak mało zasad, że muszę się ich trzymać.

Pułkownik bynajmniej nie był urażony.

— Spójrzmy na sytuację inaczej — zaproponował spokojnie jak człowiek, który dobrze przygotował zapasowe lotnisko. — Wiem, że w związku z pewnymi smutnymi wydarzeniami, w szczególności ze sprawą numizmatyków, nie może pan wyjechać z kraju. A przecież nie zaszkodziłoby panu pojechać za granicę, już choćby z powodów zawodowych. Otóż mam taką propozycję: pan podpisuje oświadczenie o kupieniu sztabki od Kraszeninnikowa, a ja gwarantuję, że włączą pana w skład delegacji na konferencję na Węgrzech, która właśnie tworzy się w pańskim instytucie. Najpierw kraje demokracji, a za jakieś dwa lata kapitalizm.

Pułkownik uśmiechał się serdecznie, tylko jego czarne oczy były poważne i czujne. On był w pracy i nie rozmawiał ze mną dla rozrywki.

Nie uświadamiałem pułkownika, że właśnie dwa tygodnie temu wróciłem z Ameryki, dokąd jeździłem z ramienia WAAP — agencji praw autorskich — na kongres towarzystwa bibliotek w celu prezentacji serii „Fantastyka Radziecka” wydawnictwu Macmillan. Wszystko załatwił WAAP, gdzie wiedziano o moich problemach z wyjazdem i gdzie byli waapowscy czekałci, a nie czekałci Akademii Nauk, która życzyła sobie, bym nie opuszczał granic Alina Mater.

Ale dlaczego miałbym obrażać pułkownika? Na pewno byłoby mu przykro na wieść, że moje akta po linii Akademii Nauk mu dali, ale zapomnieli włożyć do nich notkę z Biura Centralnego, które wyraziło zgodę na mój wyjazd do USA.

Nie przyznałem się do tego pułkownikowi i nie wziąłem na siebie sztabki.

Pułkownik odprowadził mnie do wyjścia. Po drodze zapytał, czy nie mam możliwości zdobycia dwóch kół do żyguli, bo jest straszny deficyt. Nie miałem. Wtedy pułkownik spytał, czy nie mam znajomości w przedszkolach — musi gdzieś umieścić dziecko. Pod tym względem też nie mogłem mu pomóc. Doszliśmy do wyjścia i pułkownik pomachał mi na pożegnanie.

Wtedy ostatecznie przekonałem się, że „oni wiedzą o nas tylko to, co sami im powiedzieliśmy”. Znalazło to potwierdzenie zarówno w sprawie numizmatyków, jak i w mojej małej zagranicznej epopei.

O ile wiem, prokurator Polakow, który rozpoczął sprawę numizmatyków, został później zwolniony z pracy, majora zaś, który nazywał nas „mumizmatykami”, wsadzono. Nic dziwnego — zetknęli się z wielkimi bogactwami, trudno było im się powstrzymać i nie skorzystać.

Obecnie numizmatyka jest w naszym kraju dozwolona. Ale o ile wiem, artykułu o przestępstwach walutowych nikt nie odwoływał. Więc gdyby ktoś bardzo chciał zająć się numizmatyką w trybie sądowym, droga wolna.

ROZDZIAŁ 14

DRUGĄ POŁOWĘ — DO KGB!

Moje pierwsze opowiadanie zostało wydrukowane w czasopiśmie „Wokrug swieta”. To wstydliwe wspomnienie — nie tylko było źle napisane, ale przede wszystkim poskładane z kawałków pokazowego patriotyzmu.

Treść była nieskomplikowana: na budowie radzieckich obiektów podarunkowych kierowca Misza zostaje ukąszony przez jadowitą żmiję. Radzieccy pracownicy zdążają przewieźć go do Instytutu Pasteura. I to właściwie cała treść.

Ale za to jacy pracownicy!...

A kiedy opublikowano moje pierwsze opowiadanie fantastyczne?

W połowie lat sześćdziesiątych w „Iskatielu” (Poszukiwaczu), dodatku do „Wokrug swieta”.

Akurat trwała walka z pijaństwem.

Wtedy picie w miejscu pracy było powszechnie przyjęte. Ja nawet uciekałem z APN, gdzie każdy dzień pracy kończył się tak samo — wyjściem do szaszłykowni Elbrus na bulwarze Twerskim.

Mniej więcej to samo działo się w „Wokrug swieta”. Postanowiliśmy, że trzeba z tym skończyć. Bezboleśnie.

Najpierw zrobiliśmy składkę. Kupiliśmy butelkę wódki za 2 ruble 87 kopiejek, butelkę koniaku za 4 ruble 12 kopiejek i już zupełnie niedrogo butelkę porto dla gogusiów.

Butelki umieściliśmy w szafce. Obok położyliśmy suchary, postawiliśmy kieliszek i pusty spodeczek.

Masz ochotę się napić? W tym celu musisz na oczach całej redakcji otworzyć szafkę, położyć na spodeczku 50 kopiejek i delektować się. Sądziliśmy, że delektowanie w pojedynkę się nie uda, ponieważ przyjęte jest picie w towarzystwie.

I rzeczywiście. Pijaństwo w redakcji jako zjawisko społeczne zanikło. Aż do owego fatalnego dnia...

Dostaliśmy informację z drukarni, że okładka w nakładzie trzystu tysięcy egzemplarzy jest już gotowa. Niemal jednocześnie cenzura powiadomiła nas, że z numeru usunięto amerykańskie opowiadanie (słowo daję, nie pamiętam za co).

Okładka stanowiła ilustrację do zakazanego opowiadania.

Fantastyka naszego życia, nasza rodzima antyutopia podniosła swój smoczy łeb i uśmiechnęła się do mnie. Rzuciła mi w twarz rękawicę.

— To straszne — powiedział ktoś. — Zostajemy bez premii, bez trzynastki i jeszcze jesteśmy narażeni na prześladowania ideologiczne. Co robić?

Ktoś inny powiedział, że trzeba będzie wyjąć butelki z szafki. Wyjęliśmy i wypiliśmy, zagryzając sucharkami. I ciągle nie mogliśmy niczego wymyślić. Ale z ostatnim łykiem spłynęło na mnie olśnienie, które zmieniło całe moje życie. Podniosłem rękawicę rzuconą przez smoczyce antyutopię.

— Zrobimy tak — powiedziałem. — Rozejdziemy się do domów i póki alkohol nie wywietrzał nam z głów, napiszemy opowiadanie, które można zilustrować nieszczęsnym rysunkiem na nieszczęsnej okładce.

— Hurra! — krzyknęli wszyscy.

— A potem zdecydujemy, czyje opowiadanie jest najlepsze, i to wydrukujemy.

Rozeszliśmy się do domów.

Siadłem do maszyny (od trzech lat nie znałem innego sposobu materializowania swoich myśli) i położyłem przed sobą okładkę.

Na okładce był stół. Na stole słój. W słoju dinozaur.

Z tyłu, jeśli się nie mylę, widniało rude wzgórze.

Napisałem opowiadanie o tym, jak do redakcji pewnego czasopisma przychodzi telegram od korespondenta z Dalekiego Wschodu, że dinozaury nie wymarły i jeden z nich został schwytany.

W redakcji zaczyna się zamęt, znajdują platformę kolejową, wysyłają na Wschód i wtedy do redakcji wchodzi korespondent ze słókiem w ręku. „Dinozaury nie wymarły — oznajmia — ale bardzo się zmniejszyły”.

Gdy następnego dnia rano przyszedłem do redakcji, okazało się, że moi koledzy przesпали całą noc i żadnego konkursu opowiadań nie będzie. W redakcji tak się zdziwili przypadkowemu wariatowi, że nawet, jak sądzę, nie czytali opowiadania, tylko do razu dali do składu. Dostaliśmy premie i trzynastki, a zwierzchnictwo postanowiło nie rozdmuchiwać całej sprawy.

Opowiadanie nosiło tytuł: „Kiedy wymarły dinozaury”. Ten numer „Iskatiela” ujrzał światło dzienne pod koniec 1967 roku.

Przyszła pora na narodziny Kira Bułyczowa.

W apokryfie mówi się: jak tylko stało się jasne, że opowiadanie „Kiedy wymarły dinozaury” zostało przyjęte do druku, dziennikarz i orientalista Igor Możejko wielce się zafrasował. Z jednej strony pragnął zdobyć sławę, z drugiej — miał ogromne obawy.

Zalóżmy, że wychodzi opowiadanie fantastyczne. I okazuje się, że młodszy pracownik naukowy, niedawno obroniony, który, jak wiadomo, uciekał z kołchozu, wagarował podczas prac w bazie warzywnej, nie stawiał się na zebraniu związków zawodowych i w sposób niekoleżeński potraktował towarzyszkę Iwanową, do tego wszystkiego jeszcze pisze fantastykę!

Wygonić takiego Możejkę z instytutu!

Przyznaję, że się przestraszyłem. I w jednej chwili wymyśliłem sobie pseudonim: Kir — od imienia żony, Bułyczow — od nazwiska panińskiego mamy. Być może, gdybym miał więcej czasu, wymyśliłbym coś bardziej wyrafinowanego. Ale czasu nie miałem.

Co ciekawe, przez wiele lat nikt w instytucie nie miał pojęcia o poczynaniach niejakiego Bułyczowa. Wiedzieli o tym jedynie najbliżsi przyjaciele.

Taki stan rzeczy trwał do 1982 roku, gdy dostałem od razu dwie nagrody państwowe (byłem scenarzystą dwóch filmów). Gazety nietaktownie obwieściły. „Kir Bułyczow (Igor Wsiewołodowicz Możejko)”. Przyszedłem następnego dnia rano do instytutu i usłyszałem, że kierownik wydziału i sekretarz grupy partyjnej poszli do dyrektora, by naradzić się, co ze mną zrobić. Poważny wydział, porządni ludzie — a tu coś takiego!

Na szczęście dyrektor instytutu (później szef wywiadu, a następnie premier)*, nie był pozbawiony poczucia humoru. Wysłuchał naszych wodzów i zapytał: „Plan wykonuje?”. „Wykonuje!” — przyznali szefowie, popatrzawszy na siebie. „No to niech dalej wykonuje” — podsumował dyrektor i na tym kwestia pseudonimu została zamknięta.

Apokryf o pierwszym opowiadaniu Bułyczowa ma potwierdzenie dokumentalne. Ale jak przystało na porządny apokryf, jest nie do końca prawdziwy.

Do tego czasu wydrukowałem już kilka dziecięcych bajek w „Mirie prikliuczenii” („Świecie przygód”) i pierwsze opowieści o Alicji, dziewczynce z XXI wieku. Mało tego, w szufladzie biurka leżały inne dzieła fantastyczne, nie przeznaczone do druku. Większość napisałem w czasie

* Mowa o Jewgieniju Primakowie, który był dyrektorem Instytutu Orientalistyki AN ZSRR w latach 1977–85, w latach 1991–95 dyrektorem Federalnej Służby Wywiadu Zewnętrznej Federacji Rosyjskiej, a od IX 1998 do V 1999 — premierem.

mojej drugiej podróży do Birmy.

Termin mojej aspirantury dobiegał końca, musiałem obronić pracę doktorską. Pisałem o problemach birmańskiego średniowiecza i państwie Pagan, które istniało w dolinie Irawadi w XI–XIII wiekach, jednym z największych samoistnych państw ówczesnej Azji Południowo — Wschodniej. I wtedy w APN zaproponowano mi ponowny wyjazd do Birmy — w charakterze redaktora i korespondenta agencji. Zgodziłem się.

Po pierwsze, liczyłem, że zdobędę tam materiały potrzebne do ukończenia pracy. Po drugie, potrzebowałem pieniędzy. Po trzecie, zwyczajnie chciałem pobyc w mojej kochanej Birmie.

Latem przeszedłem staż w APN, a jesienią wyjechałem do Rangun.

Jest pewne smutne prawo: nie wolno wracać do dawnych namiętności ani do miejsc, które pokochałeś. Pamiętam, jak w połowie lat sześćdziesiątych oboje z Kirą mieliśmy zimą trochę wolnego czasu i zapragnęliśmy wyrwać się z Moskwy. Wsiadliśmy do pociągu i pojechaliśmy do Jałty. W zimowej Jałcie świeciło wiosenne słońce, gdzieś tam kwitły róże, wiatr nie mroził do szpiku kości. A co najważniejsze było pusto, czysto i przestronnie. Za trzy ruble wynajęliśmy wspaniały pokój w hotelu Oreanda i wieczorem chodziliśmy do restauracji, gdzie w pustej sali grała niewielka orkiestra. Zaprzyjaźniliśmy się z muzykami, którzy potem odwiedzali nas w Moskwie. Wtedy zrozumiałem, że będę musiał napisać powieść o zimowej Jałcie. Ale wziąłem się do niej dopiero dwadzieścia lat później — to moja główna, ciągle niedokończona, wielotomowa powieść „Rzeka Chronos”.

Nowy Rok witaliśmy w tejże restauracji, siedząc przy stole wraz z orkiestrą. Ludzi w restauracji było niewiele i muzycy większość nocy przesiedzieli z nami przy wspólnym stole. O piątej rano poszliśmy nad wzburzone morze. Było bardzo ciemno, tylko leciutko świeciły się obłoki, a po morzu pływały białe baranki.

Po powrocie do Moskwy zamęczaliśmy przyjaciół opowieściami o cudownej podróży, nic więc dziwnego, że na następny Nowy Rok wróciliśmy do Jałty z tuzinem przyjaciół.

To była katastrofa.

Mżył wstrętny deszczyk, orkiestra się do tego czasu rozpadła, w naszym towarzystwie zaczęły się kłótnie...

Tak samo było z Birmą. Powtórna podróż okazała się mniej interesująca, ludzie mniej ciekawi, praca mało przyjemna... i tak dalej.

No dobrze, przyznaję, jestem niesprawiedliwy.

Po pierwsze, w ciągu tamtego roku w Birmie napisałem do naszej APN–owskiej gazety ponad trzydzieści artykułów, uzupełniając je własnymi zdjęciami; napisałem dla APN dwie książeczki, oczywiście o przyjaźni i współpracy (na szczęście wyszły tylko w języku birmańskim); zebrałem materiały do pracy doktorskiej i praktycznie ją skończyłem. Byłem w różnych zakątkach Birmy. Właściwie nie mara powodów do narzekań. A jednak...

Pod koniec 1963 roku miałem urlop. Zazwyczaj urlop dawano niechętnie i z maksymalnym opóźnieniem, ale akurat wtedy kontrakt zastępcy przedstawiciela APN dobiegł końca, on wyjechał i ja automatycznie zająłem jego miejsce. Tym samym ze świata redaktorów i korespondentów przenieśliśmy się do innego wymiaru. Otrzymałem tytuł drugiego sekretarza konsulatu i zastępcy attache (przedstawiciel APN był attache prasowym). Stanowisko przedstawiciela APN obsadzano wówczas pracownikami innych resortów. U nas zajmował je major GRU. Potrzebna była przeciwwaga, co nie od razu sobie uświadomiłem.

Gdy tylko wydano mi paszport dyplomatyczny, wezwał mnie do siebie radca, rezydent KGB. Był miły i dobronny.

— Igorek, jedź na urlop i porządnie odpocznij. Jak wrócisz, przyjmujemy cię do partii i

zaczniemy pracować. Teraz dostaniesz dostęp i jako dyplomata zaczniesz chodzić na przyjęcia.

— Ależ ja nie jestem godny... — apelowałem do uczciwości i sumienia obywatelskiego moich oponentów, próbując im uzmysłowić, że nie powinni zaśmiewać partii takimi ludźmi jak ja.

— Nie gadaj bzdur — uciał radca. — Ale brodę będziesz musiał zgolić. Byłbyś jedynym bezpartyjnym brodatym dyplomata. Niedobrze. W ten sposób cały życie będziesz na drugim planie.

Na krótko przed tą rozmową do Birmy przybyła delegacja kosmonautów. Jako korespondent APN spędziłem z nimi kilka dni, robiąc zdjęcia do miejscowej gazety. Jedno ze zdjęć, podarowanych Walentynie Tiereszkowej, kosmonautka oddała z napisem: „Niech żona namówi cię do zgolenia brody. O zaletach człowieka świadczy charakter, a nie osobowość”. Widocznie sądziła, że osobowość to nos i uszy.

Wyszedłem z gabinetu radcy i zrozumiałem, że moja osobowość go nie zadowala, a charakter stoi pod znakiem zapytania. Wtedy pojąłem, że już do Birmy nie wrócę.

Byłem absolutnie lojalnym człowiekiem radzieckim i gdy zachodzi potrzeba pisania raportu w imieniu naczelnika znajdującego się w śpiączce alkoholowej, pokornie to czyniłem. Ale do nowego życia i nowych obowiązków nie byłem gotowy.

Nie wstąpiłem do partii i nie zgoliłem brody.

Przyjechałem do Moskwy, nie informując nikogo o swojej decyzji, żeby nie psuć sobie urlopu, i dopiero gdy nastał czas powrotu, powiadomiłem APN, że nie wyjadę za granicę.

To był szok. W ciągu wielu lat istnienia APN byłem pierwszym pracownikiem, który zdradził ojczyznę na odwrót. To znaczy, odmówiłem walki na pierwszej linii ideologicznego frontu i wybrałem życie na aspirancyjnych tyłach. Wiecie, jak brzmiał teraz mój oficjalny tytuł? „Dezerterski z frontu ideologicznego”!

Gdybym błagał, żeby wysłali mnie za granicę, w życiu by mnie nie wysłali! Ale gdy odmówiłem, wszyscy byli oburzeni. Zastępca przewodniczącego APN (z którym byłem w niezłych stosunkach i który potem został postępowym komentatorem telewizyjnym o nastawieniu demokratycznym) zaczynał ze mną kolejną rozmowę słowami: „Słyszałem, że masz kiepską sytuację mieszkaniową”. A kończył: „Ty rzeczywiście nie służyłeś w wojsku! Zaraz zadzwonię do ministra obrony — co ty na to, żeby pójść na dwa lata w kamasze?”. Ja, niestety, nie wiedziałem, co w jego słowach jest prawdą, a co czczymi pogroźkami. Bałem się. Ale w końcu dali sobie spokój i przywrócili mi stanowisko w instytucie. Wtedy zrobiłem kolejny krok ku fantastyce.

I to nie tylko w środku, w sercu. Właśnie w „drugiej Birmie” zacząłem pisać utwory fantastyczne: powieść „Rusałka za 100 000” — fantastyczną feerię o Birmie i „Krótką historię ludzkości” w miniaturach fantastycznych.

Po powrocie z Birmy w 1963 roku pisałem dla siebie i przyjaciół. Niezbyt aktywnie, ale jednak pisałem. I zawsze fantastykę. Nie mogłem pisać prozy realistycznej. Nie udawało mi się.

Więc historia o „Iskatielu”, okładce i dinozaurach to obraz syntetyczny. Prawda i domysły są w nim dokładnie przemieszane, choć więcej jest prawdy.

Dalsza droga do fantastyki biegła przez Bułgarię.

A droga do Bułgarii — przez miasto Chatangę po tamtej stronie Tajmyru.

Już wyjaśniam.

W 1967 roku wyruszyłem w podróż służbową z ramienia „Wokrug swieta” Północną Drogą Morską. Liczyłem, że uda mi się dotrzeć z Murmańska do Tiksi, gdzie chciałem się spotkać z magadańskim pisarzem Olegiem Kuwajewem, utalentowanym prozaikiem, autorem popularnych w latach sześćdziesiątych powieści „Brzeg księżniczki Luški” i „Terytorium”. Kuwajew był geologiem i zmarł młodo, jak wszyscy podbiegunowi włóczędzy i romantycy. Wtedy

planowaliśmy z Olegiem urządzić ekspedycję na ziemię północną — on znalazł informacje o ostatnim obozie ekspedycji Rusanowa.

Ja parłem do Tiksi morzem, on łądem. Po drodze mieliśmy się zorientować, jaką drogą wyruszyć następnego lata. Wybiegając naprzód, informuję, że ekspedycja się nie odbyła — ostatecznie KC Komsomołu nie dało obiecanych pieniędzy.

Na „Segieży”, statku do przewozu ładunków suchych, umieszczono mnie w pustej kajucie pierwszego pomocnika. Było takie stanowisko stworzone specjalnie dla zagranicznych rejsów — czekista—oficer polityczny. A ponieważ „Segieża” szła Północną Drogą Morską, czyli na wodach wewnętrznych, kajuta czekisty była pusta. Dzieliłem ją z rysownikiem, nie pamiętam już z jakiego czasopisma, ale też w delegacji. Na „Segieży” zaprzyjaźniłem się z doktorem Pawłyszem, kapitanem Zagrebinem i innymi członkami załogi. I wszystko było dobrze, do chwili gdy na Morzu Karskim niespodziewanie natrafiliśmy na kry i złamaliśmy śrubę. „Segieża” dotarła do Diksona, gdzie ugrzęzła na długo — trzeba było wymieniać skrzydło śruby. W Tiksi już Olega nie zastałem. Musiałem za to szybko wyruszyć w następną delegację, do Szwecji, do miasteczka Ronneby. Odbywała się tam konferencja Pugwash, gdzie miałem pracować jako tłumacz symultaniczny.

W rezultacie musiałem opuścić „Segię” w Chatandze. Zacząłem czekać na samolot, żeby przemknąć nad naszym krajem i polecieć do Szwecji. Miałem tylko cztery dni. Pogody nie było, samolotów też nie było, ale ponieważ w ciągu czterech dni dziennikarz da radę poznać wszystkich w pięcioletnim mieście, w końcu umieszczono mnie na statku wojennym. Statek podrzucił mnie do Archangielska, skąd do Moskwy było już niedaleko.

Gdy następnego dnia dotarłem do Szwecji, znalazłem się w miasteczku Ronneby, pod względem liczby ludności bardzo przypominającym Chatangę. Tylko problemy te dwa miasteczka miały różne.

Ronneby w tych dniach, podobnie jak cała Szwecja, przechodziło na ruch prawostronny. Na skrzyżowaniach dyżurowali poważni uczniowie z opaskami na rękach, przypominając pieszym, żeby patrzyli najpierw w lewo, potem w prawo, a nie jak zazwyczaj. Życie miasta było zakłócone i podobno w niektórych sklepach dało się zaobserwować problemy z bananami.

W Chatandze w szpitalu wojskowym dzieliłem pokój z dyrektorem kopalni węgla, znajdującej się w tundrze, sto kilometrów od miasta. Dyrektor przyjechał walczyć z komitetem rejonowym. Miał umowę z handlarzami, że wódkę przywożą mu w soboty, dzięki czemu w dni wolne górnicy mogli się spokojnie napić, a w poniedziałek przyjść do pracy. Aż tu nagle zaczęto mu przywozić cztery razy więcej wódki niż dotychczas. Praca kopalni została zakłócona, a gdy żony górników, a nawet sami górnicy kłęli, wyjaśniano im: „Nie martwcie się, to nie dla was, to dla Nienców. Jak przyjadą z tundry, to zabiorą”.

Cynizm tego oświadczenia był oczywisty. Niencom nie wolno sprzedawać wódki, ale oni chcą się napić. No to przywozi się wódkę niby na kopalnię. Dyrektor był oburzony. Nie tyle martwiło go rozpijanie Nienców, ile żal mu było swoich górników i kopalni. Gdy wyjeżdżałem, on nadal szalał w obojętnych gabinetach. Ale co można zrobić? W Chatandze była tylko wódka i konserwy. Na brudnych ulicach leżało więcej pijanych Nienców niż Rosjan — szybciej się upijali. A takiej ilości plakatów i hasel głoszących nadejście komunizmu nie widziałem nigdzie poza Diksonem.

W Ronneby trwała konferencja, gdzie pracowałem jako tłumacz symultaniczny — praca, moim zdaniem, wyczerpująca. A załatwił mi ją znajomy z wydawnictwa Mir, tłumacz Igor Poczitalin, swój człowiek w administracji prezydium. To właśnie on mnie chronił. Na tej konferencji po raz pierwszy zetknąłem się z wielkimi świata uczonych. Na zdjęciach, które zostały mi na pamiątkę tej i podobnych konferencji, widnieje akademik Kapica, Engelhardt, Millionszczikow, Arcymowicz. Nie mówiąc już o kwiecie nauki światowej. W tamtych latach naukowcom wydawało się, że mogą coś naprawić i zmienić na lepsze. Nasza propaganda wykorzystywała ich, jak mogła.

Wśród etatowo wyjeżdżających za granicę akademików trafił się odszczepieniec, którego nigdy nie wypuszczano, bo był opozycjonistą i człowiekiem niepewnym. Nazywał się Piotr Leonidowicz Kapica i fakt, że był wybitnym fizykiem, wcale naszych urzędników nie martwił.

Ale czasy się zmieniały, wszystkie argumenty przeciwko jego wyjazdowi do wrogiego zachodniego świata wyczerpały się widocznie i w 1967 roku wypuszczono go do Szwecji.

Zresztą z punktu widzenia urzędasów jechali tam radzieccy naukowcy znacznej wyższej klasy. Mam tu na myśli nie tylko wiceprezesa Akademii Nauk Milionszczikowa, ale również towarzyszy z KC. Więc Engelgardt i Kapica znaleźli się na drugim planie i nie wrywali się za bardzo do przodu. Niemniej nasze kierownictwo stale spodziewało się po Kapicy jakiegoś wyskoku. Pamiętam, jaki szum podniósł się w kierowniczych kręgach, gdy w jakiejś dyskusji o wojnie wietnamskiej Kapica nagle wstał i powiedział amerykańskiemu koledze Rabinowiczowi, że wypalając napalmem lasy, Amerykanie zajmują się jak plemiona pierwotne karczowniczym rolnictwem ogniowym, co jedynie przyspiesza wzrost roślin.

— To woda na ich młyn! — szeptali obok mnie wysoko postawieni donosiciele.

Konferencja się skończyła i całą hurmą delegacji specjalnym rejsiem przelecieli do Sztokholmu. Dzień był szary, deszcz wiał na włosku, tłum delegatów zszedł na płytę lotniska — czekali na naszego ambasadora, który miał przybyć lada moment i którego należało zawieźć prosto do hotelu. Tłumacze i uczeni drugiej klasy marzli z boku.

Wtedy na lotnisko wpadł niewielki orszak samochodów. Samochody zahamowały tuż przed samolotem. Nasze kierownictwo ruszyło pewnie w ich stronę.

Z pierwszego samochodu, na którym trzepotał szwedzki sztandar królewski, wyszedł pewien dżentelmen w mundurze admirała i głośno zapytał:

— Czy mógłbym się widzieć z profesorem Kapica? Jego Wysokość król Szwecji przysłała po niego swój samochód.

Co za niezręczna sytuacja! Przecież skromnego Piotra Leonidowicza odepchnięto do tyłu i teraz trzeba się było pokornie rozstąpić.

Drugi przykład sprawiedliwości historycznej miał miejsce na następnej konferencji Pagwash, która odbywała się u nas, w Soczi.

Niektórzy uczeni przywieźli do tego kurortu swoje żony.

Znudzone akademickie damy wyruszyły na wycieczkę po jeziorze Rica. Należy wspomnieć, że wiele dam zachodniego świata doskonale znało język rosyjski. Jedne dlatego, że pochodziły z Odessy, inne się go nauczyły. Należała do nich pani Moch, żona Julesa Mocna, premiera Francji, który również brał udział w tej konferencji.

I oto panie przechadzają się nad brzegiem jeziora, zachwycają pejzażami, a z naprzeciwka niepewnym krokiem zbliża się znany radziecki poeta. Na jego widok pani Moch wykrzyknęła:

— Ach, przecież ja wykładam na Sorbonie literaturę radziecką, omawiam między innymi utwory tego poety!

Wśród dam nastąpiło poruszenie. Zaczęły prosić tłumaczkę, by przedstawiła je poecie. Tłumaczka zachwycona mającym nastąpić za chwilę zjednoczeniem inteligencji całego świata, podbiegła do poety i oznajmiła mu, że owe starsze panie bardzo pragną go poznać.

Poeta chyba nie do końca załapał, o co chodzi, obrzucił skacowanym spojrzeniem podnieconą grupkę dam i twardo oznajmił tłumaczkę:

— Sram na te kwoki! Zapadła cisza.

Oto załamywała się wiara w piękno.

W absolutnej ciszy miniaturowa pani Rabinowicz, żona prezydenta Amerykańskiej Akademii Nauk, podeszła zdecydowanym krokiem do poety, wspięła się na palce i wymierzyła mu policzek.

— Dżentelmeni tak nie postępują — powiedziała czystym językiem rosyjskim.

Usatysfakcjonowana moralnie grupa żon naukowców udała się do swojego autokaru.

Tamtej jesieni byłem bardzo zajęty. Czekala mnie jeszcze jedna podróż do Bułgarii, na zaproszenie naszej przyjaciółki Brigitty Tempest.

Pomiędzy Szwecją i Bułgarią wymyśliłem statek kosmiczny, który byłby całkiem zwyczajny, jak „Segieża”, i którego załoga też byłaby zwyczajna, jak ta na „Segieży”. Pomyślałem, że nazwę ten statek imieniem jego ziemskiego prototypu, a głównym bohaterem uczynię Sławę Pawłyszka. Oczywiście, nie będzie bardzo podobny do mojego przyjaciela, ale w jakiś sposób bliski Sławie.

To nie był dobry pomysł. Nigdy więcej nie wykorzystywałem prawdziwych ludzi w charakterze bohaterów literackich — jedynym wyjątkiem był profesor Minc w Wielkim Guslarze. Nie warto tego robić. Na swoje usprawiedliwienie, a przynajmniej wyjaśnienie powiem, że bardzo ciepło wspominam „Segieżę” i tamtą podróż.

W Bułgarii pieniądze szybko się skończyły, ale byłem już na tyle bezczelny, że gdy Brigitta zaprowadziła mnie do czasopisma „Kosmos”, przedstawiłem się jako pisarz z Moskwy, choć miałem na swoim koncie tylko dwa opowiadania i kilka bajek dla dzieci.

Redaktor „Kosmosu”, Sławko Sławczew, otworzył szufladę biurka i wyjął butelkę pliski. Przeżyłem szok — my zawsze piliśmy w tajemnicy i nigdy się do tego nie przyznawaliśmy, a tym bardziej przed obcokrajowcami.

Redaktor Sławczew porozmawiał z mną o życiu i fantastyce, i zapytał, czy nie mógłbym zaszczyścić czasopisma swoim nowym opowiadaniem.

Po chwili zastanowienia odpowiedziałem: „Mógłbym”.

Wyruszyliśmy do górskiego kurortu Borowiec, wynajęliśmy tam za czysto symboliczną opłatę pokój w domu pracy twórczej (Bułgarzy traktowali mnie jak kolegę po piórze). Okno zajmowało całą ścianę i wychodziło na zbocze góry. Po obu stronach stały potężne świerki, a pośrodku zieleniła się „alpejska” łąka, po której od czasu do czasu spacerowały „szwajcarskie” owieczki. Na dole była sala kominkowa, w której, jak doskonale pamiętali wszyscy bułgarscy pisarze, wydarzyła się niegdyś niesamowita rzecz.

Było to w pięćdziesiątym szóstym roku.

Do Borowca przyjechało dwóch scenarzystów, którzy w żaden sposób nie mogli przestać pić i zacząć tworzyć.

Pewnego dnia młodszy ze scenarzystów (nazwiska nie podaję świadomie, bo nie wiem, jaka jest obecnie i jaka będzie jutro władza w Bułgarii), usłyszał, że z pokoju starszego scenarzysty dobiega stuk maszyny do pisania. Znosił to całą godzinę, gotując się z niezadowolenia. W końcu nie wytrzymał i wpadł do pokoiku przyjaciela z okrzykiem: „Co ty tam piszesz?!”. Przyjaciel wyciągnął z maszyny kartkę papieru, na której był portret młodszego scenarzysty zrobiony literą Ż.

Już mieli się serdecznie pośmiać, gdy wtem wbiegł któryś z sąsiadów i krzyknął:

— Rewolucja na Węgrzech!

Następnego dnia cała Bułgaria siedziała przy radiu, łapiąc wieści z Budapesztu. Bułgaria przeżywała rozłam: jedni życzyli powodzenia Węgrom, inni byli stronnikami twardej linii radzieckiego rządu.

Któregoś wieczoru wszyscy mieszkańcy domu pracy twórczej siedzieli po kolacji w sali kominkowej i omawiali wydarzenia na Węgrzech. Był tam również przewodniczący Związku Pisarzy, człowiek mający w Bułgarii spore znaczenie.

Nieoczekiwanie program został przerwany i po krótkiej chwili rozległ się głos spikera:

— Drodzy obywatele! Władza okrutnych bolszewików w Sofii została zrzuciona! Tymczasowy komitet rewolucyjny prosi o natychmiastowe aresztowanie wszystkich aktywnych członków partii i ich pomocników. Śmierć komunizmowi! Niech żyje wolność!

Wszyscy zamarli wstrząśnięci.

Wtedy drzwi otworzyły się na oścież i na progu stanęło dwóch posepnych młodych ludzi w góralskich kozuchach, z automatami w rękę. „Komuniści, wstać! — krzyknął jeden nich. — Stanąc twarzą do ściany!”. Wszyscy pisarze, włączając najwierniejszych partyjniaków, zamiast wstać, jak jeden mąż odwrócili się do przewodniczącego Związku Pisarzy, czekając na pomoc i wsparcie.

A przewodniczący zrobił coś nieprawdopodobnego.

Zerwał się i zaczął nerwowo krzyżeć, że jego wstąpienie do partii było podstępem, że chciał ją rozwalić od wewnątrz, że zawsze nienawidził komunistów i gotów jest wstąpić do oddziału rewolucyjnego choćby zaraz, by zlikwidować w Bułgarii zarazę komunistyczną.

Wtedy ku zaskoczeniu wszystkich młodzi ludzie parsknęli śmiechem. Okazało się, że byli to specjalnie do tej roli wynajęci przyjaciele scenarzystów. Scenarzyści nawet dali im automaty — rekwizyty zdobyte od grupy filmowców, która w sąsiedztwie kręciła film historyczny.

Inscenizując atak rewolucjonistów, scenarzyści nie spodziewali się, że przewodniczący Związku Pisarzy zachowa się w taki sposób.

W efekcie pastuchów, którzy zagrali te role, aresztowano za chuligańskie wybryki i kradzież broni; scenarzystów wygoniono ze Związku Pisarzy i zabroniono pracy w filmie. Natomiast przewodniczącemu Związku Pisarzy nie zrobiono nic. Było jasne, że uczciwy partyjniak padł ofiarą ohydnej prowokacji wrogów socjalizmu. Pikanteria sytuacji polegała na tym, że młodszy scenarzysta był Bohaterem Bułgarii. Tytuł ten otrzymał za to, że jako chłopiec walczył w oddziałach partyzanckich przeciwko faszystom. Przewodniczący Związku Pisarzy takiej biografii nie posiadał.

I właśnie w tym Borowcu siedziałem i z braku długopisu ołówkiem pisałem swoje pierwsze guslarskie opowiadanie. Tak, tak — mój Wielki Guslar narodził się właśnie w Bułgarii. Stąd do opowiadania „Związki o charakterze osobistym” przeniosła się droga do lasu jako miejsce akcji. Waśnie tam zobaczyłem brygadę remontową i właśnie tam wydawało mi się, że namalowany na okrągłym znaku drogowym robotnik ma nie dwie, lecz trzy nogi.

A może drogę naprawiają kosmici?

Napisane ołówkiem opowiadanie zawiozłem do „Kosmosu”. Sławczew przyjął je i opublikował, a ponieważ nie posiadałem oryginału, przetłumaczyłem je później z bułgarskiego. Moje pierwsze guslarskie opowiadanie narodziło się poza ojczyznę.

Historia o rewolucjonistach, którą usłyszałem w Borowcu, oraz inne historie z życia tychże scenarzystów nie dawały mi spokoju. Wtedy nadszedł siódmy listopada — pięćdziesiąta rocznica Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Poszliśmy na pochód ludzi pracy i paradę sił wojskowych.

Szczególnie duże wrażenie zrobił na mnie jeden obraz — pochód otwierał tłum ludzi ubranych w marynarskie kurtki, szynele i armiaki. Nieśli czerwone sztandary i ciągnęli za sobą cekaemy. Od czasu do czasu się kładli się za nimi i celowali do mauzoleum Dymitrowa. Na trybunie mauzoleum stała elita Bułgarii Ludowej. Ci ludzie szturmowali Pałac Zimowy. Samego pałacu nie było — należało użyć wyobraźni.

Wszystkie elementy układanki ułożyły się we mnie, rozbłysła błyskawica i zrozumiałem, o czym chcę napisać.

Wróciłem do Moskwy i po kilku miesiącach, gdy już wszystko się uspokoiło, napisałem mikropowieść „Wpadka ‘67’”. W Leningradzie, w związku z pięćdziesiątą rocznicą rewolucji, postanowiono przeprowadzić jubileuszowy, pokazowy szturm Pałacu Zimowego i ukazać rewolucję w radiu i telewizji, specjalnie dla zagranicznych gości i wszystkich ludzi pracy.

Szturmować Pałac Zimowy mieli milicjanci i przodownicy pracy. A kto będzie bronić? Batalion kobiety postanowiono utworzyć z przewodników i młodszych pracowniczek naukowych

Ermitażu, oddział junkrów — z młodszych pracowników naukowych płci męskiej.

Pracownicy organizują zebranie komsomolskie, w czasie którego, jako uczeni obywatele radzieccy, dochodzą do wniosku: w szturmie wezmą udział elementy nietrzeźwe, a nawet chuligani, a to znaczy, że majątkowi narodowemu grozi straszliwe niebezpieczeństwo!

Wtedy delegacja z Ermitażu leci do komitetu okręgowego. Komitet oczywiście piętnuje komsomolców za negatywne myśli i obrażę radzieckich ludzi pracy.

Komsomolcom nie pozostaje nic innego, jak wrócić do muzeum i oznajmić stanowisko leningradzkich bonzów swoim towarzyszom. Podjęta zostaje decyzja: „Pałacu Zimowego nie oddamy! Skarby uratujemy!”.

Dalej zaczyna się nasz zwykły burdel.

Krażownik „Aurora” wpływa na mieliznę i pocisk, zamiast w Pałac Zimowy, trafia w Smolny.

Lenina (aktora ucharakteryzowanego na wodza) aresztuje na ulicy ochotniczy oddział milicji grający rolę posterunku Gwardii Czerwonej. Bierze wodza za szpiega rządu tymczasowego.

Komsomolcy odbijają kilka szturmów, aktor grający Kiereńskiego przejmuje władzę w kraju, a Biuro Polityczne z Breżniewem na czele po daremnej próbie zbombardowania Leningradu oddaje władzę.

Napisałem powieść i tym samym przeszedłem do kategorii autorów social fiction.

Co prawda, nikt prócz moich najbliższych przyjaciół nawet tego nie podejrzewał.

Bałem się ją pokazywać.

Stosunek do social fiction był coraz gorszy. W latach siedemdziesiątych w Młodej Gwardii rozgonili wspaniałą redakcję Żemajtisa wydającą fantastykę. Miejsce Żemajtisa, Klujewej, Michajłowej zajęli pozbawieni talentu niszczyciele, dla których nazwisko Strugaccy brzmiało jak przekleństwo. Starali się oni zagarnąć całą krajową fantastykę, żeby nikt prócz „swoich” nie mógł być drukowany. Pamiętam, jak w momencie kolejnej zmiany „na górze” Świetłana Michajłowa, dawny redaktor Młodej Gwardii, która po pogromie redakcji przeszła do WAAP — u, zaproponowała mi, żebym poszedł wraz z nią do nowego szefa. Chciała wy badać, czego on chce. Rozmowa była serdeczna, spokojna. Zachęcona sympatycznym przyjęciem Świetłana spytała: „Jak szef zapatruje się na social fiction?”. Szef zmierzył Świetlanę surowym komsomolskim spojrzeniem i odpowiedział z lekkim uśmiechem:

— Dziele tę fantastykę na dwie części. Pierwszą posyłam do kosza, drugą do KGB.

Po takim stwierdzeniu pożegnaliśmy się szybko. Wkrótce potem moje powieści, leżące wówczas w wydawnictwie, doczekały się „wspaniałych” recenzji. W recenzji „Cudzej pamięci” napisano: „Wiemy, co ma na myśli autor, pisząc, że nad placem Czerwonym gromadziły się ciemne chmury”. Recenzję „Białej sukienki kopciuszka” napisał sam Aleksander Kazancew. Stwierdził, że moim tajnym celem jest dyskredytacja radzieckich kosmonautów.

Nie chciałem się kłócić i sprzeciwiać — w tym czasie byłem pisarzem Detgizu i dużo pracowałem dla filmu. Ale nalegać, by mimo wszystko drukowano mnie w Młodej Gwardii, nie mogłem — nie stał za mną ani Związek Pisarzy, ani partia.

Co się zaś tyczy „Wpadki”, czekał ją zdumiewający los.

Od czasów „Wpadki ‘67” napisałem do szuflady wiele powieści i opowiadań. Nie jestem bojownikiem. Żyłem w ZSRR, pracowałem w instytucie i myślałem, że umrę w niedobudowanym socjalizmie. Jak każdy fantasta, nie jestem prorokiem.

„Wpadka” przepadła. Komuś dałem do poczytania, ktoś nie oddał, a ostatni egzemplarz musiałem zniszczyć, spodziewając się rewizji w związku ze sprawą numizmatyków.

Minęło wiele lat i zdążyłem już o niej zapomnieć, gdy nagle pięć czy sześć lat temu oznajmiono mi z Leningradu, że moja powieść leży w papierach mojego przyjaciela, petersburskiego reżysera, liii Awerbacha, twórcy wspaniałych filmów. Stamtąd trafiła do petersburskiego czasopisma, a

petersburska telewizja zdecydowała się nakręcić film (pierestrojka była w pełni).

Ukończono go jesienią 1993 roku. Reżyser wyznał, że miał problemy ze znalezieniem aktorów. Nie tylko z powodu ciągłego braku pieniędzy, ale również dlatego, że aktorzy bali się grać w tym filmie. „Jak komuniści wrócą do władzy, będziemy się mieli z pyszna”.

Film pokazano w telewizji petersburskiej w nocy z trzeciego na czwarty października 1993 roku. Projekcję powtórzono siódmego listopada. Od tamtej pory pokazywano go co roku podczas październikowych uroczystości. Było to dla mnie bardzo miłe. Ostatnio przestali pokazywać.

Muszę powiedzieć, że dialektycznie z dowolnej sytuacji, nawet nieprzyjemnej, można wyciągnąć pewne korzyści.

Ja na przykład wyciągnąłem sporo przyjemności ze swojego „nienależenia” do Związku Pisarzy.

Mniej więcej w połowie lat siedemdziesiątych wezwał mnie do siebie zastępca przewodniczącego WAAP (agencja praw autorskich, odbierająca pieniądze, które pisarze otrzymywali za publikacje za granicą) Szczetinin i powiedział:

— Co pan na to, żeby pojechać z Klujewą do Stanów?

Patrzyłem na niego zbity z tropu — stanowczo były to dla mnie za wysokie progi!

— Proszę mnie dobrze zrozumieć — powiedział w zaufaniu. — Potrzebujemy człowieka, który zdoła porozumieć się z Amerykanami i wziąć udział w kampanii reklamowej w Stanach. Jeśli zwrócimy się do Związku Pisarzy i poprosimy, żeby puścili Arkadija Strugackiego, to dostaniemy jednego z sekretarzy. Bez znajomości języka i zagadnienia, za to chciwego i brzuchatego. A w pana przypadku nikogo nie musimy się pytać.

Szczetinin, człowiek ostrożny, wyraził to może innymi słowami, ale sens był właśnie taki.

No i pojechałem do Stanów. Byłem tam dwa razy i za każdym razem w tajemnicy przed pisarzami. Uczciwie pracowałem jako tłumacz, agent reklamy i dobrowolny pomocnik WAAP.

W ten sposób państwo zwróciło mi część zabranych pieniędzy.

Dopóki nie zamknięto mi granic z powodu sprawy numizmatyków, byłem również w kilku innych krajach — nie tylko z ramienia WAAP. Na przykład w Polsce wydawano wtedy sporo moich książek i miałem tam bliskiego przyjaciela, Tadeusza Goska. Jeździliśmy do siebie na zaproszenia.

W Krakowie los się do mnie uśmiechnął.

Często chodziliśmy tam z Tadeuszem do antykwariatu, gdzie sprzedawano amerykańskie książki — w ZSRR niesamowicie deficytowy towar.

— Niestety, nie mamy dziś zagranicznych książek — oznajmił sprzedawca. — Pan Stanisław Lem, który je nam daje, od dawna nie przychodził.

Wtedy Tadeusz, chcąc pokazać, że i my nie od macochy, wskazał mnie i oznajmił właścicielowi:

— To również pisarz. Radziecki pisarz fantasta. Sprzedawcy rozbłysły oczy, twarz rozjaśnił w uśmiechu (jak nigeryjski doker rozjaśnia twarz na widok zdjęcia Lenina) i wyciągając do mnie obie ręce, wykrzyknął:

— Witam serdecznie, panie Strugacki!

W czasie moich podróży do Ameryki udało mi się spotkać z amerykańskimi pisarzami. Teraz tym nikogo nie zadziwię — oni sami do nas przyjeżdżają i jeszcze proszą o pieniądze. A wtedy, w latach siedemdziesiątych, nazwiska tych pisarzy były znane jedynie z publikacji wydawnictwa Mir. Gdy znalazłem się na konferencji w Nowym Jorku, dygałem z szacunku, jak prowincjonalny tragik w Teatrze Aleksandryjskim.

Podawał mi rękę sam Asimov, rozmawiał ze mną Ellison, słuchałem Simaka, spierałem się (tak

zhardziałem!) z Frederickiem Pohlem, występowałem w radiu razem z Lesterem del Reyem. A przede wszystkim zaprzyjaźniłem się z Jamesem Gunnem, całą dobę piłem z Gordonem Dicksonem i Benem Bova, nie mówiąc już o jego pięknej żonie Barbarze Benson.

Potem wszystkie te kontakty się urwały, nie umiem ich podtrzymywać. Został Ben Bova i James Gunn. I dwadzieścia książek Gordy Dicksona, które przyniósł mi na pożegnanie.

ROZDZIAŁ 15

DEBIUT ALKOHOLOWY

Nigdy nie przypuszczałem, że trafię do filmu.

Zdarzyło się to w 1976 roku. Jednocześnie zadzwoniło do mnie dwóch reżyserów. Roman Kaczanów z Sojuzmultfilmu zaproponował zrobienie pełnometrażowego filmu na podstawie „Podróży Alicji”. A Riczard Wiktorów, po sukcesie swojego dwuodcinkowego filmu „Chłopcy we wszechświecie”, zdecydował się powrócić do fantastyki.

Riczard Wiktorów zaprosił mnie na premierę swojego filmu. Pamiętam, że premiera odbywała się w Domu Literatów, gdzie nigdy wcześniej nie byłem. Na dole schwytały mnie dyżurne i puściły dopiero wtedy, gdy Riczard przybył mi na ratunek. Wiktorów był wstrząśnięty, że istnieją pisarze, który nie byli w takim miejsu.

Ja z kolei byłem zdumiony wyglądem Riczarda, ponieważ zupełnie inaczej wyobrażałem sobie reżysera. Miałem nawet doświadczenie pracy aktora w filmie — zdobyte na krótko przed opisanym spotkaniem z Wiktorowem.

Moi przyjaciele, Sława Szalewicz i jego towarzysze, młodzi i niebogaci aktorzy, żyli w jednej wielkiej komunalce, w starym domu, który przytulił się do Teatru Wachtangowa. I gdy zaproszono ich do pracy w filmie „Hokeiści”, wzięli mnie ze sobą. Właśnie odrastała mi broda, więc z braku predyspozycji aktorskich reżyser zmusił mnie do grania rzeźbiarza (oczywiście z wątpliwą bródką) i trzymał w kadrze na tle portretu Hemingwaya, sądząc, że to bardzo zabawne. Ja w odwecie „zerwałem” mu zdjęcia, wykorzystując nabyte w Birmie doświadczenie chiromanty. Siedziałem sobie z boku i wróżyłem aktorom i członkom grupy z ręki, co zajmowało ich znacznie bardziej niż praca. W końcu musiałem opuścić plan i nie zostałem aktorem.

W tym właśnie filmie był reżyser z prawdziwego zdarzenia — biegał, krzyczał, rozkazywał i zachowywał się, jak na reżysera przystało.

A Riczard Wiktorów mocno utykał, miał masywne ciało i dobrą twarz, zawsze poważną i zadumaną. W tym zewnątrznie opanowanym człowieku wrzały namiętności, pasje, idee.

Choć życie potraktowało Wiktorowa surowo, w żaden sposób nie zepsuło mu to charakteru.

W dzieciństwie zachorował na gruźlicę kości i latem czterdziestego pierwszego wysłano go na Krym, do sanatorium.

I już nie udało się zabrać chłopca z powrotem.

Gdy wkroczyli Niemcy, Riczard wycofywał się razem z naszymi wojskami, w Kerczu leżał nawet przy cekaemie — wtedy nikt się już nie zastanawiał, kto dorosły, a kto dzieciak. Na jednym z ostatnich kutrów ciężko rannego w nogę Riczarda wywieziono do Noworosyjska, a następnie do rejonu rzeki Teberdy, do szpitala. Tam również wkrótce wdarli się Niemcy i dzieci ewakuowano górskimi ścieżkami.

Przez te wszystkie miesiące matka szukała Riczarda, nie wierząc, że zginął. Odnalazła syna w Baku.

Nim Wiktorów zaprosił mnie do Domu Literatów, wslawił się dwoma filmami fantastycznymi dla dzieci: „Droga do Kasjopei” oraz „Chłopcy we wszechświecie”. Wtedy (a także później) były to najlepsze filmy tego rodzaju w naszym kraju.

Ja i Wiktorów zaprzyjaźniliśmy się dość szybko — z tak przemiłym człowiekiem nie sposób się nie zaprzyjaźnić. Wspólnie napisaliśmy scenariusze do dwóch filmów, wprawdzie nie bijąc rekordów szybkości, ale za to bez konfliktów.

Współpraca z Wiktorowem nieodmiennie wiąże się z Jałtą w różnych porach roku. Z Czajną

Górką — „internatem” jałtańskiego studia, hotelami, od eleganckiej wówczas Jałty do internatów w czteropiętrowych blokach na stromych zboczach jałtańskich przedmieść.

Najbardziej pamiętną podróżą była pierwsza, gdy pisaliśmy scenariusz „Poprzez ciernie ku gwiazdom”. Pisaliśmy go we czwórkę: Wiktorów, Zagorski, operator Antipienko i ja. To byli wspaniali ludzie, ale trudni we współżyciu.

Oto dlaczego.

Oni mieszkali na Czajnej Górze, gdzie znajdowało się studio, a raczej akademik. Ja zostałem na dole, na nabrzeżu, w mojej Oreandzie.

Problem polegał na tym, że Wiktorów odżywiał się wyłącznie warzywami — oczyszczał organizm z mięsnej trucizny. Kostia Zagorski przechodził wegetariański etap swojego życia, to znaczy jadł wyłącznie surowe owoce. Ale wszystkich przebił Antipienko, który głodował zgodnie z dietą Bregga.

O dziewiątej wdrapywałem się na stromą górę. Kwitła glicynia, pachniało morzem, ranek był chłodny i wejście nie wydawało się trudne. Siadaliśmy do pracy.

Na stole stała taca z marchewką, sałatą i rzodkiewką. Pracowaliśmy do trzeciej, chętni chrupali marchewkę. O trzeciej, gdy kończyliśmy pracę, byłem u granic wytrzymałości.

Pożegnawszy się, Zagorski i Riczard szli przygotować sobie jakąś roślinną potrawę, a Antipienko brał wielką butlę, żeby na nabrzeżu kupić sobie wodę destylowaną — jedyne, na co pozwalał mu Bregg. Zejście na nabrzeże trwało jakiś kwadrans i przez cały ten kwadrans Sasza opowiadał mi o pracy swoich wnętrzności; dla głodujących to bardzo żywotne problemy.

Gdy schodziliśmy na dół, poznawałem ostatnie doniesienia z pola bitwy, barwę wypróżnień i odcienie moczu. Wszystko to niepokoiło potężny umysł Saszy!

Na nabrzeżu zegnałem się z Antipienką, on szedł do apteki, a ja pędziłem do restauracji, gdzie czekał na mnie krwisty befsztyk i sto gram wódki.

Jakoś dochodziłem do siebie.

Po miesiącu głodówki Sasza zaczął z niej wychodzić, zrobił coś nie tak i trafił na oddział intensywnej terapii. Na szczęście udało się go uratować...

Grupa filmowców zawsze przypomina swojego reżysera, jak stary pies swojego pana. Grupa Wiktorowa była solidna, rodzinna, nie psuły się samochody, oświetleniowcy nie mieli ciągów alkoholowych, aktorzy nie urządzali bijatyk w restauracjach. Wieczorem Riczard siadał przy telefonie i szczegółowo wypytywał swoje dzieci, które zostały w Moskwie, Anię i Kolę, co było dzisiaj w szkole i co mają zadane na jutro. Serdecznie współczułem jego dzieciom, ale cała rodzina, włączając mamę Riczarda, mieszkającą w tym samym domu na tym samym piętrze, była tak serdeczna, że jeśli nawet zdarzały się tam łzy, to nikt ich nie oglądał. A gdy my, dokooptowani do grupy, bawiliśmy się w mieście i wracaliśmy do hotelu po północy, mogliśmy zobaczyć na balkonie Riczarda milczącego, patrzącego na gwiazdy. Nie czynił nam żadnych wyrzutów. Wtedy przechodziliśmy w trucht, przerażeni i zawstydzeni rozbiegaliśmy się po pokojach.

Kilka lat później wróciliśmy do Jałty, żeby skończyć scenariusz i nakręcić nowy film fantastyczny, „Kometa”, nieszczęsny, nieładny, który zabił Riczarda i pozostał praktycznie nieznany. W tamtych czasach staraliśmy się w nim przekazać znacznie więcej, niż było wolno, i gdyby nie choroba Riczarda, film stałby się wydarzeniem. Nic dziwnego, że Goskino zażądało przeróbek zaraz po projekcji.

Nikt nie wie, że „Kometa” jest rekordzistą w kategorii liczby reżyserów, którzy w niej zagrali. Latem na Krymie jest sporo grup filmowych i działaczy kina. Riczard wpadł na pomysł, żeby ich wszystkich wykorzystać. W naszym filmie grali Władimir Basów, Jurij Czulukin i Paweł Arsenów.

„Kometa” była interesującą próbą podejścia do fabuły katastroficznej (bynajmniej nie nowej w

fantastyce) na naszym rosyjskim podwórku; pokazania, do jakiego idiotyzmu doprowadzi taka sytuacja w samym tylko Związku Radzieckim. Do Ziemi leci kometa (gdy pracowaliśmy nad filmem, do Ziemi leciała kometa Halleya), wszyscy uczeni, komentatorzy i inni znający się na rzeczy ludzie zapewniają naród, że kometa nie stanowi żadnego zagrożenia.

A na brzegu Krymu, w pewnym kurorcie wszystkich ogarnia panika, doprowadzona przez nas do skrajnego idiotyzmu. Okazuje się, że żadna kometa nie dorówna ludziom...

Zrobiliśmy „Kometę” i ostatniego dnia zdjęć Riczard dostał udaru. Żył jeszcze pół roku, ale nie odzyskał już dawnej formy.

Potem na materiał rzuciło się Goskino. Żaden reżyser nie lubi pokazywać obcym ludziom, a zwłaszcza kierownictwu surowego, niezmontowanego, nieudźwiękowionego materiału, ponieważ obcy ludzie, a zwłaszcza kierownictwo traktuje materiał jak ostateczny produkt. Bez Riczarda z jego siłą przebicia film był niczym sierota. Goskino wygłosiło ponad setkę zabójczych uwag. Ludzie radzieccy nie panikują i nie słuchają plotek! Zażądano wycięcia słów Uzbeka, który przeżył katastrofę statku: „Nawet herbaty nie ma!”. Uznano to za aluzję do przejściowego braku towarów w sieci handlowej.

Problem z aluzjami polega na tym, że pod pojęcie „aluzja” można podciągnąć wszystko.

Pozwolę sobie zrobić dygresję i przypomnieć dramat, jaki miał miejsce w czasopiśmie „Chimja i żyzn” — właśnie z powodu aluzji.

Puszczono artykuł o odżywkach dodawanych do karmy dla bydła. Nad tytułem widniał rysunek jadącej na czytelnika ciężarówce, załadowanej workami z owymi odżywkami; w kabinie siedziała szczęśliwa świnia i krowa.

Gdy czasopismo było już w drukarni, ktoś przypomniał sobie, że niedługo odbędzie się kolejny zjazd naszej ukochanej partii. Na żądanie redaktora ponad tytułami wszystkich materiałów numeru miał się pojawić napis: „Ku dwudziestemu któremuś tam Zjazdowi KPZR!”.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pewien urzędnik KC, kurator popularnego czasopisma. Otóż kartkując je przed wypuszczeniem, dostrzegł obrazek z krową, świnia i napisem na górze „Ku Zjazdowi...”. Przestraszył się, pobiegnął do kierownika sektora. Ten rzucił się do kierownika wydziału. Nie wiem, czy sprawa oparta się o Biuro Polityczne, ale ów kazus był przyczyną wygonienia z czasopisma przemilego, inteligentnego zastępcy reaktora naczelnego Czernienki (redaktor naczelny, akademik Pietrianow–Sokołow był istotą olimpijską i pojawiał się w redakcji tylko z okazji świąt). Decyzja KC brzmiała: cały nakład pod nóż! Czteryście tysięcy egzemplarzy!

Historia złowieszczo się powtarza — przypomnijcie sobie epizod z „Iskatiem”.

I wtedy redakcja, żeby uratować czasopismo, zwróciła się do autorów i przyjaciół czasopisma z błaganem, by jechać do miasta Czechowa i tam wziąć udział w operacji — wyciąć z numeru nieszczęsną stronę i wkleić na jej miejsce nową. Bez świni i krowy.

Przez kilka dni, zastępując się nawzajem, pracowaliśmy w Czechowie niczym stachanowcy. I uratowaliśmy czasopismo przed losem gorszym niż śmierć.

Przy okazji, w sąsiedniej redakcji zdarzyło się to samo. W czasopiśmie „Robotnica” — a może „Komunalne Choziajstwo” (Gospodarstwo Komunalne), nie pamiętam dokładnie — na okładce sfotografowane były pracowniczki przodującej pralni. W KC KPZR zauważono, że na piersi jednej z praczek połyskuje krzyżyk na łańcuszku. Okładkę zdzierano. Podejrzewam, że pracownika KC, który podjął tę decyzję, można dziś spotkać w cerkwi.

W żadnej antyutopii żaden z fantastów nie zdołał wymyślić niczego podobnego. Możliwe, że to właśnie stało się przyczyną obecnego kryzysu fantastyki — nasza rzeczywistość zawsze była bardziej fantastyczna od dowolnego wymysłu.

Wracam do „Komety”. Po śmierci Wiktorowa dostaliśmy innego reżysera, któremu za tę pracę obiecano zagraniczną podróż, a może nawet zdjęcia w Kenii — jeśli tylko przewróci film do góry

nogami, ze słabego, nieszczęsnego bohatera zrobi człowieka silnego, sprawiedliwego i partyjnego.

Dalej był szantaż. Mnie i operatora filmu, Rybina, wezwano, gdzie trzeba, i dano do zrozumienia, że jeśli odmówimy wzięcia udziału w poprawkach, film zostanie odłożony na półkę. Rodzina Wiktorowa, który nie był człowiekiem bogatym, zostanie bez środków do życia.

Poddaliśmy się.

Pisałem nowe teksty, siedziałem całymi dniami z Aloną Nikiną, która umiała dopasowywać teksty do ruchu warg, co jest ważne przy postsynchronach. Przerabialiśmy wypowiedzi bohaterów, zmuszając ich, by mówili coś innego.

Nadieżda Smiencowa, żona Riczarda, pognewała się na nas — i miała rację. Dla niej pamięć o mężu była ważniejsza od pieniędzy.

Wreszcie film został ukończony, wyszedł w kilku kopiach i nikt go nie widział. Co prawda, w ostatnich latach pokazywali go w telewizji.

Drugim reżyserem, który pojawił się w moim życiu w tym samym czasie co Riczard Wiktorów, był Roman Kaczanów, głośny, wesoły, gadatliwy człowiek, miłujący życie. Nigdy nie rozstawał się z notesem, w którym zapisywał własne dowcipne myśli i anegdoty. Łapał cię na korytarzu i otwierał notes. I to był twój koniec.

Roman postanowił zrobić film animowany „Podróż Alicji”, nazwany później „Tajemnicą trzeciej planety”, na podstawie mojej pierwszej dużej powieści o dziewczynce z XXI wieku.

Kaczanów był wówczas gwiazdą Sojuzmultfilmu. Co przyniosło mu sławę? Zdania były podzielone. Sam Roman uważał, że powodem był jego genialny film „Warieżka”, pozostali mieszkańcy naszego kraju znacznie lepiej znali Kiwaczka i krokodyla Gienię.

Praca z Kaczanowem była ciekawa, nawet wesoła, lubiłem jego grupę, pracowałem z nimi również przy innych filmach. Niemniej Kaczanów jako współpracownik był straszny. Uparty jak rozpuszczony brzdąc. Jeśli Kaczanów był czegoś pewien, z nikim nie dyskutował i nikogo nie słuchał. Najbliżsi współpracownicy mogli się kategorycznie sprzeciwiać, przywozić najrozsądniejsze argumenty, a on i tak robił po swojemu.

Kręcąc drugi film na podstawie mojej powieści, „Dwa bilety do Indii”, Kaczanów był już chory i kończył pracę z trudem. Mało kto słyszał o tym filmie. Może dlatego że nie ma w nim takich bohaterów jak Alicja, Zielony czy Gromożek, zrodzonych w wyobraźni utalentowanego rysownika Natalii Orłowej.

Do ciekawych doświadczeń z filmami rysunkowymi należy również film „Przełęcz” Władimira Tarasowa. Potężny Tarasów był, moim zdaniem, zawsze trochę za duży do filmów rysunkowych. W wąskich korytarzach i pokoikach Sojuzmultfilmu mieścił się z trudem. Dużo zrobił dla współczesnej fantastyki rosyjskiej w jej animowanym wariantcie, ale z jego wizją „Przełęczy” nie zgadzam się absolutnie. Być może, za bardzo liczył na wymyślone przez siebie niezwykle posunięcie. „W mojej grupie pracuje dwóch doktorów nauk — mawiał. — Kir Bułyczow pisze scenariusz, a Anatolij Fomienko, matematyk, rysuje”. Powstał formalny film, w którym grafika Fomienki żyje własnym życiem, tekst własnym, natomiast historia wędrówki do statku zostaje zepchnięta na drugi plan.

Z wieloma reżyserami prowadziłem rozmowy o nakręceniu fabularnej „Przełęczy”, ale w efekcie nic z tego nie wyszło. Szkoda, że właśnie ten film nie powstał. Wydaje mi się, że byłoby warto.

...Historia „Kometry” jest smutna i dramatyczna, a los filmu „Złote rybki” Aleksandra Majorowa to tragikomedia.

Był to debiutancki film, trwał trzydzieści minut i kręcono go na motywach mojego guslarskiego opowiadania „Świeża dostawa złotych rybek”.

W tym opowiadaniu spełniające życzenia złote rybki można było kupić w sklepie

zoologicznym. Całe miasto zyskało możliwość wyrażenia swojej woli. Niektórzy z mieszkańców zażyczyli sobie, by z kranu zamiast wody płynęła wódka. W związku z tym w filmie pojawiło się kilka zabawnych scen. Przysięgam, że nie wzywał on do alkoholizmu.

Film został nakręcony i oddany dokładnie w tym dniu, w którym wyszło przełomowe postanowienie Biura Politycznego o walce z alkoholizmem (jedną z konsekwencji tego postanowienia było wycinanie winorośli na Krymie).

„Złote rybki”, rzecz jasna, zostały zabronione. Nie pojawiły się na ekranie. Szkoda. Film był niezły.

Najbliżej sławy byłem, gdy na ekrany telewizyjne wszedł pięcioodcinkowy film Arsenowa „Gość z przyszłości”. Główną rolę zagrała w nim czarująca Nataszka Gusiewa.

I — stało się tak, że zakochało się niej sto tysięcy chłopców. Wszyscy chcieli ją poznać, chodzić z nią do kina albo odrabiać lekcje. Chłopcy pisali listy, studio imienia Gorkiego było nimi zawalone po dach. Wśród listów zdarzały się perły chłopięcej pomysłowości. Na przykład: „Drogi reżyserze! Kocham pana film, ale jeszcze bardziej kocham Nataszę Gusiewą. Jeśli wątpi pan w moje uczucia, mogę się ożenić. Kola, klasa VI b”.

O ile wiem, miłość takiej watahy młodych ludzi nie jest najlepszym prezentem. Jeśli nie odpowiadasz wzajemnością, twój wielbiciel może rzucić w ciebie kulką śniegu, a nawet gorzej. Prawie do ósmej klasy mama i babcia odprowadzały Nataszkę do szkoły i odbierały ją po lekcjach. W końcu Natasza poddała się naciskowi najbardziej upartego wielbiciela i wyszła za niego za mąż. Ale nie w szóstej klasie, lecz na studiach. Jeśli zdarzało mi się występować przed audytorium dzieci, wystarczyło, bym wspomniał, że to ja napisałem scenariusz do filmu „Gość z przyszłości”. Po sali przetaczała się fala zachwytu. Zrozumiałem, jakie miałem szczęście w życiu — znałem Nataszkę Gusiewą osobiście i w każdej chwili mogłem ją zaprosić do kina albo na lody.

Najbardziej egzotycznym filmem powstałym na podstawie moich utworów był „Rejonowe zawody domino”. To rock–opera. Widziałem go tylko raz, gdy reżyser ze studia w Swierdłowsku „zdawał” film. Dalsze losy filmu są mi nieznane.

Może warto wspomnieć, że przynajmniej dwa filmy kręcono dwa razy. Najpierw w Leningradzie zrobiono dwuodcinkowy film telewizyjny „Porwanie czarodzieja”, a dziesięć lat później jeszcze raz nakręcono go w swierdłowskim studiu filmowym. Reżyser pierwszego obchodził się z tekstem powieści jak z jajkiem, co filmowi tylko zaszkodziło. Drugi reżyser połowę filmu przeznaczył na sceny szturmów średniowiecznego miasta, co też nie wyszło filmowi na dobre.

Jeszcze śmieszniej było z powieścią „Sztuka rzucania piłki”. Najpierw nakręcili ją w Kazachfilmie pod tytułem „Rzut, albo wszystko zaczęło się w sobotę”. W powieści bohater po zażyciu tabletki zdobywa możliwość absolutnego sterowania swoimi ruchami. I oto bohater, gruby, niski, czterdziestoletni inżynier, zaczyna grać w koszykówkę — umie trafić piłką w kosz z dowolnego miejsca na boisku. Powstaje tragikomedia, nieadekwatność człowieka do jego pragnień... Gdy scenariusz, napisany przez Francuzowa i Szlepianova (ostatni ukrywa się pod pseudonimem) oddawano do studia, kierownictwo zabroniło wspominać o tabletkach — przecież to wypisz wymaluj doping, z którym ciągle walczymy. No i wychodzi na to, że grubasek po prostu miał niezwykły talent. Pod koniec filmu dzieli się swoimi doświadczeniami z dorastającym pokoleniem.

Po raz drugi nakręcono ten film w Moskwie, łącząc z opowiadaniem „Letni ranek”^{*}.

I to już chyba wszystko, co można powiedzieć o moich próbach robienia filmów. Nie zostawiłem wyraźnego śladu w kinematografii, ale spędziłem w świecie filmu kawał życia.

^{*} Na podstawie „Sztuki rzucania piłką” nakręcono film również w Polsce. Nosi tytuł „Sześć dni strusia”, reżyserował J. Żamojda.

Gdyby ktoś zapytał, jakie momenty w mojej kinematograficznej karierze najbardziej utkwiły mi w pamięci, nie potrafiłbym opowiedzieć o żadnych zdumiewających czy romantycznych przygodach. Scenarzysta to człowiek istniejący obok grupy, nie jest jej pełnoprawnym członkiem. Owszem, powitają go na lotnisku, ale rzadko się zdarza, żeby odprowadzali. By uniknąć rozczarowań, wystarczy trzeźwo ocenić własne miejsce w procesie tworzenia filmu. Nie ma sensu przeklinać reżysera za słabe filmy, kręcone na podstawie doskonałego przecież scenariusza. Zazwyczaj scenarzysta jest sam sobie winien.

Przychodzi mi do głowy jeszcze jedno wspomnienie.

Majorów kręcił „Złote rybki” w Kałudze. Poprosił mnie, żebym przyjechał, i gdy dotarłem do hotelu, okazało się, że grupa poszła już na plan zdjęciowy. Wyjaśniono mi, jak mam dojść do rzeki.

Ulica spadała do Oki ostro i małowniczo. Na końcu ulicy połyskiwała rzeka, przy brzegu była przystań. Zwykła rzeczna przystań.

Ze zwykłą tablicą z napisem „Wielki Guslar”.

Dziwne, pomyślałem. Skąd ja znam tą nazwę? Ale dlaczego Wielki Guslar? Przecież jestem w Kałudze!

Dopiero wtedy do mnie dotarło — to ja wymyśliłem to miasto! Ono nie istnieje!

A przystań istnieje. Oto wola kinematografu!

I wtedy na sygnał, z góry, z boku, z zaułku, z łaźni zaczęli wychodzić ludzie. Każdy niósł słoik albo akwarium ze złotą rybką. Grała orkiestra, biegały psy i pomyślałem, ile w ciągu swojego życia wymyśliłem i opisałem różnych zwierząt, ptaków, a nawet owadów!

ROZDZIAŁ 16

I INNE ZWIERZĘTA

Moje kontakty ze zwierzętami były znacznie skromniejsze, niżbym sobie tego życzył. Jak byłem mały, po naszym mieszkaniu stale coś chodziło. Myślę, że te zwierzęta znajomi mamy przywozili dla mnie, niemniej zajmowała się nimi mama. Ale zwierzątka były skromne i milczące: przeważnie żółwie, rzadziej jeże. Żółwie znajomi kupowali na Arbacie, w sklepie zoologicznym, a jeże przywozili z działek. Widocznie nie wiedzieli, że nie wolno tego robić. Kolczaste kuleczki wkrótce umierały.

Gdy miałem dziesięć lat, pojawił się szczeniak Kut'ka. Co się z nim później stało, nie pamiętam, pozostało tylko zdjęcie, jak trzymam go na kolanach. Za to Silwa, długonogi rudy kundelek, mieszkał u nas bardzo długo. Mówiłem wszystkim, że to łajka, nie chciałem się przyznać, że jest kundelkiem.

Najdłużej żyła Czita.

Dwanaście lat. Do samej śmierci.

Kundelki w domach pojawiają się i znikają, uciekają na działce za miastem albo na spacerze. Rasowe psy, jeśli nie zginą przypadkiem, żyją długo.

Czitę, jeszcze jako szczeniaczka, podarowali mamie Iwanowowie — rodzina wielkich rosyjskich tenisistów mieszkająca w skrzypiącym jednopiętrowym domu na Domnikówce. Teraz nie tylko po domu, ale nawet po ulicy prawie nie zostało śladu. Nikołaj Iwanów był żyłasty, wysoki, miał wielki nos i duże, ładne dłonie. Gdy przychodzili do nas w gości, on czyścił i układał na talerzu kilki — był mistrzem tworzenia srebrzystych chryzantem z bezgłowych rybek.

Czita była jednym z niewielu w Moskwie kerry blue terierów. Gdy rozsunęło się na grzbiecie gęstą czarną sierść, można było zobaczyć niebieskawą skórę. Strzyżono jej grzbiet, szyję i głowę niczym drzewo we francuskim w ogrodzie. Nogi wyglądały jak puszyste słupki. Czasem psy tej rasy można spotkać w Rosji, ale nadal są rzadkością. W Londynie w ogóle ich nie widziałem.

Czita była w domu gospodynią i to dzięki niej powstało słynne powiedzonko mamy: „Jakie z ciebie głośne zwierzę!”

Czita, jak była głodna, zaczynała turlać po całym mieszkaniu swoją miskę, robiąc przy tym mnóstwo hałasu. Jeśli to nie pomagało, brała miskę w zęby i stukała nią o podłogę.

Kotów mama nie lubiła. A ja każdego ranka zazdrościłem właścicielom kotów. Śpią sobie spokojnie, koty siedzą w toalecie, a ja muszę skoro świt w siarczysty mróz ścisnąć naciągniętą smycz.

Ale to wszystko były zwykłe zwierzęta.

Spotkań z niezwykłymi spodziewałem się, gdy po studiach przydzielono mnie jako tłumacza na budowę w Birmie.

Z tego, co czytałem o Birmie, wywnioskowałem, że to kraj tropikalny, w którym słonie, tygrysy oraz niezbyt duże nosorożce występują w wielkiej obfitości.

Nie byłem aż tak naiwny, by liczyć, że słonie powitają mnie na lotnisku. Ale może będą chociaż obok lotniska...

W Birmie byłem pół wieku temu i już wtedy większość jej mieszkańców widywała słonie jedynie w zoo, a nosorożców nie widywała wcale i nigdzie.

Nie ma w tym nic dziwnego i można to bardzo prosto wytłumaczyć.

W czasie studiów do Komitetu Organizacji Młodzieżowych, którego celem było umacnianie więzi pomiędzy młodymi ludźmi wszystkich krajów z pożytkiem dla ZSRR, przychodziły listy od

studentów obcokrajowców. Rozdzielano je pomiędzy nas i kazano odpisywać. Pamiętam list amerykańskiej studentki, która pytała, czy nocne spacery po Moskwie nie są niebezpieczne, skoro po ulicach chodzą białe niedźwiedzie.

Śmieszne?

Tak naprawdę nie ma w tym nic śmiesznego. W każdym przewodniku o Rosji można przeczytać, że białe niedźwiedzie, nie mówiąc już o brunatnych, są w naszym kraju powszechnie spotykane.

Nic więc dziwnego, że w Birmie egzotyczne zwierzęta zobaczyłem dopiero, gdy pojechałem w góry. Do tego czasu musiałem się ograniczyć do stworzeń mieszkających w ogrodach i przydrożnych rowach. Przeważnie należały do świata stawonogów albo płazów ziemnowodnych, których się nie widzi, lecz słyszy. W rowach z wodą żaby skrzeczały tak głośno, że przywodziły na myśl hipopotamy. Jaszczurki wydawały odgłos przypominający serię z cekaemu, owady — najróżniejsze dźwięki, a w porze deszczowej było ich tyle, że otulały uliczne latarnie niby czarnymi tiulowymi workami. Niektóre z tych dążących do światła stworzeń były wielkie, gryzące i wiedzieliśmy, że lepiej na nich nie siadać. Czasem w kinach zdarzało się, że z powodu kobiecych pisków musiano przerwać seans.

W porze deszczowej uaktywniały się również złośliwe skorpiony, szczególnie niebezpieczne w okresie godowym. Niebezpieczne mogły być również żmije, którym udawało się wpełznąć do mieszkania przez rynny.

Kiedyś wyruszyliśmy do Sandoway, kurortu w górach Arakan, na brzegu Zatoki Bengalskiej. Płynęliśmy tam na starym statku parowym, na obiad kapitan siadał do stołu pasażerów w białym mundurze, na pokładzie lądowały latające ryby, rekiny i delfiny płynęły w pianie za rufą, czekając na kuchenne odpadki.

W Sandoway mieszkaliśmy pod palmami, w chacie na brzegu. Nocą morze się świeciło. Gdyby wejść w nie po pierś i energicznie młócić wodę ręką, można by czytać. Plaża, zasypiana starymi orzechami kokosowymi, ożywała — niczym oszalałe biegały po niej niezliczone zastępy dużych krabów. Nie wiadomo, dokąd się tak spieszyły.

Chodziliśmy na polowania do jasnego ogromnego lasu, ale ani tygrysów, ani słoni nie widzieliśmy.

Dopiero pół roku później, w górach w stanie Szan, na wschodzie Birmy, udało mi się odwiedzić leśną szkołę, w której tresowano słonie. Byłem w niej pół godziny. Znajdowała się nieopodal szosy, którą zmierzaliśmy do miasta Taundzi. Nie przypuszczałem wtedy, że kilkanaście lat później, w Indiach, spędzę w takich szkołach kilka tygodni.

W Birmie, mimo ogromnej obfitości wszelkich stworzeń, nie miałem żadnego zwierzątka domowego. Jeśli nie liczyć tkaczy — ptaszków ze złotymi koronami na głowach, które wiły sobie pod moim oknem gniazdko przypominające ogromną gruszkę. Robiły to tak zmyślnie, że można było patrzeć na nie bez końca, jak patrzy się w ogień czy na morze.

Przez jakiś czas w naszym domu mieszkała małpka, makak, z pochodzenia Hinduska. Wcześniej mieszkała na statku, który przybył z Bombaju. Statek długo ładowano, więc marynarze stali się naszymi starymi znajomymi. Małpka miała okropny charakter. Z natury była zdobią, sprytną i pomysłową chuliganką. Swoje łajdackie wyczyny na statku zwieńczyła wtargnięciem na mostek. Znalazła tam zostawiony na stoliku sternika dziennik pokładowy i wylała na niego buteleczkę atramentu. Skakała potem po tym dzienniku, dopóki sternik i kapitan jej nie związali.

Po tym fackie została skazana na usunięcie ze statku i wysadzenie na brzegu. Stało się to w Rangunie.

O historii z dziennikiem dowiedzieliśmy się znacznie później. Najpierw zgodziliśmy się zaopiekować miłym, bezradnym stworzonkiem, które, zgodnie z zapewnieniami kłamliwych

marynarzy, fatalnie znosiło kołysanie statku. Gdy stworzonko pomieszkało u nas trzy dni, okazało się, że to potwornie zazdrosny samiec. Zakochał się w żonie Szarygina, kobiecie wysokiej, postawnej i pięknej. Szarygin miał problemy z położeniem się we własnym łóżku — małpa atakowała go groźnie.

Cała historia skończyła się katastrofą.

Przyjechał konsul Związku Radzieckiego. Jego wizyta była od dawna przygotowywana przez głównego inżyniera. Rzecz w tym, że budowniczy nie mieli prawa na bezcłowe zamawianie towarów — ten przywilej mieli dyplomaci i inni pracownicy ambasady. Owa ulga była budowniczym szalenie potrzebna, dawała im tym samym dostęp do tanich europejskich artykułów powszechnego użytku.

Kobiety przygotowywały dla konsula poczęstunek, ciasta i torty, żeby jego wizyta, formalnie tłumaczona pragnieniem zapoznania się z życiem ludzi pracy, przebiegała w naturalnej, niewymuszonej atmosferze.

O małpie wszyscy zapomnieli.

Konsul przyjechał, zaczął się uśmiechać, głośno mówić, a nawet całować ręce damom — w tym okresie był człowiekiem cywilizowanym i inteligentnym.

Rzecz miała miejsce na zatłoczonej werandzie.

Makak, rozzłoszczony brakiem uwagi, tłumem i hałasem, szybko zrozumiał, że ośrodkiem tego zamieszania jest łysy jegomość.

Wykonał dzielny sus i spadł dokładnie na potylicę konsula. Żeby się nie zsunąć, chwycił go łapami za uszy. A potem szybko załatwił potrzebę fizjologiczną. Wyglądało to tak strasznie, że nikt nie odważył się zaśmiać.

Zamówienia nie dostaliśmy, torty pozostały niezjedzone, małpę oddaliśmy.

A radca kulturalny, Doda Daniłow, malutki, okrągłutki, ostronosy, żartem albo serio — kto go tam wie — twierdził, że małpa została przygotowana do tego aktu terrorystycznego gdzie trzeba i przez kogo trzeba.

Po czym wbijał swój wypolerowany wskaźnik w rozmówcę i łyskał czarnymi oczami.

Zawsze mi się wydawało, że Doda Dawidów, który, rzecz jasna, miał normalne imię i nazwisko i który zajmował wysokie stanowisko radcy kulturalnego, został żywcem przeniesiony z okresu przedwojennego. Bardzo zręcznie umiał wszystkich podejrzewać i na wszystkich donosić. Niby nikomu nie groził i z nikim się nie kłócił, ale był straszny.

Typowy przykład. Do Birmy przyjechali na delegację z ramienia Akademii Nauk moi koledzy, Uzianow i Żabriejew. Uzianow był kierownikiem wydziału historii, a Afonia Żabriejew ekonomistą, moim rówieśnikiem i podobnie jak ja, szeregowym pracownikiem.

W tym czasie ja przynależałem do APN, Kira była w Moskwie i gdy okazało się, że moi koledzy nie mają gdzie mieszkać, bo zaszła jakaś pomyłka, postanowiliśmy, że na razie Afonia będzie spał ze mną na dwuosobowym łóżku. W ten sposób pokojowo współistnieliśmy przez kilka dni.

Mniej więcej po tygodniu Żabriejew chciał wejść do pokoju i nieumiejętnie operując kluczem, dreptał na wycieraczce pod drzwiami. Wycieraczka leżała na podłodze. Podłoga była wypastowana do połysku. Nic dziwnego, że wycieraczka odjechała spod nóg Afonii i Afonia z całej siły rąbnął na podłogę, uderzając się policzkiem o klamkę.

Pozostał siniak, ale w sumie nie było to jakieś szczególne wydarzenie i szybko byśmy o tym zapomnieli, gdyby konsul nie wezwał do siebie Uzianowa.

— Dostałem sygnał — rzekł — że pańscy podwładni, orientaliści, zachowują się w sposób skandaliczny.

— Nie rozumiem.

— Dowiedziałem się, że pobili się i Możejko tak skatował Żabriejewa, że ten nie może pokazać

się ludziom na ulicy.

Uzianow nie wiedział, śmiać się czy płakać, ale pomyślał, że śmiech w odpowiedzi na przemowę konsula byłby niebezpieczny. Szczegółowo wyjaśnił, co się właściwie stało, i zapewnił konsula, że Możejko i Afonia są wspaniałymi przyjaciółmi i nawet śpią w jednym łóżku.

Ta zupełnie niewinna uwaga wzbudziła panikę konsula.

— Tylko nie to! Tylko nie to! Jeszcze, nie daj Boże, on się o tym dowie! Jak to dotrze do Moskwy, nie tylko wy będziecie mieli nieprzyjemności, ale cały konsulat wymienią!

— Kto się dowie? — zapytał ostrożnie Uzianow.

Uzianow był niewysokim Czuwaszem o wystających kościach policzkowych, który nigdy nie podnosił głosu i zawsze był uprzejmy.

— Kto! Kto! Daniłow! A ty porozmawiaj ze swoimi orłami. I niech obok łóżka postawią połówkę. Jak ktoś zajrzy, nie będzie niczego podejrzewał.

Burza przeszła bokiem.

Kilka dni później w konsulacie było przyjęcie z powodu jakiejś rocznicy czy czegoś takiego. Uzianow zobaczył grubego Daniłowa, który spacerował po zielonym trawniku i wbijał wskaźnik w pierś kolejnego rozmówcy. Zbierał i rozdzielał informacje w odpowiednich dawkach wśród odpowiednich ludzi. Uzianow podszedł do Daniłowa i powiedział:

— Wie pan, w naszym konsulacie ktoś biegał do konsula.

— Po co? — zdumiał się Daniłow.

— Żeby oczernić moich przyjaciół. Wyobraża pan sobie, on wymyślił, że Możejko i Żabiejew się pobili.

— Niemożliwe!

— Moim zdaniem taki człowiek to zwyczajny łajdak. A jak pan myśli?

Daniłow nie zastanawiał się długo.

— Absolutnie się z panem zgadzam! Dokładnie! Łajdak! Na tym rozmowa się skończyła.

Potem spotkałem Dodę ze wskaźnikiem w naszym instytucie. Był jednym z tych byłych praktyków, których przed emeryturą umieszczano na kilka lat w naszym pojemnym instytucie. Daniłow spędzał godziny pracy w gabinecie Gafurowa albo w sąsiednim pokoju. Potem przeniósł się do komitetu partyjnego... a potem znikł. Przeszedł w stan spoczynku.

System stworzył donosicieli i donosy. Już od pierwszych lat jego istnienia było to zajęcie wygodne, dochodowe, a przede wszystkim sprawiało, że otoczenie, które nie umiało albo nie chciało donosić, zaczynało się bać donosiciela.

W Ghanie, gdzie trafiłem po Birmie, pracowałem jako tłumacz grupy budowniczych.

Grupa liczyła zaledwie trzy osoby. Ja i Marat stanowiliśmy młodą część grupy, jeden inżynier był osobą neutralną, a kierownik grupy, Antonow, okazał się jednostką niebezpieczną. Lubił sobie pogawędzić i siedząc nad brzegiem Oceanu Atlantyckiego przy szklance lemoniady, wspominać swoje życie. Każdą opowieść kończył słowami: „I wtedy na niego doniosłem”. Opisywane wydarzenia odnosiły się zazwyczaj do lat trzydziestych, a donosił nasz szef na „obrzydłych rutyniarzy” rzucających kłody pod nogi radzieckiej architektury.

Nie znosiłszy Antonowa, ale co mogliśmy zrobić? Było nas tylko czterech i musieliśmy jakoś przetrwać te trzy miesiące, włócząc się po bagnach, broniąc przed muchami i moskitami, nocując w prowincjonalnych hotelach i jadając w podejrzanych restauracjach.

Panował dręczący, wilgotny, zachodnioafrykański upał, przed którym nie chronił nawet pobliski ocean. Fale omywały biały piasek u podnóża murów starej portugalskiej twierdzy ozdobionej czarnymi żeliwnymi armatami, na których suszyło się pranie. W całej Akrze upał nie doskwierał jedynie pomnikowi wodza narodu Kwame Nkrumahowi. Posąg, ustawiony za życia wodza, stał z obwiązaną nogą na placu przed parlamentem — niedawno dokonano zamachu na

pomnik i raniono go bombą.

Przed zagłębieniem się w pradawne lasy tropikalne, kraj miłujących wolność Aszanti, Antonow zaciągnął nas do sklepu, żebyśmy kupili sobie szorty i getry — w spodniach się upieczemy. Szorty były bardzo drogie, ale posłuchaliśmy woli zwierzchnika. W ostatnim momencie Marat zapytał:

— A czemu pan nie kupuje?

— Ja nie mogę! Mam żyłaki! Ja bym z radością...

Marat i inżynier odlecieli przed zakończeniem delegacji, musieli pozalać jakieś dokumenty. Ja i Antonow lecieliśmy następnym rejsem, który ustawiłem tak, żeby spędzić kilka dni w Londynie, w oczekiwaniu na samolot Aeroflotu, a on latał do Anglii raz w tygodniu. Ludziom radzieckim surowo zabroniono latać samolotami innych kompanii.

Antonow nie miał nic przeciwko bezpłatnemu Londynowi.

Przed wylotem wziąłem od korespondenta „Komsomołki” numer „Timesa” i przejrzałem ogłoszenia pensjonatów. Wśród nich znalazłem pensjonat na Baker Street, za półtora funta dziennie ze śniadaniem.

Szef nie zgłaszał sprzeciwu. W ostatnich dniach przesiadywał nad listą rzeczy, które należało kupić w Londynie; wykreślał to, bez czego krewni mogli się obejść, i umieszczał nowe punkty. Listy były ściśle tajne i Antonow nosił je w kieszeni na piersi.

Zgodził się spędzić ze mną pięć dni w Londynie, ponieważ taki ogrom zakupów i tak staranny wybór wymagały pomocy tłumacza. Antonow należał do tego gatunku radzieckich specjalistów, którzy uważali za hańbę nauczenie się choćby jednego jedyne *thank you*. Oczywiście, wołałby się zmieścić w dwóch dniach, ale byłem mu niezbędny, więc stał się dobry i grzeczny.

Do Anglii nie chcieli nas wpuścić — angielski konsul w Ghanie wydał nam niewłaściwą wizę, ale moja rozpacz była tak ogromna, że angielski pogranicznik się zlitował. Wtedy jeszcze nigdzie się Rosjan nie bali — Rosjanin był posłuszny, tchórzliwy i cichy. I zazwyczaj biedny.

Przyjechaliśmy do pensjonatu Purpurowa Róża na Baker Street, gdzie dostaliśmy pokój na trzecim piętrze, wąski i długi. Cały dom był wąski i miał raptem cztery albo pięć pokoi.

Był grudzień i żeby nie zamarznąć, do gazowego licznika należało wrzucać szylingi — dwa albo trzy dziennie.

Pierwsze półtora dnia świadomie przeznaczyłem na Antenowa.

Praktycznie nie wychodziłem ze sklepów. Tyrałem po dziesięć godzin dziennie — usatysfakcjonowanie prostego radzieckiego architekta okazało się praktycznie niemożliwe. I gdyby nie moje gorące pragnienie, by jak najszybciej z tym skończyć, Antonow nigdy nie zdołałby zrobić zakupów w tej kapitalistycznej jaskini.

Jak na złość, miał mnóstwo pieniędzy. Gdzie je zdobył, jak przewiózł — nie wiem. Ale pod koniec drugiego dnia miał już dwa futra, dwa garnitury, magnetofon, radio tranzystorowe i masę innych, szalenie deficytowych rzeczy.

I wtedy nastąpiła długo wyczekiwana chwila. W jakimś sklepie po odejściu od kasy mój szef zaczął gorączkowo grzebać w portfelu, w wewnętrznych kieszeniach, w zewnętrznych kieszeniach... Okazało się, że skończyły mu się pieniądze. Całkowicie. Do ostatniego pensa.

Skończyła się również moja niewolnicza harówka. Nie musiałem już tłumaczyć jego chciwego sklepowego bredzenia, wysłuchiwać przekleństw pod adresem londyńskich sprzedawców, którzy wpychają człowiekowi diabli wiedzą co za straszne pieniądze i żadnych funtów człowiekowi nie starczy; nosić za nim ogromnych pakunków, brzydtko podejrzewając, że wszystkie zakupy dokonywane są za te srebrniki, które Antonow dostał za pracę donosiciela.

Pozostałe trzy dni były moją zemstą. A może tak mi się tylko wydawało.

Wstawałem rano, jedliśmy śniadanie w piwnicy wąskiego domu razem z czterema innymi gośćmi, dawałem szefowi szylinga na ogrzewanie i porzucałem go. Byłem przekonany, że nie

ruszy się z pokoju na krok — ze strachu przed prowokacjami i z obawy, że zgubi się w mieście, gdzie nie ma normalnych napisów, a autochtoni mówią w jakimś potwornym języku.

A ja wyruszałem na swoje wyprawy. Byłem w British Museum, zobaczyłem pierwsze olśniewające płaskorzeźby asyryjskiego polowania na lwy, chodziłem wokół Westminster Abbey, patrzyłem na „Mieszczan z Calais”, którzy przynieśli do Londynu klucz od swojego miasta, po prostu spacerowałem po ulicach i pokochałem Londyn na całe życie, czego szef nie potrafił zrozumieć.

Trzeciego dnia do tego stopnia przeszła mi złość na Antonowa, że zaprowadziłem go do kina. Kino było małe i bilety sprzedawała w nim ta sama dziewczyna, która dawała nam w pensjonacie śniadanie. Dzięki temu szef miał okazję wygłosić niewielki wykład o absolutnym i względnym zubożeniu angielskiej klasy robotniczej.

To były piękne dni.

Kilka tygodni później, już w kraju, zadzwonił do mnie Marat. Powiedział, że był w departamencie i zajrzał do znajomych dziewczyn z kadr. Dziewczyny pokazały mu w sekrecie przekazane z pierwszego wydziału sprawozdanie Antonowa z podróży. Prócz innych świństw było tam zdanie, które wstrząsnęło Maratem:

„Pomimo moich energicznych sprzeciwów, a nawet stanowczego zakazu, członkowie grupy udali się do angielskiego sklepu, w którym kupili sobie spodenki (szorty), by następnie, nie zwracając uwagi na moje energiczne protesty, chodzić i jeździć po naszej zaprzyjaźnionej Ghanie, udając angielskich kolonizatorów i kolektywnie poniżając godność ludzi radzieckich”.

O pobycie w Londynie Antonow nie napisał ani słowa.

Pod koniec lat siedemdziesiątych pojechałem do Indii z reżyserem Zguridim kręcić film o słoniach.

Miałem trzydzieści pięć lat, wyszły moje pierwsze książki i wydawało mi się, że nie wypada już wracać do pracy tłumacza.

Ale przede mną, osobą podejrzaną i niebezpieczną, zamknięto granicę.

Uświadomiłem sobie to wkrótce po tym, gdy zrozumiałem, że nie powinienem o tym wiedzieć.

W Bukareszcie odbywała się konferencja. Wszystkie formalności związane z moim wyjazdem zostały pomyślnie załatwione, aż tu nagle na dzień przed podróżą wezwano mnie do wydziału pierwszego. Tam się dowiedziałem, że na skutek jakiegoś nieporozumienia Rumuni nie dali mi wizy.

Wkrótce potem miałem pojechać na tydzień na Wschód z ramienia Akademii Nauk.

W przeddzień wyjazdu skład delegacji zredukowano o moją osobę.

Zrozumiałem, że to nie przypadek. Winna była trwająca właśnie sprawa numizmatyków, do której przystawałem jako osobnik podejrzany, zagadkowy i możliwe, że nawet przywódca szajki kolekcjonerów.

Wtedy postanowiłem poddać próbie totalizm systemu bezpieczeństwa.

W tamtych latach zagranica ostatecznie stała się oznaką państwowej i partyjnej łaski. Oprócz tajnej kontroli wprowadzono również jawną kontrolę dodatkową — komisję starych bolszewików, weteranów partii przy komitetach rejonowych. Należało się przed nimi stawić i odpowiadać na idiotyczne pytania. Co prawda, jeśli wysyłali cię w konkretnej sprawie i byłeś naprawdę potrzebny, zdania komisji nikt nie brał pod uwagę. Pamiętam, jak Misza Zenowicz z naszego instytucyjnego czasopisma trafił na wyjątkowo wrogo nastawioną komisję. Po obowiązkowych pytaniach, gdzie odbył się ostatni zjazd partii i na czym polega istota klasycznego dzieła Lenina „Krok do przodu, dwa kroki do tyłu”, zapytano go:

— No i tak. Jedziecie do Anglii. A znacie ichni język?

— Jadę jako tłumacz, wraz z delegacją.

- No tak. A pańscy towarzysze... czy oni znają angielski?
- Gdyby znali — rzekł Misza — po co mieliby brać mnie ze sobą?
- A więc, będziecie rozmawiać z ichnimi ludźmi, a nasi towarzysze was nie rozumieją?
- Nie rozumieją.

— I nie zdołają was kontrolować? To znaczy, że będziecie mogli przekazywać dowolne informacje, niekontrolowane?

I postanowili nie puszczać Miszy Zenowicza do Anglii.

To już zakrawało na parodię i Misza oczywiście pojechał. Ale przy przesłuchiowaniu zwykłych turystów starzy bolszewicy wyżywali się do woli.

Mnie oni nie zagrażali, ponieważ ludzie załatwiający moje dokumenty doskonale wiedzieli, że nikt mnie nigdzie nie puści, i całe załatwianie miało przekorny charakter. Wiedzieli, ale załatwiali.

Więc gdy jakieś osiem miesięcy później, po rozpoczęciu sprawy numizmatyków, mój rówieśnik Misza Mrozów, który, jak wielu moich kolegów z roku, pracował w jakimś międzynarodowym wydziale, zaproponował mi podróż do Indii z ramienia Goskino, uprzedziłem go uczciwie, że nie mam najmniejszych szans trafić do Indii.

— Dlaczego by nie spróbować? — zapytał Misza. — Przecież żyjemy w głupim państwie, gdzie prawa ręka leży daleko do lewej.

Co znalazło niejednokrotne potwierdzenie w tej historii.

Jesienią 1970 roku wyruszyłem do Indii w charakterze przerosniętego tłumacza z grupą filmową Zguridiego, naszego głównego miłośnika zwierząt, na zdjęcia do filmu „Czarna Góra”. Była to koprodukcja indyjskiego zarządu opieki nad dziećmi (czy czegoś w tym stylu) oraz naszego studia filmów popularnonaukowych.

Reżyser Zguridi, którego od dzieciństwa czciłem za film „Biały kiel”, był człowiekiem surowym i małymównym. Przyjaźnił się z operator Juryszkiną, a na pozostałych członków nielicznej grupy — operatorów dźwięku, mnie i dyrektora filmu — zwracał niezbędne minimum uwagi.

Najpierw mieszkaliśmy kilka tygodni w Bombaju, stosunkowo bogatym i czystym w porównaniu z Kalkutą, w której bywałem wcześniej (podczas przesiadki w drodze do Birmy albo z Birmy trzeba było w Kalkucie nocować).

Zguridi robił dźwięk do nakręconych już w czasie poprzednich ekspedycji metrów „Czarnej Góry”, sentymentalnej historii o przyjaźni hinduskiego chłopca i słonia o imieniu Czarna Góra. Na skutek całkowitej bezradności scenariusza film był skazany na obojętność widza.

Rano jechaliśmy do studia, w którym przebiegało udźwiękowianie filmu. Nowoczesne (zgodnie z hinduskimi i radzieckimi miarami) studio należało do byłej piękności i byłej gwiazdy, Nargis, którą u nas mogą pamiętać ludzie w bardzo podeszłym wieku, wielbiciele Radż Kapura i piosenki „Włóczęga jaa-aa!”.

Szacowna dama, diwa wieku średniego, pojawiała się w studiu rano, żeby się pokazać i zerknąć, czy wszystko przebiega normalnie.

W studiu było chłodno, pachniało wypastowanymi podłogami, betelem i odświeżaczami powietrza.

Jednocześnie z udźwiękowianiem robiono dubbing w hindi. Przychodziły śliczne hinduskie gwiazdeczki i dubbingowały dzieci. Przychodzili Sikhowie w białych strojach i dubbingowali poganiaczy słoni i innych mieszkańców lasów i wsi. Jeden z Sikhów namawiał mnie, żebym wraz z dwoma gwiazdeczkami rzucił się w wir upojnego nocnego życia. Nie rozumiał, że moja pensja nie przewiduje dodatkowych wydatków, że kolacje spożywam w pokoju, który dzielę z przemiłym dyrektorem filmu, starym wyjadaczem, wiedzącym doskonale, ile należy przewozić artykułów spożywczych dla grupy, żeby zaoszczędzić i kupić potem magnetofony. Tacy dyrektorowie,

umiejący zrobić fałszywy raport finansowy z wycieczki zagranicznej, byli niezbędni nie tylko w kinie, ale również w cyrku czy balecie. Bez nich grupy artystyczne zassałoby bagno nędzy. A tak wieczorem zawsze mieliśmy konserwy, ciasto i inne niezbędne produkty przewiezione jako rekwizyty.

Moi przyjaciele cyrkowcy, którzy mieli grupę tresowanych niedźwiedzi, trzy miesiące występowali w Wenezueli i Kolumbii, karmili niedźwiedzie według najwyższych standardów, żywili się razem z niedźwiedziami i jeszcze przywieźli pyszne suchary — sami jedli i przyjaciół częstowali.

Jeśli państwo jedynie stwarza pozory, że się o ciebie troszczy, to musisz się nauczyć jeździć wierzchem na państwie, by po cichu wziąć sobie małą część tego, czego państwo ci nie dało.

Ale życie nocne i kontakty z gwiazdami kina były zazwyczaj poza naszym zasięgiem.

Istniały oczywiście wyjątki.

Takim wyjątkiem był na przykład Kostia, mój kolega z wydziału. Studiował dwa razy dłużej, niż powinien, wstąpił na wydział na długo przede mną, a ukończył go po mnie. Był poszukiwaczem przygód i wydziałowym poetą. Co prawda, nie pierwszym — pierwszym był Paweł Gruszko. Kostia natomiast pisał jedynie dla czystej przyjemności otoczenia.

W czasie studiów ożenił się z córką jednego z bardziej znanych ginekologów Moskwy. W kraju, w którym aborcja jest zabroniona, ginekologia to intratny zawód.

Pamiętam, jak przyjechalśmy do Kostii robić wydziałową gazetkę ścienną, płachtę długości sześciu czy siedmiu metrów. Kostia sprzątnął długi stół w jadalni i zaprowadził nas, żebyśmy obejrzeliby gabinet teścia — jakby żywcem przeniesiony z filmu o wielkim uczonym. Ogromne jak boisko biurko na lwich łapach, skórzane fotele i kanapa, zegar na kominku oraz szafy, bliskie krewniaczki biurka.

W jakiś czas po przedwczesnej śmierci żony Kostia znalazł sobie miłą dziewczynę z bardzo wysoko postawionej rodziny. Dzięki temu po skończeniu instytutu otrzymał stanowisko korespondenta w kraju arabskim. Tam po jakimś czasie przegrał w ruletkę cały punkt korespondencyjny, został z hukiem ściągnięty do kraju. Po powrocie napisał do KC KPZR wyjaśnienie wierszem. Partia wysłała go na Filipiny, gdzie znowu wszystko przegrał i zadłużył się u postępowego senatora. Tym razem już mu nie przebaczone (teść do tego czasu stracił wpływy) i Kostia został „zesłany” na Wschód, a potem na emeryturę. Do samej śmierci pracował w malutkim czasopiśmie.

Osobiście nie miałem ochoty próbować szczęścia w kasynie i gwiazdki szybko zaczęły mnie lekceważyć, a Sikh przestał zauważać.

Na szczęście nadeszła pora, by jechać do dżungli kręcić drugą część filmu. Słoń Czarna Góra pracuje w lesie, ucieka na wolność, a potem, po wielu dramatycznych wydarzeniach, wraca do wsi i omal nie rozdeptuje swojego małego przyjaciela. Na szczęście opamiętuje się w ostatniej chwili. Potem zostało to śmiało zmontowane: zbliżenie — wykrzywiona strachem twarz chłopca, zbliżenie — opadająca noga słonia, zbliżenie — chłopiec zaciska oczy, zbliżenie — noga słonia zamiera w powietrzu...

Przylecieliśmy do Bangaluru, stolicy stanu Majsur. Stąd autobus wyruszył do miasta Majsur i dalej, do dżungli i ogromnego rezerwatu. Nawet dziś jest tam sporo dzikich i pracujących słoni.

Mieszkaliśmy w *resthouse* na obrzeżach Majsuru, miasta starego, ale nie aż tak nudnego i brudnego jak inne wielkie miasta. *Resthouse*, pozostały jeszcze z czasów Anglików, otoczony był szerokimi werandami, panował w nim chłód, pod sufitem poskrzypywały metrowe wentylatory, wieczorem wokół lamp krążyły owady, a z pobliskiego lasu dobiegały niezrozumiałe, stłumione dźwięki — albo ptasie wrzaski, albo zwierzęce ryki.

Panowała zima, na przedgórzu wieczorami było chłodno i nawet rano przed śniadaniem w

wielkiej, wysokiej drewnianej sali chodziliśmy w swetrach. *Resthouse* był prawie pusty, prócz nas mieszkali tam niemieccy inżynierowie, czasem zatrzymywali się bogaci Hindusi.

Bardzo wczesnym rankiem, we mgle wiszącej nad zakurzoną drogą i skrywającej pnie pojedynczych drzew, wjeżdżaliśmy do dżungli. Bawoły snuły się po polach ryżowych i pasły się przy drodze, na ich grzbietach siedziały małe białe czaple.

Przy wjeździe do dżungli stał stary drewniany dom — bungalow, w którym niegdyś, sto lat temu, zatrzymywali się myśliwi, nim weszli do dżungli. Głównym pomieszczeniem w tym domku była duża, chłodna, ciemna jadalnia. Jej środek zajmował olbrzymi stół z blatem grubości dwóch centymetrów i nogami grubymi jak nogi słonia. Wokół jadalni mieściły się sypialnie, w których myśliwi odpoczywali przed bojem.

Błyszczący stół był przez sto z górą lat wycierany łokciami, polerowany wieloma warstwami wosku i cięty nożami — każdy chciał zostawić po sobie jakiś ślad.

Na ciemnych ścianach wisiały równie ciemne zdjęcia. Wszystkie jednakowe, grupowe. Im bliżej środka fotografii, tym ważniejszy myśliwy. Na brzegach naganiacze. U stóp wybitnego łowcy leży jeden lub dwa tygrysy, a co najmniej jelenie. Że też nie było tu wtedy ekologów!

Wszyscy są tak dumni, jakby wymyślili samolot.

Przy tym bezkresnym stole zazwyczaj odpoczywaliśmy po dwugodzinnej trzęsawce w autobusie i piliśmy herbatę z mlekiem. Bungalow funkcjonował jako forpoczta rezerwatu. Był tam nawet stróż, który przygotowywał herbatę i sprzedawał pamiątki.

Kiedyś, siedząc przy stole i oglądając kolejne stołowe graffiti, zwróciłem uwagę na trzy litery — HMK. Odczytałbym je jak łacińskie, ale druga litera była wyraźnie przekłamana — nie ma takiej litery.

Nie od razu zacząłem coś podejrzewać. Po prostu zakonotowałem, że takiej litery nie ma.

I pojechałem.

Następnego dnia znowu obejrzałem ten napis. I coś skłoniło mnie, żeby wstać i przyjrzeć się jednakowym zdjęciom. Na drugim czy trzecim spostrzegłem znajome twarze, a raczej jedną dobrze mi znaną twarz — twarz następcy tronu, Mikołaja Aleksandrowicza.

Mój Boże! Przecież on w czasie swojej podróży na Wschód był tutaj i polował na tygrysy! Na pewno jest o tym wzmianka w trzytomowym opisie tej podróży, z rysunkami samego akademika Karazina.

Oto młody carewicz, dumny i wesoły, siedzi sobie z bronią w ręku. Obok niego jest jakiś angielski generał, z drugiej strony, jeśli się nie mylę, księżę grecki, późniejszy król.

Opowiedziałem o swoim odkryciu kolegom, ale nie wywołało to szczególnych emocji. Mieliśmy rok siedemdziesiąty i stosunek do dawnego imperatora trudno było nazwać sentymentalnym. No dobrze, był, popił, zabił tygrysa, wyciął swoje imię, w dodatku skrócone... Zwyczajny rozpustny młody człowiek.

— Chcesz kupić to zdjęcie? — zapytał indyjski operator. — Stróż na pewno chętnie je sprzeda. Komu ono potrzebne?

— A potem będę się z nim włóczył po całym kraju? Odmówiłem.

Może zdjęcie do tej pory wisi w tamtym bungalowie. Jeśli bungalow jeszcze stoi. W końcu minęło trzydzieści lat.

Potem jechaliśmy jeszcze godzinę przez dżunglę, aż wreszcie znaleźliśmy się w zarządzie rezerwatu, gdzie czekał na nas leśniczy. Całkiem zwyczajny. Ta specjalizacja, czy też skłonność duchowa sprawia, że wszyscy leśnicy — a widziałem ich niemało — stają się do siebie podobni.

Wesoły, pewny siebie, swój człowiek w swojej dżungli, witał nas i razem szliśmy do leśnej szkoły, gdzie przygotowywano słonie do pracy. Obok była polana, na której Juruszka stawała za kamerą i czekała do godziny jedenastej. Grupa Zguridiego była jedyną znaną mi grupą, w której

kręcono od jedenastej do drugiej. I tylko przy słonecznej pogodzie.

Przychodziły słonie.

Szły powoli i leniwie. Słonie chyba nie lubiły pozować, a może nie rozumiały, po co to komu potrzebne.

Z wyjątkiem jednego słońka. Nazywało się Anwar. Było to złośliwe półtonowe stworzonko z krótką trąbką, jak u tego Kiplingowskiego słońka przed zawędrowaniem nad rzekę Limpopo. Lubilo ukrywać się w krzakach i czekać, aż ktoś obok niego przejdzie. Wtedy triumfalnie piszczało (ryczeć jeszcze nie potrafiło) i biegło na człowieka.

W końcu złamało rękę jednemu z hinduskich statystów i zostało wygonione z planu.

Ponieważ od czasu do czasu trzeba było tłumaczyć życzenia Zguridiego odnośnie ruchów słoni, podchodziłem do słoni i leśniczego, mówiłem, czego chce reżyser, a leśniczy wyjaśniał dziwaczne życzenia rosyjskiego pana poganiaczom.

Pozostało we mnie wspomnienie, wręcz fizyczne odczucie tej pracy: upał, najmniejszego podmuchu wiatru, wilgoć, brzęczenie much — nad słoniami krążą tabuny much! Słonie przestępują z nogi na nogę, wzdychają, zmęczone niezrozumiałym próżniactwem, a w ich żołądkach trwa głośny proces trawienia. Takiego burczenia w brzuchu nie słyszałem nigdy u żadnego zwierzęcia. Myślę, że cyrkowi treserzy specjalnie nie karmią słoni w dniu występu, by nie zhańbiły się na arenie.

Prawie codziennie do naszego *resthouse* przychodzili łowcy. Wracali z dżungli i nieśli standardową zdobycz — zwierzęta, na które można polować w rezerwacie, a może nawet te, które łapali mimo zakazów.

Najczęściej były to różnego rodzaju zmije, lemury, czasem małpki albo zielone papugi.

Myśliwi, skapo ubrani, chudzi, żyłaści, głowy okręcone szmatami albo ozdobione wełnianą czapczką, jaką noszą Gurkho — wie, zatrzymywali się przed werandą i stali tak w milczeniu dłuższą chwilę. Gdy przekonywali się, że nikt od nich nic nie kupi, jechali do miasta. Tam były hotele z turystami i pałac maharadży, wokół którego włóczyli się turyści.

Gdy nasz pobyt w Majsurze dobiegał końca, dyrektor filmu oznajmił, że ma zamiar kupić dwa wielkie pytony i zawieźć do centrum zoologicznego przy studiu filmów popularnonaukowych, bo studio cierpiało na brak pytonów. Powiedział również, że kupi sobie dwa lori — tak nazywa się tam lemury.

Lori to nieśmiały, długonogie stworzenie, troszkę większe od wiewiórki. Durrell pisał gdzieś, że lori przypomina mu boksera, który poprzedniego dnia przeżył totalny nokaut na ringu. Oczy z szerokimi czarnymi kręgami, nieco zadarty nos, okrągłe uszy, brak ogona, a na rękach i długich tylnych nogach zamiast pazurów kwadratowe milimetrowe paznokcie.

Lemury pokryte są krótką sierścią. Mówili mi, ale może kłamali, że niegdyś z ich futerka robiono futra i te futerka nazywano „małpa”.

Tak czy inaczej lemury żyją w stałym oczekiwaniu, że ktoś je kiedyś w końcu zje. Aby odsunąć ten moment, przemieszczają się niesłyszalnie jak duchy, w dzień kryją się w dziuplach i unikają spotkania z osobnikiem większym od komara.

Dlatego, trafiając na myśliwych, lemury zamykały guziczki oczu i pokornie czekały na śmierć, która następowała dość szybko. Wydawały się tak miłe, dobroduszne i skłonne do pokojowego współistnienia z kochającym je człowiekiem, że trudno było oprzeć się pokusie nabycia takiego stworzonka.

No i nasza grupa przybyła do Delhi z trofeami. Lemura kupiła Juruszkina, kupił operator dźwięku, kupiłem ja i dyrektor. Zguridi był przeciwny trzymaniu zwierzęcia w niewoli, ale nie narzucał swojego zdania otoczeniu.

Ja i dyrektor zamieszkaliśmy w przestronnym i bardzo wysokim pokoju, w starym delhijskim

hotelu. Mieliśmy pięć lemurów i jednego pytona długości czterech metrów.

Pyton był spokojny i nudny. Żeby stał się jeszcze spokojniejszy i bardziej znudzony, dyrektor, który miał spore doświadczenie w pracy ze zwierzętami, postanowił go nakarmić. Poza tym chciał poprawić humor naszym lemurom, które, przekonane, że staną się kolacją pytona, tkwiły nieruchomo na górnych poprzeczkach gazowych baldachimów nad łózkami i odmawiały spożycia bananów.

Pytona karmiliśmy surowymi jajkami. Wciskaliśmy mu je do pyska i potem, już w gardle węża, dyrektor zgniatał je, żeby pytonowi łatwiej było przełknąć.

W nocy pyton zaczął marznąć i wpełzł dyrektorowi do łóżka.

Dyrektor kręcił się i wiercił, złościł się i kłął, a nad ranem oznajmił, że nie może spać, bo męczy go artretyzm. I dlatego pytona mam wziąć ja. Przeciągnął strasznie ciężkiego węża na moje łóżko. Pyton zasnął, ja też. Spało się z nim nawet przyjemnie, ponieważ był chłodny i dobroduszny.

Trzeciego dnia doczekaliśmy się samolotu. Dyrektor wpakował pytona do dużej, mocnej skrzynki, wyściełając ją szmatami, żeby pyton nie zadrapał sobie skóry podczas przelotu.

Idąc za przykładem naszych poprzedników, przewożących lemury w tajemnicy, umieściliśmy stworzonka w szczelnych materiałowych workach i włożyliśmy do kieszeni. Lemury zamierały z przerażenia i czekały na śmierć.

Wtedy pojawił się problem.

Dyrektor uczciwie wyznał przedstawicielowi Aerofłotu, że wieziemy pytona. Przedstawiciel powiedział, że bardzo wątpi, by piloci wzięli go na pokład. Piloci oznajmili, że prędzej pójdą na piechotę, niż wsadzą do samolotu tak straszliwego drapieżnika, który wydusi im wszystkich pasażerów.

Po skandalu, który nic nie dał, przedstawiciel Aerofłotu powiedział, że za dwa dni leci do Moskwy samolot towarowy. Tym samolotem będzie mógł polecieć pyton.

Byliśmy zmuszeni pożegnać się z naszym podopiecznym.

Ani dwa dni później, ani po tygodniu pyton się nie pojawił. Dyrektor dzwonił do Delhi, jeździł na Szeremietiewo — na szczęście centrum zoologiczne znajdowało się blisko lotniska — ale nic nie załatwił. Pyton przepadł.

Obaj z dyrektorem mieliśmy nadzieję, że pytonowi udało się wyrwać na wolność.

Ale dwa miesiące później dyrektor zadzwonił do mnie i powiedział, że przeczytał w „Wieczerniej Moskwie” mały artykuł pod tytułem „Zagadkowy ładunek”.

Na tokijskim lotnisku znaleziono skrzynkę bez adresu. Gdy ją otworzono okazało się, że leży w niej gigantyczny martwy pyton. Prawdopodobnie zdechł z głodu. Pozostało tajemnicą, jak pyton trafił do Tokio.

Był to rzecz jasna nasz pyton, którego w ten sposób pozbyli się pracownicy Aerofłotu.

Bardzo mi go żal.

Natomiast lemury żyły u mnie kilka lat.

To było ciężkie doświadczenie. Trzymałem je z uporu — nie mogłem pokochać. Opiekowałem się nimi, czułem się za nie odpowiedzialny, ale serca mi nie zawojowały. Okazały się absolutnie pierwotnymi stworzeniami. Już łatwiej nawiązać kontakt z żółwiem albo jeżem.

Lemur cię nie widzi, nie chce nic o tobie wiedzieć, boi się i czeka tylko na jedno — żebyś wreszcie umarł.

Przez te lata, gdy u nas mieszkaly, miałem całe ręce w drobnych rankach i wrzodach. Byłem jedyną osobą w domu, której lemury pozwalały czyścić ogromną, sięgającą mi do piersi klatkę, ale i tak gryzły, gdy próbowałem je odsunąć, żeby nie przeszkadzały. A w paszczy lemurów pomiędzy ostrymi zębami zawsze tkwią kawałeczki jedzenia.

W dzień lemury siedziały zwinięte w szare, puszyste kłębuszki, na półeczkach i żerdziach w

swojej klatce, a z nastaniem ciemności budziły się, jadły i wychodziły na zewnątrz.

Żywiły się przede wszystkim mącznymi robakami. Z przyjemnością karmiłbym je bananami, ale jeśli mieszkaliście w Moskwie lat siedemdziesiątych, to wiecie, że banany były towarem równie deficytowym co próbki księżycowego gruntu.

Mączne robaki kupowałem w sklepach zoologicznych, a ponieważ one również były towarem deficytowym, to znaczną część pensji pochłaniały czekoladki dla kierowniczek sklepów. Kierowniczki zostawiały mi pod ladą robacze smakołyki. Robaki wiły się w emaliowanych kuwetach fotograficznych, które stawiałem w piekarniku — nie było innego miejsca. Czasem Kira zapomniała o nich, włączała piekarnik i robaki się piekły. Dochodziło do rodzinnego konfliktu.

Przez całą noc lemury biegały po mieszkaniu — bezszelestnie, niczym wielkie kudłate pająki. Tylne nogi dłuższe od przednich, pupa wycelowana w sufit, lemur przemyka jak duch, zamierając z przerażenia, gdy napotka twój wzrok.

‘Lemury miały swoje ukochane miejsce na rurze przebiegającej w malutkim przedpokoju nad drzwiami wejściowymi.

Gdy nadeszła jesień i puścili gorącą wodę, zobaczyłem, jak Miamlik i Szustrik (miały różne charaktery — Szustrik poruszał się znacznie szybciej i polował na niezniszczalne karaluchy) stoją na rozgrzanej rurze i cierpią. Podnoszą nóżkę, sikają na to miejsce, podnoszą drugą, znowu sikają. Obsikana rura już tak bardzo nie parzy.

Położyłem na rurze mnóstwo szmat i od tamtej pory spędzały pod sufitem długie godziny.

Potem pojawił się u mnie trzeci lemur, bardzo chory i na wpół sparaliżowany. Wcześniej mieszkał u operatora dźwięku, z drugim lemurem, ale ten drugi zdechł i operator oddał inwalidę. Moje lemury go nie lubiły. Ja też nie za bardzo. Jeśli normalnie lemury pachniały piżmem i całe mieszkanie pachniało piżmem, ten lemur pachniał mieszaniną piżma i moczu.

Mój nauczyciel, największy na świecie znawca historii Birmy, profesor Lius, po tym, jak wojskowa junta skonfiskowała jego gigantyczną bibliotekę i wygoniła z uniwersytetu w Rangu — nie, gdzie spędził całe życie i przygotował wiele pokoleń birmańskich studentów, przeprowadził się na wyspę Jersey. Korespondowaliśmy. W jednym z listów poprosiłem go, by skontaktował się z Gerardem Durrellem, którego ogród zoologiczny mieścił się na tej wyspie, i zapytał, co mam zrobić z chorym stworzeniem.

Dostałem wtedy długi i serdeczny Ust od Durrella, w którym opowiedział mi, jak leczyć lemura, gdzie i jakie witaminy dla niego zdobyć. I rzeczywiście, dzięki pomocy Durrella podleczyłem malucha.

Czas płynął, a ja byłem coraz bardziej zmęczony moimi milczącymi gośćmi. Praktycznie nie mogłem wyjechać z Moskwy. Moi domownicy odmawiali karmienia lemurów robakami i sprzątanía klatki. Czuję się jak lekkomyślny kochanek, który przez całe życie płaci za minutę rozkoszy.

I wtedy uśmiechnął się do mnie los. W studiu filmów popularnonaukowych była samotna kobieta, przemiła osoba, która miała własne mieszkanie, a w nim ileś tam psów, kotów i oddzielny pokój dla jej własnych lemurów. Gdzie zmieściło się pięć lemurów, zmieści się i osiem — kto je tam policzy!

Najpierw oddałem lemury na jakiś czas, odwiedzałem je, przynosiłem banany i robaki. Potem jakoś tak wyszło, że przepuściłem jedną wizytę, a telefonu nowa pani Miamlika i Szustrika nie miała. Potem znowu opuściłem... a potem już było mi niezręcznie iść. W końcu przestałem chodzić. Wybaczcie. Teraz myślę, że stało się tak nie z powodu mojej podłości, lecz dlatego że mimo wszystko nie kochałem tych lemurów. Wypełniałem swoje obowiązki, karmiłem, sprzątałem, leczyłem i troszczyłem się, ale nie kochałem. I gdy los pozwolił mi się od nich uwolnić, nawet nie zauważyłem pustki w domu.

Mówię o pustce, ponieważ nie mogę oprzeć się wrażeniu, że nasz ostatni zwierzak, kot Myszka, nadal żyje. Czekam rano, aż siądzie przy łóżku i ostrożnie pogłodzi mnie łapą, żebym się przestał wylegiwać — pora nakarmić zwierzątko. Albo że zobaczę go na fotelu. Myszka wiedział, że w domu ma własny fotel, ale nie wolno mu wchodzić na łóżko. Był kotem o surowych zasadach, choć jestem przekonany, że gdyby zechciał je złamać, nikt nie mógłby mu w tym przeszkodzić. Ale takie życie mu odpowiadało. W końcu mnie nie przychodziło do głowy, żeby poleżeć sobie na jego pościeli.

Jak to zazwyczaj bywa z kotami, Myszka sam mnie wybrał. W Domu Weteranów Kina, w Matwiejewsku, gdzie czasem wynajmuję pokój, żeby popracować, mały kotek przychodził do mnie z ogrodu. Każdego dnia. Dopóki nie zrozumiałem, że bez niego nie wrócę do Moskwy.

Problem polegał na tym, że w naszym domu nigdy nie było kotów. Kira demonstracyjnie oświadczała, że kotów nie lubi. Mimo to rozstanie z Myszką, szarym stworzonkiem o białym puszystym brzuszku i łapkach było ponad moje siły. Zresztą wszyscy mieszkańcy Domu Weteranów Kina wiedzieli, że przygarnąłem kotka.

Przyjechałem z Myszką do Moskwy.

Kira powitała nas chłodno.

Wtedy Myszka zaczął udowadniać, że nie jest zwykłym kotem, lecz absolutnie szczególnym kotem, który doskonale potrafi dogadać się z Kobietą, która Nie Lubi Kotów.

Najpierw poszedł do łazienki i pokazał, gdzie od dzisiaj będzie załatwiać swoje potrzeby, a następnie wyszukał sobie skromne miejsce w kącie, gdzie będzie spał, i... znikł.

Wieczorem, gdy Kira usiadła w swoim fotelu przed telewizorem, nadal posępna i niezadowolona z naszej samowoli, kociak bezszelestnie wskoczył jej na kolana i zamarł. Nie ruszał się dopóty, dopóki ręka Kiry zupełnie nieświadomie nie opadła na jego ciepły grzbiet.

Od tej pory w naszym domu pojawił się prawdziwy gospodarz. Absolutnie milczący (jego cichy głos słyszałem raz w miesiącu, gdy Myszka miał ochotę się wypowiedzieć), uznający jedyną panią — Kirę, i traktujący mnie jak równego sobie.

Mieszkał z nami dziewięć lat.

Potem zachorował. Do końca moich dni będę miał wyrzuty sumienia.

Weterynarz zapewnił mnie, że kot ma zapalenie jamy ustnej, że jak je i pije, boli go pyszczek i dlatego chudnie.

I ja przez ostatnie trzy miesiące znęcałem się nad Myszką. Kilka razy dziennie robiłem mu zastrzyki witamin i cztery razy dziennie strzykawką bez igły wstrzykiwałem jedzenie.

A kot miał raka. Nie chciał jeść. I nie chciał żyć. Płonęło w nim tylko jedno uczucie — strach przede mną. Wciskał się pod kanapę, a ja wyciągałem go bezlitośnie, żeby zrobić mu zastrzyk i napoić. Jakbym miał prawo go męczyć. „Dla jego własnego dobra!”.

A on umierał, odpelzając przede mną, patrząc ogromnymi przerażonymi oczami.

Od czasu do czasu mam ochotę wziąć nowego zwierzaka, ale oboje z Kirą postanowiliśmy — nie warto.

Diabli wiedzą, ile jeszcze zostało nam życia.

Nie ma gorszej rzeczy, niż gdy zwierzę cię przeżyje. Wtedy stanie się niepotrzebne nikomu na świecie.

Biorąc zwierzaka do domu, bierzesz na siebie odpowiedzialność za jego los. Jeśli nie możesz wziąć tej odpowiedzialności, lepiej nie zaczynać.

ROZDZIAŁ 17

RĘKOPISY PŁONA

Latem zawoziliśmy Myszkę na działkę. Nie znosił jej — to były włości innych kotów. Ja też nie mogłem zaakceptować tej działki. Kupiliśmy ją na zasadzie konieczności. W 1989 roku miałem zawał, a rodzice Kiry starzeli się i potrzebowali świeżego powietrza. Postanowiliśmy kupić działkę.

Działkę nie działkę, ale pół domu kupiliśmy — w Czeluskińskiej, nieopodal stacji. Dom był stary, z grubych bierwion, z gołąbkami wyciętymi w białych okiennicach, z częściowo oszkloną werandą. Była tam nawet mansarda, gdzie starczało miejsca na łóżko polowe. Na działce rosła jedna sosna, stare jabłonie i śliwy.

Przez ostatnie lata jej właścicielem był kierownik wydziału rolnictwa KC Partii Komunistycznej Azerbejdżanu, który uciekł przed niełaską Alijewa* i skrył się pod Moskwą. Dla nas oznaczało to konkretne korzyści — był właściciel, korzystając ze swoich kontaktów, zdołał założyć potwornie deficytowy telefon i zbudować betonowy bunkier, do którego spływały wszelkie nieczystości. Dzięki temu na działce była łazienka i prawdziwa toaleta, czyli mieszkało się tam wygodnie.

Głównym minusem, z którym poradziliśmy sobie dość szybko, była niechęć dawnego właściciela do kontaktów z zielenią. Dróżki prowadzące z domu do furtki, ścieżki biegnące wokół domu, a nawet te od domu do szopy były otoczone litymi ogrodzeniami sięgającymi do pasa. Nie można się było dostać do trawy.

Gdy tylko nabyłem działkę, wyszedłem na wąską ulicę Szkolną i zapytałem lekko wstawionego przechodnia, czy nie zna kogoś, kto zabrałby te ogrodzenia.

Cztery minuty później na działkę wdarło się pół tuzina zuchów, którzy w okamgnieniu rozebrali i wynieśli potężne ogrodzenia. Działka nabrała bardziej demokratycznego charakteru, ślady partii komunistycznej Azerbejdżanu zostały zlikwidowane.

Ale ja mimo wszystko nie przepadałem za tym miejscem.

W sobotę trzeba było jechać zatłoczonym pociągiem podmiejskim i dźwigać torby z jedzeniem i rękopisami do ulicy Szkolnej.

Działkowy tatuś, działkowy mąż.

Pod jabłoniami siedzieli rodzice Kiry, a sama Kira z poświęceniem kręciła się po ogródku. Skąd bierze się u człowieka ta masochistyczna namiętność do przydomowego ogródka? Z kultur warzywnych po azerbejdżańskim KC pozostały nam tylko zarośla potężnego czosnku wzrostu człowieka, resztę, od marchewek po truskawki, sadziła, pielęła, podlewała i okopywała Kira. Od czasu do czasu ogarniał mnie wstyd, schodziłem z mansardy, gdzie czytałem na łóżku polowym, i brałem łopatę albo szlauch.

Potem nastawała jesień i pięć potężnych jabłoni dawało urodzaj — tysiące ton kwaśnych jabłek. Z jabłoniami współzawodniczyły krzaki porzeczek.

Wtedy z Moskwy zlatywali się krewni i przyjaciele i zbierali cały ten urodzaj, chociaż szczerze mówiąc, na targu można było nabyć smaczniejsze owoce i przy dużo mniejszym nakładzie pracy.

Trwało to cztery lata.

* Alijew Gejdar (ur. 1923), 1969–89 pierwszy sekretarz Komunistycznej Partii Azerbejdżanu; 1987–89 wicepremier ZSRR. W 1993 przejął po prezydencie A. Elczibeju obowiązki głowy państwa. W 1993 i 1998 wygrał wybory prezydenckie; prowadzi politykę uniezależniania Azerbejdżanu od Rosji.

Czechowskie prawa życia na działce, jak się okazało, pozostają w mocy do dziś. Najciekawsze i najprzyjemniejsze jest oczekiwanie, karmienie i odprowadzanie gości.

„No i pojechalśmy na działkę do Igora...”

Jedni goście bywali często i stale — zazwyczaj sąsiedzi działkowcy. Inni zjeżdżali się od wielkiego dzwonu.

Naprzeciwko naszego domu, przy tej samej uliczce wynajmował pokój Walentin Brestow, człowiek bajecznej delikatności i dobroci. Najczęściej przychodził po to, żeby pokazać rysunki swojej żony. Żył niebogato, za swoje szczęście płacił nieszczęściami, zmarł wcześniej, jakby w połowie niedopisanego wiersza. Do niego należy jedno z najbardziej czarujących opowiadań fantastycznych lat sześćdziesiątych. Nosiło tytuł „Halo, Parnas!”. Przekonywał w nim, że mitologiczni herosi to astronauty, którzy niegdyś wylądowali na Ziemi. Brestow uważany jest za poetę i rzeczywiście był nim, ale gdy go wspominam, przychodzi mi na myśl jeszcze jedno opowiadanie. Jego istota polegała na udowodnieniu, że w każdym kolektywie — załodze, ekspedycji, wyprawie — zawsze jest kozioł ofiarny. Rzeczony kozioł sam daje powody do kpin; to właśnie jemu wypada z rąk cenna filiżanka, kipi zupa, zapala się koc i przydarzają się wszystkie możliwe niemiłe przygody. Współtowarzysze traktują go okropnie. Wieszają na nim psy i kozioł chodzi ozdobiony kpinami niczym choinka bombkami.

I oto w pewnej ekspedycji archeologicznej, w której brał udział Wala Brestow (z zawodu archeolog), również był taki kozioł ofiarny. Nawet Wala, człowiek serdeczny i życzliwy, nie mógł się powstrzymać od drwin pod jego adresem.

W pewnym momencie kozioł musiał wyjechać. I ekspedycja została bez swojej ofiary.

Wala postanowił poczekać i popatrzeć, co stanie się dalej. Było oczywiste, że los ześle ekspedycji nowego odszczepieńca.

Czas płynął, a kozioł się nie pojawiał. Ekspedycja męczyła się, ale jakoś sobie radziła. I wtedy Wala spostrzegł, że jemu z rąk wypada rondel albo filiżanka oraz przypała się kasza.

Ktoś zaczął sobie z Wali pokpiwać, ktoś nieładnie się o nim wyraził, ktoś inny ciężko westchnął... Brestow pojął: Mój Boże przecież to ja stałem się kozłem ofiarnym!

Walentin Brestow zjawiał się na naszej werandzie zazwyczaj wtedy, gdy na wielkim rowerze zajeżdżał Eduard Uspieński, nasz najlepszy bazar, obdarzony wielką wyobraźnią, człowiek skomplikowany i nie przez wszystkich lubiany. Zresztą bynajmniej nie pragnął powszechnego uwielbienia.

Edik Uspieński lubił to „panowanie” na własnej działce. Hodował tam korony cesarskie i ofiarowywał je sąsiadkom babciom, żeby uradować je tak nową i egzotyczną rośliną. Obawiam się, że kobiety nie były specjalnie uradowane.

Edik należał do ludzi, którzy wiecznie coś zaczynają, czemuś przewodzą, coś organizują albo o coś walczą. Potem porzucał zabawę, która mu się znudziła, i zaczynał nową, czasem kompletnie przeciwną do poprzedniej. Poza tym miał naturę kwoki — stale musiał się kimś opiekować, zaprowadzać do żłobka, w razie konieczności pouczać i bronić przed złymi wujkami.

Żli wujkowie wyczuwali go na odległość strzału z łuku i rzucali się na Edika z wyszczerzonymi zębami.

Bywało, że ich nienawiść do Uspieńskiego sięgała szczytów idiotyzmu. Pamiętam artykuł w „Literатурnej gaziecie” komsomolskiego wydawcy Myszowca, który bardzo poważnie twierdził, że Uspieński wywiera szkodliwy wpływ na dzieci i nie wolno go do nich dopuszczać. Dlaczego? Dlatego że Kiwaczek nie miał rodziców. Wyobrażacie sobie? Skreślenia w ankiecie! Może nawet piąty punkt został przekreślony! A przecież inni komsomolscy pisarze mają takich porządných bohaterów — z tatusiami inżynierami i mamusiami dojarkami. A tu taki Kiwaczek...

Nie żartuję. Sam czytałem ten artykuł, Uspieński też może potwierdzić.

Czasami Edik, siadając przy stole na werandzie i czekając, aż na herbatę przyjdzie Wala Brestow, przedstawiał swoje gigantyczne plany — od likwidacji naszego omszałego kierownictwa literatury dla dzieci w osobach Michałkowa i Aleksina do stworzenia programu niezwyklej pieśni.

Kilka razy trafiałem w sieć jego planów i jeden z tych przypadków miał określone konsekwencje. Kiedyś zadzwonił do mnie Edik Uspieński.

— Jest pomysł, żeby napisać encyklopedię dla nowych Rosjan. Pół godziny lektury i człowiek ma wykształcenie w kieszeni. Bez wysiłku i straty czasu na różne tam uniwersytety i szkoły średnie. Chciałby pan wziąć udział?

— Ale jak?

— Weźmie pan na siebie historię.

Ta rozmowa, jak wiele innych w moim życiu, przemknęła i zgasła. Jak sędzę, sam Uspieński wyrzucił ten pomysł z głowy, zajął się piosenkami o piratach i hodowlą emu.

A ja chodząc, myślałem... Pojawiło się jedno hasło encyklopedii, potem drugie...

Zasada mojego dziełka, które w rezultacie nazwałem „Sprint historia”, była prosta. Hasło nie mogło przekraczać kilku linijek, miało być zgodne z prawdą historyczną, ale sformułowane w sposób paradoksalny. W ten sposób nowy Rosjanin łatwiej je zapamięta.

Stworzenie „Sprint historii” zajęło mi kilka miesięcy. Od czasu do czasu drukowałem je we fragmentach w gazetach bądź czasopismach, a gdy pierwszy wariant był mniej więcej gotowy, gazeta „Knižnoje obozrenje” (Przegląd książek) wydrukowała go w swoim dodatku.

Wtedy, rzecz jasna, zapragnąłem co nieco dopisać, coś uzupełnić, coś innego wyrzucić. Co też zrobiłem, a mój przyjaciel i bibliograf Misza Manakow wydał „Sprint historię” w Czelabińsku.

Oczywiście praca tego typu nie ma końca. Od czasu do czasu rodzą się we mnie nowe hasła.

W procesie tworzenia testowałem moje hasła na kolegach w instytucie. Ponieważ w naszym wydziale Azji Południowo-Wschodniej jest kilku doktorów, a cała reszta to kandydaci nauk, oczywiste jest, że ich poziom intelektualny jest wyższy niż poziom przeciętnego oligarchy.

Przychodziłem na wydział i czytałem kolejne hasła:

„Inessa Armand. Rosyjska rewolucjonistka. Przyjaciółka Nadzieży Krupskiej”.

Zapadała cisza. Słuchacze patrzyli na mnie z wyrzutem. I zawsze znalazł się ktoś, kto mówił z pretensją:

— Niedobrze! Przecież ona była przyjaciółką Lenina! Zabawnie wyszło również z hasłem „Poncjusz Piłat”. Napisałem w nim, między innymi, że on uczył tubylców „umywa ręce”. Usłyszałem:

— Jak to? To przed jego panowaniem Judejczycy nie myli rąk?

Jak sami rozumiecie, los „Sprint historii” był ciężki i to cud, że dotarła do wąskiego grona czytelników.

Jeśli spotykam jakiegoś czytelnika owej książki, często słyszę uwagę w rodzaju:

— Tekst taki sobie, ale rysunki znakomite.

Nie przeczę. Rysunki wyciąłem albo skopiowałem ze starych gazet i książek.

Tak upłynęły cztery lata. Jabłonie dawały urodzaj. W pobliżu podmoskiewski Instytut Doskonalenia Kwalifikacji — organizacja dość podejrzana — zaczął budować ośmiopiętrowy dom dla tych absolwentów, którzy nie chcą wracać do rodzinnych stron. Było oczywiste, że za kilka lat zacieni nasze jabłonie.

Wnuk podrósł, Alicja i Kola budowali sobie dom na działce jego rodziców, rodzice Kiry zupełnie się zestarli... Działka stawała się niepotrzebna.

I widocznie sama to wyczuła.

Do nas należała drewniana połowa domu; w drugiej, murowanej, mieszkała mama drobnego

miejscowego mafioso. Wiosną dziewięćdziesiątego czwartego roku doszło do jakichś porachunków w Mytiszczach. Moim czytelnikom z XXII wieku może wyda się to dziwne, ale w efekcie tych porachunków podjęto decyzję ukarania mafiosa, syna naszej sąsiadki. W tym celu, głęboką nocą, pasażerowie skromnego mercedesa wrzucili przez otwarty lufcik dwie butelki z mieszanką zapalającą.

Dom płonął. Podpalacze siedzieli w mercedesie i podziwiali płomienie. Piromani!

I to dla nich pisałem „Sprint historię”!

Przybyli strażacy, ugasili pożar i pojechali do domu.

Mafioso i jego mama nie ponieśli szczególnych strat — zwęgliły się tylko stare meble.

Za to o trzeciej w nocy tłący się ogień przepełził na naszą połowę.

Tym razem strażacy nie przyjechali. Stuletnie bierwiona dały ogień do nieba. Spłonęło wszystko, nasze meble, obrazy i biblioteka — moja biblioteka, którą przenieśliśmy tutaj, żeby pracować zimą.

Szkoda.

Okazało się, że rękopisy płoną.

A może płoną tylko moje, niezbyt cenne?

Dom spłonął do fundamentu, na jego miejscu pozostał tylko wyłożony cegłami zarys.

Rozpoczęły się pielgrzymki po ubezpieczalniach. Wokół szalała inflacja i ubezpieczenie przemieniało się w dym w miarę jego załatwiania.

Kira poszła nawet na milicję.

Śledczy był miłym, inteligentnym i serdecznym człowiekiem. Wszystko rozumiał i też żałował biblioteki. W końcu powiedział w zaufaniu:

— Ja wiem, że wasz domek ktoś podpalił. To znaczy nie wasz, wy jesteście przypadkowymi ofiarami. Podpalacze nawet się nie kryli — więcej, pokazywali się, straszili. Chodziłem z nimi do jednej klasy... — śledczy pozwolił sobie na smutny uśmieszek. — Wszystkich znam z imienia. Ale jestem miejscowy, mieszkam tu, mam dwoje dzieci... Sama pani rozumie. Chce pani, to dam ich telefon. Może pani do nich pójść, ale nie radzę. Przecież wy nie jesteście dla nich ludźmi, tylko frajerami. W najlepszym razie was wyśmieją...

No i nie poszliśmy do bandytów, a ja zostałem pozbawiony części życiowego doświadczenia.

Jakieś ubezpieczenie jednak nam wypłacono, a pogorzeliśmy sprzedaliśmy. W końcu był tam jeszcze garaż z cegieł — marzenie pracownika azerbejdzańskiego KC, i podziemne szambo. Nigdy więcej nie kupiliśmy działki.

ROZDZIAŁ 18

SCHYLEK EPOKI

Moje „wypracowanie” na temat: „Jak zostać pisarzem fantasta w kraju niezwycięzonego komunizmu” dobiega końca — pojawia się niebezpieczeństwo powtórek.

Na zakończenie chciałbym opowiedzieć o tym, co działo się z fantastyką i moją skromną osobą w ostatnich latach.

Poczynając od momentu powstania fantastyki radzieckiej, wykutej rękami Strugackich i Jefremowa, a następnie przez plejadę fantastów lat pięćdziesiątych — Warszawskiego, Gromową, Nudelmana, Poleszczuka, Michajłowa, Altowa, Zurawlową, Wojkuńskiego, Łukodianowa, Gansowskiego, Sawczenkę, Szali — mowa (przepraszam wszystkich, których nie wymieniłem), wrzała w niej, coraz bardziej otwarcie, walka ideologiczna. Ferment lat sześćdziesiątych (zarówno w społeczeństwie, jak i w literaturze oraz sztukach plastycznych), barwny i niemal rewolucyjny, zaczął zanikać i rozpadać się pod naciskiem „radzieckiej kontrreformacji”. Lata siedemdziesiąte oznaczały już upadek nadziei i skostnienie ideologicznych bożków. Przecież fantastyka, którą tworzyli Strugaccy i ich przyjaciele, stanowiła zagrożenie dlatego, że podawała w wątpliwość rolę partii. W naszym czynnym modelu antyutopii tylko partia miała prawo wiedzieć, jaki będzie komunizm, do którego dążymy. A partia, jeśli uważnie zgłębicie literaturę epoki radzieckiej, nie miała bladego pojęcia, co to za zwierzę ten komunizm i co właściwie będziemy z nim robić.

W warunkach pewnego osłabienia dyktatury ideologicznych organów po XX Zjeździe w naszym cechu pojawili się pisarze pragnący zorientować się, co też nas czeka w przyszłości.

Niestety. Jak tylko zaczynasz się w tym orientować, uświadamiasz sobie, że nie można namalować przyszłości wyłącznie różowym kolorem. Iwan Jefremow uczciwie starał się zajrzeć w komunizm, który zwyciężył w całym kosmosie, i pozostać optymistą. „Mgławicę Andromedy” krytyka partyjna nosiła wprawdzie na tarczy, ale z dużą ostrożnością. Gdy nikt nie widział, ideolodzy spluwali i krzywili się — Jefremowowi wyszedł wątpliwy optymizm.

A potem przyszli Strugaccy. Bez względu na barwne opisy Świetlanej przyszłości i komunistyczne realia, które starali się początkowo przedstawić, nawet najbardziej tępy ideolog jasno rozumiał — nadciąga zagrożenie straszniejsze od amerykańskich dzieł o wojnie atomowej. Strugaccy pisali o przyszłości naszego kraju, tak naprawdę, moim zdaniem, nie wierząc w komunizm i dając do zrozumienia swoim czytelnikom, że go nie dożyją.

Nic dziwnego, że Strugaccy tak szybko stali się idolami młodszych pracowników naukowych — myślącej części narodu.

Do końca lat sześćdziesiątych oficjalni krytycy, wpadając w coraz większą wściekłość, nadal udawali, że nic się właściwie nie dzieje. Wówczas Strugackich wydawał nie tylko umiarkowanie liberalny Detgiz, ale także Młoda Gwardia, w której władza była jeszcze w rękach Żemajtisa i jego pracowniczek.

To właśnie KC Komsomołu zrozumiał, że gdy pamięć o chruszczowowskiej odwilży rozplynęła się w narodowo-komunistycznych jękach, trzeba odebrać tlen cynikom niszczącym wiarę w świetlaną przyszłość.

Rozgromiono redakcję Żemajtisa i starych redaktorów zastąpili komsomolscy chłopcy, w imię kariery gotowi na wszystko. Przeważnie byli to pozbawieni talentu pisarze i nieumiejętni intryganci, których cechowała słuszna komsomolska złość. Umieeli wejść w rolę sprzymierzeńców KC Komsomołu, Goskomizdatu i głównego KC. Gdy nie udawało się otwarcie zdemaskować i zmiążyć Strugackich, sięgano po oszczerstwa i plotki. Należy do nich oskarżenie, że Strugaccy

naprowadzili czekistów na dom Jefremowa po śmierci pisarza i byli inicjatorami rewizji w jego mieszkaniu. Przy okazji — ostatnio wypłynęła informacja, że Jefremow był przez długi czas uważany za angielskiego szpiega i otwarcie śledzony. Pamiętam, z jakim z przekonaniem solidni ludzie opowiadali mi, że Strugaccy spakowali walizki i lada dzień wyjeżdżają do Izraela. Ową plotkę również wykorzystywano przeciwko pisarzom — „Jak można ich wydawać, skoro wiadomo, że już zdradzili ojczyznę?”.

Wraz z upływem lat Strugackim coraz trudniej było wydawać książki. Z powodu prób drukowania ich powieści zginęły czasopisma „Angara” i „Bajkał”. Jak to zwykle w naszym kraju, efekt był przeciwny do zamierzonego. Ileż maszynopisowych kopii powieści Strugackich widziałem!

Moje pokolenie fantastów nazwałbym drugim po „wezwanie Strugackich”. Spóźnił się o pięć, może siedem lat, ale pierwsze nasze opowiadania były drukowane pod koniec lat sześćdziesiątych, to znaczy u schyłku odwilży. Wkrótce uderzyła w nas fala represji „miękkiego” typu: albo będziesz pisał, jak należy, albo nie będą cię drukować.

Byliśmy mniej utalentowani niż Strugaccy, ale też chcieliśmy być publikowani. Pokolenie szukało paliatywu.

Nie porywali się na światowe problemy i losy cywilizacji, ale z drugiej strony nikt z nas nie sławił komunistycznych ideałów. Siedzieliśmy w swoich niszach ekologicznych, ale nie byliśmy podli. Bilenkin i Michajłow zdobywali kosmos i szukali w nim odpowiedzi na pytania. Parnow i Jemcew najczęściej ograniczali się do świata nauki. Roman Podolny żartował ironicznie, Łarionowa, Mirer, Krapiw i Szefer rozstrzygali problemy moralne. Oczywiście, to duże uproszczenie — wszyscy pisarze drugiego pokolenia byli bardziej skomplikowani i nie da się ich twórczości podsumować jednym zdaniem. Ale ich pisarstwo było bardziej „lokalne”.

Ciekawe, że poczynając od 1960 roku, w ciągu następnego dziesięciolecia w środowisku młodogwardzistów nie wyrósł ani jeden pisarz — jeśli nie liczyć Siergieja Pawłowa, którego, z braku innych osiągnięć, bojownicy o prawdziwy komunizm mogliby umieścić na swym literackim sztandarze. Jest to tym bardziej zdumiewające, że po stronie prawowiernych komsomolców była cała drukarska potęga państwa, byli krytycy i redaktorzy w wydawnictwach, przyzywani do krzyczenia „hurra!”, gotowi poprawić, dopisać, ulepszyć, jak w przypadku Mikołaja Ostrowskiego.

Ja zacząłem pisać w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Moja pierwsza powieść, „Ostatnia wojna”, wyszła w 1970 roku; pierwszy zbiór opowiadań (w tym również guslarskich) w siedemdziesiątym drugim, a pierwsza książka o Alicji — w siedemdziesiątym czwartym.

To znaczy, że wymyśliłem sobie (albo same mi się wymyśliły) trzy zasadnicze kierunki: fantastyka humorystyczno-parodystyczna — opowiadania o miasteczku Wielki Guslar; fantastyka „zwyczajna”, zwana często science fiction, i wreszcie fantastyka dla dzieci — opowieści o Alicji Sielezniewej.

Stopniowo zdobyłem — nużącą na dłuższą metę — reputację pocziwego bajkopisarza. W tamtych latach wydawano mnie wyłącznie w dziale literatury dziecięcej, a jeśli prosiłem, by umieścić w planie książkę dorosłej fantastyki, kierownik redakcji, Maja Brusilowska wzdychała:

— Igor, zrozumi! W kolejce stoi dziesięciu wartych wydania fantastów i wszyscy piszą dla dorosłych. A w dziecięcej fantastyce mamy lukę — tylko Krapiw i ty. Napisz jeszcze jedną książkę o Alicji, a my wydamy ją w przyszłym roku.

Poddawałem się. Wolałem opublikować optymistyczną dziecięcą książkę niż nie publikować niczego.

Ale pod jednym względem byłem twardy — jak nie wierzycie, przejrzyjcie moje książki lat osiemdziesiątych i siedemdziesiątych. Nie wierzyłem w triumf komunizmu. Nie tylko sam nie

chciałem wstąpić do partii, ale i moi żyjący w przyszłości bohaterowie nic o tej partii nie wiedzieli. Nie uczestniczyłem w kampaniach, seminariach i akcjach bojowych, nie głosowałem i nie wyganiałem. Za to i mnie nie mogli znikąd wygonić. Co prawda, na rubieży lat dziewięćdziesiątych, gdy system runął, Eduard Chrucki (podówczas przewodniczący Rady do spraw Literatury Przygodowej i Fantastycznej Związku Pisarzy Rosyjskich) zaprosił mnie do uczestnictwa w komisji, w charakterze jego zastępcy od fantastyki. Nie chciał, by to stanowisko dostało się jakimś niewłaściwym ludziom. „Ale ja nie jestem członkiem związku! — próbowałem się wykręcić — To tak jakbym był sekretarzem komitetu rejonowego, nie będąc członkiem partii”. „Nie na długo — odpowiadał zdecydowanie Chrucki. — Wiem, co robię”.

Moja działalność społeczna w roli bezpartyjnego sekretarza komitetu rejonowego szybko się skończyła. Młodogwardziści, nadal silni i zwarci, zorganizowali moje unicestwienie. Do związku zaczęły napływać listy i telegramy z prowincji z prośbą o zaprowadzenie porządku. Pamiętam elegancki list od pisarza krasno — jaskich, podpisany przez ich przywódcę. Było w nim między innymi: „Kir Bułyczow to człowiek niewiadomej narodowości, otoczony osobnikami wszystkim wiadomej narodowości”.

Dla mnie osobiście radziecka antyutopia zakończyła się w 1985 roku. Wtedy władzę przejął Gorbaczow, ale nie o to chodzi. Do tego czasu drogi rządu i narodu rozeszły się na tyle, że nie łączyło ich nic prócz dowcipów. Breżniew był postacią anegdotyczną, obwieszony żartami niczym słup ogłoszeniami. Za Andropowa anegdota zrobiło się mniej. Nie dlatego że coś się kardynalnie zmieniło, ale dlatego że nowy wódz był tak zły i tak zewnętrznie (i nie tylko) podobny do Berii, że dreszcz człowieka przechodził. Co prawda, w pierwszych tygodniach jego rządów wszyscy opowiadali, że on lubi muzykę klasyczną, pisze wiersze i zaczytuje się angielskimi kryminałami w oryginale. Ale wkrótce ludzie przestali o tym mówić — agenci KGB, milicjanci i oddziały specjalne już wyłowili ludzi, którzy w godzinach pracy znajdowali się nie tam, gdzie powinni. Zapachniało więzieniem. Na razie jeszcze nie wsadzali, ale było jasne, że zaczną — w przeciwnym razie Andropow nie zdoła zaprowadzić porządku w rozpuszczonym kraju.

Wtedy generalny sekretarz zaczął chorować i po kilku miesiącach panowania na zwolnieniu lekarskim zmarł.

O Czernience, który doszedł do władzy u schyłku antyutopii, anegdota nie opowiadano. Był postacią zbyt nierealną, trupem, zombi, którego podtrzymywali wierni lokaje.

Imperium koronujące takie potwory skazane jest na zagładę.

Ale wtedy nikt się tego nie domyślał. Nawet mnie, „mądrymu po szkodzie”, antyutopia wydawała się wieczna.

Czasem historia szokuje nas pomysłowością swojej fabuły. Pod względem stężenia paradoksu może się z nią równać jedynie największy rosyjski fantastą — Sałtykow-Szczedrin*.

Na razie jeszcze żyliśmy zgodnie z prawami martwego imperium i nie domyślaliśmy się, że ono umarło.

W 1984 roku wyszła moja planowa monografia „Zachodni wiatr wróży ładną pogodę. Azja Południowo — Wschodnia w czasie drugiej wojny światowej” — chyba pierwsza tego rodzaju książka w naszej literaturze historycznej.

I zaraz nadszedł rok osiemdziesiąty piąty, jubileuszowy — czterdziestolecie Wielkiego Zwycięstwa.

Zaczęły się Wielkie Przedsięwzięcia.

Trafiłem pod nie.

* Sałtykow-Szczedrin Michaił J. (1826–89), rosyjski pisarz, satyryk i publicysta.

Najpierw zaproponowano mi, żeby poleciał do Azji Południowo–Wschodniej i wygłosił tam kilka wykładów na podstawie własnej książki. Dla mieszkańców tamtych ziem będę egzotycznym ptakiem — gość z północy, który napisał o ich cierpieniach.

Związek Towarzystw Przyjaźni wysyłał mnie na Filipiny.

Cieszyłem się i czekałem na podróż niecierpliwie — jeszcze nigdy nie byłem na Filipinach.

Na trzy dni przed wyjazdem wezwano mnie do związku. Młody człowiek uśmiechnął się do mnie od progu i powiedział mniej więcej coś takiego:

— Okazuje się, że nie jedzie pan sam! Będzie panu towarzyszyć dwóch towarzyszy, jeden z KC, drugi z Ministerstwa Kultury. Oto paszporty i bilety, a tu pieniądze. Do dzieła!

Nie miał zamiaru słuchać żadnych sprzeciwów, w końcu nie po to go tam postawili.

A dla mnie była to tragedia.

Jeśli nie znacie reguł utopii i nigdy nie byliście tłumaczem, nie możecie sobie wyobrazić, co czułem. Dla mnie oznaczało to, że nie jestem już wolnym uczonym ptakiem, tylko młodszym członkiem stada pawianów, że się tak wyrażę, kulawą małpką. Będzie można mnie kopać i trzymać na łańcuszku. Będę członkiem obsługi.

Wiele lat temu uciekłem z szeregów tłumaczy, żeby nie być służącym. I proszę, znowu wciągał mnie ten sam wir.

Ale ponieważ nie chciałem rezygnować z podróży (zwłaszcza że wraz z powiększeniem się grupy, wyprawa rozszerzyła się geograficznie), musiałem się zgodzić. Przecież Związek Radziecki jest wieczny, prawda?

Im dalej, tym smutniej.

Po raz pierwszy leciałem pierwszą klasą — w szerokim fotelu, z prawem bezpłatnego spożywania alkoholu. Obok mnie siedział kierownik wydziału KC, wyższy ode mnie o głowę, co zamykało mu dalszą wspinaczkę po hierarchicznej drabinie Kremla; nie lubili tam takich dryblasów. Przy nas zasiadała solidna dama z babilońskimi wieżami na głowie — wiceminister kultury kierująca przyjaźnią radziecko — filipińską.

Kierownik wydziału był szalenie miły i prowadził ze mną rozmowy na poziomie. Jak się okazuje, nadzorował Daleki Wschód i był przypisany do tej samej przyjaźni co dama z kultury.

W ten sposób dolecieliśmy do Singapuru, gdzie mieliśmy się zatrzymać i rozejrzeć. Na lotnisku powitał na konsul i przez specjalną salę poprowadził do samochodów połyskujących przy specjalnym wyjściu.

Naiwnie podszedłem do mercedesa, do którego wsiadali moi towarzysze. Konsul zrobił zdumioną minę i zagroził mi drogę.

— Pan wsiądzie do samochodu ochrony — powiedział głosem, od którego stażyści konsulatu popełniają samobójstwo.

Mój Boże! Jak mogłem zapomnieć o swojej roli kulawej małpki? I czy naprawdę jestem tak podobny do ochroniarza dostojnych kierowników naszego państwa? Ale przecież nie będę towarzyszowi konsulowi wyjaśniał, kim naprawdę jestem!

Pokornie ruszyłem do stojącego z tyłu skromnego samochodu, w którym siedział skromny człowiek w średnim wieku. On odwrócił się do mnie z łobuzerską miną i wtedy uświadomiłem sobie, że widzę starego znajomego, z którym nieraz paliłem na korytarzu instytutu w Zaułku Armiańskim.

— Bracie Arkadiju! — wykrzyknąłem.

— Bracie Jegorze! — odpowiedział, nie spuszczać baczno spojrzenia z samochodu, który „razem” ochraniał.

„Brat Arkasza” był na stażu w naszym instytucie, gdy postanowiono stworzyć sieć korespondentów dla czasopisma „Azja i Afrika siegodaya” (Azja i Afryka dzisiaj). Było (i nadal

jest) przy naszym instytucie takie czasopismo, cienkie, wychodzące w znikomym nakładzie i interesujące jedynie dla wąskiego kręgu czytelników. Istniało dzięki skąpom akademickim pieniądzom i mieściło się w jednym pokoju wydzielonym w końcu korytarza na parterze.

Stworzenie sieci korespondentów dla tak mizernego pisemka mogłoby się wydawać majaczeniem szaleńca. Ale było w tym subtelne wyrachowanie komitetu bezpieczeństwa państwa, nieustannie potrzebującego przykrywki dla swoich ludzi. Otóż sieć korespondentów tego czasopisma miała być kolejnym małym przytułkiem dla czekistów.

W naszym instytucie pojawiło się pół tuzina skromnych młodych ludzi, którzy kończyli tamtejszy instytut. A ponieważ stażyści w ogóle się nami nie interesowali, przez te miesiące, gdy ich czegoś tam uczyli i coś tam wciskali, oni stali się swojakami. Przecież w naszym instytucie było ponad tysiąc osób! Kogo tam tylko nie było!

A zaczęło się od tego, że w latach pięćdziesiątych dyrektorem instytutu został zbiegły z Tadżykistanu (w obawie przed kadrowymi perturbacjami) pierwszy sekretarz partii tejże republiki, Bobodżan Gafurowicz Gafurow. Był to niski, masywny, kulejący mężczyzna, który przewodził Tadżykom przez piętnaście lat i kiedyś w rozmowie przysięgał, że w odróżnieniu od innych narodowych przywódców zdołał się obejść bez represji.

Bobodżan Gafurow był mądrym wschodnim despota. Gdy pod koniec lat czterdziestych do jego republiki zaczęto zsyłać syjonistów, w tym naukowców, nie wysłał ich na roboty ziemne, lecz umieścił w instytutach własnej republiki, przydzielił im mieszkania i traktował jak ludzi. Z wdzięczności naukowcy napisali mu jakieś fundamentalne prace, więc do momentu swojego upadku Gafurow był już doktorem nauk. Udało mu się ukryć w Moskwie, gdzie, jako członek Rady Najwyższej, wytargował Instytut Orientalistyki — skromniutki, niedawno odtworzony po tym, jak w latach trzydziestych niemal wszystkich orientalistów zlikwidowano jako szpiegów Japonii albo Wysp Tonga. Wrogowie Gafurowa triumfowali. Skończył się Bobodżan, teraz jest jakimś tam dyrektorkiem jakiejś tam szkółki!

A wrogowie pierwszego sekretarza byli bardzo wpływowi. Niełatwo takich uspokoić.

Słyszę czasami lamenty: „Ach, w jakiej przyjaźni żyły ze sobą narody Związku Radzieckiego! I co zrobili z tą przyjaźnią przekłęci demokraci!”

Oto ilustracja owej słynnej przyjaźni.

Tadżykistan od zawsze dzielił się na trzy klany: leninabadzcy, stalinabadzcy i pamirscy Tadżycy. Jeśli pierwszy sekretarz był stalinabadzki, to premiera dawali leninabadzkiego, a prezydenta przywozili z Pamiru. Potem szła rotacja. Oczywiście ten wir naczelników w przyrodzie Tadżykistanu nie przechodził bynajmniej gładko. Intrygi, spiski, zabójstwa, donosy — niczego nie brakowało.

Ojciec sióstr Sołomatszo (z których jedna była aspirantką w naszym instytucie, a druga, Rano, ku przerażeniu duszanbeńskich krewnych, wyszła za rosyjskiego dziennikarza Pawła Antonowa), Zarif Sołomatszo, był w latach czterdziestych premierem. Pochodził z Pamiru. Przystojny mężczyzna, miłośnik biesiad, poeta i wesołek, nie zawsze zastanawiał się nad konsekwencjami swoich czynów. I oto pewnego ranka wezwał go do swojego gabinetu ówczesny władca Tadżykistanu, Gafurow, i powiedział:

— Wezwałem cię, Zarif, żeby podzielić się nieprzyjemną nowiną. Właśnie był u mnie pewien zły człowiek, który cię oczernił. On twierdzi, że wczoraj podczas przyjęcia w obecności innych przedrzeźniałeś mnie i naśladowałeś, jak kuleję. Ten łajdak i donosiciel myślał, że wpadnę w gniew i wyrzucę cię z pracy. A ja chcę ci powiedzieć: pracuj sobie spokojnie. Donosiciela wygoniłem, nigdy więcej nie przekroczy progu mojego gabinetu.

Przybity Zarif wrócił do swojego biurka, a tam już czekał nakaz przeniesienia do rejonu Kurhan — Tiubińskiego na stanowisko drugiego sekretarza komitetu rejonowego.

Tydzień później Zarifa Sołomatszo aresztowano jako afgańskiego szpiega.

Rzecz w tym, że wszystkie kiszlaki Pamiru leżą na obu brzegach Piandżu. Wartki Piandż dzieli je na pół. Od dawien dawna jedna połowa kiszłaków leżała na stronie rosyjskiej, druga na afgańskiej. Rzeka dzieli nie tylko kiszlaki, ale także rodziny. Wszyscy mieszkańcy rosyjskiej połowy mają krewnych w Afganistanie i na odwrót.

Sołomatszo, rodem z takiego właśnie kiszłaka, miał oczywiście cioteczno wujka i krewnych „za granicą”.

Po krótkiej odsiadce wypuszczono Zarifa na wolność. Od tamtej pory trzymał język za zębami, ale wyżej stanowiska ministra gospodarki komunalnej nie podskoczył.

Taki właśnie dyrektor pojawił się w naszym instytucie. Umysł na miarę państwową.

Gafurow zaczął dosłownie z niczego tworzyć instytut godny tego, by stać się przystanią władcy niewielkiego wschodniego kraju.

Na początek wezwał z Duszanbe wszystkich kosmopolitów. Zand, Liwszyc, Bragiński i inni otrzymali w instytucie stanowiska albo wydziały. Prawdziwi uczeni, chluba naszej nauki, byli szczerze wdzięczni Gafurowi za to, że nie pozwolił im umrzeć z głodu w tamtych strasznych latach.

Następnie dyrektor zdobył dla instytutu dom w Zaułku Armiańskim — piękny pałacyk Łazariewych, ormiańskich kupców, którzy na początku XIX wieku stworzyli Instytut Łazariewski, pierwszą w naszym kraju uczelnię języków wschodnich kształcąca tłumaczy.

I właśnie do tego domku w kształcie litery C obejmującej cienisty skwer przyszedłem w 1959 roku, wprosiłem się na aspiranturę i zostałem przyjęty. Najlepsze lata mojego życia były związane z willą Łazariewych.

Wkrótce Gafurow stał się „swoim” człowiekiem w Akademii Nauk, a ponieważ pozostał radzieckim senatorem, jego pozycja w kraju była całkiem niezła.

I gdy nadano mu tytuł akademika (do tego czasu instytut rozrósł się, bo, jak się okazało, stał się bardzo ojczyźnie potrzebny), był już poza zasięgiem tadżyckich wrogów i zawistników.

Gabinet Gafurowa był ogromny, porównywalny może jedynie z gabinetem Hitlera. Przy wysokich oknach, tyłem do nich, stało kilkanaście krzesel. Wchodzisz do gabinetu, widzisz rzędy sylwetek na tle światła, ale nie możesz dojrzeć twarzy, widać jedynie kontury pokornych postaci. To klienci, wielmoże, petenci, lizusy, sługusy i tak dalej, którzy przybyli z historycznej ojczyzny, żeby oddawać cześć i padać do nóg.

Gafurow ich nie zauważał — podobnie jak hiszpańska królowa nie zauważała nadwornych pochlebców, którzy uczestniczyli w jej toalecie.

Potęga wschodniego władcy polegała między innymi na tym, że on znał wszystkich choć trochę znaczących pracowników instytutu i orientował się w ich problemach i troskach. Słyszałem jego sądy o ludzkości:

— Porządni ludzie to członkowie KC. Kulturalni — moi współpracownicy. Cała reszta to kompletni głupcy.

Wchodzę do niego do gabinetu, żeby zatwierdzić jakiś tam dokument. On podpisuje i pyta z rzadkim, kisielowatym tadżyckim akcentem:

— Będziemy oddawać monografię w terminie, Możejko?

— Będziemy.

— Jak zdrowie twojego ojca?

— Dziękuję, dobrze.

— Pracowniczkę L. nie obrażasz?

I zaczyna się śmiać, nie czekając na odpowiedź.

Jak każdemu niezbyt wykształconemu, ale zdolnemu i silnemu duchem człowiekowi, łatwo

było zagrać Gafurowowi na ambicji. Misza Kurgancew z „Azja i Afrika siegodaya”, cierpiąc na ustawiczny brak pieniędzy, wymyślił posunięcie, które przed nim wykorzystało wielu sprytnych ludzi. Zaproponował Gafurowowi, że napisze za niego autobiograficzną powieść o jego dzieciństwie, za którą otrzyma nagrodę. Jednak książka była mało ciekawa, nagrody nie dostała i nazwiska Gafurowa nie rozślawiła. Drukowano ją w odcinkach w „Ogonioku”.

O tym, że Gafurow był postacią niezwykłą, najlepiej świadczy mnogość historyjek i anegdot. O szarych ludziach nie opowiada się anegdot. Przy tym nie były to takie anegdota, jakie opowiadano o Breżniewie, lecz zabawne historie z życia.

Opowiem ostatnią, niezbyt wesołą.

Gafurow był śmiertelnie chory. I chociaż leczono go intensywnie, wiedział, że długo nie pożyje. Byłem w jego gabinecie przed wyjazdem na targi biblioteczne do Chicago. Poprosiłem o egzemplarz jego głównej książki, stworzonej przez współpracowników instytutu. Nosiła tytuł „Tadżyki”. Chciałem pokazać ją w Ameryce, może by kogoś zainteresowała.

— Nie trzeba — rzekł Gafurow. — I tak jej nie zobaczę. Jedź i nie myśl o starcu.

Czując się już bardzo źle, Gafurow zaproponował KC KPZR wysłanie go do Arabii Saudyjskiej, by zorganizował z tym krajem wymianę kulturalną. Chciał spotkać się z samym królem.

Pomysł został jakimś cudem przyjęty i Gafurow wyruszył do Arabii Saudyjskiej. Tam rzeczywiście przyjął go król. Rozmawiali długo w cztery oczy i, jak sądzę, mniej o kulturze, a bardziej o wieczności. Następnie król wydał specjalny edykt i radzieckiego akademika przeniesiono w zamkniętej lektyce wokół Al-Kaby w Mekce. Gafurow został hadzi. Wkrótce potem zmarł — w ukojeniu.

Gafurow był dyrektorem instytutu przez dwadzieścia lat i właśnie na ten okres przypada rozkwit orientalistyki. W świecie, w którym wielu rzeczy zabraniano, w naszej nauce, jeśli tylko chciałeś, mogłeś odnaleźć strumyczek „dozwolone” i orać nad jego brzegiem swoją skromną niwę. Jako typowy przykład mogę podać działalność naukową niejakiego I.W. Możejko. Jego praca kandydacka nosiła tytuł „Państwo Pagan w Birmie XI–XIII wieku”, a pierwsza monografia — „5000 świątyń na brzegu Irawadi”. Mój promotor, inteligent w kolejnym pokoleniu i człowiek wybitnie utalentowany, akademik Aleksander Guber, mawiał o mnie: „mój pogański aspirant”. Taki akademicki zarcik. Wydaje mi się, że nie miał na myśli nic złego. Moja praca doktorska nosiła tytuł „Sangha i państwo w Birmie” albo, jak widniało na okładce i brzmiało bardziej aktualnie: „Birma — religia i polityka”. Oznacza to, że w ciągu kilkunastu lat pracy w instytucie nie przyniosłem zbyt wiele pożytku, z nikim nie konkurowałem i nikt nie przeszkadzał mi zajmować się nieaktualnymi problemami. Zawsze było wystarczająco dużo kolegów, którzy pragnęli rzucić światło na ruch narodowowyzwoleńczy czy intrygi światowego imperializmu.

W naszym instytucie pracowali prawdziwi uczeni wielkiego kalibru, którym Gafurow nie przeszkadzał zajmować się swoimi sprawami. Dlatego akademik Korostowcew, człowiek o barwnej i niezwykłej biografii, badał starożytny Egipt; Grisa Boggard-Lewin, który akademikiem został niedawno (co dziwne, ponieważ jest naszym rówieśnikiem) zajmował się starożytnymi Indiami; profesor Litwiński wygrzebywał starożytności Azji Środkowej; Rudolf Wiatkin tworzył słownik cbińsko-rosyjski. Od sławnych nazwisk aż się kręci w głowie: Zawadzka, Bierzin, Ałajew, Grantowski, Diakonów, Rajewski, Simonija, Piatigorskij, sam Niko — łaj Rerih, Bokszczanin, nie mówiąc już o takich politykach jak Kunadze czy Ardzinba. Mój Boże, przecież to cała encyklopedia! A ja z nimi wszystkimi siedziałem na zebraniach, a nawet paliłem na schodach.

Po Gafurowie instytut przez kilka następnych lat utrzymywał się na fali — dyrektorem został Jewgienij Maksymowicz Primakow. Niemniej sądzę, że Primakow, ze wszystkimi swoimi

przyszłymi stanowiskami i osiągnięciami, pod pewnymi względami ustępował Gafurowowi. Może dlatego nikomu nie przyszło do głowy, żeby opowiadać o nim dowcipy? Dla Gafurowa instytut był jedynym i ostatnim w jego życiu „państwem”, dla Primakowa — szczebelkiem w karierze. Gafurow był królem, Primakow — wielkim administratorem. Primakow był również postacią tragiczną, właśnie w tym okresie, gdy pracował w instytucie, stracił syna i żonę. Dwudziestoletni syn zmarł na zawał podczas demonstracji, a mądra i dobra żona wkrótce poszła w ślad za synem.

Po Primakowie instytut zaczął się staczać.

Częściowo była to wina nowego dyrektora Kapicy (który bynajmniej nie był krewnym słynnych fizyków), byłego wiceministra spraw zagranicznych, któremu na emeryturze należało załatwić jakąś dobrą posadę.

W rezultacie akademickich i politycznych intryg Kapica dostał nasz instytut i możliwość zostania akademikiem — stanowisko dyrektora naszego instytutu oznaczało szybkie otrzymanie tytułu.

Podobnie jak parlamentarzyści, akademicy również dzielą się na akademików uczonych i akademików z mianowania. Pierwsi to jakby deputowani z okręgów, a drudzy — z list partii rządzącej.

Dostają pompon na kapelusze niczym mandaryn.

Kapica okazał się lubieżnym alkoholikiem.

Pozwolę sobie przypomnieć, że w Związku Radzieckim alkoholizmu nie uznawano za grzech czy wadę. Pić znaczyło należeć do rządzącej większości. Można by napisać zabawne opowiadanie fantastyczne, w którym najwyższe stanowiska zdobywają ci, którzy mają najmocniejszą głowę.

Ale ja już go nie napiszę. Obrzydło mi czytanie w nielicznych artykułach poświęconych mojej twórczości, że nie tylko skończyłem się jako pisarz, ale również utraciłem dobroć i poczciwość. Kiedyś pisałem dobrze o rzeczach dobrych i budziłem nadzieje. Teraz stałem się zrzędlwym starcem, a nawet oszczercą.

Kapica utrzymał się w instytucie aż do śmierci.

To był wysoki mężczyzna, z gatunku tych przystojniaków, których hoduje się do pracy dyplomatycznej w Wielkiej Brytanii, gdzie trzeba umieć błyszczeć na przyjęciach w obecności Jej Wysokości albo swoim groźnym wyglądem straszyć opornych dzikusów.

Nikt nie traktował go poważnie, z jego pijaństwa korzystali różni spryciarze i wkrótce otoczenie Kapicy upodobniło się do niego. Działo się to w okresie przełomowym, gdy instytut potrzebował silnego człowieka, który zdołałby utrzymać rozpadający się ogromny kolektyw. Pieniądzy nie było, pomysłów nie było i prawie cała młodzież odeszła.

A Kapica w porze obiadowej kroczył dumnie korytarzem, czasem w otoczeniu jakiejś nikomu niepotrzebnej delegacji, prosto do restauracji japońskiej, w której wynajęto część parteru.

W tym czasie nasz instytut już dawno opuścił pałacyk Łazariewych, który stał się za ciasny i bardziej przydał się ambasadzie armeńskiej. W zamian za pałacyk ambasada znalazła nam duży dom na ulicy Żdanowa, obecnie Rożdniestwience, który, niczym chmara wróbli, zasiedlały liczne organizacje i biura: od wydziału rejonowego KGB po sklep Bieriozka.

Dom został zbudowany na terenie starego cmentarza Warsanofiewskiego, na miejscu cerkwi zbudowano poliklinikę NKWD. Rzecz w tym, że ów cmentarz był miejscem szczególnym, chowano na nim włóczęgów, nędzarzy, przestępców. Cara Borysa Godunowa, którego zaraz po śmierci mieszano z błotem, również pogrzebano na tym cmentarzu. Później się jednak opamiętano i podobno przeniesiono jego szczątki, gdzie trzeba. Sami rozumiecie, że nie była to dobra lokalizacja. Przed rewolucją w tym domu był hotel z pokojami na godziny, ale dziewczyny z niego wyrzucono, gdy do Moskwy w 1918 roku przeniosła się władza bolszewicka. Zaczęli tam pracować śledczy KC.

Przeprowadzka do takiego budynku nie mogła skończyć się dla instytutu niczym dobrym.

Jakby przewidując to, kolejny dyrektor czy zastępca dyrektora do spraw gospodarczych, wynajmował część budynku jakiemuś bankowi czy firmie. Wówczas pracownikom topniejącego w oczach instytutu obiecywano gwałtowne podwyżki pensji. Rzecz jasna, nic z tego nie wychodziło — mieliśmy kiepskich, nieuczciwych najemców, którzy nie mieli ochoty płacić. No to wynajmijmy jeszcze kilka pomieszczeń restauracji i wtedy nastanie ogólna szczęśliwość.

Pomiędzy tymi wydarzeniami właściciele często się zmieniali i znikali podobnie jak najemcy.

Niemniej japońska restauracja utrzymała się długo i była potwornie droga. Dyrektor z przyjaciółmi często ją odwiedzał; widocznie podobne wypadki drogo restaurację kosztowały, bo w końcu wyparowała. Krążyły pogłoski, że przed likwidacją restauracji zdążono jeszcze otruć naszego dyrektora — wkrótce potem zmarł. Ale załóżmy, że to plotki i oszczerstwa. W każdym razie na miejscu Japończyków pojawił się afrykański lokal Limpopo.

Dyrektor mnie znał i rozpoznawał.

Spotykał mnie na korytarzu, przystawał, odchyłał szlachetną głowę i ścisnął moją dłoń. Następnie pytał:

— Jak się mają sprawy w Chinach?

Co znaczyło, że mnie poznaje, odróżnia od innych pracowników, ale jest przekonany, że zajmuję się Chinami, z którymi nie miałem nic wspólnego.

Zawsze przypominało mi to moją znajomość z dwiema bliźniaczkami, rysowniczkami z Sojuzmultfilmu. Na pewno dawało się je rozróżnić. I wiedziałem, że jedna ma na imię Ola, a druga Lena. Ale która jest która — tego już nie wiedziałem.

Ta dygresja od wspomnień o podróży na wschód w 1985 roku nie jest bynajmniej zbędna; historia naszego instytutu to nasze radzieckie miasto Głupów. Bynajmniej nie chcę robić tu paraleli pomiędzy dyrektorami i gubernatorami z powieści Sałtykowa–Szczedriny. Mówię tylko o ogólnej tendencji.

— Miałeś pecha — powiedział „brat Arkadij”, gdy ruszyliśmy z singapurskiego lotniska. Był wilgotny, tropikalny wieczór, zapachy, które nazbierały się w ciągu dnia, wisiały w powietrzu. Wiaterek przegoni je dopiero nad ranem.

W Moskwie nie wytrzymałbym w takiej łaźni nawet pół godziny. Nigdy w życiu nie leżałem plackiem na plaży — nie znoszę upału i dużych skupisk ludzi. Ale gdy wychodzisz z samolotu w kraju tropikalnym i wiesz, że nic na to nie poradzisz, i będziesz musiał żyć tutaj przez najbliższy rok czy dwa, okazuje się, że ten upał można jakoś znieść. Nie zauważasz go aż do ostatniego miesiąca, który ciągnie się w męczarniach. Zapewne wielu ludziom zdarzyło się przeżyć podobny fizjologiczny fenomen.

Słowa Amudseny o zimnie: „Do zimna nie można przywyknąć, ale można nauczyć się je znosić”, odnoszą się też do upału.

Ale gdy „brat Arkadij” mówił o pechu, miał na myśli towarzystwo, do którego trafiłem. Arkadij miał obowiązek wiedzieć co nieco o tych osobach. Ale nie plotkował. Mówiliśmy o naszej przeszłości, o instytucie i różnych głupstwach...

Następnego dnia przyjechaliśmy do ambasady.

Radzieckie imperium się rozpadało, utopia dobiegała końca, ale aktorzy przedstawienia nie mieli o tym pojęcia.

Staliśmy na podwórzu przed ambasadą. Obok stał ambasador z małżonką.

Omawiano kwestie barachła.

Człowiek radziecki latał za granicę po różne kłamoty, a im częściej latał, tym bardziej państwo mu ufało.

Staliśmy na podwórku i ambasador gruchał do damy z Ministerstwa Kultury:

— Moja żona pomoże pani wybrać materiał.

Dama z ministerstwa miała interesujące hobby. W ciągu dwóch tygodni zdążyliśmy przejechać kilka krajów i w każdym kupowała kawałek materiału na sukienkę, do niego podszewkę i całą resztę — guziki, tasiemki, nici i tak dalej. Zestaw musiał być harmonijnie skomponowaną doskonałością.

Obie z żoną ambasadora pojechały szukać materiałów i dodatków.

— A pan? — zapytał ambasador kierownika wydziału. I nie czekając na odpowiedź, przejawiał uzgodnioną inicjatywę: — Nasz towarzysz zawiezie was do sklepu RTV.

Zapadła cisza.

Kierownik wydziału odwrócił się do mnie i rzekł:

— Igor Wsiewołodowicz to nasz wielki uczony, orientalista, będzie tu miał wykłady. Musi wstąpić do księgarni, sami rozumiecie.

— Oczywiście, oczywiście — pospieszył z odpowiedzią ambasador, który pewnie się nie spodziewał, że pracownik służb bezpieczeństwa jest w dodatku wielkim uczonym. Ale przecież nie będzie się spierał ze zdaniem partii! — Zaraz wezwę praktykanta. Mamy tu sinologa...

W tym momencie puściły mi nerwy.

Pieniądzy miałem niewiele, a każdy wie, że sprzęt RTV kupuje się właśnie w Singapurze! Jakie książki, do licha!

— Przepraszam — wtrąciłem się. — A czy nie mógłbym pojechać z panem do sklepu? Chciałbym sensownie wydać pieniądze.

— Nie na książki? — upewnił się kierownik.

— Na małą wieżę...

W tym momencie, absolutnie nie krępując się obecnością dam i dyplomatów, kierownik krzyknął na całą ambasadę:

— To po jaką... żeś milczał i mi głowę...? A ja tu o jakichś tam... książkach plotę! Książki ci na pewno niepotrzebne?

— Na pewno.

— To jedziemy.

Od tego momentu jego stosunek do mnie gwałtownie się zmienił.

Na lepsze.

Co nie zawsze było wygodne.

Na Filipinach spędziliśmy tydzień w pałacu prezydenta Markosa. Ja „gnieździłem się” w pokoiku gościnnym (dwieście metrów kwadratowych), a kulturalnej damie trafiła się sypialnia samej madame Imeldy, gdzie w nogach jej sześćosobowego łóżka stał telewizor z ekranem dwa na trzy metry. Kierownik wydziału spał w apartamentach ukochanego pani Markos, Van Kliberna. Choć oczywiście mogła to być tylko plotka.

Nie w tym rzecz.

Gdy dzień pracy, wypełniony spotkaniami, rozmowami, zebraniem albo wykładami, dobiegał końca, gdy rozjeżdżali się towarzysze z ambasady, kierownik wydziału przychodził do mnie, żeby porozmawiać.

A raczej napić się przed snem.

Jak na złość, rodzina Markosów, ceniąca sobie przyjaźń ze Związkiem Radzieckim, wydała polecenie, by w każdym pokoju był barek na kółkach. Zastawiony napojami alkoholowymi o dużej mocy.

I do godziny drugiej kierownik wydziału opowiadał, kogo i kiedy poskramiał. Wiele osób zdążył poskromić w swoim życiu.

Nie miał ochoty pić w pojedynkę, poza tym obawiał się, że będą go obserwować — nie Filipińczycy, którzy mieli gdzieś tryb życia i myśli naszego ideologicznego generała, lecz towarzysze z ambasady. Pod tym względem moja sypialnia była bezpieczniejsza.

Znosiłem to cierpliwie.

Po murach utopii biegly pęknięcia, przez deski w podłodze przebijała się trawa, a kulturalna dama spieszyła kupić materiał na sukienkę, jednocześnie prezentując niezwykłą umiejętność dawania wywiadów i prowadzenia konferencji pasowych. Może właśnie z tego powodu trzymano ją na stanowisku wiceministra.

Trwa konferencja, dama odpowiada na pytania sympatyczne, niesympatyczne ignorując. Robi przerwę, by uprzejmie wysłuchać oszczercy czy prowokatora, a następnie spokojnie kontynuuje swoją przemowę z tym przecinkiem, na którym musiała sobie przerwać.

Od czasu do czasu wsadzali mnie do samochodu i wieźli na jakiś uniwersytet. Tam opowiadałem o tym, jak Japończycy podbili Filipiny, czym wywoływałem żywe zdumienie Filipińczyków. Tym bardziej że moje wykłady były ideologicznie podkolorowane.

W tej podróży, uczestnicząc w rozmowach ambasadorów z partyjnym bonzą, zrozumiałem, że oni nie tylko z zainteresowaniem omawiają wspólnych znajomych wysokiej rangi, biurokratyczne przesunięcia i sprawy azjatyckie, ale również starają się zajrzeć w niepokojącą przyszłość. Rozmowy dotyczyły także wewnętrznych ruchów w imperium. To tak jakby Ilia Muromiec przespał trzydzieści trzy lata i nagle się zakreślił, zawiercił, ziewnął szeroko i postanowił zejść z pieca. A domownicy patrzą z obawą — zejdzie czy nie zejdzie? Czyżby chciał ruszyć do miasta Kijowa i bohaterskich czynów dokonywać?

Partyjny bonza był niegłupim obłudnikiem i oszustem, ale przeciwko sobie miał równie dobrych oszustów.

I tak jechaliśmy z kraju do kraju. W każdym z nich pani minister kupowała sobie materiał z dodatkami, partyjny bonza pił z ambasadorami, a ja przywykłem do samochodu oficera służb bezpieczeństwa. Nie spotkałem już więcej znajomych. Szło nowe pokolenie.

W Bangkoku zasiedzieliśmy się do późna w kolejnej restauracji i pijaniutki, ale jak zawsze powściągliwy bonza powiedział, że czas do łóżek. A ja wyraziłem chęć przespacerowania się po Bangkoku. Bonza ostrzegł mnie przed AIDS — wtedy ta choroba była najnowszą sensacją.

Bangkok nocą to gwarne i ożywione miasto, zwłaszcza że w połowie lat osiemdziesiątych trwały tam całodobowe prace budowlane, jak w Moskwie naszych dni. Ja odchodziłem coraz dalej od hotelu, zagłębiając się w plataninę uliczek i mając nadzieję, że poczuję się jak w mojej Birmie. Nic z tego nie wyszło. Rangun i Bangkok to dwa zupełnie różne miasta, a Tajowie przywykli czuć się wolnymi ludźmi w niezbyt wolnym państwie, natomiast z Birmańczyków owo uczucie (które zawładnęło nimi w latach pięćdziesiątych) wykorzenili pracownicy miejscowej bezpieki w ciągu ostatnich dziesięcioleci.

Im byłem dalej od magistrali, tym czujniej i bardziej podejrzliwie patrzyli na mnie przechodnie. Widocznie sądzili, że porządny biały człowiek nie powinien nocą spacerować tam, gdzie sami nie lubili zaglądać.

Wróciłem do hotelu.

I choć było już dość późno, bonza, który zjawił się w moim pokoju niedługo po mnie, powiedział tylko:

— Myślałem, że już się nie doczekam.

Nie mógł sobie pozwolić na picie w pokoju. Ale u mnie w gościach — proszę bardzo.

— Jak tylko wrócimy — oznajmił partyjny wódz — od razu załatwię ci drugie wydanie twojej książki. Z ilustracjami. Koniecznie muszą być ilustracje, słowo daję.

Nie spierałem się, ale też nie wierzyłem. Bardziej mnie ciekawiło, czemu on nie pyta, gdzie

spędziłem te trzy godziny — w nocy, w Bangkoku i bez „przyzwoitek”. W końcu spotkanie z prostytutką to jeszcze całkiem znośna ewentualność. Bonza po prostu miał dosyć czekania na mnie.

Był wysoko postawionym sługą śmiertelnie chorego imperium.

I wtedy wymyśliłem powieść fantastyczną, której już chyba nie napiszę.

Byłoby to zakończenie klasycznej powieści Orwella „Rok 1984”. Ponieważ pewien węgierski pisarz napisał już „1985”, a ja książkę „1185”, trzeba by wymyślić inny tytuł. Książka opowiadałaby o śmierci imperium Orwella — analogicznej do rozpadu Związku Radzieckiego.

Najważniejsza rzecz to pokazać, że rozpad przebiega zwyczajnie i spokojnie.

Jeszcze obracają się potężne koła zębate, jeszcze słycać rankami wywoływanie aresztantów, jeszcze wpina się donosy do akt, jeszcze wykreśla się przeszłość niewygodną dla terażniejszości.

A na podwórku bawią się dzieci, które nie chcą już nic wiedzieć o Wielkim Bracie. Między nimi są dzieci działaczy ideowych Wielkiego Brata.

Chciałbym przenieść nasz model na klasyczną sytuację fantastycznej antyutopii.

Potem należałoby pokazać, że naród, który wyzwolił się z władzy tyranów, tęskni za dawnymi porządkami, kiedy kiełbasa była prawie za darmo.

ROZDZIAŁ 19

W OJCZYŹNIE MARKSA

Latem pojechałem na kongres historyków do Stuttgartu. Znowu pomogła mi moja monografia, która zbiegła się z jubileuszem wojny.

Jesteśmy niewolnikami jubileuszów.

Gdy osiem lat temu przy prezydencie powstawała Komisja do spraw Nagród, gdy opracowywaliśmy nowy system nadawania nagród i odznaczeń, uczciwie patrzyliśmy sobie w oczy i przysięgaliśmy, że od dzisiaj nikt nigdy nie dostanie nagrody w związku z jubileuszem fabryki czy gałęzi przemysłu. Z okazji własnego jubileuszu też nie ma co liczyć na nagrodę... A już rok później zapomniano o wszystkich obietnicach. Nie dlatego że byliśmy obłudnikami — po prostu zasady systemów biurokratycznych są wieczne i niezienne. Łatwiej było zmienić ideologię, przecież sprowadzała się do rytualnych zaklęć.

Pojechałem na kongres po raz pierwszy i ostatni.

Aneks do zasad życia radzieckiego: przy wyborze uczestników kongresów i konferencji działa prawo Parkinsona. Nie pamiętam dokładnie jego treści, ale istota polega na tym, że na kongresy jeżdżą zawsze ci sami ludzie — a ich uczestnictwo nie zależy ani od naukowych osiągnięć, ani od talentów. Jeżdżą ci, którzy w odpowiednim czasie trafili na odpowiednią listę i już nigdy z niej nie wypadną — pod warunkiem że pomyślnie przejdą próbę ogniową. Obawiam się, że to prawo przynależności jest nawet ważniejsze od praw społeczeństwa i dzisiaj działa tak samo jak za czasów Stalina. Wystarczy, by obarczeni władzą ludzie wymienili spojrzenia.

Ja nie przeszedłem owej próby ogniowej.

Przy okazji, jest to dowód, że gnicie ryby od głowy do ogona jest procesem powolnym i długotrwałym. Głowa już zgniła, a brzuch nadal trwa w procesie budowy komunizmu.

Na rok przed kongresem w Stuttgarcie trafiłem do dziwnej grupy ludzi wysłanych przez WAAP do Bolonii na targi. Zostałem przydzielony Swietłanie Goriaczewej, kobiecie inteligentnej, sympatycznej i serdecznej. W niewielkiej Bolonii jednocześnie odbywały się Targi Książki '84 i jeszcze jakaś inna impreza kulturalna. Hotele pękały w szwach. Ponieważ WAAP zapomniał w porę zarezerwować pokoje dla naszej szóstki, ścisnęliśmy się w jednym dużym pokoju „bezwiazdkowego” hotelu, wyłożyliśmy na stół, jak to było w zwyczaju, przywiezioną z Moskwy wędzoną kielbasę i szprotki, dyrektor mińskiego wydawnictwa dołożył polec słoniny. Ja i tłumacz spaliśmy na połówkach, a odpowiedzialni towarzysze na łózkach. Ale kielbasę i wódkę dzielono po równo, sprawiedliwie. Nikt się nie skarżył.

Najtrudniej żyło się Swietłanie, będącej najważniejszym przedstawicielem WAAP-u, który wysłał nas wszystkich, żebyśmy się moralnie „rozkładali” w kapitalistycznym świecie. Hotele szły wprawdzie na to, żeby do dwuosobowego pokoju wepchnąć pięciu facetów i zedrzeć z nich jak za pięć pokoi. Ale Swietłana jako kobieta nie miała się gdzie zatrzymać. Z pomocą przyszli jej znajomi „burżuje”, agenci i redaktorzy, z którymi wcześniej stykała się na targach. Bystrze śledzili, w którym hotelu zwalnia się pokój, i od razu dawali znać Swietłanie. Pokoje zwalniały się przeważnie na jedną noc. Więc każdego ranka, przed wyjazdem na targi, Swietłana brała swoją wielką torbę podróżną i zanosila do nas, żeby wieczorem znowu podreptać do kolejnego hotelu. To była męka i niejeden by się wściekł, ale Swietłana była osobą spokojną, zrównoważoną i jakoś dawała sobie radę.

Któregoś dnia tej włóczęgi poszliśmy do restauracji — mnie i Swietłanę zaprosił niemiecki wydawca zainteresowany dobrymi stosunkami z WAAP-em. Była z nim pani redaktor Lorelei

Scheiner, sentymentalna, rozmowna, miła młoda kobieta.

Spędziliśmy przemiły wieczór w greckiej restauracyjce, ale od dziewiątej Świetlana zaczęła nerwowo spoglądać na zegarek. Nadszedł czas wieczornej przeprowadzki. W przeciwnym razie ten z takim trudem zdobyty pokój mogli oddać innemu pretendentowi. Kolacja została na siłę zakończona, rozstaliśmy się z przemiłymi towarzyszami przed restauracją.

Potem poszliśmy do naszego hotelu i wzięliśmy z pokoju torbę Świetłany. Dochodziła dziesiąta.

Na szczęście centrum Bolonii nie jest duże. Kilka ulic z długimi galeriami.

Hotel okazał się współczesnym pięciopiętrowym budynkiem ze szkła i stali. Pokój był nadal wolny. Świetlana wzięła klucze, a ponieważ budynek wyglądał na wymarły i światła były wszędzie przygaszone, czuła się niezbyt pewnie i poprosiła, żebym odprowadził ją do pokoju.

Pokój mieścił się na czwartym piętrze, ale pomyliliśmy się i wysiedliśmy z windy na piątym.

Winda nie chciała do nas wrócić.

Dwa kroki od niej korytarz kończył się szklanymi drzwiami. To było wyjście na całkiem wygodne schody pożarowe.

— Chodźmy piechotą — zaproponowałem. — Lepiej iść, niż czekać.

Świetlana się zgodziła.

Wyszliśmy na zewnętrzny podest. Za naszymi plecami drzwi zamknęły się z lekkim szcęknięciem. Padał deszczyk.

Zeszliśmy spiralnymi schodami piętro niżej. Spróbowałem otworzyć szklane drzwi.

Drzwi się nie otwierały.

Okazało się, że drzwi wychodzące na schody pożarowe otwierały się tylko od wewnątrz. Było to zabezpieczenie przed złodziejami.

Powoli zeszliśmy na dół, zatrzymując się na każdym piętrze i próbując otworzyć drzwi.

Deszcz przybierał na sile.

Za szklanymi drzwiami ciągnęły się suche, ciepłe korytarze. Radziecki człowiek nie miał tam wstępu.

Żeby chociaż ktoś wyszedł na korytarz!

Zeszliśmy na dół i znaleźliśmy się na tyłach hotelu, na otoczonym murem, zamkniętym podwórku. Podwórko było absolutnie puste i nie miało żadnego wyjścia. A raczej miało — zamknięte.

Myślicie, że opowiadam to wszystko dlatego, że lubię opowiadać?

Nie. Po pierwsze, opowieść ta była mi potrzebna, by wprowadzić do akcji Lorelei z Niemiec, a po drugie, żeby pokazać mój i Świetłany stan ducha.

Wyobraźcie sobie — chociaż dla nowego pokolenia zapewne będzie to trudne — co wtedy czuliśmy. Dwoje radzieckich ludzi w średnim wieku, przebywających w podróży służbowej w świecie kapitalistycznym, którzy trafili do zamkniętego pomieszczenia i jeszcze nie wiadomo, czy to nie efekt intrygi wywiadu amerykańskiego. Powinniśmy byli oszaleć z przerażenia i zniechęcić się nawzajem. A nazajutrz, jeśli przeżyjemy, napisać raport gdzie trzeba.

A my zachowywaliśmy się jak normalni ludzie. Łamaliśmy sobie głowę, jak wydostać się z pułapki, i jednocześnie śmiałyśmy się z siebie. To znaczy, czuliśmy się jak idioci, ale nie wpadaliśmy w panikę.

W końcu, gdy stało się jasne, że już stąd nie wyjdziemy i nikogo się nie dowołamy, w rogu podwórka znaleźliśmy puste skrzynki. Weszliśmy po nich na mur i wyrzeliśmy na ulicę.

Na wprost przed nami była kawiarnia. Pod szerokimi parasolami siedzieli Włosi i pili kawę i alkohol.

Gdy zobaczyli dwie głowy nad murem, zaczęli się uśmiechać. My również uśmiechnęliśmy się do nich.

Następnie pomogłem Świetłanie wspiąć się na mur, z którego ona dokonała dzielnego skoku na ulicę. Podaliśmy jej walizkę i też pokonałem mur. Poszliśmy do oficjalnego, porządnie oświetlonego wejścia do hotelu.

Gdybyście widzieli minę portiera, gdy zobaczył nas, przemokniętych i umazanych wapnem! Przecież doskonale wiedział, że pół godziny temu pojechaliśmy windą do pokoju!

Portier, podobnie jak goście w kawiarni, nie powiedział nic, uśmiechnął się tylko zawodowym uśmiechem, zapewne rozmyślając o zбочeniach tych uprzejmych Rosjan.

My też się uśmiechnęliśmy.

Tego wieczoru nie mieliśmy już siły śmiać się z naszej przygody. Nazajutrz nie było na to czasu.

Trzy dni później targi dobiegły końca i pojechaliśmy pociągiem do Rzymu. Świetłana, wierny przyjaciel, wiedząc, że nigdy nie byłem w Florencji (która, jak wiecie, leży pomiędzy Bolonią i Rzymem), oznajmiła:

— Przestudiowałam rozkład. Okazuje się, że jest poranny i wieczorny pociąg do Rzymu. Jeśli pojedziemy porannym, zostanie nam pół dnia na Florencję.

Świetłana nie robiła mi żadnej łaski. Normalny człowiek, normalne stosunki. Pół dnia spacerowaliśmy po Florencji, ledwie żywi dotarliśmy na dworzec i pojechaliśmy do Rzymu. W Rzymie Świetłana miała przyjaciół i powiedziała mi w hotelu:

— Jeśli masz ochotę, dziś i jutro możesz pozwiedzać Rzym. Co też zrobiłem.

Imperium się waliło. Z antyutopii, ze straszaka niezauważalnie wracaliśmy do zwyczajnego, ludzkiego życia.

Oczywiście Świetłana była dobrym i mądrym człowiekiem. I możliwe, że jej normalne zachowanie niczego nie dowodzi. Ale do prowadzonych przeze mnie studiów potrzebne są również pozytywne przykłady, wyjątki jedynie potwierdzające regułę.

...A więc znalazłem się w Niemczech Zachodnich na Kongresie Historycznym. Radzieccy uczeni byli delegacją. Delegacja składała się z bydła (czyli na przykład mnie, to znaczy ludzi, którzy jechali zgodnie z zasadami „turystyki naukowej”, to znaczy materialnie pomagając nauce) oraz prawdziwych funkcjonariuszy Akademii Nauk i kilku akademików, którzy mieli, zgodnie z prawem Parkinsona, spędzić na kongresach resztę życia. Ale jeśli akademików pojechało nie więcej niż pół tuzina, to urzędników międzynarodowego wydziału prezydium i wydziału KGB — trzy tuziny. W końcu to była „darmocha”.

Szeregowych uczonych wsadzono do autokaru i pojechaliśmy z Frankfurtu do Stuttgartu. To wszystko było interesujące, zabawne i pouczające.

Oprócz uczonych z różnych republik Kraju Rad w autokarze znajdował się również młody pracownik organów, który nas pilnował. Lata osiemdziesiąte jeszcze się nie skończyły.

Zresztą pracownik był wyluzowany — nikt nie powinien uciekać.

Jechaliśmy, śpiewaliśmy... i w końcu dojechaliśmy do Triru.

Zapewne nie wszyscy pamiętają, z czego słynie to miasto. A nasi ojcowie złotymi zgłoskami wryli tę nazwę w sercu.

Urodził się w nim i spędził lata swojego sytego dzieciństwa Karol Marks. Przyjechaliśmy jakby do niemieckiego odpowiednika Uljanowska (Symbirska)*. W tym miasteczku, mimo że leży ono w samym środku wrogiego nam świata kapitalistycznego, znajduje się muzeum Karola Marksa.

Wtedy doszło do dialektycznego kazusu. Zetknięcia starych i nowych czasów.

Wszystkich wysadzono z autokaru i zaprowadzono do muzeum.

Nie miałem ochoty zwiedzać muzeum Marksa. A jeśli czegoś naprawdę nie chcę, to możecie

* Symbirsk, 1924–92 Uljanowsk, miasto w pd.-wsch. części Rosji, duży port nad Wołgą, miejsce urodzenia Lenina.

mnie zachłostać, a ja i tak nie zjem tej kaszy. I jakoś tak się złożyło, że dołączył do mnie chudy i opanowany estoński profesor oraz czarująca Buriatka^{*}. Zaprawdę, imperialny autokar!

Powiedzieliśmy reszcie, że spotkamy się później. Zresztą możliwe, że nic nikomu nie powiedzieliśmy. Nie pamiętam.

Pospacerowaliśmy po mieście i wróciliśmy na postój autokarów.

Tak jak w każdym mieście turystycznym, w Trirze też był specjalny placyk dla autokarów. Pomyśleliśmy, że nasz autobus na pewno zajedzie tu w drodze powrotnej z miasta i wtedy nas zabierze.

Minęła godzina, autokar nie nadjeżdżał.

Estończyk zaproponował, żeby wrócić do muzeum i dowiedzieć się, dlaczego nasi przyjaciele się spóźniają. Wyśmiałem Es — tończyka. Co oni tam mogą robić!

Zaczęła rozpaczać Buriatka. Jej też nie puściłem.

Dwie i pół godziny później autobus wpadł na postój. Ja, zadowolony z życia, stałem na środku asfaltowego placyku. Autobus ruszył w moją stronę z pragnieniem spłaszczenia mnie na placek — choć za kierownicą siedział zwykły „ichni faszysta”.

Wtedy z autobusu wyskoczył wściekły pracownik organów i któryś z działaczy prezydium Akademii Nauk, którego zadaniem było trzymać nas krótko i zakwaterować w hotelach. Zaczęli na mnie wrzeszczeć.

Okazuje się, że autokar półtorej godziny stał przed wejściem do muzeum klasyka marksizmu — leninizmu. Nikt nie mógł uwierzyć, że wśród radzieckich uczonych znajdują się cynicy, którzy spluną w twarz swoim towarzyszom i marksizmowi w ogóle.

Gdy już nas odnaleziono, członkowie delegacji byli o krok od masowej hysterii. Krzyczeli na mnie i atakowali Estończyka. Najbardziej dostało się Buriatce, której zarzucano niemoralność.

Patrzyłem na wykrzywione wściekłością gęby doktorów nauk i myślałem: Jakie to szczęście, że nie byłem odszczepieńcem w czasie dyskusji o biologii czy znęcaniu się nad Pasternakiem.

Jakie szczęście, że mnie to ominęło. A wszystko dzięki historii, która przewinęła te sceny na długo przed tym, nim osiągnąłem wiek męski.

Teraz z opóźnieniem otrzymywałem swoją porcję szczególnej radzieckiej złości. W autokarze zaczęto się zastanawiać, czy przypadkiem nie miałem zamiaru zdradzić ojczyzny i uciec do Niemiec Zachodnich za judaszową zupę z soczewicy.

Gdy przeciskałem się wąskim przejściem na swoje miejsce, pracownicy naukowcy w podeszłym wieku (przysięgam, że nie kłamię!) podszczypywali mnie i tręcali stopami. Pracownik KGB, któremu zdrętwiały nogi, krzychał ze swojego miejsca:

— Po kim jak po kim, ale po panu, Igorze Wsiewołodowiczu, tego się nie spodziewałem!

Zapewne Buriatka, nie mówiąc już o Estończyku, była w jego oczach niegodna zaufania.

Tylko madame Lordkipanidze, profesor z Gruzji, mrugnęła do mnie ledwo zauważalnie.

Wszyscy odgrywali dawno wyuczoną rolę — jakby ktoś naciśnięciem przycisku otworzył im usta.

Jechaliśmy do Stuttgartu w milczeniu i w nieprzyjemnym oczekiwaniu. Estończyk, jak wyznał potem, był przekonany, że natychmiast odeślą go do ojczyzny, którą tak strasznie zhańbił.

Gdy dotarliśmy do hotelu, pracownik organów pobiegł złożyć meldunek.

Wrócił dość szybko. Gdy przydzielano pokoje, okazało się, że mnie i Estończykowi dali jeden pokój na dwóch.

— Żeby było łatwiej brać — skomentował mój współlokator bez uśmiechu.

^{*} Buriaci, lud z grupy mongolskiej (w 1989 roku 421 tys.) zamieszkujący Buriację (Rosja) oraz pn. Mongolię i Chiny.

Ale nikt nie miał zamiaru nas brać. Wrażliwi na linię partii pracownicy naukowci następnego dnia udawali, że nic się nie stało.

Wtedy zadzwoniła Lorelei i odszukała mnie.

Wieczorem zeszliśmy na kolację. Zabraliśmy po drodze Buriatkę i poszliśmy szukać niedrogiej kawiarni.

Pracownik KGB siedział w holu i pił piwo. Odwrócił się do nas i serdecznie powiedział:

— Sto metrów stąd jest MacDonald.

Zjedliśmy kolację w niemieckiej piwiarni i wyszliśmy na pasaż handlowy stolicy Wirtembergii. Z naprzeciwka szli kierownicy delegacji w towarzystwie samego akademika Tichwińskiego, który świętował swoje przybycie na sto siedemdziesiąty piąty kongres.

Na mój widok naczelnik wszystkich pracowników, piastujący stanowisko skromnego referenta, rzekł:

— Podobno napędził pan naszym niezłego stracha? Potwierdziłem i powiedziałem:

— Jutro wieczorem chciałbym odwiedzić przyjaciół w Bawarii. Przyjadą po mnie, przenocuję u nich.

— Mam nadzieję, że zdąży pan na otwarcie kongresu... — rzekł kierownik.

W jego spokojnym tonie usłyszałem wyrok. Nigdy więcej nie pojadę na żaden międzynarodowy kongres, nawet jeśli dochra — pię się tytułu akademika. Dlatego już się o to nie starałem. Rzeczywiście, nigdy więcej nie pojechałem na kongres.

Bywałem na różnych konwentach fantastów, pojechałem na konferencję o obronie demokracji w Birmie (częściowo dlatego że nikt nie chciał ryzykować i łączyć swojego nazwiska z demokratami, to znaczy ze zgniłym Zachodem). Może się jeszcze gdzieś wybiorę — na Aelitę na przykład. Ale nawet jeśli z mauzoleum wyniosą Lenina, prawa zagranicznych kongresów nie ulegną zmianie.

Nie przeszedłem próby na przynależność do elity.

Mimo wszystko w tym 1985 roku już nikomu nie przyszło do głowy (a jeśli nawet przyszło, to milczał), żeby odesłać do domu towarzyszy, którzy omal nie uciekli. A przecież niegdyś w Birmie grożono mi tym zupełnie poważnie, choć wówczas moje „przestępstwo” było znacznie mniejszego kalibru.

Następnego dnia przyjechała po mnie Lorelei i ruszyliśmy przez całą Wirtembergię do Bawarii, gdzie w najprawdziwszej wiosce (tylko las był ogrodzony drutem) miała wielki, nieprzytulny drewniany dom. Próbowła urządzić w nim dom dla bliskich jej duchowo ludzi. Ludzie rozbiegli się, została tam sama z mężem i pasierbem, mężczyznami milczącymi i surowymi, którzy przygotowywali kody kreskowe, a przy kolacji rozmawiali wyłącznie o pogodzie. O świcie piał kogut i czekały psy — jak na prawdziwej wsi.

Rano Lorelei odwiozła mnie z powrotem. Na otwarcie kongresu zdążyłem, nikt nie zadał mi ani jednego nieprzyzwoitego pytania i nawet wygłosiłem na kongresie wykład, a towarzysz Tichwiński słabo uściśnął mi rękę. Co niczego nie zmieniło.

Moje odejście ze świata wielkiej nauki zbiegło się z rozpadem radzieckiego imperium.

Już waliły się ściany, przewracały kolumny, odpadał tynk.

Ale ja nic o tym nie wiedziałem i nie słyszałem żadnego huku.

ROZDZIAŁ 20

RYCERZE NA ROZDROŻU

Wraz ze zmierzchem epoki zmieniło się również życie fantastów naszego państwa.

Przez wiele lat rozdzielaliśmy podkoszulki na piersi, opowiadając sobie, jak to będziemy żyć w wolnym kraju, jak będziemy pisać i wydawać to, co uważamy za słuszne, a nie to, co uważa za słuszne ciotka — redaktorka. Czytelnicy będą rozechwytywać nasze książki jak gorące bułeczki, powstaną nowe czasopisma i nowe filmy...

Wielki Brat odszedł, ale nasze marzenia się nie spełniły.

Czasopisma powstawały — i upadały jedno po drugim. Wydawnictwa zaczęły wydawać książki, ale my nie umieliśmy już napisać nic kardynalnie nowego, a nowe pokolenie nie spieszyło się z wyjściem na scenę. O filmie lepiej nie mówić...

Konstruując przyszłość fantastyki, nie przyszła nam do głowy prosta myśl: gdy bramy otworzą się na oścież, wkroczy przez nie amerykańska literatura masowa. A nasz czytelnik, tak wierny, oddany i rozumiejący wszystko, zdradzi nas i porzuci na pastwę losu.

Przyszłość miała być świetlana, nie było w niej miejsca dla wojen, chciwości, dorobkiewiczów czy kapitalistów. Wszyscy będziemy żyć w wielkiej Galaktycznej Wspólnocie i podziwiać gwiazdy.

Do tłumaczenia (a ja z powodu braku forsy natłumaczyłem w młodości całe dwa tomy) starannie wybierano nieskazitelnych i optymistycznie nastawionych obcokrajowców. Nawet polskiego pisarza Lema przestano tłumaczyć, gdy zaczął pisać podejrzone rzeczy.

Bradbury — ale bez mistyki. Simak — ale z uśmiechem. Asimov i Clarke — gdy prognozują i popularyzują...

Może ktoś jeszcze pamięta klęskę wiernego partyjniaka i młodogwardzisty Wasilija Zacharczenko, komsomolca aktywnego aż do siwych włosów.

Zacharczenko był na Cejlonie (jeśli się nie mylę), gdzie poznał Arthura Clarke'a i obiecał wydrukować mu w swoim czasopiśmie nową powieść. Nazwiska bohaterów powieści Clarke zaczerpnął z procesu moskiewskich dysydentów. Może celowo, a może po prostu nie miał pod ręką innych rosyjskich nazwisk.

Powieść zaczęto drukować w „Technika — młodzież” i wtedy jakieś bystre oko, postrach Indian, przejrzał wszechświatowy spisak i doniósł, gdzie trzeba.

Wybuchł skandal. Zdrada albo niedopatrzanie w samym sercu partyjnej literatury!

Trzeba było poświęcić Zacharczenkę i zdjąć go ze stanowiska redaktora naczelnego. A szkoda — przez wiele lat symbolizował to czasopismo.

Naszemu dobremu, mądrymu, wrażliwemu na fałsz czytelnikowi nagle podsunięto byle jak przetłumaczone, prymitywne amerykańskie powieści o robotach bojowych, wojnach w kosmosie, a przede wszystkim — o smokach i gwiazdnych imperiach.

I czytelnik nas zdradził. Nie chciał już czytać dzieł ojczystych mistrzów, zwrócił się ku Harry'emu Harrisonowi i innym, znacznie gorszym pisarzom.

A film? Z filmem było jeszcze gorzej!

Pieniądzy na prawdziwe filmy nie było, a zresztą po co nowe filmy, skoro można kupić dziesięć kilo amerykańskiego chłamu?

Okazało się, że nasz czytelnik, nasz widz właśnie tego potrzebuje! Wal śmiało w kosmiczną gębę i jazda!

Na początku lat dziewięćdziesiątych było jasne, że zostaliśmy znokautowani.

W krajach Europy Wschodniej i byłych republikach Związku Radzieckiego nikt już nie tłumaczył rosyjskich fantastów, poza granice Rosji nasze książki przedzierały się z trudem — jedynie do Ameryki i Izraela, gdzie istnieją potężne rosyjskojęzyczne mniejszości.

Z drugiej strony naszym pisarzom było ciężko również dlatego, że zmniejszyły się nakłady popularnych pism, w których publikowali swoje opowiadania. Opowiadań nie dawało się nigdzie wcisnąć.

Do tego czasu niewielu pisarzy starszego pokolenia pozostało aktywnych. Niektórzy jednak próbowali pisać dalej — jak Michajłow, Gulakowski, Mirer, Krapiwini i ja; inni, z tych czy innych przyczyn, zarzucili pisarską działalność. Tych było znacznie więcej: Borys Strugacki, Wojskuński, Sawczenko, Altowa, Łarionowa i inni.

To samo dotyczyło stosunkowo nielicznego średniego pokolenia, które próbowało iść z duchem czasu, co nie zawsze się udawało.

Za to wolne miejsce szybko zajęli młodzi rzemieślnicy — od kompletnie pozbawionych talentu, ale bezczelnych, do zdolnych i energicznych.

Ciekawe, że w pierwszych latach istnienia naszego wolnego kraju pojawiła się tylko jedna powieść fantastyczna próbująca zajrzeć w trwoźną przyszłość naszego państwa. Została napisana nie przez fantastę, ale przez dziennikarza Kabakowa. Mam na myśli „Niewozwraszczenca”.

Niemniej, jeśli się głębiej zastanowić, sytuacja nie była beznadziejna.

Trzeba tylko do tego wszystkiego podejść rozsądnie.

W ciągu ostatnich lat pojawiły się idiomy w rodzaju: „w naszych ciężkich czasach”, „w czasie, gdy zginęło nasze mocarstwo” i tak dalej. Co prawda, często zdania te wypowiedają ludzie wydłubujący sobie spomiędzy zębów czarny kawior.

I jeszcze: „nasze dzieci niczego nie czytają”, „literatura jest martwa”.

Te słowa z kolei można usłyszeć od pisarzy czy wydawców, których czytelnicy czytać nie chcą bądź czytają w stopniu niezadowolającym.

Wcale im się nie dziwię. Każdy czułby się urażony. Pisarz przez całe życie nawoływał do przyjaźni z ludem kosmicznym, braćmi i siostrami w rozumie, nie przelał ani kropli kosmiczej krwi, dotarł do czarnej dziury, a nawet czarnej plamy, w ślad za Jefremowem opiewał Wielki Pierścień i generalnie dużo zrobił dla literatury — a tu jakiś facet niesie z bazaru milorda kretyna i jeszcze go czyta w metrze.

Nie myślcie sobie, że pisarzowi realicie jest łatwiej. On przez całe dziesięciolecia zaorywał ugór we wszystkich dziedzinach życia, a teraz umysłami czytelników zawładnęli Forsythy i Sheldony, wszystkie półki zajął King, Rex Stout i zupełnie już rozzuchwalona Chmielewska.

Przypominają mi się słowa Władimira Sołouhina, brzmiące mniej więcej tak:

— Pamiętam, że przychodzę do Domu Literatów, a tam panika. Zasłużeni literaci, ulubieńcy partii i narodu, krążą po salach i jęczą: „Jak to tak, całe życie wynosiłem pod niebiosa, służyłem wiarą i prawdą, a teraz nie mam nawet kącika w «Prawdzie»! A temu podejrzanemu poecie na ten koszmarny poemat o braterskiej elektrowni wodnej dali całą kolumnę!”. Miałem ochotę powiedzieć: „Pociągnijcie nosami, bracia, z kuchni dobiega zapach pieczystego. Powrócił syn marnotrawny”.

Mógłbym co nieco dorzucić. Najwierniejszemu słudze carskiego reżymu, Bułharinowi, władze nie pomagały nigdy, chłostano go w tajemnicy i na oczach innych, jawnie nim pogardzano, a on mieszał donosy z błaganiami: „Pomóżcie, przecież jestem wasz, jestem wierny!”.

Właśnie ta wierność go zgubiła. Benkendorf* i Dubelt wiedzieli, że Bułharin nie ma po prostu innego wyjścia. Skompromitował się tak strasznie, że nie pozostaje mu nic innego jak wierna służba — aż do śmierci. A Gogol przed Bożym Narodzeniem, jak pisze Lemke w książce „Żandarmi Mikołaja I a literatura rosyjska”, otrzymał z anonimowego źródła dwadzieścia tysięcy rubli. Jak się okazało, nadawcą był ciemiezca wolności, imperator Mikołaj I.

Podobna sytuacja powstała w naszej literaturze po 1990 roku. Tylko w roli imperatora i Dubelta występował skromny, mądry i posłuszny czytelnik radziecki. On wolał oddać swoje pieniądze nie znanym i uznanym talentom, lecz wątpliwym, ale miłym sercu rzemieślnikom. Wśród nich były nie tylko roboty bojowe, ale i Tolkien, Frederick Forsyth i inni, wartościowi autorzy. Niestety, najwięcej było thrillerów niskiego lotu i banalnej literatury kobiecej zajmującej niszę pomiędzy weselnym wzruszeniem a lekką pornografią. Na usprawiedliwienie naszego prymitywnego czytelnika, który w niczym nie ustępuje czytelnikowi rumuńskiemu czy amerykańskiemu, należy powiedzieć, że znaczącą rolę w tym procesie odegrali wydawcy. Spieszyli się, by jak najszybciej jak najwięcej zarobić. Wydawali wszystko jak leci, dając owe „dzieła” tłumaczom, którzy w znajomości języka obcego nie wyszli poza instytut pedagogiczny, rosyjskiego zaś nie znali wcale.

Niebagatelną rolę odegrało również kino i telewizja. Jakież to było wygodne — kupić (albo ukraść) amerykański pop-film ze ścigającymi się po autostradzie samochodami, z których strzelają z pistoletów albo cekaemów, dopóki jeden z samochodów nie wybuchnie jak bomba atomowa.

Jęczeliśmy: ach, wszystko przepadło, załaza nas fala przemocy i tak zwanego seksu! Z każdym dniem jest coraz gorzej! Znikąd ratunku!

Oczywiście trochę przesadzam. Ale jęk wisiał nad całym krajem.

A w rzeczywistości byliśmy świadkami skomplikowanego (lecz pozytywnego) procesu zetknięcia się i wzajemnego oddziaływania dwóch kultur.

Co prawda, tego rodzaju oddziaływanie nie zawsze bywa równorzędne.

Amerykańska kultura masowa to obecnie największy przemysł na świecie. Załaza całą Ziemię, jej odbiorcami są nawet Eskimosi i Timorczyki. My zaś nie mieliśmy szczególnego wpływu na Amerykę — chociaż wcale nie zamykano tam przed nami drzwi. To była dla nas nowość.

Wahadło, które przechyliło się na zachód, nie mogło zastygnąć w skrajnej pozycji. Wahadło zawsze dąży do punktu równowagi.

W końcu nie jesteśmy jakimś tam malutkim kraikiem. Mamy swoje talenty.

Te talenty wchłaniały informacje i zastanawiały się — jak wybrnąć z tej sytuacji?

Trwało tworzenie antyciał.

Szok kulturowy się skończył.

Ciekawie było obserwować, jak we wszystkich dziedzinach sztuki zaczyna pojawiać się krajowa przeciwwaga dla masowej kultury Stanów Zjednoczonych.

Nie będę w tym miejscu pisał artykułu krytycznego, zbyt mało czytałem, by trzeźwo i obiektywnie sądzić pisarzy, którzy rozkwitli czy pojawili się w ostatnim dziesięcioleciu. Chcę tylko wspomnieć o pewnych ciekawych zjawiskach w fantastyce rosyjskiej.

Po pierwsze, pojawiła się nowa gałąź, której praktycznie nie było — fantasy. Obecnie rokrocznie drukuje się setkę książek fantasy, po ich stronicach wędrują smoki, drepczą magowie, chodzą elfy.

Mało tego, rozsądne autorki — a procent twórców płci żeńskiej ciągle rośnie (szczególnie w dziedzinie kryminałów i książek fantasy) — szybko zrozumiwały, że nie można wiecznie trwać w

* Benkendorf Aleksandr Ch., (1781 lub 1783–1844), generał ros.; doradca Mikołaja I, brał udział w stłumieniu powstania dekabrystów i śledztwie przeciwko jego uczestnikom; szef żandarmerii i naczelnik Trzeciego Oddziału carskiej Kancelarii Osobistej, kierującego zwalczaniem wszelkich przejawów opozycji w państwie.

smokoelfowych ramkach, i przeszły do wykorzystania smoka Gorynycza, głuptaka Iwana i Baby Jagi. Króla zastąpiono kniazem, złego władcę ciemności wymieniono na wikinga albo Tatarzyna.

Po drugie, pojawiła się rosyjska fantastyka kontynuująca amerykańską produkcję masową. Takich książek są setki. Wśród bezpośrednich naśladowców zauważyłem również naprawdę dobrych pisarzy. Sytuacje, a nawet krajobrazy zaczerpnięte są z amerykańskich powieści, lecz bohaterowie noszą rosyjskie nazwiska.

I wreszcie pojawiły się utwory symbiotyczne. Mam tu na myśli powieści, w których wykorzystano amerykańską broń pisma, wchłonięto amerykańskie doświadczenie i z tego wszystkiego wykuto coś rodzimego, rosyjskiego.

W tej grupie pojawiły się największe i najwyraźniejsze osiągnięcia.

Są to przeważnie pisarze czterdziestoletni (z małymi wahaniem w jedną lub drugą stronę); okazali się najbardziej interesujący.

Zazdroszczę im nie tylko dlatego, że po zrzuceniu kajdan „wolno — nie wolno, czarne — białe, nie wybierajcie”, oni zaczęli pisać dobrze i swobodnie. Po raz pierwszy od wielu lat wiem dokładnie, że tak jak pisze mój młodszy kolega (przepraszam, ale nie będę wymieniał nazwisk, jest ich kilka) — ja nie napiszę już nigdy. Nawet gdybym zdołał się zupełnie wyzwolić, mój czas minął.

Do czego zmierzam? Spodziewana ewolucja w fantastyce zaszła nie pod koniec lat osiemdziesiątych, lecz w latach dziewięćdziesiątych. Dzisiaj jej efekty są wyraźnie widoczne i niepodważalne.

Dla Amerykanów pozostajemy — i będziemy pozostawać — terra incognita, oni raczej z przyzwyczajenia niż ze szczerej pasji uznają istnienie Strugackich i Lema. Trzeba się z tym pogodzić. Niedawno kupiłem nowy, wyczerpujący informator „Filmy”. Przedstawiono w nim listę dziesięciu tysięcy najważniejszych filmów kinowych wszystkich czasów i narodów. Na końcu widnieje lista słynnych reżyserów świata w liczbie pięciuset. Jest tam nawet grupa Rosjan: Tarkowski, Michałkow, Michałkow-Konczalowski, Eisenstein. Oczywiście nie ma Danelii, Riazanowa, Todorowskiego, Sakurowa, Germana i innych wybitnych mistrzów, którym niejeden amerykański reżyser nie dorasta do pięt. Ale obrażanie się o to oznaczałoby odrzucenie obiektywnej prawdy — Ameryka jest samowystarczalna. W niej, jak w starożytnej Grecji, jest wszystko. Amerykanie nakręcą remake dobrego europejskiego filmu, wypchają go amerykańskimi gwiazdami i film stanie się bestsellerem. Aż się dziwię, że do dziś dnia nie zrobiono tam remake'ów powieści Strugackich czy Bułhakowa. Najwyższa pora „napisać” je na nowo.

Chciałbym się podzielić jeszcze jedną uwagą.

Ostatnia moja książka wyszła w Polsce (a także w Niemczech, Bułgarii, Czechach, na Litwie) w 1990 roku. Potem nastąpił kompletny odwrót. Jakby bratnie narody nareszcie odetchnęły pełną pierśią i wykrzyknęły: Jak to wspaniale, że nikt nie każe nam już czytać Szołochowa i Bułyczowa!

W tym wspaniałym uczuciu nasi sąsiedzi przeżyli dziesięć lat.

Ale począwszy od 1999 roku zaczęto mnie wydawać oraz zapraszać na zjazdy i konwenty do Polski, Słowacji i Niemiec.

Wszędzie podchodzili do mnie czytelnicy albo miłośnicy fantastyki i mówili, jak bardzo żałują, że nie wydaje się teraz u nich rosyjskich książek, że mają dość amerykańskiego popcor — nu, że nowe pokolenie już zapomniało rosyjski język i rosyjską literaturę...

I znowu zaczęto nas tłumaczyć, a tłumacze pytają — kto z młodego pokolenia mógłby u nas „pójść”? Jakie książki by pan polecił?

Chciałbym wierzyć, że zainteresowanie naszą literaturą będzie rosło, że nasza fantastyka nie stanie w miejscu.

Chyba na to zasługujemy?

Oczywiście, wraz z wejściem naszej literatury na nowy poziom — nowy zarówno pod względem liczby wydawanych rocznie książek (od dwudziestu piętnaście lat temu do kilkuset dzisiaj), jak i pod względem geografii (obecnie na porównywalnym poziomie wydawane są książki w Moskwie i w Tomsku, a pisarze żyjący na obrzeżach Rosji mają możliwość przebicia się na listy bestsellerów) — pojawiły się nowe problemy.

Niegdyś byliśmy jednorodni. Budowaliśmy komunizm i uczyliśmy tego całą Galaktykę. Jeśli pojawiały się wątpliwości, to biliśmy takich na przykład Strugackich, a oni i tak rośli niczym trawa przez szczeliny w betonie.

A teraz każdy ma swój punkt widzenia, często nostalgiczny. Jeśli dla Amerykanów jest to normalne, bo tam pisarze mający różne poglądy przyjaźnią się i siedzą obok siebie za stołami przydzielonymi, u nas wygląda to inaczej. My zostajemy wrogami na całe życie.

Pamiętam, jak dwadzieścia pięć lat temu w „Galaxy” na sąsiednich stronach wydrukowano dwie listy autorów — tych, którzy popierają wojnę w Wietnamie, i tych, którzy żądają jej przerwania. Listy były mniej więcej równe i nikt nie wstydził się swojego stanowiska. Wiem doskonale, że przynależność do danej listy nie odbiła się na kontaktach osobistych. Gdy trafiłem do Ameryki w 1976 roku, spędziłem wieczór u antymilitarysty Bena Bovy, w towarzystwie naszego przyjaciela Gordy Dicksona, który wyznawał odmienne stanowisko.

U nas nie mogło tak być.

W odróżnieniu od literatury realistycznej, fantastyka jest literaturą bardzo aktualną. Książki sf natychmiast reagują na problemy interesujące czytelnika. Fantastyka nie tylko bada relacje człowiek — człowiek, ale i stosunek człowiek — społeczeństwo oraz człowiek — nauka. Wszystko, co niepokoi czytelnika, od razu pojawia się na kartach książek.

Czekam, jakie linie rozłamu, jakie konflikty pojawiają się w tym cechu.

Jeden jest dla mnie oczywisty już teraz — i chociaż jeszcze się nie rozwinął, warto poświęcić mu odrobinę uwagi.

Wraz z historycznie nieuniknionym rozpadem Związku Radzieckiego w naszym społeczeństwie pojawiła się typowa trauma czasów późnorzymskich. Narodziło się wielu Boecjuszy, których dzieli wszystko prócz tęsknoty za przebrzmiałą wielkością. To ci, którzy dostawali kielbasę w rozdzielnikach, spędzali urlop w dortuarach zakładowych uzdrowisk oraz stali w kolejkach po leżaki na plaży.

Zazwyczaj jest to elektorat partii komunistycznej.

Ci właśnie ludzie ze łzami w oczach wspominają dawne czasy i oskarżają zdrajców, którzy zniszczyli państwo; wspaniałe państwo, choć, rzecz jasna, miało pewne wady. Ach, jakże jednomyślni są Rosjanie w pragnieniu zniszczenia ostatniego Czeczeńca! Prędzej zlikwidują całą Japonię, niż oddadzą jej dwie wysepki. Ale milkną, gdy pojawia się problem — niszczyć czy nie niszczyć przeklętych Estończyków i Łotyszów, którzy dręczą starych śledczych KGB. Przecież w odróżnieniu od hitlerowskich katów, nasi sadyści wiedzeni byli wspaniałymi ideami marksizmu — leninizmu.

Wtedy na naszą arenę wchodzi amerykańska „fantastyka bojowa”.

Zawsze czuć w niej ducha imperium — Amerykanie nie podejrzewają, że mogłaby istnieć choć jedna dobra planeta bez dobrego amerykańskiego wpływu. Gdy pojawiają się problemy, wezwij kosmicznych marines!

Ekran telewizyjny wypełniają bohaterowie amerykańskiego imperium — począwszy od „Archiwum X” do „Babilonu 5”, „Gwiezdnych wojen” i „Szeregowca Riana” — amerykańskie imperium obowiązkowo odnosi zwycięstwo. Sprawiedliwość triumfuje.

Pragniemy tego samego. Tylko żeby bohaterowie mieli rosyjskie nazwiska.

Moi podeksycytowani koledzy w różnorodnej formie próbują dokopać Amerykanom na ich

własnym boisku. Powstają imperialno–patriotyczne idee w książkach fantastycznych, bo właśnie tam najlepiej rozprawiać się z kompleksami.

Jedni mężczyźni w mundurach i garniturach żądają w Dumie zbudowania kolejnej setki podwodnych krążowników, żeby przerazić Amerykanów na śmierć; inni na kartkach swoich powieści rozprawiają się z wrogami Wielkiej Rosji.

Jakże łatwo znaleźć negatywnych bohaterów! To nie tylko ohydni Amerykanie kosmosu, ale nasi, podwórkowi „demokraci” i pacyfiści, którzy nie chcą wziąć do rąk granatnika.

Widziałem już książki tej imperialnej fali. Bardzo pouczająca lektura. Odzwierciedla nastrój lumpenizowanej części traumatycznego, postimperialnego społeczeństwa. Jedni pisarze żądają przywrócenia „komunizmu z ludzką twarzą” (tylko ciało pozostałoby stare, nieludzkie), inni domagają się walecznych zwycięstw w przyszłości. Wśród tych pisarzy są nawet całkiem inteligentni ludzie.

Niepokoi mnie dzień jutrzejszy — gdy fala imperialnej fantastyki zleje się z literaturą i sztuką tego rodzaju w całość. Pewne obawy budzi we mnie również niesamowita popularność filmu „Brat 2”, którego bohater wyrusza do Ameryki, żeby załatwić tam złych Murzynów i wstrętnych Amerykanów. Podejrzewam nawet, że nasi „nowi imperialiści”, to w rzeczywistości sprytni ludzie mający nosa do interesów, którzy w porozumieniu z wydawnictwami doszli do wniosku, że właśnie taka literatura cieszyć się będzie największą popularnością. Jej czytelnik już poszedł kupić granatnik. Ale nie będzie wyrównywał rachunków z Amerykanami, poszuka sobie kogoś słabszego w domu. Zawsze znajdzie się jakiś Żyd czy czarnuch.

Faszyzm wyrósł z poniżeń pierwszej wojny światowej i niepewności światowego kryzysu.

Nie chcę być prorokiem i nie wierzę w przepowiednie, ale tkwi we mnie niepokój.

Mam nadzieję, że szowinizm i imperialna nostalgia nie określą oblicza naszej literatury.

EPILOG

Rozłożyłem przed wami kawałki mojego życia.

Rozłożyłem je, mówiąc wyszukanie, na kobiercu czasu.

Chociaż czas to oczywiście nie kobierzec, lecz bezdenny dół, w którym znikają minuty i lata.

Jeszcze dwa słowa o niektórych postaciach tej powieści.

Ojciec i ciocia Ksenia umarli ćwierć wieku temu, Możejko — wie to ród niedługowieczny.

Potem zmarł również mój młodszy przyrodni brat Siergiej. I mała Nataszka, która przeżyła kilka operacji, a mimo to nadal pracowała i nawet jeździła na nartach. Była kierowniczką laboratorium i starała się nie obciążać nikogo swoim cierpieniem. Córka Nataszy, Julka, skończyła wydział fizyki MGU i pracuje w Niemczech, gdzie wyszła za mąż.

Później zmarli rodzice Kiry i moja mama. Już w bardzo podeszłym wieku.

Julka do tej pory nie może mi wybaczyć, że mama kochała mnie najbardziej na świecie. A ja ciągle wpadałem, przybiegałem, wstępowałem. Przynosiłem cukierki i jabłuszka. I zawsze mi się spieszyło. Mama z utęsknieniem czekała, kiedy przyjdę, a ja spoglądałem na zegarek i mówiłem: „Pojutrze już na pewno nie będę się spieszył, wtedy sobie posiedzimy i porozmawiamy”.

Przyznaję, że jestem winien, ale głupio byłoby bić się w pierś i mówić: „Gdybym mógł przeżyć życie jeszcze raz, zachowałbym się zupełnie inaczej”. Nic podobnego. Zachowywałbym się tak samo.

Alicja jeszcze na studiach wyszła za Kołę Lutomskiego. Są dobrym małżeństwem. Kola został jednym z ważniejszych architektów Rosji, Alicja zajmuje się projektowaniem, zawsze się wszędzie spóźnia, walczy z nadwagą, a z synem Timoszą mają burzliwe stosunki. Wydaje mi się, że Alicja to piękna kobieta, ale oczywiście jestem subiektywny.

W Timoszy, który ma ponad dwadzieścia lat, nie widzę siebie — to syn Koli. Ale w odróżnieniu od pozostałych członków rodziny Tima ma skłonność do kolekcjonerstwa. A to przecież rzadki gen. Zarzucił już zbieranie samochodzików, przeszedł przez karty telefoniczne i naszywki na rękawy mundurów. Zobaczymy, co będzie dalej.

Kira pracuje. Należy do gatunku ludzi pracy. Jeśli nie ma pracy projektanta, rysuje. Jak nie rysuje, to tłumaczy. Tylko skrzypiec nie wyjmowała z futerału od ponad dwudziestu lat.

Po raz pierwszy te zapiski wydrukowano w czasopiśmie „Jeśli”.

Zwieńczyłem je wówczas „skromną” listą swoich twórczych planów na najbliższe pół roku.

Od tamtej pory upłynęły dwa lata.

Niemal niczego z tych planów nie udało mi się zrealizować. Mimo że energicznie pracowałem, zarabiając pieniądze.

Pieniądze były mi potrzebne na lekarstwa.

Żeby można było walczyć z chorobami i znowu pracować...

Żeby zarabiać pieniądze...

Żeby kupować lekarstwa...

Żeby pracować...

Żeby kupować...

Każdy człowiek ma swój stały, określony wiek. Jedni przez całe życie pozostali pięciolatkami, inni urodzili się starszankami. Zmienia się tylko powłoka.

Ja mam około trzydziestu sześciu lat.

Wstając rano, wiem, że czeka mnie spotkanie z lustrem i twarz szykuje się do tego spotkania. I wychodzi mi całkiem przyzwoity starszy pan.

Ale nie daj Boże przypadkowo przejść obok lustra! Wtedy pojawia się w nim nieznamy, gruby starzec.

Nastaje sekunda nieprzyjemnego rozpoznania.

Nie lubię tej pomarszczonej powłoki, w którą wcisnął mnie czas.

Jeśli ten świat wymyślono dla mnie i poza mną on nie istnieje, albowiem, jak się przekonaliśmy, zbyt jest fantastyczny, by istnieć, to znaczy, że po prostu muszę do końca obejrzeć przedstawienie, które dano na moją cześć.